

Kochani

Przyszedł w końcu ten moment, w którym mogę ze spokojem powiedzieć, że udało się. Dokonałyśmy tego wspólnymi siłami, nie dając za wygraną, gdy byłyśmy niemal pewne, że nie podołamy.

Dziewczyny, dałyśmy radę i jestem niesamowicie dumna z tego, czego dokonałyśmy. Czego Wy dokonałyście. Jestem pewna, że każda z Was nauczyła się wiele tłumacząc „Miasto Upadłych Aniołów”.

Gdyby nie Wy, nie dałabym z tym sobie rady sama – nigdy nawet bym nie marzyła, żeby podjąć się samodzielnie tłumaczenia. Przetłumaczenie tego zajęło nam trochę ponad miesiąc – macie powody do dumy. Mimo, że nie zdążyłyśmy do premiery, nie poddałyście się, a to jest najważniejsze.

Mam nadzieję, że jeszcze niejeden projekt zrealizujemy w tym gronie...

Serdecznie dziękuję wszystkim tłumaczkom, za ich wysiłek i serce, włożone w ten projekt. Każdy rozdział zawiera cząstkę Was.

Dziękuję wszystkim betom, które zajmowały się korygowaniem naszych bazgrołów – ileż musiałyście mieć cierpliwości do tych niesfornych kwiatków.

Specjalne podziękowania przesyłam również wszystkim dziewczynom(i chłopakom, którzy się nie chcieli ujawniać?), które z niecierpliwością czekały na każdy pojedynczy rozdział, molestując mnie o jak najszybsze wstawienie chaptera. To wszystko dla Was.

A jeśli Ty czytasz tego ebooka z miłości do Darów Anioła – to wiedz, że Tobie też dziękuję! Dla takich ludzi warto pracować.

Kochani, miłej lektury i niech Jace będzie z Wami! Tylko tego już mogę Wam życzyć.

AVE JACE.

Zawsze, bez względu na to, co przeczytasz w tej książce...

Chaleur

W Fumaczeniu udział wzięli:

Hope Solo
midnight sun
firefly.
JimmieK
windy dreams
Chaleur
Shia
Te Amo Love

Korekta wykonali:

Chaleur
Gladya
Ishtar
JimmieK
Kardina Julia
Tellove
Miden
firefly.

Część I

Anioły zagłady

*Są plugastwa, które czają się w mroku i są anioły zagłady
Które latają spowite w zasłony niematerialności i nieprzystępnej
Natury; których nie możemy zobaczyć, lecz czujemy ich moc
I padamy pod ich mieczem*
– Jeremy Tylor „Modlitwa Pogrzebowa,

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mistrz

- Tylko kawę, poproszę.

Kelnerka uniosła wyskubaną brew.

- Chcesz coś do jedzenia? - zapytała. Jej akcent był wyraźny, a postawa zawiedziona.

Simon Lewis nie winił jej za to, miała prawdopodobnie nadzieję na większy napiwek, niż taki, który dostanie za pojedynczy kubek kawy. Ale to nie jego wina, że wampiry nie jedzą.

Czasami w restauracjach zamawiaj i tak jedzenie, żeby zachować pozory normalności, ale późny wtorkowy wieczór, kiedy „Veselka” była prawie pusta od innych klientów, nie musiał się tym martwić.

- Tylko kawę.

Wzruszając ramionami kelnerka zabrała jego laminowane menu i poszła złożyć zamówienie. Simon usiadł powrotem na twardym, plastikowym krześle i rozejrzał się dookoła. „Veselka”, jadłodajna na rogu Dziewiątej i Drugiej Alei, była jednym z jego ulubionych miejsc na Lower East Side – starej dzielnicy oblepionej czarno – białymi plakatami, gdzie można siedzieć cały dzień tak długo, jak zamawiasz co pół godziny kawę. Serwowali tam między innymi jego dawne, ulubione wegetariańskie pierogi i barszcz, ale te czasy ma już za sobą.

Była połowa października i już zdążyli rozstawić Halloween’owe ozdoby – chwiejne napisy mówiące „psikus albo barszcz!” i sztuczny, kartonowy wampir, nazwany Hrabią Naleśnikulą. Dawno, dawno temu Simon i Clary znaleźli tandetne i zabawne dekoracje wakacyjne, ale hrabia, z sztucznymi kłami i czarną peleryną, nie robił na nim wrażenia zabawnego jak kiedyś.

Simon spojrzał przez okno. To był żwawy wieczór, wiatr zawiewał na Drugiej Alei liście jakby były one sypiącym się z dłoni konfetti. Była tam dziewczyna, zmierzająca ku końcowi ulicy, dziewczyna w obcisłym, przepasanym paskiem płaszczu z długimi, czarnymi włosami powiewającymi na wietrze. Ludzie odwracali się, by spojrzeć jak szła. Simon patrzył na dziewczyny tak jak w przeszłości, próżno zastanawiając się, dokąd zmierzają, z kim się spotykają. Nie z takimi facetami jak on, wiedział o tym za dobrze. Oprócz tego tak było. Dzwonek przy frontowych drzwiach jadłodajni zadzwonił i weszła Isabelle Lightwood. Uśmiechnęła się na widok Simona i podeszła do niego, zdejmując płaszcz i wieszając go na krześle zanim usiadła. Pod płaszczem miała to, co Clary zwykła nazywać „Typowy wizytowy strój Isabelle”: krótka, obcisła, satynowa sukienka, kabaretki i długie kozaki. Na górze lewego buta był umieszczony nóż, ale Simon był pewny jedynie tego, co widział, dodatkowo, wszyscy w jadalni przyglądali się jak siada i odrzuca do tyłu swoje włosy. Nie miało znaczenia, co miała na sobie, Isabelle zawsze przyciągała uwagę jak pokaz sztucznych ogni. Piękna Isabelle Lightwood. Kiedy Simon ją poznał, był pewien, że nie będzie miała czasu na takiego gościa, jak on. Jego przypuszczenia okazały się w większości słuszne. Isabelle lubiła chłopców, których jej rodzice nie akceptowali, a to w praktyce oznaczało Podziemnych – Fearie, Wilkołaków i Wampirów. To, że spotykali się od miesiąca czy dwóch było dla niego zaskoczeniem, nawet jeśli ich związek polegał na takich spotkaniach jak to. I nawet, jeśli nie

mógł pomóc, to zastanawiał się, czy gdyby jego życie nie zmieniło się w jednej chwili, to czy tak naprawdę w ogóle spotykałoby się ze sobą?

Założyła za ucho kosmyk włosów i uśmiechnęła się czarująco.

- Świetnie wyglądasz.

Simon spojrzał na siebie w powierzchni odbijającej w oknie jadalni. Isabelle wypłynęła wyraźnie na jego zmiany w wyglądzie odkąd zaczęli się spotykać. Zmusiła go do zmiany ego bluz na skórzane kurtki, a jego trampki na buty od projektanta. Które, nawiasem mówiąc, kosztowały trzy tysiące

dolarów od pary. Ciągłe nosił swoje koszulki – ta mówiła „Egzystencjoniści robią to niepotrzebnie”, ale jego jeansy nie miały już przetarć na kolanach i dziur w kieszeniach. Zapuścił też włosy, tak, że opadały mu na czoło zakrywając włosy, ale to była bardziej konieczność niż Isabelle.

Clary miała pośmiewisko¹ z jego nowego wyglądu, ale wtedy Clary odkryła, że całe jego romantyczne życie graniczy z pośmiewiskiem. Nie mogła uwierzyć, że umawia się z Isabelle na serio. Oczywiście, nie mogła też uwierzyć, że spotyka się też z Mia Roberts², ich przyjaciółką wilkołaczką, też na poważnie. I nie mogła też uwierzyć, że Simon nie powiedział jeszcze jednej o drugiej.

Simon nie był pewny, jak to się stało. Maia lubiła przychodzić do jego domu i grać na Xboxie – nie mieli żadnego na komisariacie, na którym mieszkała sfora wilkołaków – i dopiero za trzecim albo czwartym razem pochyliła się i pocałowała go na pożegnanie, zanim wyszła. Był zadowolony, ale potem zadzwonił do Clary i zapytał ją, czy powinien powiedzieć o tym Isabelle.

- Przemyśl to, co dzieje się między tobą a Isabelle – powiedziała – I powiedz jej.

To okazało się złą radą. Minął miesiąc, a on wciąż nie był pewien, co się dzieje między nimi Isabelle, więc nie mówił nic. A im więcej czasu minęło, tym bardziej pomysł by jej to powiedzieć był niewygodny. Do tej pory działało. Isabelle i Maia nie były naprawdę przyjaciółkami, rzadko się widywały. Niestety, to niedawno się zmieniło. Matka Clary i jej wieloletni przyjaciel, Luke, wezmą za kilka tygodni ślub, a zarówno Isabelle i Maia zostały zaproszone na wesele, a ta perspektywa przerażała Simona bardziej niż tłum goniących za nim przez ulice Nowego Jorku Łowców Wampirów.

- Więc – powiedziała Isabelle wyrывая go z otępienia – Dlaczego tu, a nie w Taki? Tam mógłbyś zamówić dla siebie krew.

Simon krzywił na ten dźwięk. Isabelle była niczym, jeśli nie była niesubtelna. Na szczęście, nikt nie wydawał się ich podsłuchiwać, nawet kelnerka, która postawiła filiżankę kawy przed Simonem, spoglądając na Izzy i odeszła, nie biorąc zamówienia.

- Podobają mi się tutaj, - powiedział. - Clary i ja kiedyś tu przychodziliśmy tutaj, kiedy miała lekcje u Tisch. Mają tu świetny barszcz i naleśniki – są słodkie jak pierogi z serem - plus, jest otwarty całą noc.

Isabelle zignorowała go. Patrzyła na coś ponad jego ramieniem.

- Co to jest?

Simon podarzył za jej wzrokiem.

¹ czyt. Miała zwałę, bekę, zaciesz. Co chyba nie jest dziwne, też mam takie same odczucia xD – przyp Chaleur

² łooo, ale facet ma spust, dwie na raz!? – przyp. Chaleur

- Hrabia Naleśnikula.

- Hrabia Naleśnikula?

Simon wzruszył ramionami. "To dekoracja na Halloween. Hrabia Naleśnikula jest dla dzieci. To jak Hrabia Czekoladula³, lub Liczyhrabia⁴ z Ulicy Sezamkowej .- Uśmiechnął się do niej i posłał puste spojrzenie. - Wiesz. Uczy dzieci, jak liczyć.

Isabelle potrzasnęła głową.

- Jest program telewizyjny, gdzie dzieci uczą się liczyć dzięki wampirowi?

- Zrozumiałabyś lepiej, gdybyś to zobaczyła. - Mruknął Simon.

- Istnieją pewne mitologiczne podstawy dla takich przypuszczeń - powiedziała Isabelle, przełączając się na tryb odczytanego Nocnego Łowcy. – Niektóre legendy twierdzą, że wampiry mają obsesję na punkcie liczenia i że jeśli rozsypiesz worek ryżu przed nimi, porzucą wszystko to, co robią zacząć je liczyć. Nie ma w tym prawdy, oczywiście, nic więcej niż ta cała sprawa z czosnkiem. A wampiry nie powinny uczyć dzieci. Wampiry są przerażające.

- Dziękuję, - powiedział Simon - To żart, Isabelle. On jest Liczyhrabią. Lubi liczyć. No wiesz. "Co je hrabia dzisiaj, dzieci? Jeden płatek ciasteczka czekoladowego, dwa płatki ciasteczka czekoladowego, trzy płatki czekoladowego ciasteczka..."

Powiał zimny wiatr, kiedy drzwi restauracji otworzyły się, wpuszczając do innego klienta. Isabelle drgnęła i sięgnęła po czarny jedwabny szal.

- To nie jest realistyczne.

- Co wolisz? "Co je dzisiaj hrabia, dzieci? Jednego bezradnego wieśniaka, dwóch bezradnych wieśniaków, trzech bezradnych wieśniaków..."?

- Sza. - Isabelle skończyła wiązać szalik na szyi i pochyliła się do przodu, kładąc rękę na nadgarstku Simona. Jej duże ciemne oczy nagle ożyły, patrzyła w taki sposób jaki wywoływało w niej tylko polowanie na demony, planowała polowanie na demony lub myślała o polowaniu. - Popatrz tam.

Simon spojrzał gdzie kazała. Było tam dwóch mężczyzn stojących nad przez oszkloną gablotą, z zawartością jaką dysponują cukiernie: mocno mrożone ciasta, tace rogali i rurki wypełnione kremem. Żaden z mężczyzn nie wyglądał tak, jakby był zainteresowany jedzeniem choć trochę. Obaj byli niscy i boleśnie chudzi, tak bardzo, że ich kości policzkowe były na ich bezbarwnych twarzach jak noże. Obaj z cienkimi, siwymi włosami i jasnymi, szarymi oczami i obaj nosili ciemno szare płaszcze z pasem, sięgające do ziemi.

- Teraz, - powiedziała Isabelle – Jak myślisz, kto to jest?

Simon zerknął na nich. Oboje patrzyli na niego, ich bezzębne oczy wydawały się puste.

- Wyglądają jak swego rodzaju złe podwórkowe gnomy.

- To są ludzie Utrzymani – syknęła Isabelle – Należą do wampira.

- Należą? W jaki sposób?

Wydała z siebie niecierpliwy odgłos.

- Na Anioła, nie wiesz nic o swoim rodzaju, prawda? Czy ty w ogóle wiesz jak się tworzy wampiry?

- Cóż, kiedy mama wampir i tata wampir kochają się bardzo...

³ Count Chocula – popularne w Ameryce płatki śniadaniowe. – przyp. Chaleur

⁴ Simon mówi „Count” mając na myśli Count von Counta

Isabelle skrzywiła się do niego.

- Dobrze wiesz, że wampiry nie muszą uprawiać seksu, żeby się rozmnażać, ale założę się, że naprawdę nie wiesz, jak to działa.

- Wiem – Odparł Simon - Jestem wampirem, bo napiłem się krwi Raphaela przed śmiercią. Picie krwi plus śmierć równa się bycie wampirem.

- Nie do końca- powiedziała Isabelle. - Jesteś wampirem, bo napiłeś się krwi Raphaela, a następnie zostałeś pogryziony przez inne wampiry, a potem umarłeś. Musisz zostać ugryziony w pewnym momencie tego procesu.

- Dlaczego?

-Ślina wampira ma pewne... właściwości. Przemieniające właściwości.

- Nom⁵ Powiedział Simon

- Nie „nomaj” mi.⁶ Jesteś jedynym z tych z magiczną śliną. Wampiry utrzymują ludzi wokół siebie i żywią się nimi, traktując jak chodzący bar z przekąskami – powiedziała Izzy z niesmakiem - Można by pomyśleć, że będą słabi z powodu utraty krwi przez cały czas, ale ślina wampira rzeczywiście ma właściwości lecznicze. Mają większą ilość czerwonych krwinek, co wzmacnia je i są zdrowsi oraz sprawia, że żyją dłużej. Dlatego nie jest to niezgodne z prawem, że wampir karmi się człowiekiem. To tak naprawdę ich nie krzywdzi. Oczywiście, raz na jakiś czas wampir decyduje się na więcej niż jedną dawkę dziennie, ujarzmia, a następnie rozpoczyna karmienie ugryzionego człowieka niewielką ilością krwi wampira, tak, aby był posłuszny i przywiązany do mistrza. Ujarzmieni podporządkowują się swoim mistrzom z pewną porcją miłości. Chcą tylko być blisko nich. Tak jak to było, gdy wróciłeś do Dumort. Byłeś połączony z wampirem, którego krwi się napiłeś.

- Raphael, - powiedział Simon bezbarwnym głosem - Nie czuję palącej potrzeby bycia z nim w tych dniach.

- Nie, bo to znika, gdy stajesz się pełnoprawnym wampirem. To tylko podporządkowuje tych, którzy czczą swoich mistrzów i nie mogą się im sprzeciwić. Czy już widzisz? Kiedy wróciłeś do Dumort, klan Raphaela spuścił z ciebie krew, a ty umarłeś, a następnie stałeś się wampirem. Ale gdyby nie spuścili z ciebie krwi, jeśli daliby ci więcej wampirze krwi, to mogłeś stać się ujarzmionym.

- To wszystko bardzo ciekawe – powiedział Simon - Ale to nie wyjaśnia, dlaczego oni patrzą się na nas.

Isabelle spojrzał na nich znowu.

- Oni gapią się na ciebie. Może ich mistrz umarł i szukają innego wampira, który mógłby je mieć. Mógłbyś mieć zwierzątko - Uśmiechnęła się.

- Albo- Simon powiedział - Może są tutaj po cebulę.

- Ludzcy ujarzmieni nie jedzą. Żywią się połączeniem krwi wampira i zwierząt. Utrzymuje ich to w stanie uśpienia. Nie są nieśmiertelni, ale starzeją się bardzo powoli.

- Niestety –rzekł Simon, przypatrując się im - Nie wydają się przywiązywać wagi do wyglądu.

Isabelle wyprostowała się.

⁵ Przepraszam! Musiałam! Skojarzył mi się z takim dzieckiem neostrady piszącym „nom, niom, tia” itp. xD – Przyp. Chaleur

⁶ punkt dla Izzy! – przyp. Chaleur

- Oni tu idą. Myślę, że dowiemy się czego chcą.

Ludzie ujarzmieni szli tak prosto, jakby byli nadziani na kołki. Nie stawiali kroków, tylko sunęli naprzód bezszelestnie. Zajęło im tylko kilka sekund przejść przez restaurację. Zanim doszli do stolika Simona, Isabelle wydobyła sztylet, bardzo podobny do tego, który znajdował się w jej bucie. Położyła go na stole tak, że błyszczał w świetle fluorescencyjnych żarówek. To był ciemny, ciężki srebrny sztylet z krzyżem wypalonym po obu stronach rękojeści. Większość wampirów odstraszała broń z krzyżami, z założenia, Simon myślał, że większość wampirów jest też chrześcijanami. Kto mógł przewidzieć, że bycie w mniejszości religijnej było korzystne?

- To na tyle blisko - powiedziała Isabelle, kiedy dwóch Ujarzmionych zatrzymało się przy ich stole, jej palce pozostały cał od sztyletu - Jaki macie interes, wy dwaj.

- Nocny Łowca – wyszczała istota po lewej – Nic nie wiem o tobie w tej sytuacji.

Izabela podniosła delikatne brwi.

- Co jest ta sytuacją?

Drugi ujarzmiony wskazał długim szarym palcem Simona. Jego paznokcie były żółte i ostre.

- Mamy interes z Daylighterem.

- Nie, nie - powiedział Simon. - Nie mam pojęcia, kim jesteś. Nigdy nie widziałem cię wcześniej.

- Ja jestem Mr.Walker- powiedział pierwszy stwór - Obok mnie jest Mr.Archer. Obsługujemy najbardziej potężne wampiry w Nowym Jorku. Szefa największego klanu na Manhattanie.

- Raphaela Santiago - mówi Isabelle. - W takim razie musisz wiedzieć, że Simon nie jest częścią żadnego klanu. Jest wolnym strzelcem.⁷

Mr. Walker uśmiechnął się cienkimi ustami.

- Mój mistrz miał nadzieję, że ta sytuacja mogłaby ulec zmianie.

Spojrzenie Simona skrzyżowało się ze spojrzeniem Isabelle. Wzruszyła ramionami.

- Czy Raphael nie mówił, że masz się trzymać z dala od klanu?

- Może on zmienił zdanie

- Wiesz, jaki on jest. Humorzasty. Niestaly emocjonalnie.

- Nie wiem. I naprawdę nie widziałam go od tego czasu gdy groziłam, że zabije go świecznikiem⁸. Dobrze to wtedy przyjął. Bez humorów.

- Fantastycznie – rzekł Simon. Dwóch Ujarzmionych patrzyło na niego. Ich oczy były blade, białe - szare, w kolorze brudnego śniegu.

- Jeśli Raphael chce mnie w klanie, to dlatego, że chce coś ode mnie. Równie dobrze możecie powiedzieć, co to jest.

- Nie jesteśmy wtajemniczeni w plany naszego pana - powiedział Mr. Archer w wyniosłym tonem.

- Nie ma zabawy, w takim razie - powiedział Simon. – Nie pójdę tam.

- Jeśli nie chcesz iść z nami, jesteśmy uprawnieni do użycia siły.

Wydawało się, że sztylet sam wskoczył do dłoni Isabelle. Mimo wszystko wyglądało na to, że poruszyła się i już trzymała sztylet. Zakreśliła nim lekko.

- Nie robiłabym tego, gdybym była tobą.

⁷ W oryginale było „Jest wolnym agentem”, co w angielskim znaczy to, co u nas „Wolny strzelec” – przyp. Chaleur

⁸ Izzy... *- - Chaleur

Mr. Archer wyszczerzył do niej zęby

- Od kiedy dzieci Anioła są ochroniarzami nieuczciwych Podziemnych? Myślałem, że jesteście powyżej tego typu działań, Isabelle Lightwood.

- Nie jestem jego ochroniarzem – powiedziała Isabelle - Jestem jego dziewczyną. Co daje mi prawo do skopania ci dupy, jeśli mu przeszkadzasz. Tak to działa.

Jego Dziewczyna? Simon spojrzał na nią z zaskoczeniem, ale wpatrywała się w dwa stwory z błyskiem w ciemnych oczach. Z jednej strony, nigdy wcześniej nie słyszał, by Isabelle mówiła o sobie, jako o jego dziewczynie. Z drugiej strony było to objawem, jak dziwne stało się jego życie, to było bardziej

zaskakujące dziś wieczorem niż fakt, że właśnie został wezwany na spotkanie z najpotężniejszym wampirem w Nowym Jorku.

- Mój mistrz, - powiedział Mr. Walker, tonem, który on prawdopodobnie uznawał za kojący - Ma

propozycję dla Daylightera.

- On ma na imię Simon. Simon Lewis.

- Do złożenia panu Lewisowi. Mogę przysiąc, że dla pana Lewisa będzie najkorzystniej, jeśli pójdzie z nami i zechce wysłuchać naszego Mistrza.

- Przysięgam na honor mojego pana, że nic złego cię nie spotka, Daylighterze. I że jeśli zechcesz odrzucić propozycję mojego pana, będziesz miał wolną rękę.

Mój pan, mój mistrz. Mr. Walker wypowiadał te słowa z mieszaniną podziwu i uwielbienia. Simon wzdrygnął się nieco. Jak okropnie być kimś takim dla kogoś innego i nie mieć własnej woli.

Isabelle potrząsnęła głową, Simon złożył usta w niemym „nie”. Miała rację pomyślał. Isabelle jest świetną Nocną Łowczynią. Podziemni – nieuczciwe wampiry, uprawiający czarną magię czarownicy, wilkołaki będące na wolności i jedzące ludzi – od kiedy skończyła dwanaście lat i była prawdopodobnie lepsza niż każdy inny Nocny Łowca, z wyjątkiem jej brata, Jace’a. I był jeszcze Sebastian, który był lepszy od obydwójga. Ale on nie żyje.

- No dobra – powiedział. – Pójdę.

Oczy Isabelle zrobiły się okrągłe.

- Simon!

Obydwaj Ujarzmieni zatarli ręce jednocześnie jak postaci w komiksie. Gest sam w sobie nie był straszny, tak naprawdę było straszne to, że zrobili to dokładnie w tym samym czasie i w ten sam sposób, jak gdyby byli oni lalkami, których struny były uniesione szarpnięciem.

- Świetnie - powiedział Mr. Archer.

Nóż Isabelle uderzył o stół z trzaskiem i pochyliła się, jej błyszczące ciemne włosy zamiatały blat.

- Simon - powiedziała nagłym szeptem - Nie bądź głupi. Nie ma powodu, aby iść z nimi. A Raphael to kretyn.

- Raphael jest panem wampirów – odpowiedział Simon. – Dzięki jego krwi jestem wampirem. To mój... Jakkolwiek oni to nazywają.

- Pan, stwórzycie, stwórca – jest milion określeń na to, co on zrobił – powiedziała Isabelle w roztargnieniu. - I może dzięki jego krwi stałeś się wampirem. Ale to nie dzięki niemu jesteś Daylighterem..⁹

Ich spojrzenia spotkały się. Jace uczynił cię Daylighterem. Ale ona nigdy nie powiedziała tego głośno, tylko kilkoro z nich знаło prawdę, całą pozostałą historię o tym, co zrobili Jace i Simon.

- Nie musisz robić tego, co mówią.

- Oczywiście, że nie – odparł Simon, ścisząc głos. - Ale jeśli odmówię pójścia, myślisz, że Raphael mi tak po prostu odpuści? Tak nie będzie. Przyjdą po mnie.

Spojrzał w bok na Ujarzmionych, wyglądali tak, jakby zgadzali się z nim, ale mógł sobie to tylko wyobrazić.

- Znajdą mnie wszędzie. Kiedy jestem na zewnątrz, w szkole, z Clary...

- I co? Clary sobie z nimi nie poradzi? – Isabelle podniosła rękę - Dobra. Przynajmniej pozwól mi pójść z tobą.

- W żadnym wypadku – Uciął Mr. Archer - To nie jest sprawa Nocnych Łowców. To interesy Nocnych Dzieci.

- Nie...

- Prawo daje nam możliwość prowadzenia naszej działalności prywatnie – Powiedział sztywno Mr. Walker - Z naszym gatunkiem.

Simon spojrzał na nich.

- Dajcie nam chwilę, proszę - powiedział. - Chcę porozmawiać z Isabelle.

Nastąpiła chwila ciszy. Skończyła się już pora obiadowa. Miejsce przyjmowało późnowieczorny napływ gości wypływających z pobliskiego kina. Kelnerki śpieszyły się nosząc tace z jedzeniem dla

klientów. Pary śmiały się i rozmawiały w pobliżu ich stolika, kucharze krzyczeli sobie zamówienia za ladą. Nikt nie spojrzał na nich albo nie przyznawał, że coś się dzieje. Simon był teraz uważany za przystojniaka, ale nie mógł nic poradzić na to uczucie, że gdy był z Isabelle, został uwięziony za niewidzialną ścianą ze szkła, odcięty od reszty społeczeństwa i jego codziennych spraw.

- Bardzo dobrze - rzekł Mr. Walker, cofając się. - Ale mój pan nie lubi czekać.

Wycofali się w stronę drzwi, najwyraźniej nie mając wpływu na podmuchy zimnego powietrza, gdy

Ktoś wszedł lub wyszedł na zewnątrz i stanęli jak posągi. Simon zwrócił się do Isabelle.

- Jest dobrze - powiedział. – Nie chcą mnie zranić. Nie mogą mnie zranić. Raphael wie o wszystko o... Zrobił niewygodny ruch w kierunku swojego czoła. – Tym.

Isabelle pochyliła się nad stołem i odsunęła jego włosy, a jej dotyk był bardziej pozbawiony emocji niż delikatny. Marszczyła brwi. Simon widział Znak w lustrze wystarczająco długo, by wiedzieć, jak wygląda. Jakby ktoś wziął cienki pędzel i pociągnął prosty wzór po jego czole, po środku, tuż nad oczami. Wydawało się, że jego kształt zmieniał się czasami, jak ruchome

⁹ Nie wiem, na razie zostawiam tego nieszczęsnego Daylightera – Zwrot „Chodzący za dnia” brzmiałby tu.. Dziwnie. – przyp. Chaleur

obrazy znalezione w chmurach, ale zawsze był jasny, czarny, wyglądający na niebezpieczny, jak znak ostrzegawczy zapisany w innym języku.

- To naprawdę... działa? – Wyszeptała.

- Raphael uważa, że działa - odparł Simon. - I nie mam powodu, by sądzić, że nie.

Złapał jej rękę i odciągnął z dala od swojej twarzy.

- Nic mi nie będzie, Isabelle.

Westchnęła.

- Każdy fragment mojego szkolenia mówi, że to nie jest dobry pomysł.

Simon ścisnął jej palce.

- No dalej. Jesteś ciekawa, co Raphael chce, prawda?

Isabelle poklepała jego rękę i usiadła z powrotem.

- Opowiedz mi o tym po powrocie. Zadzwoń do mnie w pierwszej kolejności.

- Zrobię to - Simon stanął i zaczął gnieść kurtkę. – Zrobisz mi przysługę? Dwie przysługi, tak naprawdę.

Spojrzała na niego z lekkim rozbawieniem

- Co?

- Clary powiedziała, że będzie w nocy na treningu w Instytucie. Jeśli natrafisz na nią, nie mów jej gdzie poszedłem. Będzie się martwić bez powodu.

Isabelle przewróciła oczami.

- Okej, w porządku. I druga przysługa?

Simon pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Spróbuj barszczu przed wyjściem stąd. Jest fantastyczny.

Mr. Walker i Mr. Archer nie byli najbardziej rozmownymi towarzyszami. Prowadzili Simona w milczeniu ulicami Lower East Side, mając idąc kilka kroków przed nim z ich dziwnym typem chodzenia. Robiło się późno, ale ulice miasta pełne były ludzi wracających późno ze zmiany, spieszących do domu na obiad, z głowami pochylonymi chroniąc się przed zimnym wiatrem.

W St. Mark's Place były ustawione karciane stoły obok krawężnika, przy których można było kupić wszystko, od tanich skarpetek, przez szkice ołówkiem Nowego Jorku po pachnące kadzidelka. Liście szeleściły po chodniku jak wyschnięte kości.¹⁰ Powietrze pachniało spalinami samochodowymi mieszającymi się z zapachem drzewa sandałowego, a pod tym krył się zapach ludzki, skóry i krwi.

Żołądek Simona ścisnął się. Starał się trzymać tyle butelek zwierzęcej krwi w swoim pokoju ile mógł. Miał małą, przenośną lodówkę na tyle swojej szafy, gdzie matka nie mogła jej zobaczyć – trzymał dla siebie, gdyby kiedykolwiek był głodny. Krew jest obrzydliwa. Pomyślał, że powinien się do tego przyzwyczaić, nawet zaczął ograniczać ją, ale, mimo, że zabijała jego głód, nie było niej nic takiego, że cieszył się nią tak, jak kiedyś cieszył się z czekolady, wegetariańskiego burritos lub lodów z kawą. To pozostawało krwią. Ale bycie głodnym było gorsze. Bycie głodnym oznaczało, że

¹⁰ Na Anioła, co za porównanie oO - Chaleur; też mi szczeka opadła - Isztar

mógł czuć zapachy, których nie chciał czuć - zapach soli na skórze, przejrzwały, słodki zapach krwi wypływający z porów nieznajomych. On czuł się głodny, pokręcony i całkowicie nieetyczny. Zgarbił się, zacisnął pięści w kieszeniach kurtki i starał się oddychać przez usta.

Skręcili w prawo na Trzeciej Alei i zatrzymał się przed restauracją, nad którą szyld mówił „CLOISTER CAFE. OGROD OTWARTY CAŁY ROK”. Simon zamrugał na widok napisu.

- Co my tutaj robimy?

- Nasz pan wybrał to miejsce na spotkanie – powiedział Mr. Walker mdłym tonem.

- Hm - Simon był zdziwiony. - Myślałem, że bardziej w stylu Raphaela jest, no wiesz, organizowanie spotkań na szczycie niepoświęconej katedry lub pod ziemią w krypcie pełnej kości. Nigdy nie sprawiał wrażenia bywalca modnej restauracji.

Obaj Ujarzmieni wpatrywali się w niego

- Czy to jakiś problem? – Zapytał w końcu Mr. Archer.

Simon poczuł się niejasno skarcony

- Nie. Nie ma problemu.

Wnętrze restauracji było ciemne, z marmurowym barem wzdłuż jednej ze ścian. Żaden kelner ani ochroniarz nie podeszli do nich, kiedy przechodzili przez pokój, a następnie przez drzwi prowadzące do ogrodu.

Wiele nowojorskich restauracji miały taras z ogrodem, kilka było otwartych do późna w roku. Ten mieścił się na podwórzu między kilkoma budynkami. Ściany zostały pomalowane techniką trompe l'oeil¹¹ - malowidłami pokazującymi włoskie ogrody pełne kwiatów. Drzewa i ich liście mieniły się złotem i brązem, oplecione łańcuchami białego światła, ciepłe lampy rozstawione między stolami dawały czerwona poświatę. Mała fontanna pluskała nastrojowo w centrum ogródka¹²

Tylko jeden stolik był zajęty, ale nie przez Raphael'a. Szczupła kobieta w szerokim kapeluszu siedziała przy stole w pobliżu ściany. Simon patrzył na nią z zakłopotaniem, a ona podniosła rękę i pomachała do niego. Odwrócił się i spojrzał za siebie, ale oczywiście nikogo tam nie było. Walker i Archer poszli dalej. Otumaniony, Simon poszedł za nimi, przechodząc przez dziedziniec i zatrzymał się kilka metrów od miejsca, gdzie siedziała kobieta.

Walker skłonił się głęboko.

- Mistrzu – rzekł.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Walker - powiedziała. - I Archer. Bardzo dobrze. Dziękuję za doprowadzenie Simona do mnie.

-Chwileczkę - Simon zwrócił wzrok na kobietę, potem na Ujarzmionych i z powrotem. - Nie jesteś Raphaelem.

- Mój drogi, alez skąd - Kobieta zdjęła kapelusz. Ogromne ilości srebrzystych blond włosów Olśniewających w świetle bożonarodzeniowych lampek, opadły w dół na jej ramiona. Jej twarz była gładka, biała i owalna, wyjątkowo piękna, zdominowany przez ogromne blade zielone oczy. Nosila długie, czarne rękawiczki, czarną bluzkę z jedwabiu, spódnicę ołówkę i

¹¹ franc. trompe l'oeil – sposób malowania wywołujący złudzenie, iż ukazane na dwuwymiarowej powierzchni przedstawienie jest trójwymiarowe; malarstwo dające iluzję rzeczywistości. – przyp. Chaleur

¹² 12 w oryg. pluskała muzycznie, ale to brzmiało jakoś dziwnie, więc zastąpiłam słowem „nastrojowo” - przyp. Chaleur

czarny szalik zawiązany wokół jej gardła. Nie można było przewidzieć jej wieku, a przynajmniej, jakim wieku mogła być, kiedy zamieniła się w wampira.

- Jestem Camille Belcourt. Miło cię poznać.

Wyciągnęła rękę odzianą w czarną rękawiczkę.

- Powiedziano mi, że mam się spotkać tutaj z Raphael'em Santiago - powiedział Simon nie osiagając celu - Pracujesz dla niego?

Camille Belcourt zaśmiała się jak szemrząca fontanna.

- Na pewno nie! Chociaż jakiś czas temu on pracował dla mnie.

I Simon pamiętał. Myślałem, że głową wampirów jest ktoś inny, powiedział raz do Raphaela, w Idrisie, jakby lata temu. Camille nie wróciła jeszcze do nas, odpowiedział, zastępuję ją.

- Jesteś głową wampirów – powiedział Simon – Klanu na Manhattanie.

Odwrócił się do Ujarzmionego.

- Oszukałeś mnie. Powiedziałeś, że to spotkanie z Raphael'em.

- Powiedziałem, że to spotkanie z naszym mistrzem. – Odpowiedział Mr. Walker. Jego oczy były duże i puste, tak puste, że Simon zastanawiał się, czy mieli go oszukać, czy po prostu byli zaprogramowani jak roboty do powiedzenia tego, co kazał im powiedzieć mistrz, nieświadomi odstępstwa od planu. – I oto ona.

- W rzeczy samej – Camille błysnęła idealnym uśmiechem w kierunku Ujarzmionych - Walker, Archer, proszę, zostawcie nas samych. Muszę porozmawiać z Simonem na osobności.

Było coś, w sposobie, w jaki wypowiedziała jego imię i zwrot "na osobności", co przypominało ukrytą pieszczotę.

Niewolnicy złożyli pokłon i oddalili się. Gdy pan Archer odwrócił się, by odejść, Simon zauważył znak na jego szyi, wielki siniak, tak ciemny, że wyglądał jakby był namalowany, z dwiema ciemniejszymi plamkami w środku. Te ciemne plamki były nacięciami otoczonymi przez suche, postrzępione strupy. Simona przeszedł dreszcz.

- Proszę, - powiedziała Camille, klepiąc sąsiednie miejsce. - Usiądź. Chciałbyś może wina?

Simon przycupnął niewygodnie na brzegu twardego, metalowego krzesła. - Ja nie piję.

- Oczywiście, - rzekła z sympatią. - Jesteś jeszcze żółtodziobem, nieprawdaż? Nie przejmuj się tym. Z czasem nauczysz się spożywać wino i inne napoje. Najstarsi przedstawiciele naszego gatunku mogą jeść nawet ludzkie jedzenie tylko trochę przy tym cierpiąc.

Trochę cierpią? Simonowi się to nie spodobało.

- Czy długo to potrwa? - Zapytał, zerkając ostentacyjnie na swoją komórkę, która powiedziała mu, że jest 22.30.

- Muszę wracać do domu.

Camille upiła łyk wina.

- Tak? A to dlaczego?

Ponieważ moja mama na mnie czeka. W porządku, nie było powodu, dla którego ta kobieta musiałaby o tym wiedzieć.

- Przeszkodziłaś mi w randce - powiedział. - Zastanawiałem się, co było aż tak ważne.

- Wciąż mieszkasz z matką, prawda? - Stwierdziła, odstawiając szklankę. - Nie uważasz to za osobliwe, że tak potężny wampir jak ty, odmawia opuszczenia domu rodzinnego, by zamieszkać z klanem?

- A więc przerwałaś moją randkę tylko po to, żeby ponabijać się z tego, że wciąż mieszkam z rodzicami. Nie mogłaś tego wtedy, gdy akurat nie miałem randki? Jest tak przez większość wieczorów, jeśli cię to interesuje.

- Nie naśmiewam się z ciebie, Simonie. - Przesunęła językiem po dolnej wardze, jakby smakując wino, które dopiero co wypila. - Chcę wiedzieć, dlaczego nie jesteś członkiem klanu Raphaela.

Czyli praktycznie rzecz biorąc twojego, prawda?

- Odniosłem silne wrażenie, że on mnie w nim nie chce. - odparł Simon. - Powiedział wyraźnie, że zostawi mnie w spokoju, jeśli ja zostawię jego. Więc tak też zrobiłem.

- Racja. - Jej zielone oczy rozbłysły.

- Nigdy nie chciałem zostać wampirem - Wyznał Simon, zastanawiając się, dlaczego opowiada takie rzeczy tej dziwnej kobiecie. - Pragnąłem normalnego życia. Kiedy odkryłem, że jestem Daylighterem, pomyślałem, że będę je miał. A przynajmniej jego namiastkę. Mogę chodzić do szkoły, mogę mieszkać w domu, mogę widywać moją mamę i siostrę...

- Dopóki przy nich nie jesz - Wtrąciła Camille. - Dopóki utrzymujesz swoją rządzę krwi w tajemnicy. Nigdy nie żywiłeś się człowiekiem, nieprawdaż? Kradłeś krew. Nieświeżą. Zwierzęcą. - Zmarszczyła nos.

Simon pomyślał o Jasie, ale szybko odepchnął od siebie tą myśl. Jace nie do końca był człowiekiem. - Nie, nigdy.

- Ale pożywisz się. A gdy to zrobisz, nigdy tego nie zapomnisz - pochyliła się do przodu, a jej jasne włosy otarły się o jego dłoń. - Nie możesz wiecznie ukrywać swojej prawdziwej natury.

- A który nastolatek nie okłamuje swoich rodziców? - Odparował Simon. - W każdym bądź razie, nie rozumiem, dlaczego tak ci na tym zależy. I wciąż nie jestem pewny, dlaczego się tu znalazłem.

Camille jeszcze bardziej się pochyliła. Przy tym ruchu, rozchylił się dekolt jej czarnej, jedwabnej bluzki. Gdyby Simon wciąż był człowiekiem, to pewnie by się zarumienił.

- Pozwolisz mi to zobaczyć?

Simon pouczył jak wytrzeszczają mu się oczy. - Zobaczyć co?

Uśmiechnęła się. - Znak, głupi chłopcze. Znak Kaina.

Simon otworzył usta i zaraz potem je zamknął. Skąd ona wie? Bardzo niewiele wiedziało o Znaku, który, Clary dała mu w Idrisie. Raphael twierdził, że to zabójczy symbol i Simon uważał podobnie.

Ale oczy Camille były bardzo zielone i spokojne, i z jakiegoś powodu zapragnął zrobić to, o co go poprosiła. Było coś w sposobie, w jakim na niego patrzyła, coś w jej głosie. Uniósł rękę i odgarnął włosy, odsłaniając czoło by mogła się przyjrzeć.

Wytrzeszczyła oczy i rozchyliła wargi. Delikatnie dotknęła palcami swojej szyi, jakby sprawdzając tam nieistniejący puls.

- Och - westchnęła. - Jesteś szczęściarzem Simonie. Ogromnym szczęściarzem.

- To klątwa - powiedział. - Nie błogosławieństwo. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Oczy jej zamigotały - *Kain rzekł do Pana „Zbyt wielka jest kara moja, abym mógł ją znieść”.*

A czy ty możesz ją znieść, Simonie?

Simon rozsiadł się, pozwalając włosom swobodnie opaść. - Mogę ją znieść.

- Ale nie chcesz. - Krążyła palcem z w rękawiczce po brzegu swojego kieliszka, wciąż się w niego wpatrując. - A gdybym zaproponowała ci sposób, dzięki któremu to, co uważasz za klątwę stanie się zaletą?

Powiedziałbym, że wreszcie doszliśmy do sedna sprawy.

- Słucham.

- Rozpoznałeś moje imię, kiedy ci się przedstawiłam - powiedziała Camille. - Raphael o mnie wspominał, prawda?

Miała akcent, ale tak słaby, że Simon nie mógł go rozpoznać.

- Powiedział, że byłeś głową klanu a on objął nad nimi przywództwo na czas twojej nieobecności. Zastąpił cię jakby, jakby był wiceprezydentem, czy kimś w tym rodzaju.

- Ach - delikatnie przygryzła dolną wargę. - To nie do końca jest prawda. Chciałabym ci powiedzieć, jaka ona jest, Simonie. Chciałabym też coś ci zaproponować. Ale najpierw musisz mi złożyć mi obietnicę.

- Jaką?

- Że wszystko, co powiemy tej nocy, zostanie między nami. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Ani twoja mała, rudowłosa przyjaciółka Clary. Ani żadna z twoich dziewczyn. Żadne z Lightwoodów. Nikt.

Simon poprawił się na krześle.

- A jeśli nie obiecuję?

- Wtedy będziesz mógł odejść, jeśli tego sobie życzysz - odparła. - Ale wtedy nigdy nie dowiesz się, co chciałam ci powiedzieć. I będziesz tego żałował.

- Zaciekawiłaś mnie - oświadczył Simon. - Ale nie jestem pewien czy wystarczająco.

W jej oczach zamigotała iskierka zaskoczenia, rozbawienia i może nawet, jak wydawało się Simonowi, nieco szacunku.

- Nic, co zamierzam ci powiedzieć, nie dotyczy ich. Nie wpłynie na ich bezpieczeństwo, albo na ich ogólny byt. Ta dyskrekcja jest dla mojej ochrony.

Simon zerknął na nią podejrzliwie. Czy mówiła prawdę? Wampiry nie są jak Fearie, które nie mogą kłamać. Ale musiał przyznać, że był zaintrygowany.

- W porządku. Zachowam twoje słowa w sekrecie, chyba, że uznam, że to, co mówisz, naraża moich przyjaciół na niebezpieczeństwo. Wtedy nasza umowa przestaje obowiązywać.

Jej uśmiech był chłodny; mógł stwierdzić, że ona nie lubi gdy się jej nie wierzy.

- Doskonale - powiedziała. - Domyślałam się, że nie będę miała dużego wyboru, kiedy tak bardzo potrzebuję twojej pomocy.

Pochyliła się, jedną szczupłą dłonią bawiąc się nóżką kieliszka.

- Całkiem niedawno przewodziłam klanowi na Manhattanie. Zajmowaliśmy piękne kwatery w przedwojennych budynkach na Upper West Side, nie takie jak ta szczurza nora, w której Santiago trzyma teraz moich ludzi. Santiago - Raphael, jak go nazywasz - był moim zastępcą. Najwierniejszym towarzyszem, a przynajmniej tak o nim myślałam. Pewnej nocy odkryłam, że morduje ludzi, wywołując ich do tego hotelu w hiszpańskiej dzielnicy i pijąc ich krew dla rozrywki. Kości wyrzucał potem na śmietnik. Łamał Przymierze tak głupio postępując.

Upiła łyk wina.

- Kiedy chciałam przeprowadzić z nim konfrontację, zdałam sobie sprawę, że powiedział reszcie klanu, że to ja byłam morderczynią i że to ja złamałam prawo. Wszystko sobie

zaplanował. Zamierzał mnie zabić, żeby zyskać władzę. Uciekłam tylko z Walkerem i Archerem żeby się ratować.

- Więc przez cały ten czas twierdził, że przewodzi tylko do twojego powrotu?

Skrzywiła się. - Santiago jest świetnym kłamcą. Chciałby, żebym wróciła, to pewne - żeby mnie zamordować i przejąć pełną władzę nad klanem.

Simon nie był pewien, co chciałyby usłyszeć. Nie przywykł, by dorosłe kobiety patrzyły na niego dużymi oczami wypełnionymi łzami albo opowiadały historię swojego życia.

- Przykro mi - powiedział w końcu.

Wzruszyła ramionami bardzo ekspresyjnie, co kazało mu się zastanowić, czy jej akcent nie jest francuski.

- To już przeszłość - westchnęła. - Przez cały ten czas ukrywałam się w Londynie, szukając sprzymierzeńców, oferując swój czas. I wtedy usłyszałam o tobie - Uniosła dłoń. - Nie mogę powiedzieć, od kogo, przyrzekłam dyskrecję. Ale w tamtym momencie zdałam sobie sprawę, że to na ciebie czekałam.

- Na mnie? Naprawdę?

Pochyliła się i dotknęła jego dłoni¹³.

- Raphael się ciebie boi Simonie i powinien. Jesteś jedyny w swoim rodzaju, wampir, a jednak nie można cię zranić ani zabić; nie może tknąć cię palcem bez ściągnięcia na siebie gniewu bożego.

Zapadła cisza. Simon mógł usłyszeć szmer wydawany przez bożonarodzeniowe lampki nad jego głową, wodę pluskającą w kamiennej fontannie na środku dziedzińca, brzęczenie i szum miasta. Kiedy przemówił jego głos był miękki.

- Powiedziałas to.

- Co, Simonie?

- To słowo. Gniew... - Słowo zamarło mu na ustach tak jak zwykle.

- Tak. Bóg. - Zabrała dłoń, ale jej oczy były ciepłe. - Nasz gatunek ma wiele sekretów, tak wiele, że mogę ci powiedzieć, pokazać. Nauczysz się, że nie jesteś przeklęty.

- Proszę pani...

- Camille. Mów mi Camille.

- Wciąż nie rozumiem, czego ode mnie chcesz.

- Naprawdę? - Pokiwała głową i jej błyszczące włosy rozsypały się wokół twarzy. - Chcę byś się do mnie przyłączył, Simonie. Chcę byś zawiązał ze mną sojusz przeciwko Santiago. Wejdziemy razem, do tego jego zaszczurzonego hotelu; w chwili, kiedy jego poplecznicy zobaczą, że jesteś ze mną, opuszczą go i przyjdą do mnie. Wierzę, że są lojalni wobec mnie, mimo, że się go boją. W chwili, gdy zobaczą nas razem cały strach ich opuści i przejdą na naszą stronę. Człowiek nie może równać się z legendą.

- Sam nie wiem - zawahał się Simon. - W Biblii Jakub walczył z aniołem i wygrał.

Camille spojrzała na niego z uniesionymi brwiami.

Simon wzruszył ramionami. - Żydowska wszechnica.

- *Jakub dał temu miejscu nazwę Penuel, mówiąc: Mimo, że widziałem Boga twarzą w twarz, jednak ocalilem życie.* Nie jesteś jedynym, który zna Pismo Święte. - Jej zły humor zniknął i

¹³ Skoro ona tak ciągle się pochyla i w ogóle nie prostuje to już chyba na nim leży. Simon ma branie :) - przyp.

zaczęła się uśmiechać. - Może nie zdajesz sobie z tego sprawy Daylighterze, ale dopóki nosisz to Znamię działasz z ramienia Nieba. Nikt nie może się z tobą równać. A już na pewno nie żaden wampir.

- Boisz się mnie? - zapytał Simon.

Przez chwilę żałował, że to zrobił. Jej zielone oczy pociemniały jak burzowe niebo.

- Ja mam bać się ciebie? - Wtedy opanowała się, twarz jej się wygładziła, oczy pojaśniały.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała. - Jesteś inteligentnym mężczyzną. Jestem przekonana, że dostrzeżesz zalety mojej propozycji i dołączysz do mnie.

- A jaka dokładnie jest twoja propozycja? Rozumiem tą część, w której skopujemy tyłek Raphaelowi ale co potem? Nie mam nic do Raphaela, nie chcę skopać mu tyłka dla samego skopania jego tyłka. Zostawił mnie w spokoju. Tylko tego chciałem.

Założyła przed sobą ręce. Nosila srebrny pierścień z niebieskim kamieniem na środkowym palcu lewej ręki w rękawiczce.

- Tylko ci się tak wydaje Simonie. Myślisz, że Raphael wyświadcza ci przysługę zostawiając cię w spokoju jak sam powiedziałeś. W rzeczywistości skazał cię na wygnanie. W tym momencie uważasz, że nie potrzebujesz innych z twojego gatunku. Jesteś związany z przyjaciółmi, których masz, ludźmi i Nocnymi Łowcami. Jesteś zadowolony z chowania butelek krwi w swoim pokoju i okłamywania matki czym jesteś.

- Skąd...

Kontynuowała ignorując go. - Ale co będzie za 10 lat, kiedy powinieneś mieć 26 lat? Za 20? Czy sądzisz, że nikt nie zauważy, że wszyscy się starzeją i zmieniają a ty nie?

Simon nie odpowiedział. Nie chciał się przyznać, że nie wybiegał myślami tak daleko w przeszłość. Nie chciał tego robić.

- Raphael nauczył cię, że inne wampiry są dla ciebie trucizną. Ale tak nie musi być. Wieczność to zbyt długo by spędzać ją samotnie bez innych z twojego gatunku. Którzy cię rozumieją. Przyjaźnisz się z Nocnymi Łowcami, ale nigdy nie będziesz jednym nich. Zawsze będziesz wyrzutkiem. Z nami możesz żyć. Gdy pochyliła się do przodu¹⁴ od jej pierścienia odbiło się białe światło raziące Simona w oczy.

- Przez tysiące lat zbieraliśmy wiedzę, którą możemy się z tobą podzielić. Możesz się nauczyć jak utrzymać swoją tajemnicę; jak jeść i pić, jak wymawiać imię Boga. Raphael okrutnie ukrył przed tobą tę wiedzę, a nawet pozwolił ci wierzyć, że jej nie ma. Ale jest. A ja mogę ci pomóc.

- Jeśli najpierw ja pomogę tobie - powiedział Simon.

Uśmiechnęła się. Jej zęby były białe i ostre. - Pomożemy sobie na wzajem.

Simon odchylił się do tyłu. Metalowe krzesło było twarde i niewygodne a on nagle poczuł, że jest zmęczony. Popatrzył na swoje dłonie, zauważył ciemniejące żyły, biegnące przez kłykie. Potrzebował krwi. Potrzebował rozmowy z Clary. Potrzebował czasu do namysłu.

- Zszokowałam cię - stwierdziła. - Wiem. To trudna decyzja. Byłabym szczęśliwa mogąc ci dać tyle czasu, ile potrzebujesz na przemyślenie całej tej sytuacji i czy możesz mi zaufać. Ale nie mamy wiele czasu, Simonie. Pozostając w tym mieście narażam się na niebezpieczeństwo ze strony Raphaela i jego kohorty.

¹⁴ Znowu? przyp. [Hope Solo](#) ; widocznie Camille nie zna innych gestów, umie się tylko pochylać xP - [Chaleur](#)

- Kohorty? - Mimo wszystko, Simon uśmiechnął się nieznacznie.

Camille wyglądała na zakłopotaną. - Tak?

- Cóż, to po prostu... "Kohorta". To tak jakby powiedzieć "złoczyńcy" albo "oprawcy". Gapiała się na niego nieprzytomnie. Simon westchnął. - Przepraszam. Pewnie nie widziałaś tylu złych filmów, co ja.

Camille lekko zmarszczyła brwi, między nimi pojawiła się delikatna linia. - Mówiono mi, że jesteś nieco dziwaczny. Pewnie dlatego, że nie znam wielu wampirów z twojego pokolenia. Mimo wszystko czuje jednak, że dobrze mi zrobi powiew... młodości.

- Świeża krew - stwierdził Simon.

Słyszając to uśmiechnęła się. - Więc jesteś gotowy? By zaakceptować moją ofertę? By zacząć współpracę?

Simon spojrzał w niebo. Rzędy białych świateł zdawały się przesłaniać gwiazdy.

- Widzisz - zaczął. - Doceniam twoją propozycję. Naprawdę.

Cholera, pomyślał. Musiał być jakiś sposób na powiedzenie tego tak, by nie brzmiał jakby odrzucał zaproszenie na bal. Naprawdę bardzo, ale to bardzo mi to schlebia, ale... Camille, tak jak Raphael, zawsze wyrażała się sztywno, formalnie, zupełnie jakby żyła w bajce. Może tu była jego szansa.

- Podjęcie takiej decyzji wymaga czasu. Jestem pewien, że rozumiesz.

Uśmiechnęła się bardzo delikatnie, pokazując tylko koniuszki kłów.

- Pięć dni - powiedziała. - I ani minuty dłużej.

Podala mu rękę w rękawiczce. Coś zamigotało w jej dłoni. To była mała szklana fiolka, taka, w jakiej trzyma się próbki perfum, tylko, że ta wypełniona była brązowym proszkiem.

- Grobowy Pył - wyjaśniła. - Rozbij to, a będę wiedziała, że mnie wezwalesz. Jeśli nie zrobisz tego w ciągu pięciu dni, wyślę Walkera po twoją odpowiedź.

Simon wziął fiolkę i wsunął ją do kieszeni.

- A jeśli odmówię?

- Będę rozczarowana. Ale będziemy w pewnym stopniu przyjaciółmi - odstawiła kieliszek. - Do zobaczenia, Simonie.

Simon wstał. Krzesło wydało zbyt głośne metaliczne skrzypnięcie, kiedy przeciągnął nim po ziemi. Czuł, że powinien powiedzieć coś jeszcze, ale nie wiedział co. Przez chwilę jednak wydawało się, że został odprawiony. Zdecydował, że woli uchodzić za jednego z tych nowoczesnych wampirów bez manier niż zaryzykować wdanie się w kolejną rozmowę. Wyszedł nie powiedziawszy niczego więcej.

W drodze powrotnej minął Walkera i Archera, którzy stali przy wielkim drewnianym barze, kuląc ramiona w swoich długich, szarych płaszczach. Poczuł siłę ich spojrzeń, kiedy przechodził i machał ręką w geście z pogranicza przyjacielskiego i obraźliwego.

Archer obnażył swoje zęby - ludzkie, płaskie zęby - i razem z Walkerem odeszli w stronę ogrodu.

Simon obserwował jak zajmowali swoje miejsca na przeciwko Camille; nie spojrzała na nich, gdy się usadowiali, ale białe wszystkie białe lampki oświetlające ogród, nagle zgasły - nie po kolei, ale wszystkie na raz - zostawiając Simona wpatrującego się w dezorientujący ciemny kwadrat. Gdy kelnerzy to zauważyli i wyszli na zewnątrz by naprawić problem, ponownie zalewając ogród bladym światłem, Camille i jej ludzkich niewolników już nie było.

Simon otworzył frontowe drzwi swojego domu - jednego z długiego rzędu identycznych domów szeregowych, stojących na jego blokowisku na Brooklynie - pchnął je delikatnie, uważnie nasłuchując.

Powiedział matce, że idzie poćwiczyć z Ericiem i innymi kumplami z zespołu, na koncert w sobotę. Był czas, kiedy ona mogła mu wierzyć i tak było; Elaine Lewis zawsze była łagodnym rodzicem, nigdy nie nakładała godziny policyjnej ani na Simona ani na jego siostrę, ani nie nalegała, by byli w domu wcześniej, jeśli następnego dnia była szkoła. Simon często przesiadywał do późna u Clary, wpuszczał się za pomocą tego klucza, i kładł się do łóżka o drugiej nad ranem nie wywołując komentarzy ze strony matki.

Teraz było inaczej. Był w Idrisie, ojczyźnie Nocnych Łowców, przez prawie dwa tygodnie. Zniknął z domu, bez jakiegokolwiek usprawiedliwienia czy wyjaśnienia. Czarownik Magnus Bane wkroczył do akcji i rzucił zaklęcie na pamięć jego matki i ona teraz w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, że zaginął. A przynajmniej nie świadomie. Jednak jej zachowanie się zmieniło. Teraz była podejrzliwa, wyczekująca, obserwowała go i czasami nalegała, by zostawał w domu. Ostatnim razem, gdy wrócił z randki z Maią, zastał Elaine w foyer, siedzącą na krześle twarzą do drzwi, z rękami założonymi na piersiach i z wyrazem ledwo skrywanej furii na twarzy.

Tamtej nocy był w stanie usłyszeć jej oddech zanim ją zobaczył. Teraz słyszał tylko słaby dźwięk telewizora dochodzący z salonu. Musiała na niego czekać, zapewne oglądając maraton jednego z tych seriali medycznych, które tak uwielbiała. Simon wślizgnął się przez drzwi zamknął je za sobą i oparł się o nie, zbierając siły na kłamstwo.

Wystarczająco ciężko było nie jeść ze swoją rodziną. Na szczęście matka wcześniej wychodziła do pracy i późno z niej wracała, a Rebecca, która chodziła do college'u w New Jersey, i wracała tylko czasami, żeby zrobić sobie pranie, nie była w domu wystarczająco często żeby zauważyć coś dziwnego. Jego mama wychodziła najczęściej w porze, w której się budził, przygotowane dla niego troskliwie śniadanie i lunch zostawiała na kuchennym stole. Idąc do szkoły wyrzucał je do kosza na śmieci. Obiad jadali wspólnie. Wiezorami, które spędzała w domu, musiał rozgrzebywać jedzenie na talerzu¹⁵ udawać, że nie jest głodny albo, że chce zabrać posiłek do swojego pokoju, żeby mógł go spożyć w trakcie nauki. Raz czy dwa wmusił w siebie trochę, tylko po to by sprawić jej przyjemność, po czym godzinami siedział w łazience trzęsąc się i wymiotując dopóki to co zjadł, nie opuściło jego organizmu.

Nienawidził jej okłamywać. Zawsze było mu trochę przykro z powodu Clary i jej napiętych stosunków z Jocelyn, najbardziej nadopiekuńczym rodzicem, jakiego znał. Teraz sytuacja się odwróciła. Po śmierci Valentine'a, Jocelyn poluzowała śrubę Clary, tak, że teraz zachowywała się jak każdy normalny rodzic. Tymczasem, ilekroć Simon był w domu, czuła na sobie ciężar matczynego spojrzenia, oskarżającego go o to, gdzie był. Opuszczając ramiona, rzucił swoją torbę kurierską obok drzwi i ruszył w kierunku muzyki płynącej z salonu. Telewizor był włączony, leciały wiadomości. Miejskowy spiker opowiadał o historii z życia wziętej - dziecku znalezionemu w uliczce za miejskim szpitalem. Simon był zaskoczony, jego mama nie zносиła wiadomości. Uważała je za przygnębiające. Rzucił okiem w kierunku kanapy i jego zaskoczenie przybladło. Jego matka spała, na stole obok wałały się

¹⁵ Coś jak Cassie ze Skinsów - przyp. Hope Solo

puste butelki, na podłodze stała jedna, do połowy opróżniona. Simon wyczuwał ten zapach - było to prawdopodobnie whiskey. Miał wyrzuty. Jego mama prawie w ogóle nie piła.

Simon wszedł do matczynej sypialni i wrócił z dzierganym kocem. Mama wciąż spała, jej oddech był powolny i równy. Elaine Lewis była drobną, delikatną kobietą, z burzą czarnych, kręconych włosów, przeplatanych pasami siwizny, których nie chciała zafarbować, aby nie zanieczyszczać środowiska a większość jej ubrań miała zwierzęce motywy. W tej chwili miała na sobie nierówno ufarbowaną sukienkę z delfinami i falami, a także broszkę, która kiedyś była rybą, teraz zanurzoną w żywicy. Jej polakierowane oko zdawało się wpatrywać w Simona oskarżycielsko, gdy ten okrywał matkę kocem.

Poruszyła się niespokojnie, odwracając od niego głowę.

- Simonie - wyszeptała. - Simonie, gdzie jesteś?

Zbolały puścił koc i wstał. Może powinien ją obudzić i powiedzieć, że wszystko w porządku. Ale wtedy padłoby pytanie, na które nie chciał odpowiadać i zobaczyłby pełen bólu wyraz na jej twarzy, którego nie mógł znieść. Odwrócił się i poszedł do sypialni.

Rzucił się na pościelone łóżko i chwycił telefon z nocnego stolika, chcąc wykręcić numer Clary, w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy. Zatrzymał się na chwilę wsłuchując się w sygnał w telefonie. Nie mógł jej powiedzieć o Camille; obiecał, że zachowa ofertę wampirzycy w sekrecie, i chociaż niewiele jej zawdzięczał, jeżeli była jakaś rzecz, której nauczył się w ciągu kilku ostatnich miesięcy, to, że obiecywanie czegokolwiek istotom nadprzyrodzonym to bardzo zły pomysł. Wciąż chciał usłyszeć głos Clary, tak jak zawsze, gdy miał ciężki dzień. Zawsze mógł się poskarżyć na swoje życie uczuciowe; to ją zajmowało bez końca. Przewrócił się na łóżku, położył pod głowę poduszkę i wykręcił numer do Clary.

Tłumaczenie: *Chaleur & Hope Solo*

Korekta: *Isztar*

ROZDZIAŁ DRUGI

Upadek

- Więc dobrze bawiłeś się z Isabelle tego wieczoru? - spytała Clary, przyciskając telefon do ucha podczas manewrowania między jedną a drugą belką. Długie bale były zawieszone jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią, pod sklepieniem strychu w Instytucie, gdzie znajdował się pokój treningowy. Chodzenie po nich miało uczyć równowagi. Clary ich nienawidziła. Pomimo przewiązanej w talii elastycznej liny, która miała uchronić ją od zderzenia z ziemią w razie upadku, jej lęk wysokości sprawiał, że całe to przedsięwzięcie było bezsensowne. - Nie powiedziałeś jej jeszcze o Mai, prawda?

Simon wydobył z siebie słaby, niezobowiązujący dźwięk, który Clary uznała za potwierdzenie. Słyszała muzykę w tle; mogła wyobrazić go sobie jak leży na łóżku, a stereo cicho gra, kiedy ze sobą rozmawiają. Brzmiał, jakby był wykończony do granic możliwości, a ona wiedziała, że i tak jego ton odzwierciedla nastrój jedynie w małym stopniu. Pytała go kilka razy na samym początku rozmowy, czy wszystko w porządku, ale on ignorował jej troskę.

- Igrasz z ogniem Simonie. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę - prychnęła.

- No nie wiem. Czy naprawdę uważasz, że to taka wielka rzecz? - zapytał wampir żałośnie. - Nie rozmawiałem ani z Isabelle, ani z Maią o randkowaniu na wyłączność.

- Pozwól, że coś ci powiem na temat dziewczyn. - Clary usiadła na belce, pozwalając nogom swobodnie zwisać w powietrzu. Przez otwarte okna w kształcie półksiężyców wdzierało się do środka zimne powietrze, ochładzając jej spoconą skórę. Zawsze myślała, że Nocni Łowcy trenują w swoich wytrzymałych, skóropodobnych zbrojach, ale okazało się, że są one potrzebne dopiero w późniejszym szkoleniu z bronią. Do tego rodzaju ćwiczeń, jakie wykonywała - mających poprawić jej gibkość, szybkość i zmysł równowagi - nosiła lekki bezrękawnik i ściągane sznurkiem spodnie, które przypominały jej ubiór lekarzy. - Nawet, jeśli nie przeprowadziliście takiej rozmowy, to i tak będą wściekle, że spotykasz się z kimś innym, kogo znają, a ty nie raczyłeś o tym wspomnieć. To zasada randkowania.

- Skąd mogłem o niej wiedzieć?

- Każdy ją zna.

- Myślałem, że jesteś po mojej stronie.

- Ale przecież jestem!

- Więc dlaczego tego nie okazujesz?

Clary przełożyła komórkę do drugiego ucha i zerknęła w kierunku cieni pod nią. Gdzie jest Jace? Powiedział, że idzie po kolejną linę i wróci za pięć minut. Oczywiście, jeżeli zostanie przez niego przyłapana na rozmowach telefonicznych, pewnie ją zabije. Rzadko odpowiadał za jej lekcje - zwykle to była broszka Maryse, Kadira albo innych członków nowojorskiego Conclave, dopóki nie znajdzie się następca Hodge'a, poprzedniego nauczyciela w Instytucie - ale kiedy to robił, brał to bardzo na poważnie.

- Ponieważ to nie są poważne problemy. Spotykasz się z dwoma pięknymi dziewczynami jednocześnie. Zastanów się. Masz jakby... Zmartwienia gwiazdy rocka - powiedziała.

- Borykanie się z takimi rozterkami sprawia, że czuję się prawie jak gwiazda rocka.
- Mój przyjacielu, nikt nie kazał wam nazywać swojego zespołu Sprośny Typ.
- Teraz jesteśmy Płótnem Millenium.
- Musisz załatwić to przed ślubem. Jeśli obie zechcą iść na niego z tobą, a na weselu okaże się, że spotykasz się z jedną i drugą, to cię ukatrupią. - Wstała. – Przez to uroczystość mojej mamy będzie nieudana i ona cię zabije. Więc umrzesz dwa razy. Cóż, technicznie, to byłby już trzeci raz...
- Nigdy nie obiecywałem żadnej, że wezmę ją na ślub! - Simon brzmiał na spanikowanego.
- Ale one będą tego oczekiwały. Po to dziewczyny mają chłopaków. Żeby ktoś mógł je zabierać na nudne imprezy. - Clary przesunęła się na brzeg belki, spoglądając w dół na wywołane czarodziejskim światłem cienie. Na podłodze narysowany był stary okrąg do treningu; wyglądał jak tarcza. - Dobra, muszę teraz skoczyć z tej kłody, narażając się na pewną śmierć. Pogadamy jutro.
- O drugiej mamy próbę zespołu, pamiętasz? Tam się spotkamy.
- Do zobaczenia. – Rozłączyła się i wetknęła telefon do stanika; lekkie ubrania treningowe nie miały żadnych kieszeni, więc co innego dziewczyna mogłaby zrobić?
- Planujesz siedzieć tam całą noc? – Jace stanął pośrodku tarczy i spojrzał na nią w górę. Miał na sobie zbroję bojową, a nie ciuchy do ćwiczeń jak Clary. Jego jasne włosy ostro kontrastowały z czernią. Nieco mu ściemniały odkąd lato się skończyło i teraz miały kolor bardziej ciemnego niż jasnego złota, co, według Clary, lepiej do niego pasowało. Myśl, że zna go wystarczająco długo, żeby zauważyć drobne zmiany w jego wyglądzie, sprawiała jej absurdalną radość.
- Myślałam, że wejdiesz na górę - zawołała. - Zmiana planów?
- To długa historia - posłał jej uśmiech. - Więc? Chcesz potrenować przewroty?

Clary westchnęła. Wykonywanie tego typu ćwiczeń obejmowało rzucenie się z belki w pustą przestrzeń i używanie elastycznej liny do utrzymania jej, kiedy będzie się odpychać od ścian, rzucać w górę i w dół, uczyć, jak się obracać, kopać i robić uniki bez martwienia się o twardą podłogę oraz obrażenia. Widziała, jak Jace to robi. Wyglądał wtedy jak upadający anioł, przecinając powietrze i kręcąc piruety z gracją baletnicy. Za to ona zwijała się z wdziękiem stonki, kiedy tylko zbliżała się do podłogi. Świadomość, że w nią nie uderzy, nie robiła jej żadnej różnicy.

Zaczęła się zastanawiać, czy urodzenie się Nocnym Łowcą miało w jej przypadku jakiegokolwiek znaczenie. Być może było dla niej za późno, by stać się jednym z nich albo przynajmniej w pełni sprawnym Nocnym Łowcą? A może to dar, który sprawił, że ona i Jace są, kim są, nie został podzielony równo i on dostał całą sprawność fizyczną, a ona, no cóż, nie otrzymała jej tak dużo.

- Dalej, Clary – zachęcił ją Jace. - Skacz.

Zamknęła oczy i skoczyła. Przez chwilę poczuła się zawieszona w przestrzeni, wolna od wszystkiego. Potem zadziałała na nią grawitacja i popędziła w stronę podłogi. Instynktownie zwinęła ręce i nogi, trzymając powieki mocno zaciśnięte. Lina napięła się, a ona odskoczyła, wylatując w górę, by następnie znowu opaść. Kiedy jej prędkość zmalała, otworzyła oczy i odkryła, że dynda na końcu sznura, około pięciu stóp nad śmiejącym się Jacem.

- Nieźle - oznajmił. - Z gracją spadającego płatka śniegu.

- Krzyczałam? - spytała ze szczerą ciekawością. - Wiesz, podczas upadku.

Przytaknęła.

- Na szczęście nikogo nie ma w domu, bo prawdopodobnie pomyśleliby, że chcę cię zamordować.

- Ha! Nawet nie możesz mnie dosięgnąć.

Zrobiła wykop i okręciła się leniwie w powietrzu. W oczach Jace'a pojawił się błysk.

- Chcesz się założyć?

Clary знаła ten wyraz twarzy.

- Nie - powiedziała szybko. - Cokolwiek zamierzasz zrobić...

Ale już to wykonał. Jace poruszał się tak szybko, że jego pojedyncze ruchy stawały się prawie niewidzialne. Zauważyła, że sięga ręką do paska. Następnie coś wystrzeliło w powietrze. Usłyszała dźwięk darcia, kiedy lina nad nią została przecięta. Uwolniona spadła, zbyt zaskoczona by krzyczeć, prosto w ramiona Nocnego Łowcy. Siła odrzutu popchnęła go do tyłu i oboje wylądowali na wyłożonej matami podłodze. Clary znalazła się na nim. Uśmiechnął się do niej.

- Teraz - powiedział - było o wiele lepiej. W ogóle nie wrzeszczałaś.

- Nie miałam na to czasu. - Nie mogła oddychać. Nie tylko z powodu upadku. Leżenie na Jasie, czucie jego ciała obok swojego sprawiło, że ręce zaczynały się jej trząść, a oddech przyspieszał. Myślała, że może jej fizyczna reakcja na niego - ich wzajemna reakcja na siebie - spowszednieje jej, ale tak się nie stało. Co więcej, stawała się coraz gorsza w miarę upływu czasu, który z nim spędzała. *Albo lepsza, pomyślała, zależy jak na to spojrzeć.*

Przyglądał jej się tymi ciemnozłotymi oczami. Zastanawiała się, czy ich kolor pogłębił się po spotkaniu z Aniołem Razjelem nad brzegami Jeziora Lyn w Idrisie. Nie mogła o to nikogo zapytać. Chociaż wszyscy wiedzieli, że Valentine wezwał Anioła, a ten uleczył obrażenia chłopaka, które spowodował Morgenstern, nikt, oprócz Clary i Jace'a, nie miał pojęcia, że Valentine nie tylko zranił swojego przybranego syna. Dźgnął go w serce w ramach ceremonii przywołania. Zadał mu cios i obejmował w momencie, gdy ten umierał. Na życzenie dziewczyny, Razjel przywrócił blondynowi życie. Potworność tamtych wydarzeń wciąż szokowała Clary i podejrzewała, że Jace'a również. Postanowili nigdy nikomu nie mówić, że chłopak właściwie umarł, nawet jeśli tylko na chwilę. To była ich tajemnica.

Wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy z twarzy.

- Żartowałem - powiedział. - Nie jesteś taka okropna. Nauczysz się. Powinnaś widzieć Aleca robiącego po raz pierwszy przewroty. Wydaje mi się, że raz kopnął się w głowę.

- Jasne - odparła Clary. - Pewnie miał wtedy z jedenaście lat. - Przyjrzała mu się. - Ty pewnie zawsze byłeś w tym niesamowity.

- Urodziłem się niesamowity. - Poglaskał jej policzek opuszkami palców, delikatnie, ale wystarczająco mocno, by wprowadzić ją w drżenie. Nie odpowiedziała; żartował, ale w pewnym sensie miał rację. Jace narodził się, by być tym, kim jest.

- Jak długo możesz dzisiaj zostać?

Uśmiechnęła się lekko.

- Trening się skończył?

- Wydaje mi się, że zakończyliśmy tę część wieczoru, która była całkowicie niezbędna. Jednak wciąż jest kilka rzeczy, które chciałbym przećwiczyć...

Zamierzał ją do siebie przyciągnąć, ale w tym momencie otworzyły się drzwi, a do środka wparowała Isabelle, stukając obcasami po wypolerowanej, drewnianej podłodze. Uniosła brwi, widząc parę leżącą na podłodze.

- Migdaliliście się. A ja myślałam, że macie trening.

- Nikt nie kazał ci wchodzić bez pukania, Iz. – Jace nie wykonał żadnego ruchu, poza przekręceniem głowy na bok, żeby spojrzeć na Isabelle z mieszaniną rozdrażnienia i czułości. Natomiast Clary zerwała się na nogi, prostując pogniecione ubranie.

- To sala do ćwiczeń. Przestrzeń publiczna. – Dziewczyna ściągnęła jedną z jej jasnoczerwonych, jedwabnych rękawiczek. - Kupiłam je na wyprzedaży w „Śmieciach i beznadziei”. Podobają wam się? Też chcecie takie? – Pomachała palcami w ich kierunku.

- No nie wiem – powiedział Jace. – Chyba nie pasują mi do zbroi.

Isabelle skrzywiła się.

– Słyszeliście o martwym Nocnym Łowcy znalezionym na Brooklynie? Ciało było tak zmasakrowane, że wciąż mają problemy z jego identyfikacją. Założę się, że tam właśnie jest mama.

- Tak – westchnął Jace, siadając. – Spotkanie Clave. Wpadłem na nią, kiedy wychodziła.

- Nie powiedziałaś mi o tym – zachnęła się Clary. – Czy to dlatego zdobycie liny zajęło ci tyle czasu?

Przytaknął.

- Przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć.

- Ma na myśli – wtrąciła Isabelle – że nie chciał psuć romantycznego nastroju. – Przygryzła wargę. – Mam tylko nadzieję, że to nie był nikt znajomy.

- Myślę, że jest to całkiem prawdopodobne. Ciało zostało porzucone w opuszczonej fabryce i przeleżało tam kilka dni. Gdyby był to ktoś, kogo znamy, zauważylibyśmy jego zniknięcie.

Jace założył sobie włosy za uszy. Patrzył niecierpliwie na Isabelle. Clary pomyślała, że jest zły na swoją przybraną siostrę za poruszenie tego tematu. Wolałaby dowiedzieć się o tym wcześniej, nawet jeżeli miałyby to popsuć nastrój. Wiele jego czynów, tak jak ich wszystkich, powodowało, że często stawali w obliczu śmierci. Każdy z Lightwoodów, na swój sposób, wciąż przeżywał śmierć Maksa, ich najmłodszego dziecka, który zginął tylko dlatego, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. To było dziwne. Jace zaakceptował jej decyzję o rzuceniu szkoły średniej na rzecz treningu bez marudzenia, ale unikał rozmowy o niebezpieczeństwach mogących ją spotkać w życiu Nocnego Łowcy.

- Idę się przebrać – oświadczyła i ruszyła w stronę drzwi prowadzących do niewielkiej przebieralni sąsiadującej z salą treningową.

Była bardzo skromna urządzona: puste, drewniane ściany, lustro, prysznic i wieszaki na ubrania. Schludnie ułożone ręczniki leżały na ławeczce z drewna. Clary wzięła szybki prysznic i założyła swoje codzienne ubranie: rajstopy, buty, jeansową spódnicę i nowy, różowy sweter. Przeglądając się w lustrze, zauważyła, że w rajstopach ma dziurę, a jej wilgotne i skręcone włosy utworzyły niechlujną płataninę. Nigdy nie będzie tak idealna w każdym calu, jak Isabelle. Ale Jace zdawał się nie zwracać na to uwagi.

Kiedy wróciła na salę przyjaciele dali już sobie spokój z martwym Nocnym Łowcą i zajęli się jeszcze gorszym dla niej tematem – randką Izzy i Simona.

- Nie mogę uwierzyć, że zabrał cię do prawdziwej restauracji. – Jace był już na nogach i teraz układał maty oraz zbroje treningowe, podczas gdy Isabelle opierała się o ścianę i bawiła

nowymi rękawiczkami. - Byłem pewien, że według niego randka polega na przyglądaniu się jak gra w World of Warcraft ze swoimi przyjaciółmi-frajerami.

- Jednym z jego przyjaciół-frajerów jestem ja – podkreśliła Clary. – Dziękuję ci bardzo.

Jace uśmiechnął się do niej.

- To nie była tak do końca restauracja. Raczej knajpa. Podają w niej różową zupę, którą chciałem, żebyś spróbowała – zamyśliła się Isabelle. – Był bardzo słodki.

Clary poczuła się winna, że nie wspomniała tej dwójce o Mai.

- Powiedział, że dobrze się bawiłaś. – Izzy przeniosła na nią wzrok. Wyglądała, jakby miała jakąś tajemnicę. To wrażenie zniknęło, zanim Clary upewniła się, że w ogóle tam było.

- Rozmawiałeś z nim?

- Tak, dzwonił kilka minut temu, żeby się zameldować. – Rudowłosa wzruszyła ramionami.

- Rozumiem – głos Isabelle stał się nagle dziarski i lekki. – Cóż, jak powiedziałam, był bardzo słodki. Trochę nawet za bardzo. To może się stać nudne. – Wepchnęła rękawiczki do kieszeni.

– Zresztą, to nic poważnego. Tylko zabawa na teraz.

Poczucie winy Clary zbladło.

– Czy rozmawialiście kiedyś o tym, żeby nie spotykać się z nikim innym, lecz tylko ze sobą?

Isabelle wyglądała na przerażoną.

– Oczywiście, że nie. – Ziewnęła, przeciągając się jak kotka. – Dobra, idę do łóżka. Do zobaczenia gołąbeczki.

Wyszła, pozostawiając po sobie mglisty zapach jaśminowych perfum. Jace popatrzył na Clary. Zaczął zdejmować zbroję, która zapinała się na nadgarstkach i plecach, tworząc ochronę dla jego ubrań.

- Pewnie musisz już iść.

Niechętnie kiwnęła głową. Przekonanie matki, żeby pozwoliła jej trenować na Nocnego Łowcę, było pasmem długich, nieprzyjemnych kłótni. Jocelyn wyciągała swoje najcięższe działa, mówiąc, że poświęciła życie, by trzymać Clary z daleka od kultury Nefilim, którą uważała za niebezpieczną – nie tylko brutalną, ale również odizolowaną i okrutną. Powiedziała Clary, że gdyby rok temu zdecydowała się na trening, to już nigdy nie mogłaby z nią porozmawiać. Jej córka za to upierała się, że skoro Clave zmieniło zasady, kiedy Rada odnawiała Przymierze, to oznacza, iż uległo zmianom od czasów jej dzieciństwa, a poza tym musi umieć się obronić.

- Mam tylko nadzieję, że to nie z powodu Jace'a - rzekła Jocelyn w końcu. – Wiem, jak to jest być w kimś zakochanym. Chcesz być tam, gdzie ta osoba, robić to co ona, ale Clary...

- Nie jestem tobą – odparła jej córka, ledwo powstrzymując gniew. – Nocni Łowcy nie są Kręgiem, a Jace to nie Valentine.

- Przecież nic o nim nie mówiłam.

- Ale o nim myślałaś – powiedziała Clary. – Może i Jace został przez niego wychowany, ale go nie przypomina.

- Mam taką nadzieję – odpowiedziała miękko Jocelyn. – Dla dobra nas wszystkich.

Ostatecznie, matka poddała się, ale ustanowiła kilka zasad. Po pierwsze, Clary nie zamieszka w Instytucie, lecz z nią u Luke'a. Następnie, Jocelyn będzie otrzymywać od Maryse cotygodniowe raporty o postępach córki, żeby, jak sądziła Clary, upewnić się, że się uczy, a nie spędza całe dnie, gapiąc się poządlawie na Jace'a, czy co tam ją jeszcze martwiło. Po trzecie, nie mogła spędzać nocy w Instytucie.

- Żadnego nocowania tam, gdzie mieszka twój chłopak - mama twardo postawiła sprawę. – Nie obchodzi mnie ani trochę, że to Instytut.

Jej chłopak. Dźwięk tych słów wciąż wprawiał ją w zdumienie. Za długo było niemożliwe to, by Jace kiedykolwiek nim został. Mieli już na zawsze pozostać dla siebie rodzeństwem, co okazało się zbyt straszne i potworne, żeby to znieść. Zdecydowali, że lepiej byłoby, gdyby już nigdy więcej się nie zobaczyli, jednak to wydawało się przypominać śmierć. A potem zdarzył się cud. Od tamtej pory minęło już sześć tygodni, a Clary wciąż nie miała dość tych słów.

- Muszę iść do domu – powiedziała. – Jest prawie jedenasta, a mama świruje, jeżeli zostaję dłużej niż do dziesiątej.

- W porządku. – Jace rzucił sojną zbroję, a przynajmniej jej górną część na ławkę. Pod spodem miał cienki T-shirt; Clary widziała prześwitujące przez materiał jak atrament przez mokry papier, Znaki. – Odprowadzę cię.

Instytut był cichy, gdy przez niego przechodzili. Nie było w nim teraz żadnych Nocnych Łowców z innych miast. Robert, ojciec Isabelle i Aleca, przebywał w Idrisie i pomagał przy tworzeniu nowej Rady, Hodge i Max odeszli na zawsze, Alec wyjechał z Magnusem. Dla Clary, pozostali mieszkańcy podobni byli do gości w prawie pustym hotelu. Chciałaby, żeby inni członkowie Konklawe czasami tu przychodzili, ale wydawało się jej, że chcą dać im trochę czasu na wspomnianie Maksa i zapomnienie.

- Miałeś ostatnio jakieś wieści od Aleca i Magnusa? – zapytała. – Dobrze się bawią?

- Na to wygląda. – Jace wyjął swój telefon z kieszeni i podał go jej. – Alec wciąż przysyła mi irytujące zdjęcia z podpisami typu: „Szkoda, że cię tu nie ma, ale nie za bardzo”.

- Cóż, nie możesz go winić. To miały być romantyczne wakacje.

Zaśmiała się, przeglądając fotografie. Alec i Magnus stojący przed wieżą Eiffła, Lightwood jak zwykle włożył jeansy, a Magnus nosi pasiasty, rybacki sweter, skórzane spodnie i niezwykle beret. W Boboli Gardens, Nocny Łowca nadal ma na sobie jeansy, a czarownik włożył ogromniastą, wenecką pelerynę i kapelusz gondoliera – wyglądał jak Upiór z Opery. Przed Prado ma na sobie błyszczącą kurtkę matadora i buty na grubej podeszwie, podczas gdy w tle Alec spokojnie karmi gołębia.

- Zabieram ci to, zanim dojdiesz do części o Indiach - powiedział Jace odbierając swój telefon. - Magnus w sari. Niektórych rzeczy nigdy się nie zapomina.

Clary roześmiała się. Doszli do windy, która otworzyła swoje grzechoczące drzwi, gdy Jace nacisnął przycisk przywoływania. Weszli do środka. W momencie, kiedy ruszyli w dół (rudowłosa nie sądziła, by kiedykolwiek przyzwyczaiła się do tego przerażającego szarpnięcia na chwilę przed wyruszeniem), w panującym półmroku Jace zrobił krok w kierunku Clary i przysunął ją do siebie. Położyła swoje dłonie na jego piersi, czując twarde mięśnie i rytm serca pod jego podkoszulkiem. Jego oczy lśniły w ciemności.

- Przepraszam, że nie mogę zostać - szepnęła.

- Nie przepraszaj. – Zdziwił ją jego szorstki głos. - Jocelyn nie chce, żebyś wyrosła na kogoś takiego jak ja. Nie winię jej za to.

- Jace - powiedziała lekko zaskoczona ostrym tonem jego głosu. - Czy wszystko w porządku?

Zamiast odpowiedzieć, pocałował ją, obejmując mocno i przyciskając swoim ciałem do ściany. Poczuła na plecach zimno metalowego lustra i jego dłonie ślizgające się wokół jej talii. Uwielbiała sposób, w jaki ją obejmował. Był ostrożny, ale nie delikatny. Nie dawał jej

do zrozumienia, że on bardziej panuje nad sobą niż ona. Lubiała to, że żadne z nich nie potrafiło kontrolować uczuć względem drugiego. Lubiała czuć bicie jego serca przy swoim. Lubiała jego mruczenie, gdy oddawała pocałunek.

Winda zatrzymała się z grzechotem i jej wrota się otworzyły. Zobaczyła pustą nawę katedry, oświetloną migoczącym blaskiem magicznych kamieni osadzonych w kandelabrach stojących rzędem w jej centrum. Trzymała się kurczowo Jace'a, wdzięczna, że w windzie było ciemno i w ten sposób nie widziała w lustrze swojej własnej, zaróżowionej twarzy.

- Może uda mi się zostać... Odrobinę dłużej - szepnęła.

Nie odpowiedział. Czowała, że był spięty i sama także się spięła. Chodziło o coś więcej, niż napięcie towarzyszące pragnieniu. Drżał. Trząsł się cały, gdy kładł głowę w zagłębieniu jej szyi.

- Jace - powiedziała.

W tym momencie puścił ją gwałtownie i zrobił krok w tył. Jego policzki były zarumienione, a oczy jasne niczym w gorączce.

- Nie - odparł. - Nie chcę dać twojej matce kolejnego powodu, by mnie nie lubić - ton jego głosu był twardy. - Ona już uważa, że jestem nowym wcieleniem mojego ojca...

Urwał, zanim Clary zdążyła zaprzeczyć, że Valentine to nie jego rodzic. Jace zwykle bardzo uważał, by nie nazywać Morgensterna swoim ojcem, jeśli o nim w ogóle wspominał. Raczej nie poruszali tego tematu, a ona nigdy nie przyznała się przed Jacem, że jej matka martwiła się, że w głębi duszy jest on taki sam, jak Valentine. Wiedziała, że sama sugestia bardzo by go zraniła. Przez większość czasu Jocelyn robiła wszystko, żeby rozdzielić ich dwójkę.

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Jace sięgnął ręką i szarpnięciem otworzył bramę windy.

- Kocham cię, Clary – wyznał, nie patrząc na nią. Wpatrywał się w głęb kościoła, w rzędy zapalonych świec, których blask odbijał się w jego oczach. - Bardziej niż kiedykolwiek... - przerwał. - Boże. Mocniej niż w ogóle powinienem. Wiesz o tym, prawda?

Wyszła z windy i obróciła się twarzą do niego. Pragnęła mu powiedzieć tysiąc różnych rzeczy, ale on już odwrócił wzrok, naciskając na przycisk, który miał zawieźć go z powrotem na wyższe piętra Instytutu. Chciała zaprotestować, ale przejście zaczęło się zasuwąć, by w końcu zamknąć się ze stuknięciem. Winda ruszyła z łoskotem. Wpatrywała się chwilę we wrota. Na ich powierzchni namalowano Anioła o rozpostartych skrzydłach i wzniesionym ku górze wzroku. Obraz zajmował całą płaszczyznę. Jej chrypliwy głos odbił się echem w pustym pomieszczeniu, gdy się odezwała.

- Ja także cię kocham - powiedziała.

Tłumaczenie: [Hope Solo & Shia](#)

Korekta: [Tellave](#)

ROZDZIAŁ TRZECI

Siedmiokrotna pomsta

- Wiesz, że to jest niesamowite? – zapytał Eric odkładając pałeczki. – Że mamy wampira w zespole. To wyniesie nas na szczyt.

Mocujący się ze statywem mikrofonu¹⁶ Kyle wywrócił oczami. Eric wciąż mówił o tym, jak uczynić zespół popularnym, ale jak dotąd żaden z jego planów nie wypalił. Ich największym sukcesem był koncert w Knitting Factory, na który przyszło tylko 4 widzów. Jednym z nich była mama Simona.

- Nie wiem, jak ma to nam pomóc w podbiciu list przebojów, skoro nie możemy nawet nikomu zdradzić jego sekretu.

- Niedobrze – odparł siedzący na jednej z mównic Simon. Obok niego siedziała Clary, która była zajęta pisanem do kogoś SMSów. Prawdopodobnie do Jace’a.

- I tak nikt by w to nie uwierzył. Wystarczy spojrzeć. Jestem tu. W świetle dnia. – Uniósł ramiona wskazując na promienie słoneczne wpadające do garażu Erica – miejsca ich prób – przez dziury w dachu.

- To także w pewien sposób podważa naszą wiarygodność – wtrącił Matt, odgarniając z czoła jasnoczerwone włosy. – Może powinniśmy założyć sztuczne kły? – rzucił spojrzenie w kierunku Simona.

- On nie potrzebuje sztucznych kłów – powiedziała z irytacją Clary, odkładając telefon. – Ma prawdzie. Widzieliście je.

To była prawda. Simon musiał pokazać kły, kiedy przekazywał wiadomość zespołowi. Z początku myśleli, że uderzył się w głowę, albo, że przeżywa załamanie nerwowe. Uwierzyli mu w chwili, w której błysnął kłami.

Eric nawet dodał, że nie jest zbyt zaskoczony. – Spójrzcie, musi istnieć powód, dla którego ludzie, mający ze sto lat, tacy jak David Bowie, w ogóle się nie zmieniają. Muszą być wampirami.

Simon postanowił nie wspominać kumplom o tym, że Clary i Isabelle są Nocnymi Łowcami. To nie był jego sekret. Nie wiedzieli również, że Maia jest wilkołakiem. Byli pewni, że Maia i Isabelle to dwie gorące dziewczyny, które z niewytłumaczalnych powodów postanowiły spotykać się z Simonem. Zrzucili to na karb czegoś, co Kirk nazywał „seksapilem wampira”. Simona nie obchodziło, co o tym myśla¹⁷. Ważne, że nie wygadali przed Maią i Isabelle, że spotyka się z obiema. Póki co, szczęśliwie udało mu się zapraszać je na różne występy, więc jak dotąd jeszcze na siebie nie wpadły¹⁸.

- A może pokazałbyś kły na scenie? – zasugerował Eric. – Chociaż raz. Oślepiłbyś tłum ich blaskiem.

¹⁶ Dosłownie „obniżający mikrofon” ale uznałam, że tak lepiej brzmi

¹⁷ Dosłownie „jak to nazywają”

¹⁸ Dosłownie „nigdy nie były na tym samym koncercie w tym samym czasie”

- Jeśli to zrobił, to przywódca klanu wampirów z Nowego Jorku zabiłby was wszystkich – przypomniała Clary. – Zdajecie sobie z tego sprawę, prawda? – Pochyliła głowę ku Simonowi. – Nie mogę uwierzyć, że powiedziałeś im, że jesteś wampirem. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale to idioci – dodała zniżając głos tak, że tylko przyjaciel mógł ją usłyszeć.

- To moi kumple – wymamrotał w odpowiedzi. – Chciałbym, żeby ludzie, na których mi zależy znali prawdę.

- Tak? – parsknęła niezbyt uprzejmie Clary. – W takim razie, kiedy zamierzasz powiedzieć o tym matce?

Zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszeli głośnie walenie w drzwi garażu, które następnie uchyliły się, wpuszczając do środka więcej jesiennego światła. Zamrugał. To był odruch, który został mu jeszcze z czasów, w których był człowiekiem. Teraz jego oczy potrzebowały zaledwie ułamka sekundy, aby przyzwyczać się czy to do ciemności, czy to do światła. W drzwiach garażu, w oświetlających go od tyłu promieniach słońca, stał chłopak. W rękę trzymał kawałek papieru. Spojrzał na niego niepewnie, po czym ponownie skierował wzrok w stronę zespołu.

- Hej – przywitał się. – Czy to tutaj mogę znaleźć zespół Niebezpieczna Plama?

- Teraz nazywamy się Rozdwojony Lemur – poprawił wychodzący do przodu Eric. – A kto pyta?

- Jestem Kyle – przedstawił się przybysz i pochylając się wślizgnął się pod bramą do środka, po czym wyprostowawszy się, odgarnął z oczu brązowe włosy i podał Ericowi trzymany przez siebie świstek. – Podobno szukacie głównego wokalisty.

- Łał – odezwał się Matt. – Wywiesiliśmy tę ulotkę jakiś rok temu. Zupełnie o niej zapomniałem.

- Tak – potwierdził Eric. – Zmieniliśmy styl od tamtego czasu. Gramy głównie bez wokalu. Masz jakieś doświadczenie?

Kyle, który jak zauważył Simon, był bardzo wysoki, ale nie patykowaty, wzruszył ramionami. – Nie specjalnie. Ale ludzie mówią mi, że nieźle śpiewam. – Mówił powoli, przeciągając lekko samogłoski w sposób bardziej charakterystyczny dla surfera, niż Południowca.

Członkowie kapeli spojrzeli po sobie niepewnie. Eric podrapał się za uchem.

- Dasz nam chwilkę, koleś?

- Jasne.

Kyle chyłkiem wycofał się z garażu zamykając za sobą drzwi. Simon usłyszał, jak lekko pogwizduje na zewnątrz. Brzmiało to trochę jak „She’ll Be Comin’ Round the Mountain” i nie było do końca czyste.

- Sam nie wiem – zaczął Eric. – Nie jestem pewien, czy możemy przyjąć teraz kogoś nowego. Bo jak rozumiem nie możemy mu powiedzieć o całej tej sprawie z wampirami, prawda?

- Nie – zgodził się Simon. – Nie możecie.

- Cóż – wzruszył ramionami Matt. – To kiepsko. Potrzebujemy wokalisty, a Kirk jest do bani. Bez urazy Kirk.

- Pieprz się¹⁹ - warknął Kirk. – Nie jestem do bani.

- Owszem jesteś – poparł kumpla Matt. – Jesteś wielkim, owłosionym...

¹⁹ Ewentualnie „Chrząć się.”

- Uważam, - przerwała mu Clary unosząc głos – że powinniście dać mu szansę się wykazać.
- Dlaczego? – wytrzeszczył oczy Simon.
- Bo niezłe z niego ciacho – ku jego zaskoczeniu oświadczyła dziewczyna. Wygląd Kyle’a go nie poraził, ale być może nie był ekspertem w dziedzinie męskiej urody. – A waszej kapeli przyda się trochę seksapilu.
- Dziękuję – odpowiedział Simon. – W imieniu nas wszystkich bardzo ci dziękuję.
- Tak, tak. Wszyscy jesteście bardzo przystojni – zniecierpliwiła się Clary. – Zwłaszcza ty, Simon – poklepała go po ręce. – Ale Kyle jest w ciachowej pierwszej lidze. Posłuchajcie mojej rady. Moja obiektywna opinia, jako dziewczyny jest taka, że jeśli przyjmiecie Kyle’a, to podwoi się ilość waszych żeńskich fanek.
- Czyli będziemy mieli dwie dziewczyny-fanki, zamiast jednej – zauważył Kirk.
- Która to? – Matt wyglądał na szczerze zdziwionego.
- Przyjaciółka młodej kuzynki Erica. Jak ona ma na imię? No, ta, co się podkochuje w Simonie. Jest na każdym koncercie i mówi każdemu, że jest jego dziewczyną.
- Ma trzynaście lat – skrzywił się Simon.
- To twój seksapil wampira, przyjacielu – parsknął Matt. – Laski nie mogą ci się oprzeć.
- Na miłość Boską! – zirytowała się Clary. – Nie ma czegoś takiego jak „seksapil wampira”. – wskazała palcem na Erica. – I nie próbuj mi wmówić, że to idealna nazwa dla zespołu, bo wtedy...

Drzwi garażu uniosły się.

- Ej, chłopa? – to znowu był Kyle. – Jeśli nie chcecie, żebym spróbował, to w porządku. Nieważne, może rzeczywiście zmieniliście brzmienie. Jedno słowo i już mnie nie ma.

Eric przechylił głowę na bok. – Wejdź i pokaż nam co potrafisz.

Kyle wszedł do środka. Simon przyjrzał się mu, starając ocenić, co sprawiło, że Clary uważa go za przystojniaka. Był wysoki, szeroki w ramionach, ale szczupły, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, z przydługimi, czarnymi włosami, które opadały mu na czoło a na szyi zwijały i brązową skórą, która jeszcze nie straciła letniej opalenizny. Jego długie, gęste rzęsy, osłaniające niezwykle, zielono-orzechowe oczy nadawały mu wygląd przystojnego rockmana. Był ubrany w dopasowany, zielony T-shirt i jeansy. Na jego nagich ramionach widać było bliźniacze tatuaże. Zwykle tatuaże, nie Znaki. Wyglądały, jak kręty napis, który przewijał się przez jego skórę i znikał pod rękawami koszulki. W porządku. Simon musiał przyznać, że nie był szkaradny.

- Wiesz, - odezwał się w końcu Kirk, przełamując ciszę. – rozumiem co miała na myśli. Jest całkiem niezły.

Kyle zamrugał. – To chcecie, żebym zaśpiewał, czy nie – zwrócił się do Erica.

Eric wyciągnął mikrofon ze statywu i podał mu. – Dalej – powiedział. – Pokaż, na co się stać²⁰.

²⁰ Pokaż na co cię stać, ale nie jeden raz. Słuchaj ,słuchaj jaj jaj XD

- Wiesz, on był naprawdę niezły – stwierdziła Clary. – Żartowałam na temat jego przyjęcia do kapeli, ale on naprawdę umie śpiewać.

Szli przez Kent Avenue, w kierunku domu Luke’a. Zmierzchało i niebo zmieniało swój kolor z niebieskiego na szary, a chmury płynęły nisko nad East River. Clary przeciągała dłoń w rękawiczce po łańcuchowym ogrodzeniu, oddzielającym ich od pękniętego, betonowego nabrzeża. Pod wpływem jej dotyku metal zagrzecotał.

- Mówisz tak, tylko dlatego, że uważasz, że jest przystojny – żalił się Simon.

- Nie jest znowu taki przystojny. A przynajmniej nie tak, jak najprzystojniejszy chłopak, którego znam – uśmiechnęła się, a w jej policzkach pojawiły się dołeczki. Simon podejrzewał, że chodziło jej o Jace’a, ale była na tyle miła, by nie mówić tego na głos.

- Naprawdę uważałam, że dobrze by było, gdyby był w zespole. Skoro Eric i reszta nie mogą mu powiedzieć, że jesteś wampirem, to nie mogą również zdradzić tego innym. Mam nadzieję, że położy to kres, temu głupiemu pomysłowi.

Byli już niedaleko. Simon mógł zobaczyć dom wilkołaka po drugiej stronie ulicy, jego żółte okna kontrastowały z zapadającym mrokiem. Clay zatrzymała się przy dziurze w płocie. – Pamiętasz, jak kiedyś zabiliśmy tutaj grupę Raumów?

- To ty i Jace zdjęliście kilkoro z nich. Ja prawie zwymiotowałem. – Simon pamiętał tamto wydarzenie, ale jego umysł dryfował teraz w kierunku innego wspomnienia – siedzącej naprzeciw niego na dziedzińcu Camille mówiącej: Przyjaźnisz się z Nocnymi Łowcami, ale nigdy nie będziesz jednym z nich. Zawsze będziesz inny i obcy. – Zerknął ukradkiem na Clary, zastanawiając się, co by powiedziała, gdyby zwierzył jej się z tamtego spotkania z wampirzycą i wyznał prawdę o jej propozycji. Wyobrażał sobie jej przerażenie. Fakt, że nie mógł zostać zraniony nie przeszkadzałby jej zamartwiać się o jego bezpieczeństwo.

- Nie musisz się już bać – powiedziała miękko, jakby odczytując jego myśli. – Teraz masz Znak. Odwróciła się, by spojrzeć na niego, wciąż opierając się o ogrodzenie.

Pokręcił głową. – Moje włosy w większości go zakrywają, a poza tym znacznie wyblakł. Widzisz? – odgarnął włosy. Dziewczyna wyciągnęła rękę. Dotknęła jego czoła i zakrzywionego znaku na nim. Jej oczy były smutne, tak jak tamtego dnia w Sali Porozumień, gdy wyrzyła najstarszą klątwę świata na jego skórze. – Czy to boli?

- Nie. Nie boli.

Kain rzekł do Pana: "Zbyt wielka jest kara moja, abym mógł ją znieść"

- Wiesz, że cię nie winię, prawda? Uratowałaś mi życie.

- Wiem. – Oczy jej błyszczały. Odsunęła dłoń od jego czoła i otarła twarz wierzchem rękawiczki. – Cholera. Nie znoszę płakać.

- Lepiej do tego przywyknij – stwierdził, po czym widząc jej zdziwione spojrzenie dodał pośpiesznie – Miałem na myśli ślub. Jest w następną sobotę, tak? Wszyscy płaczą na ślubach. Parsknęła.

- A tak w ogóle, to jak się mają twoja mama i Luke?

- Są w sobie obrzydliwie zakochani. To straszne. W każdym bądź razie – klepnęła go w ramię – muszę już iść. Widzimy się jutro?

Kiwnął potakująco. – Pewnie. Do jutra.

Przyglądał się jak przebiega przez ulicę i wspina się na schody prowadzące do domu Garroway’a. Jutro. Zastanawiał się jaki ostatnio był najdłuższy okres, w którym nie widział się z Clary. Myślał o tym, jak to jest uciekać i wędrować do końca świata, jak

przepowiedziała mu Camille. Jak prorokował Raphael. *Krew brata twego głośno woła ku mnie z ziemi!* Nie był Kainem, który zamordował własnego brata, ale klątwa uważała inaczej. Czekanie na stracenie wszystkiego było dla niego dziwne, zwłaszcza, że nie wiedział czy tak się stanie, czy też nie. Za panną Frey zatrzasnęły się drzwi. Simon odwrócił się i wyruszył w drogę powrotną przez Kent, w kierunku przystanku pociągu linii G na Lorimer Street. Było już prawie zupełnie ciemno, niebo nad nim było mieszkanką szarości i czerni. Lewis usłyszał za sobą pisk opon, ale się nie obejrzał. Samochody na tej ulicy jeździły stanowczo zbyt szybko, nie zważając na dziury i wyboje. Odwrócił się dopiero wtedy, gdy niebieski vangwałotwnie zahamował obok niego. Kierowca wyszarpał kluczyki ze stacyjki psując maszynę i pchnął drzwi, alby je otworzyć. To był mężczyzna – wysoki mężczyzna, ubrany w szary dres z kapturem i trampki. Kaptur miał opuszczony tak nisko, że zakrywał większość jego twarzy. Wyskoczył z samochodu i Simon mógł zobaczyć długi, błyszczący nóż w jego dłoni. Później miał zdać sobie sprawę z tego, że powinien po prostu uciec. Był wampirem, szybszym niż jakikolwiek człowiek. Mógł prześcignąć każdego. Powinien uciekać, ale był zbyt zaskoczony. Stał jak skamieniały, gdy mężczyzna, błyskając nożem, ruszył na niego. Facet powiedział coś niskim, gardłowym głosem w języku, którego Simon nie rozumiał. Zrobił krok do tyłu.

- Spójrz – zaczął, sięgając do kieszeni. – Możesz wziąć mój portfel...

Mężczyzna rzucił się w kierunku chłopaka, kierując nóż w jego klatkę piersiową. Simon wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Wszystko działo się w zwolnionym tempie, jakby czas zmienił swój normalny bieg. Widział nóż, tuż obok własnej piersi, jego koniec przecinający skórzaną kurtkę – i nagle nóż skręcił w bok, jakby ktoś chwycił napastnika za ramię i szarpnął nim. Bandyta wrzasnął kiedy szarpnęło nim w górę, jakby był kukielką, którą ktoś pociągnął za sznurki. Simon niespokojnie rozglądał się wokoło – z pewnością ktoś usłyszał albo zauważył zamieszanie, ale nikt się nie pojawił. Mężczyzna wciąż krzyczał, szarpiąc się dziko, kiedy z przodu jego koszuli pojawiło się rozdarcie, jakby ktoś rozerwał ją niewidzialną ręką. Wampir patrzył ze zgrozą. Na piersi jego napastnika zaczęły pojawiać się ogromne rany. Jego głowa odskoczyła do tyłu a z ust popłynęła krew. Nagle przestał krzyczeć i upadł jakby nagle puściła, trzymająca go dotąd niewidzialna ręka. Uderzył w ziemię i rozpadł się jak strzaskane szkło na tysiące lśniących kawałków, które rozproszyły się po całym chodniku. Simon opadł na kolana. Nóż, który miał go zabić, leżał trochę dalej, w zasięgu jego ramienia. Był wszystkim, co zostało po agresorze, nie licząc stosu migoczących kryształków, które już były rozwiewane przez podmuchy wiatru. Dotknął ostrożnie jednego z nich. To była sól. Spojrzał na swoje ręce. Trzęsły się. Wiedział, co się stało i rozumiał dlaczego. *Ale Pan mu powiedział: "O, nie! Ktokolwiek by zabił Kaina, siedmiokrotną pomstę poniesie!"*. A więc tak wygląda „siedmiokrotna pomsta”. Ledwo dowlóknął się do rynsztoka, zgiął się w pół i zwymiotował krwią na ulicę.

W chwili, w której Simon otworzył drzwi, zrozumiał, że się przeliczył. Myślał, że o tej porze matka będzie już spała, ale tak nie było. Była przytomna, siedziała na fotelu naprzeciwko drzwi, obok na stoliku leżał jej telefon. Od razu zauważyła krew na kurtce syna. Ku jego zaskoczeniu nie krzyknęła, ale zakryła dłonią usta.

- Simon.

- To nie moja krew – powiedział szybko. – Byłem u Erica. Matt miał krwotok z nosa...

- Nie chcę, o tym słyszeć – rzadko używała tego ostrego tonu. Przypominał mu sposób, w jaki mówiła w ostatnich miesiącach choroby jego ojca. Był pełen niepokoju.

- Nie chcę słuchać więcej kłamstw.

Simon rzucił klucz na stół stojący koło drzwi.

- Mamo...

- Wszystko, co mówisz, to kłamstwo. Mam tego dość.

- To nie prawda – bronił się, ale czuł się źle ze świadomością, że jest inaczej. – Po prostu dużo się teraz dzieje w moim życiu.

- Z pewnością.

Pani Lewis podniosła się z miejsca. Zawsze była bardzo szczupła, ale teraz była wręcz koścista, jej ciemne, okalające twarz włosy, takie same jak jej syna, miały więcej siwych pasm niż zwykle.

- Poproszę za mną, młody człowieku. W tej chwili.

Zaskoczony Simon podążył za nią do jasnożółtej kuchni. Matka zatrzymała się i wskazała na ladę. – Jak wytłumaczysz mi to?

Simon poczuł suchość w ustach. Na ladzie leżały poukładane w szeregu, niczym ołowiane żołnierzyki, butelki z krwią, które trzymał w mini-lodówce zamkniętej w jego szafie. Jedna była do połowy opróżniona, pozostałe były całkowicie wypełnione czerwonym, lśniącym jak oskarżenie, płynem. Znalazła również puste worki po krwi, które umył i starannie upchnął do torby na zakupy, którą wyrzucił potem do kosza na śmieci. One również były tam rozłożone, niczym jakaś groteskowa dekoracja.

- W pierwszym odruchu pomyślałam, że w butelkach jest wino – powiedziała Elaine Lewis drżącym głosem. – Potem znalazłam torebki, więc otworzyłam jedną z butelek. To krew, nieprawdaż?

Simon nie odpowiedział. Zatkąło go.

- Ostatnio zachowywałaś się bardzo dziwnie – ciągnęła jego mama. – Znikasz na całe godziny, nic nie jesz, prawie nie śpisz, masz przyjaciół, których nigdy nie spotkałam ani o nich nie słyszałam. Czy myślisz, że nie wiem, kiedy kłamiesz? Wiem o tym doskonale. Myślałam, że może bierzesz narkotyki.

- Więc przeszukałaś mój pokój? – Simon odzyskał głos.

Kobieta splonęła rumieńcem. – Musiałam to zrobić. Myślałam... Myślałam, że jeśli znajdę tam prochy, to będę mogła ci pomóc, wysłać się na odwyk²¹, ale to? – Wskazała gwałtownie na butelki. – Nawet nie wiem, co o tym myśleć. Simonie co się dzieje? Wstąpiłeś do jakiejś sekty?

Simon pokręcił głową.

- Więc powiedz mi – poprosiła. – Jedyne wyjaśnienia, jakie przychodzą mi do głowy są chore i obrzydliwe. Synku, proszę...

- Jestem wampirem – wypalił. Nie wiedział jak to zrobił, Anie nawet dlaczego. Ale stało się. Słowa zawisły między nimi, niczym trujący gaz. Pod Elaine ugięły się kolana i opadła na kuchenne krzesło.

- Coś ty powiedział? – wydyszała.

²¹ They tried to make me go to rehab, I said, "No, no, no" © Bardzo muzyczny ten rozdział.

- Jestem wampirem – powtórzył chłopak. – od jakichś dwóch miesięcy. Przepraszam, że nie powiedziałem wcześniej. Nie wiedziałem jak.

Twarz Elaine Lewis była kredowobiała – Wampiry nie istnieją.

- Mylisz się – odparł. – Istnieją. Zrozum, ja nie chciałem stać się jednym z nich. Nie miałem wyboru. Cofnąłbym to, gdybym mógł.

Pomyślał gorzko o ulotce, którą Clary dała mu dawno temu. Tej, która radziła jak ujawnić się przed rodzicami. Wtedy to była tylko zabawna analogia. Właśnie się to zmieniło.

- Wydaje ci się, że jesteś wampirem – stwierdziła kobieta drętvo. – Wydaje ci się, że pijesz krew.

- Ja piję krew – wyjaśnił nastolatek. – Tylko, ze zwierzęcą.

- Ale jesteś wegetarianinem. – jego mama wyglądała, jakby zaraz się miała rozpłakać.

- Byłem. Już nim nie jestem. Nie mogę. Żywię się krwią. – Simona ścisnęło w gardle. – Nigdy nikogo nie skrzywdziłem. Nigdy nie napiłem się z żywej istoty. Jestem ciągle tą samą osobą. To wciąż ja.

Matka zdawał się walczyć o utrzymanie kontroli nad sobą.

- Twoi nowi przyjaciele... też są wampirami?

Simon pomyślał o Jasie, Mai, Isabelle. Nie mógł jej również powiedzieć o Nocnych Łowcach i wilkołakach. To byłoby zbyt wiele.

- Nie. Ale... wiedzą, że nim jestem.

- Czy... Czy dali ci jakieś narkotyki? Zmusili, żebyś coś wziął? Coś, co wywołało u ciebie halucynacje? – wydawała się nie słyszeć tego, co mówił poprzednio.

- Nie. To prawda, mamo.

- To nie jest prawda – wyszeptała. – Wydaje ci się, że tak jest. O Boże, Simon. Tak mi przykro. Powinnam była zauważyć. Pomogę ci. Znajdę kogoś. Lekarza. Nie ważne ile będzie to kosztować...

- Nie mogę iść do lekarza, mamo.

- Oczywiście, że możesz. Muszę cię gdzieś umieścić. Szpital, może...

- Zmierz mi puls – wyciągnął ku niej nadgarstek.

- Co? – spojrzała na niego z konsternacją.

- Mój puls – powtórzył. – Zmierz go. Jeśli ci się uda, to w porządku, pojedę z tobą do szpitala. Jeśli nie, to będziesz musiała mi uwierzyć.

Otarła łzy z oczu i wolno wyciągnęła rękę, by chwycić go za nadgarstek. Bardzo długo opiekowała się mężem podczas choroby i dzięki temu wiedziała, jak sprawdzić puls, równie dobrze, co pielęgniarka. Przycisnęła swój palec wskazujący do wnętrza nadgarstka syna i czekała. Obserwował jak wyraz jej twarzy zmienia się od nieszczęśliwego i zmartwionego poprzez zdezorientowany po przerażony. Gwałtownie wstała puszczając jego rękę. Odsunęła się.

- Czym jesteś? – jej ogromne, czarne oczy kontrastowały z bielą jej twarzy.

Simonowi zrobiło się niedobrze. – Mówiłem ci. Jestem wampirem.

- Nie jesteś moim synem. Nie jesteś Simonem. – cała dygotała. – Jaka żywa istota nie ma pulsu? Co z ciebie za potwór? Co zrobiłeś z moim dzieckiem?

- To ja, Simon – ruszył w jej kierunku.

Wrzasnęła. Nigdy nie słyszał takiego krzyku i nie chciał słyszeć go nigdy więcej. To był potworny dźwięk.

- Odejdź ode mnie. – powiedziała łamiącym się głosem. – Nie podchodź bliżej – wyszeptała. - Barukh ata Adonai sho'me'a t'fila²² ...

Modli się, pomyślał Simon ze zgrozą. Tak się go bała, że modliła się, żeby odszedł, trafił do piekła. Najgorsze w tym wszystkim było to, że jej słowa odnosiły skutek. Imię Boga ścisnęło mu żołądek i wywołało ból w gardle. Miała prawo się modlić – pomyślał z bólem serca. Był przeklęty. Nie należał do tego świata. *Jaka żywa istota nie ma pulsu?*

- Mamo – wyszeptał. – Mamo, przestań.

Wytrzeszczyła na niego oczy. Jej usta wciąż się poruszały.

- Nie smuć się, mamo. – jego dochodzący z oddali głos brzmiał miękko i uspakajająco. Obco. Gdy mówił, jego wzrok był skupiony na kobiecie. Chwytał jej spojrzenie tak, jak kot może złapać mysz. – Nic się nie stało. Zasnęłaś na fotelu w salonie. Miałaś zły sen. Śniło ci się, że wróciłem do domu i powiedziałem, że jestem wampirem. Ale to szaleństwo. Takie coś nigdy się nie zdarzy.

Przestała się modlić. Zamrugwała.

- Śniłam – powtórzyła.

- To był zły sen. – dodał Simon.

Podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu. Nie odsunęła się. Głowa jej opadała, jakby była zmęczonym dzieckiem.

- To tylko sen. Nigdy nie znalazłaś niczego w moim pokoju. Nic się nie stało. Śniłaś, to wszystko.

Wziął ją za rękę. Pozwoliła się poprowadzić do salonu, gdzie posadził ją na fotelu. Uśmiechnęła się kiedy otulił ją kocem i zamknęła oczy. Wrócił do kuchni, gdzie szybko iż wprawą zagarnął butelki i worki po krwi do torby na śmieci. Zawiązał ją w supeł i zaniósł do swojego pokoju, gdzie przebrał zakrwawioną kurtkę i wrzucił pośpiesznie kilka rzeczy do worka marynarskiego. Wyłączył światło i wyszedł zamykające za sobą drzwi. Jego mama już spała kiedy przechodził przez salon. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej dłoni.

- Nie będzie mnie przez kilka dni – oznajmił przyciszonym głosem. – Ale nie będziesz się martwić. Nie będziesz czekać. Myślisz, że jestem na szkolnej wycieczce. Nie musisz wydzwaniać. Wszystko jest w porządku.

Zabrał rękę. W przyćmionym świetle jego matka wyglądała zarówno na starszą jak i młodszą od niego. Była malutka jak dziecko zwinięte pod kocem, ale na jej twarzy były bruzdy, których nie pamiętał.

- Mamusiu – wyszeptał. Dotknął jej dłoni. Poruszyła się. Nie chcąc jej obudzić odsunął się i bezszelestnie podszedł do drzwi. Wychodząc zabrał leżące na stoliku klucze.

Instytut był pogrążony w ciszy. Ostatnio ciągle tak było. Jace zostawił okno otwarte na noc, więc słyszał odgłosy przejeżdżających samochodów, wycie syren ambulansów, dźwięki klaksonów na York Avenue. Słyszał również dźwięki niedostępne dla uszu przyziemnych. – ich echo przenikało do jego snów – podmuchy wiatru wywołane przez latający motocykl

²² Wers pochodzi z żydowskiej Modlitwy Podróżnika. „Błogosławiony jesteś Ty, Adonai, który wysłuchujesz modlitw.”

wampira, trzepot skrzydeł wróżki, odległe wycie wilków podczas pełni księżyca. Teraz księżyc był w pierwszej kwadrze i rzucał wystarczająco dużo światła, by Jace mógł czytać będąc wyciągniętym na łóżku. Naprzeciwko niego stało srebrne pudełko należące do jego ojca. Był zajęty przeglądaniem jego zawartości. Była tam jedna ze steli Stephena, myśliwski sztylet ze srebrną rękojeścią, z wyrytymi na niej inicjałami SWH, a także – najbardziej interesująca dla chłopaka – sterta listów.

Przez ostatnie sześć tygodni, co wieczór czytał jeden albo dwa z nich, aby dowiedzieć się czegoś o człowieku, który był jego biologicznym ojcem. W jego umyśle powstawał powoli obraz zamyślonego, młodego mężczyzny, który miał surowych rodziców i został przyciągnięty przez Valentine'a i Krąg perspektywą możliwości wyróżnienia się z tłumu.

Nawet po rozwodzie nie przestał pisać listów do Amatis. Nie wspominała o tym wcześniej. Korespondencja ujawniła jego rozczerwanie Valentinem i okropności jakich dopuszczali się członkowie Kręgu. Rzadko, o ile w ogóle, wspominał o matce Jace'a – Céline. To miało sens – Amatis mogła nie chcieć czytać o swojej następczyni. Z tego powodu młodzieniec nie mógł powstrzymać lekkiej nienawiści do ojca. Skoro nic nie czuł do tej kobiety, do dlaczego ją poślubił? Skoro tak bardzo nienawidził Kręgu, to dlaczego go nie opuścił? Valentine był szaleńcem, ale przynajmniej był wierny swoim przekonaniom. Jace oczywiście czuł się źle z powodu tego, że wołał Valentine'a od prawdziwego ojca. Jaką osobą go to czyniło?

Pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. Podniósł się aby otworzyć. Był pewien, że to Isabelle przyszła aby coś pożyczyć, albo ponarzekać. Ale to nie była Isabelle. To była Clary.

Nie była ubrana tak, jak zwykle. Miała na sobie nisko wycięty czarny top bez rękawów, na to narzuciła białą, zawiązaną w supeł na wysokości pępka, rozpiętą koszulę. Całości dopełniała krótka spódniczka. Tak krótka, że sięgała zaledwie połowy uda. Jasnoczerwone włosy spłotła w warkocze. Wolne pasma przylegały do jej skroni, tak jakby na zewnątrz lekko mżyło²³. Uśmiechnęła się na jego widok unosząc brwi. Miały kolor miedzi, zupełnie jak gęste rzęsy okalające jej zielone oczy.

- Nie masz zamiaru zaprosić mnie do środka?

Jace rozejrzał się po korytarzu. Dzięki Bogu nie było tam nikogo innego. Złapał dziewczynę za ramię i wciągnął ją do środka, zatraskując za sobą drzwi.

- Co tutaj robisz? Czy wszystko w porządku? – zapytał opierając się o nie.

- W najlepszym porządku.

Clary zrzuciła buty i przysiadła na brzegu łóżka. Kiedy odchyliła się do tyłu opierając się na rękach, spódnica powędrowała w górę odsłaniając jeszcze więcej ciała. To ani trochę nie pomogło skoncentrować się Jace'owi.

- Tęskniłam za tobą. Mama i Luke śpią. Nie zauważą mojej nieobecności.

- Nie powinno cię tu być.

Słowa, które wyszły z jego ust przypominały jęk. Nie chciał tego mówić, ale musiał, z powodów, których ona nawet nie знаła. I miał nadzieję, że nigdy nie pozna.

- Jeśli chcesz żebym sobie poszła, to pójdę.

Wstała. Jej zielone oczy skrzyły się w ciemnościach. Zrobiła krok w jego kierunku.

²³ Innymi słowy, wyglądała jak dziwka :/

- Żeby moja podróż nie poszła na marne, to powinienś przynajmniej pocałować mnie na pożegnanie.

Wyciągnął ramiona przyciągając ją do siebie i pocałował.

Są takie rzeczy, które po prostu musisz zrobić, nawet jeśli to bardzo zły pomysł. Zatonęła w jego ramionach jak delikatny jedwab.

Włożył ręce w jej włosy. Przesuwał po nich palcami, rozplatając warkocze, dopóki nie opadły wokół jej ramion tak jak lubił. Pamiętał, jak chciał to zrobić w chwili, w której ją spotkał po raz pierwszy. Jak odrzucił ten szalony pomysł. Była przyziemną, była obca i pożądanie jej nie miało sensu. Ich pierwszy pocałunek w szklarni prawie doprowadził go do szaleństwa. Potem zeszli na dół, gdzie przeszkodził im Simon. Nigdy nie pragnął nikogo zabić tak bardzo jak przyziemnego, w tamtej chwili, chociaż wiedział, że ten chłopak nie zrobił nic złego. Ale to, co czuł, nie miało nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, a kiedy wyobraził sobie, jak Clary zostawia go dla Simona, poczuł mdłości i strach, jakiego nie wywołał w nim żaden demon. Valentine mówiący, że są bratem i siostrą pozwolił mu uświadomić sobie, że są rzeczy nieskończenie gorsze niż, to, że dziewczyna którą kocha wybierze innego. Była to świadomość, że rodzaj miłości którym ją obdarzył był kosmicznie niewłaściwy. Rzecz, która wydawała się być najczystsza i najbardziej nienaganna w jego życiu była stracona. Pamiętał ojca mówiącego, że upadłe anioły cierpią, ponieważ kiedyś oglądały oblicze Boga i nigdy więcej Go nie ujrzą. Myślał, że wie, co czują. Nie sprawiło to, że pragnął jej mniej. Po prostu uczucie to zmieniło się w torturę. Czasami jej cień przemykał przez jego wspomnienia, nawet wtedy, gdy całował ją tak jak teraz i sprawiał, że obejmował ją mocniej.

Pisnęła zaskoczona, ale nie zaprotestowała, kiedy uniósł ją i położył do łóżka. Opadli na nie razem, mnąc niektóre listy. Jace odsunął pudełko robiąc dla nich miejsce. Serce waliło mu w piersi. Nigdy nie byli ze sobą w łóżku, nie w tym sensie. Spędzili ze sobą noc w jej pokoju w Idrisie, ale prawie się wtedy nie dotykali. Jocelyn uważała, żeby nie pozwolić żadnemu z nich spędzić noc tam, gdzie przebywało drugie. Jace podejrzewał, że dbała o niego, ale nie mógł jej za to winić. Wątpił czy sam by siebie lubił, gdyby była na jej miejscu.

- Kocham cię – wyszeptała Clary. Pomogła mu zdjąć koszulkę. Jej palce dotykały blizn na jego plecach i znamienia w kształcie gwiazdy na jego ramieniu, takiego samego jak jej własne. Śladu anioła, którego krew płynęła w żyłach ich obojga. – Nie chcę cię stracić.

Przesunął dłoń, aby rozwiązać supeł na jej koszuli. Jego druga ręka przesunęła się po materacu dotykając zimnego metalu myśliwskiego sztyletu. Musiał wypaść pudełka wraz z resztą jego zawartości.

- To nigdy się nie stanie.

Spojrzała na niego roziskrzonymi oczami. – Skąd możesz to wiedzieć?

Jego dłoń zacisnęła się na rękojeści noża. Wpadający przez okno blask księżyca oświetlił ostrze, kiedy je uniósł.

- Po prostu wiem – powiedział i opuścił sztylet.

Ostrze przeszło ją, jakby była szmacianą lalką. Jej usta zastygły w niemym okrzyku. Krew pokryła przód jej białej koszulki.

Dobry Boże – pomyślał. – Tylko nie to. Nie znowu.

Obudzenie się z koszmaru przypominało mu rozbitcie szkła okiennego. Jego ostre kawałki wciąż zdawały się ranić Jace'a, nawet kiedy podciągnął się i usiadł dysząc. Stoczył się z łóżka, instynktownie chcąc z niego uciec i uderzył dłońmi i kolanami o kamienną podłogę.

Zimne powietrze wdierało się przez otwarte okno do pokoju, wywołując w nim dreszcze i zrywając ostatnie pajęczyny oplatającego go snu. Spojrzał na swoje ręce. Nie było na nich krwi. Łóżko było rozkopane. Koce i prześcieradła zwinęły się w kulę pod wpływem jego niespokojnych ruchów, ale pudełko z rzeczami jego ojca wciąż stało na szafce nocnej, tam gdzie je położył przed pójściem do łóżka.

Pierwsze kilka koszmarów wywołało u niego wymioty po przebudzeniu. Teraz uważał, żeby nie jeść przez kilka godzin przed snem, więc jego ciało mściło się na nim przyprawiając go o mdłości, wywołując spazmy i gorączkę. Właśnie następował atak, więc skulił się na podłodze i dyszał ciężko, dopóki nie minął. Oblaty go zimne poty. Koszulka przylgnęła mu do ciała. Zastanawiał się, czy te sny pewnego dnia go nie zabiją. Nie był wobec nich bezczynny. Robił wszystko, żeby je powstrzymać – brał pigułki i eliksiry nasenne, rysował runy snu, uzdrawiające, spokoju. Nic nie działało. Sny zakradały się do jego umysłu jak trucizna i nic nie mogło ich zatrzymać. Kiedy nie spał ciężko mu było patrzeć na Clary. Spoglądała w głąb jego duszy jak nikt inny i mógł sobie tylko wyobrazić co by czuła, gdyby wiedziała o czym śni. Przewrócił się na bok i popatrzył na stojące na stoliku pudełko w którym odbijało się światło księżyca. Pomyślał o Valentine, mężczyźnie, który uwięził i torturował jedyną kobietę, którą kochał, który uczył swojego syna, – obu synów – że kochać coś, to zniszczyć to na zawsze.

Nie jestem taki, jak Valentine. Nie chce być taki, jak on. Nie będę taki. Nie będę.

Jego umysł spał się gorączkowo, kiedy bez końca powtarzał te słowa. Stały się dla niego jak mantra i jak w każdej mantrze, słowa zaczęły tracić swój sens.

Zobaczył Sebastiana – właściwie Jonathana – swojego przybranego brata, uśmiechającego się spod płataniny srebrzystobiałych włosów. Jego oczy lśniły bezlitosnym blaskiem. Potem ujrzał własny nóż zagłębiający się w piersi Morgensterna. Wyciągnął go i ciało chłopaka upadło i potoczyło się do rzeki. Jego krew zmieszała się z trawą i ziołami rosnącymi na jej brzegu.

Nie jestem taki, jak Valentine.

Nie było mu przykro z powodu śmierci Jonathana. Zabiłby go ponownie, gdyby musiał.

Nie chce być taki, jak on.

Ale ojciec uczył go, że zabicie bez litości nie jest niczym złym. Wręcz przeciwnie. Może nigdy nie zapomina się nauk rodziców. Nie ważne, jak bardzo się tego pragnie.

Nie będę taki.

Może ludzie tak naprawdę nigdy się nie zmieniają.

Nie będę.

Tłumaczenie: [Hope Solo](#)

Korekta: [Tellave](#)

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sztuka ośmiu kończyn

*TU SĄ ZŁOZONE TĘSKNOTY WIELKICH SERC I SZLACHETNYCH RZECZY, KTÓRE GÓRĄ NAD
CZASEM, MAGICZNE SŁOWO, KTÓRE ZAPOCZĄTKUJE WZNIOSŁE CUDA, ZEBRAWA WIEDZA,
KTÓRA NIGDY NIE PRZEMINIE.*

Słowa ten wyryto nad drzwiami do Brooklyńskiej Biblioteki Publicznej na Grand Army Plaza. Siedzący na stopniach prowadzących do wejścia, Simon, wpatrywał się w fasadę budynku. Inskrypcja wyróżniała się na tle kamienia. Każde słowo migotało przez chwilę, kiedy padało na nie światło przejeżdżającego samochodu. Od czasów dzieciństwa biblioteka była jednym z jego ulubionych miejsc. Z boku były osobne drzwi dla dzieci, gdzie przez lata spotykał się z Clary. Wypożyczali mnóstwo książek i chodzili do sąsiedniego Ogrodu Botanicznego, gdzie leżąc na trawie czytali godzinami, a z oddali mogli usłyszeć przytłumione dźwięki ulicy.

Nie był pewien, jak się tu znalazł. Uciekł z domu, najszybciej, jak to było możliwe, a teraz zdał sobie sprawę z tego, że nie ma dokąd pójść. Nie mógł udać się do Calry – byłaby przerażona tym, co zrobił i kazałaby mu wrócić i wszystko odkręcić. Eric i reszta nie zrozumieliby. Jace go nie lubił, a zresztą nie mógł wejść do Instytutu. To kiedyś był kościół i głównym powodem, dla którego Nefilim tam żyli, było to, że stworzenia takie, jak on, trzymały się od niego z daleka. W końcu przypominał sobie, do kogo mógłby zadzwonić, ale to było dla niego tak nieprzyjemne, że chwilę zajęło mu ukojenie skołatanych nerwów.

Usłyszał motocykl, zanim go zobaczył. Głośny warkot maszyny przebił się przez delikatny szmer samochodów jadących Grand Army Plaza. Motor przejechał przez skrzyżowanie i wjechał na chodnik, potem stanął na tylnym kole i wskoczył na stopnie. Simon przesunął się, kiedy wylądował lekko obok niego. W chwili, w której Raphael puścił rączki, pojazd ucichł.

Motocykle wampirów napędzane były demoniczną mocą i reagowały jak zwierzęta na życzenia swoich właścicieli. Młodzieniec uważał, że były przerażające.

- Chciałeś mnie widzieć Daylighterze? - Raphael, jak zawsze elegancki, ubrany był w czarną kurtkę i wyglądające na drogie jeansy. Zsiadł z pojazdu i oparł go o ogrodzenie biblioteki. - Lepiej, żebyś miał dobry powód – dodał. – Raphael Santiago nie należy do zewnętrznej dzielnicy.

- Świetnie. Zacząłeś mówić w trzeciej osobie. To wcale nie jest oznaka nadchodzącej megalomanii. Nic z tych rzeczy. – zakpił młodszy wampir.

Raphael wzruszył ramionami. – Albo powiesz mi to, co chciałeś mi powiedzieć, albo sobie pójde. Twoja wola. – Spojrzał na zegarek. – Masz trzydzieści sekund.

- Powiedziałem mamie, że jestem wampirem.

Przybysz uniósł brwi. Były bardzo ciemne i cienkie. W mniej wspaniałomyślnych chwilach, Lewis był pewien, że narysował je sobie ołówkiem.

- I co się wtedy stało?

- Nazwała mnie potworem i próbowała wyegzorcyzmować.
Wspomnienie to spowodowało, że poczuł smak starej, gorzkiej krwi w gardle.

- A potem?

- Nie mam pojęcia co się potem stało. Zacząłem go niej gadać tym dziwnym, uspakajającym głosem. Mówiłem, że nic się nie stało i że to był tylko sen.

- Uwierzyła ci.

- Uwierzyła – przyznał niechętnie.

- Oczywiście, że tak. – powiedział Raphael. – Jesteś wampirem. To nasza zdolność. Encanto. Fascynacja. Możesz ją nazywać mocą perswazji. Jeśli nauczysz się jej używać właściwie, to będziesz mógł przekonać przyziemnych do zrobienie praktycznie wszystkiego.

- Ale ja nie chciałem tego na niej używać. Jest moją matką. Jest jakiś sposób aby to naprawić? Żeby wszystko wróciło do normy.

- Ma cię znienawidzić? Ma myśleć, że jesteś potworem? To bardzo dziwna definicja normy.

- Nie obchodzi mnie to – krzyknął Simon. – Więc można to odkręcić, czy nie?

- Nie. – powiedział wesoło Raphael. – Nie ma takiego sposobu. Wiedziałbyś to tym, gdybyś nie odseparował się tak od swojego gatunku.

- Racja. Zachowujesz się tak, jakbym to ja ciebie odrzucił, a ty w ogóle nie próbowałeś mnie zabić.

- To nic osobistego. Po prostu polityka – wzruszył ramionami Latynos. Oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi. Nosił czarne, motocyklowe rękawice. Simon musiał przyznać, że wygląda odlotowo.

- Błagam, powiedz, że nie sprowadziłeś mnie tutaj tylko po to, żeby opowiedzieć mi tę nudną historię o twojej siostrze.

- Mamie – poprawił chłopak.

Raphael pstryknął palcami. – Wszystko jedno. Niektóre kobiety w twoim życiu cię odrzuciły. Powiem ci, że na pewno nie był to ostatni raz. Dlaczego zawracasz mi tym głowę?

- Chciałbym wiedzieć, czy mógłbym zatrzymać się w Dumont – wypalił Simon. Ledwo mógł uwierzyć, że prosi o coś takiego. Jego wspomnienia z wampirzego hotelu pełne były krwi, bólu i terroru. Ale to było miejsce, do którego mógł się udać. Miejsce, w którym nikt nie będzie go szukał a on nie będzie musiał wracać do domu. Był wampirem. Obawa przed hotelem pełnym takich jak on, była głupstwem. – Nie mam dokąd pójść.

Oczy Santiago zamigotały. – Aha – powiedział z delikatną nutą triumfu, która nie spodobała się Simonowi. – Teraz chcesz czegoś ode mnie.

- Tak, ale twoja ekscytacja z tego powodu mnie przeraża, Raphaelu.

- Jeśli przybędziesz do Dumont, nie wolno będzie ci nazywać mnie Raphaelem, ale Mistrzem, Panem albo Wielkim Przywódcą – parsknął.

Simon zebrał się w sobie. – A co z Camille?

- Co masz na myśli?- spytał wampir.

- Zawsze mówiłeś, że nie jesteś prawdziwym przywódcą wampirów – zaczął ostrożnie Simon.

- W Idrisie powiedziałeś, że to kobieta o imieniu Camille jest przywódcą. Mówiłeś, że nie wróciła jeszcze do Nowego Jorku, ale podejrzewam, że kiedy się tu pojawi, to zajmie swoje poprzednie stanowisko.

- Nie jestem pewien, czy podoba mi się twój sposób zadawania pytań, Daylighterze – oczy Raphaela pociemniały.

- Mam prawo wiedzieć.

- Nie – zaprzeczył. – Nie masz do tego prawa. Przyszedłeś do mnie i poprosiłeś o schronienie w moim hotelu, nie dlatego, że chcesz przebywać z podobnymi do ciebie, ale dlatego, że nie masz dokąd pójść. Unikasz nas.

- Co ja już wspominałem, ma związek z tym, że chciałeś mnie swego czasu sprzątnąć.

- Dumont nie jest kryjówką dla zbuntowanych wampirów – ciągnął Raphael. – Żyjesz wśród ludzi, chodzisz w świetle dnia, grasz w swoim głupim zespole – tak, nie myśl, że o tym nie wiem. W żaden sposób nie akceptujesz tego, kim jesteś. Dopóki tak będzie, nie jesteś mile widziany w Dumont. Simon pomyślał o słowach Camille: *W chwili, kiedy jego poplecznicy zobaczą, że jesteś ze mną, opuszczą go i przyjdą do mnie. Wierzę, że są lojalni wobec mnie, mimo, że się go boją. W chwili, gdy zobaczą nas razem cały strach ich opuści i przejdą na naszą stronę.* – Wiesz – wtrącił. – Otrzymałem inne oferty.

Raphael popatrzył na niego, jakby był obłąkany. – Oferty czego?

- Po prostu... oferty – powiedział Simon słabo.

- Jesteś beznadziejnym politykiem Simonie Lewis. Radzę ci nie próbować tego ponownie.

- Świetnie – rzucił rozzłoszczony. – Przyszedłem tutaj, żeby ci o czymś powiedzieć, ale się rozmyśliłem.

- Podejrzewam, że masz też zamiar wyrzucić prezent urodzinowy ode mnie –w głosie Raphaela słychać było sarkazm. – Co za tragedia. – Podniósł motocykl i kiedy ten ponownie ożył, przerzucił przez niego nogę. Z rury wydechowej buchnęły iskry. – Jeśli następnym razem będziesz chciał zawracać mi głowę Daylighterze, to lepiej żebyś miał po temu dobry powód. W przeciwnym razie ci nie wybaczę. – Gdy przywódca wampirów skończył mówić, jego motocykl skoczył w górę i do przodu.

Simon odchylił głowę, żeby zobaczyć jak Raphael, niczym anioł, którego imię nosi, wzbija się ku niebu.

Clary siedziała ze swoim szkicownikiem na kolanach, gryząc w zamyśleniu koniec ołówka. Rysowała Jace'a niezliczoną ilość razy – wydawało jej się, że jest to odpowiednik pisanie o swoim chłopaku w pamiętniku – ale nigdy nie była w stanie zrobić tego idealnie. Inna sprawa, że praktycznie niemożliwe było zmuszenie go do stania spokojnie, więc myślała, że teraz, kiedy spał, była idealna chwila, ale wciąż nie wychodził jej tak, jak chciała. Rysunek go nie przypominał. Rzuciła szkicownik na koc z westchnieniem rozpaczy. Podciągnęła kolana i popatrzyła na niego.

Nie spodziewała się, że zaśnie. Przyszli do Central Parku, żeby zjeść lunch i potrenować na świeżym powietrzu, póki pogoda na to pozwalała.

Zrobili jedną z tych rzeczy. Na trawie dookoła koca rozrzucone były opakowania po jedzeniu na wynos z Taki. Jace zjadł niewiele. Ze zdawkową elegancją pogrzebał trochę w swoich sezamowych kluskach, po czym rzucił pudełko na bok, wyciągnął się na kocu na wznak i zaczął wpatrywać się w niebo. Clary patrzyła na niego, podziwiając sposób w jaki chmury odbijają się w jego oczach, mięśnie na jego skrzyżowanych pod głową ramionach, nagi kawałek skóry, widoczny między brzegiem T-shirtu a paskiem spodni. Chciała wyciągnąć rękę i przeciągnąć nią po jego twardym, płaskim brzuchu. Zamiast tego, postanowiła

nacieszyć oczy i wygrzebała szkicownik. Kiedy odwróciła się z ołówkiem w ręce, jego oczy były zamknięte, a oddech równy i spokojny.

Miała już trzy szkice, ale żaden nawet w przybliżeniu jej nie zadowalał. Patrząc teraz na niego, zastanawiała się, dlaczego za nic nie jest w stanie go narysować. Światło było idealne. Delikatne, brązowe październikowe słońce kładło bladozłoty połysk na jego już złote włosy i skórę. Jego zamknięte powieki były otoczone rzęsami o ton ciemniejszymi niż włosy. Jedną rękę miał swobodnie położoną na piersi, druga leżała przy boku. Jego twarz podczas snu była zrelaksowana i bezbronna, łagodniejsza i mniej kanciasta. Może właśnie w tym tkwił problem. Tak rzadko był zrelaksowany i bezbronny, że trudno było to uchwycić. Wyglądał... obco.

W tym momencie poruszył się. Zaczął coś mamrotać przez sen, a jego oczy poruszały się pod zamkniętymi powiekami. Przycisnął rękę do piersi i usiadł tak nagle, że prawie zderzył się z Clary. Otworzył szeroko oczy. Przez chwilę wyglądał na oszołomionego. Był zaskakująco blady.

- Jace? – Clary nie mogła ukryć zaskoczenia.

Skupił na niej wzrok. Chwilę później przycisnął ją do siebie, bez swojej zwyczajnej delikatności. Posadził ją sobie na kolanach i gwałtownie pocałował, wplatając dłonie w jej włosy. Czuła bicie jego serca tuż przy swoim i poczuła, że się rumieni. Byli w publicznym parku i ludzie pewnie się na nich gapili.

- Łał – powiedział odsuwając się. Jego usta złożyły się w uśmiech. – Przepraszam. Pewnie się tego nie spodziewałaś.

- To była miła niespodzianka – jej głos brzmiał nisko i gardłowo. – O czym śniłeś?

- O tobie. – owinał sobie pukiel jej włosów wokół palca. – Zawsze śnię o tobie.

Clary wciąż siedziała mu na kolanach, obejmując jego nogi swoimi.

- Naprawdę? – spytała. – Wydawało mi się, że masz koszmar.

Jace przechylił głowę na bok, by móc na nią spojrzeć.

- Czasem śni mi się, że odchodzisz – wyznał. – Nie przestaję się zastanawiać kiedy odkryjesz, że będzie ci lepiej beze mnie i odejdziesz.

Dotknęła jego twarzy opuszkami palców. Zaczęła delikatnie obwodzić jego kości policzkowe, aż dotarła do ust. Jace mówił takie rzeczy tylko jej. Alec i Isabelle, którzy żyli z nim i kochali go, wiedzieli, że pod ochronnym pancerzem humoru i udawanej arogancji strzępy wspomnień z dzieciństwa wciąż miały na niego wpływ. Ale tylko przy niej mówił o tym na głos. Pokręciła głową. Włosy opadły jej na czoło i odgarnęła je niecierpliwie.

- Chciałabym umieć mówić tak, jak ty – westchnęła. – Wszystko, co mówisz, słowa, jakie wybierasz, jest idealne. Zawsze masz w zanadrzu właściwy cytat, albo coś, co sprawia, że wierzę, że mnie kochasz. Skoro nie mogę cię przekonać, że nigdy cię nie zostawię...

- Po prostu powiedz to jeszcze raz – Jace wziął swoją towarzyszkę za rękę.

- Nigdy cię nie opuszczę.

- Nieważne co się stanie i co zrobię?

- Zawszę będę przy tobie. Zawsze. To co do ciebie czuję... - głos uwiązł jej w gardle. – jest najważniejsze w moim życiu. – Cholera, pomyślała. To brzmiało głupio.

Ale blondyn zdawał się myśleć inaczej. Uśmiechnął się tęsknie i powiedział: *L'amor che move il sole e l'altre stelle.*

- To po łacinie?

- Po włosku – sprostował. – Dante.

Clary przesunęła palcami po jego ustach. Zadrżał. – Nie znam włoskiego – powiedziała miękko.

- To znaczy, że miłość jest najpotężniejszą siłą na świecie i może uczynić wszystko²⁴.

Wyjęła swoją dłoń z jego. Jace świadomy tego gestu przyglądał się jej spod półprzymkniętych powiek. Objęła go za szyję, pochyliła się i dotknęła swoimi ustami jego. To nie był pocałunek. Po prostu dotyk. To wystarczyło. Clary poczuła, że puls mu przyspiesza. Pochylił się do przodu, próbując ją pocałować, ale ona potrząsnęła głową. Jej rude włosy opadły wokół nich jak kurtyna, kryjąca przed wzrokiem innych ludzi znajdujących się w parku.

- Jeśli jesteś zmęczony, możemy wrócić do Instytutu –wszeptała. – Zdrzemniesz się. Nie spaliśmy w tym samym łóżku od nocy w Idrisie.

Ich spojrzenia się spotkały i wiedziała, że wspominają tą samą noc. Błade światło wpadające przez okno do małego pokoju gościnnego w domu Amatis. Desperacja w jego głosie. *Chcę zasnąć i obudzić się przy tobie, chociaż raz, ten jeden raz w życiu.* Całą noc leżeli obok siebie, trzymając się za ręce. Dotykali się o wiele więcej od tamtej pory, ale nigdy ze sobą nie spali. Młody Herondale wiedział, że proponuje mu więcej niż tylko drzemkę w jednej z nieużywanych sypialni Instytutu. Była pewna, że widział to w jej oczach, nawet jeśli sama nie wiedziała, jak daleko się posunie. Ale to nie było ważne. Jace nigdy nie poprosiłby jej o coś, czego ona nie chciałaby dać.

- Chciałbym. – zar w jego oczach i zachrypnięty głos powiedziały jej, że nie kłamie. – Ale nie możemy.

Złapał delikatnie jej nadgarstki i opuścił je, tworząc z ich rąk barierę pomiędzy nimi.

- Dlaczego? – zdziwiła się Clary.

Jace wziął głęboki oddech. – Przyszliśmy tu, żeby trenować i tym powinniśmy się zająć. Jeśli ten czas spędzimy na obściskiwaniu się, cofną mi pozwolenie na trenowanie ciebie.

- Przecież i tak mają zatrudnić kogoś, kto będzie mnie trenował na pełen etat.

- Tak –potwierdził wstając i pociągając ją za sobą. – I martwi mnie, że jeżeli za bardzo przywykniesz do obściskiwania się z instruktorem, to skończysz obściskując się również z tamtym.

- Nie bądź seksistowski. Mogą znaleźć dla mnie kobietę-instruktorkę.

- W tym wypadku masz moje pozwolenie, na obściskiwanie się z nią, pod warunkiem, że będę mógł popatrzeć.

- No proszę – uśmiechnęła się Clary. – Schyliła się, by podnieść koc, który przynieśli ze sobą.

- Boisz się, że zatrudnią instruktora, który będzie bardziej seksowny niż ty.

- Bardziej seksowny niż ja? – Jace uniósł brwi.

- Może się tak zdarzyć –ciągnęła dziewczyna. – Wiesz, czysto teoretycznie.

- Teoretycznie planeta może niespodziewanie pęknąć na pół, sprawiając, że ja po jednej a ty po drugiej stronie, będziemy na zawsze tragicznie rozdzieleni, ale nie martwię się tym – powiedział chłopak z tradycyjnym, krzywym uśmiechem. – Jest zbyt nieprawdopodobne by się spełniło.

²⁴Cytat przytoczony przez Jace'a znaczy dosłownie, że *Miłość jest najwyższą siłą wszechświata, to ona wprawia w ruch gwiazdy.* Ale wniosek jest dobry ☺

Wyciągnął rękę. Clary chwyciła ją i razem przecięli łąkę, kierując się w stronę kępy drzew na skraju East Meadow, o której zdawali się wiedzieć jedynie Nocni Łowcy. Rudowłosa podejrzewała, że została zaczarowana, ponieważ trenowali tam z Jacem dość często i jak dotąd nie przeszkodził im nikt z wyjątkiem Maryse i Isabelle.

Central Park jesienią mienił się kolorami. Drzewa na skraju łąki przystroiły się w swoje najładniejsze kolory i otaczały zielen trawy blaskiem złota, czerwieni, miedzi i rudym pomarańczem. To był idealny dzień na romantyczny spacer po parku i pocałunek na jednym z kamiennych mostów. Ale nie dla nich. Oczywiście, jeśli chodziło o Jace'a, park był zewnętrzną przybudówką dla sali treningowej Instytutu i miał zamiar nauczyć w nim swoją dziewczynę między innymi nawigacji w terenie, technik ucieczki, uniku i umiejętności zabijania gołymi rękami. W normalnych warunkach Clary byłaby podekscytowana tym, że nauczy się zabijać gołymi rękami, ale wciąż martwiła się o niego. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że dzieje się coś naprawdę niedobrego. Gdyby tylko istniała runa, która mogłaby zmusić go do wyznania jej co go trapi... Nigdy nie stworzę takiej, skarciła się pośpiesznie w myślach. Używanie swojej mocy do kontrolowania innych byłoby nieetyczne. Poza tym, od utworzenia runy wiążącej w Idrisie, jej moc wydawała się być uśpiona. Nie miała ochoty na rysowanie starych run. Nie nawiedzały jej też wizje nowych. Maryse powiedziała, że chce sprowadzić specjalistę od runów, żeby ją uczył, gdy tylko rozpocznie trening, ale jak dotąd pozostało to tylko w sferze planów. Nie była pewna czy jest jej przykro, z tego powodu, że jej moce mogły odejść na zawsze.

- Może zdarzyć się tak, że spotkasz demona, ale nie będziesz mieć przy sobie żadnej broni – tłumaczył Herondale, kiedy szli pod rzędem drzew, których gałęzie ugiwały się pod ciężarem nisko zwisających liści o różnych barwach począwszy od zieleni po jasnożłoty. – Nie wolno ci wtedy panikować. Po pierwsze, musisz zapamiętać, że wszystko może być bronią. Gałąź drzewa, garść monet – robią za niezły kastet – but, cokolwiek. Po drugie, wbij sobie do głowy, że ty jesteś bronią. Teoretycznie po ukończeniu szkolenia powinnaś być w stanie jednym kopnięciem zrobić dziurę w ścianie albo jednym ciosem powalić łośia.

- Nidy nie uderzę łośia – oświadczyła Clary. – Są pod ochroną.

Jace uśmiechnął się lekko i zwrócił twarz ku niej. Doszli do zagajnika, małej, czystej przestrzeni pośród drzew, których pnie pokryte były runami, pokazującymi, że to miejsce należy do Nocnych Łowców.

- Jest taki starożytny styl walki zwany Muay Thai²⁵. Słyszałaś o nim? – spytał blondyn.

Jego towarzyszka zaprzeczyła ruchem głowy. Słońce było jasne i ciepłe. Clary zaczynała się pocić w swoich grubych spodniach i ocieplanej kurtce. Jace zdjął swoją i odwrócił się do niej, wyginając swoje szczupłe dłonie pianisty. W jesiennym świetle jego oczy były intensywnie złote. Runy zwinności, szybkości i siły wiły się niczym pędy winorośli od jego nadgarstków po bicepsy i znikały pod rękawami koszulki. Zastanawiała się, dlaczego je narysował, skoro nie była wrogiem, na którego należy uważać.

- Słyszałem pogłoski, że nasz nowy instruktor, jest mistrzem Muay Thai. A także sambo²⁶, lethwei²⁷, tomoi²⁸, krav maga²⁹, jujitsu i jeszcze jakiegoś draństwa, którego nazwy szczerze

²⁵Tajski boks. Więcej informacji można znaleźć <http://muaythai.pl/50-muaythai.html>

²⁶Rosyjska sztuka walki łącząca techniki judo z regionalnymi odmianami zapasów z Gruzji, Azerbejdżanu, Armenii, Uzbekistanu, Mongolii i Chin.

²⁷Boks birmański

powiedziawszy nie pamiętam, ale dotyczy zabijania za pomocą patyków czy coś takiego. Zmierzam do tego, że on albo ona, jeszcze nigdy nie pracował z kimś w twoim wieku, kto jest równie niedoświadczony, więc jeśli nauczysz się podstaw, to mam nadzieję, że będzie wobec ciebie trochę bardziej wyrozumiały. – Położył ręce na jej biodrach. – Teraz odwróć się w moją stronę.

Clary wykonała polecenie. Gdy stali tak jak teraz, czubkiem głowy dotykała dolnej części jego podbródka. Dłonie oparła mu na ramionach.

- Muai Thai, jest nazywana „sztuką ośmiu kończyn”, ponieważ oprócz dłoni i stóp, jako punktów uderzeniowych, używasz również kolan i łokci. Najpierw musisz przyciągnąć do siebie przeciwnika, potem okładać go wszystkimi punktami dopóki on albo ona nie upadnie.

- To działa na demony? – Clary uniosła brwi.

- Na mniejsze owszem – Jace przysunął się bliżej. – Ok. Chwyć mnie za tył szyi.

Ledwo mogła to zrobić bez wspinania się na palce. Nie pierwszy raz córka Jocelyn przeklinała swój niski wzrost.

Tył jego szyi był ciepły od słońca a jego miękkie włosy łaskotały ją w palce. Ich ciała były bardzo blisko siebie. Czują, jak pierścień, który nosiła zawieszony na łańcuszku na szyi wciska się pomiędzy nich, jak kamyczek wepchnięty między dłonie.

- W prawdziwej walce wykonasz ten ruch szybciej - ciągnął Jace. Jego głos brzmiał trochę niepewnie. – Sposób, w jaki mnie uchwyciłaś da ci efekt dźwigni. Użyj go do pociągnięcia wroga do przodu i kopnij...

- Proszę, proszę – odezwał się zimny, rozbawiony głos. – Minęło tylko sześć tygodni, a już skaczecie sobie do gardeł. Jak łatwo przemija miłość śmiertelników.

Uwalniając Jace’a z uścisku, Clary obróciła się na pięcie. Wiedziała, do kogo należy ten głos. Królowa Jasnego Dworu stała w cieniu, pomiędzy dwoma drzewami. Dziewczyna nie była pewna, czy nawet Wzrok pozwoliłby ją zauważyć, gdyby nie wiedziała, że tam jest. Monarchini miała na sobie suknie koloru trawy a falujące dookoła ramion włosy miały barwę zwiędłych liści. Była zarazem piękna i okropna, jak kończąca się pora roku. Clary nigdy jej nie ufała.

- Co tutaj robisz? – odezwał się Jace mrużąc oczy. – To teren Nocnych Łowców.

- A ja mam wiadomość, która może ich zainteresować. – kiedy Królowa wystąpiła na przód, przez liście przebił się promień światła, który oświetlił wieniec ze złotych jagód, który miała na głowie. Clarissa czasem zastanawiała się, czy ona planuje te wszystkie dramatyczne wejścia, a jeśli tak, to w jaki sposób. – Śmierć ponownie zebrała swe żniwo.

- Co masz na myśli?

- Zabrała jednego z was. Nefilima. – słowa, które właśnie wypowiedziała sprawiały jej rozkosz. – Ciało znaleziono o świcie, poniżej Oak Bridge. Jak wiecie, park jest pod moją kontrolą. Zabójstwa ludzi mnie nie obchodzą, ale w tym przypadku to nie była sprawa przyziemnych. Ciało zostało przeniesione do Dworu, by moi uzdrowiciele mogli je zbadać. Oświadczyli, że zmarły śmiertelnik był jednym z was.

Clary zerknęła ukradkiem na chłopca. Przypomniała sobie wiadomość o martwym Nocnym Łowcy sprzed dwóch dni. Mogła przysiąc, że Jace myśli o tym samym. Był blady.

²⁸ Malezyjska odmiana kickboxingu

²⁹ Izraelski sposób walki

- Gdzie jest ciało? – spytał.

- Martwisz się o moją gościnność? Ciało znajduje się na moim dworze i zapewniam cię, że traktujemy je z takim samym szacunkiem, jak żywego Nocnego Łowcę. Teraz, kiedy jeden z moich ludzi zasiada w Radzie obok tobie podobnych nie możesz wątpić w nasze dobre intencje.

- Jak zwykle dobre intencje i moja Pani idą ręką w rękę – zironizował Nocny Łowca, ale Królowa tylko się uśmiechnęła.

Lubi go, pomyślała mimowolnie młodsza z kobiet. Lubi go w taki sposób, w jaki faerie lubią ładne rzeczy, tylko dlatego, że są ładne. Nie sądziła, że ją też lubi. Zresztą z wzajemnością.

- W takim razie, dlaczego mówisz o tym nam a nie Maryse? Zwyczaj nakazuje...

- Ach, zwyczaj. – Dama zbyła go machnięciem ręki. – Byliście blisko. To było wygodniejsze. Jace posłał jej kolejne krzywe spojrzenie i chwycił komórkę. Pokazał Clary na migi, żeby została tam, gdzie jest i odszedł kawałek na bok. Usłyszała jak mówi – Maryse? – a potem jego głos zginął we wrzaskach dochodzących z boiska. Z uczuciem zimnego przerażenia spojrzała na Królową. Nie widziała jej od swojej ostatniej nocy w Idrisie, kiedy to nie była dla niej zbyt miła. Wątpiła, czy ona o tym zapomniała i jej wybaczyła. Czy naprawdę można odrzucić pomoc oferowaną przez Jasną Damę?

- Podobno Meliorn dostał miejsce w Radzie – zaczęła niepewnie. – Musisz być zadowolona z tego powodu.

- Faktycznie – Królowa spojrzała na nią z rozbawieniem – Jestem dość ukontentowana.

- Więc, - ciągnęła dziewczyna – nie żywisz żadnej urazy?

Uśmiech kobiety stał się lodowaty jak mróz, który skuwa lodem brzegi stawu. – Masz na myśli moją ofertę, którą tak niegrzecznie odrzuciłaś? Jak wiesz, mój cel został mimo wszystko osiągnięty. Jedyną, która poniosła stratę, jesteś ty.

- Nie przystanę na twoje warunki – mimo wysiłku Clary nie pozbyła się ostrego tonu – Ludzie nie zawsze będą tańczyć, jak im zagrasz.

- Nie waż się mnie pouczać dziecko. – Królowa podążyła wzrokiem za Jacem, który kroczył na granicy z drzew, z telefonem w ręce. – Jest piękny – powiedziała. – Rozumiem, dlaczego go kochasz. Ale czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, co go do ciebie przyciąga?

Clary nie odpowiedziała. Nie można było odpowiedzieć na takie pytanie.

- Związała was niebiańska krew płynąca w waszych żyłach. Krew śpiewa krwi. Ale miłość i krew to nie to samo.

- Zagadki – zdenerwowała się panna Fray. – Czy mówiąc w ten sposób masz w ogóle cokolwiek na myśli?

- Jest z tobą związany – powiedziała Jasna Dama. – Ale czy cię kocha?

Clary poczuła, że dłonie zaciskają się jej w pięści. Chciała wypróbować na niej kilka nowych ruchów, ale wiedziała, że byłoby to tragiczne w skutkach. – Tak. Kocha mnie.

- A czy cię pragnie? Miłość i pożądanie nie zawsze idą w parze.

- To nie twój interes – odparła krótko.

Wzrok Królowej był ostry jak szpilki. – Pragniesz go, jak nikogo innego. Ale czy on czuje to samo? – łagodny głos kobiety był nie do zniesienia. – Może mieć każdą, którą zapragnie. Wiesz dlaczego wybrał ciebie? Zastanawiasz się, czy tego nie żałuje? Czy zmienił się odkąd jesteście razem?

Clary poczuła, że do oczu napływają jej łzy. – Nie zmienił się. – Jednak pomyślała o wyrazie jego twarzy, w windzie tamtego wieczoru i sposobie, w jaki kazał jej iść do domu, kiedy ona zaproponowała, że zostanie.

- Powiedziałaś, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego. Że nie mam ci nic do zaoferowania. Że masz wszystko, czego pragniesz. – oczy Damy zamigotały. – Czy będziesz uważała tak samo, jeśli wyobrazisz sobie swoje życie bez niego?

Dlaczego mi to robisz, chciała krzyczeć Clary, kiedy Królowa wpatrywała się w nią z uśmiechem. Ostatecznie nie odezwała się.

- Otrzyj łzy zanim wrócisz. Nie powinien widzieć jak płaczesz.

Clary otarła pośpiesznie oczy wierzchem dłoni i odwróciła się. Jace marszcząc brwi szedł w ich kierunku.

- Maryse jest w drodze na Dwór – oznajmił. – Gdzie podziała się Królowa?

Clary spojrzała na niego ze zdziwieniem – Jest tam... - zaczęła ale odwróciwszy się zobaczyła, że Jace ma rację. Królowa odeszła i tylko kupka liści u jej stóp wskazywała miejsce, w którym stała.

Simon leżał na plecach, z podwiniętą pod głowę kurtką i gapił się na upstrzony dziurami sufit w garażu Erica. Miał wrażenie, że los z niego zakpił. W nogach leżał jego worek marynarski. Przy uchu trzymał telefon. W tym momencie tylko znajomy głos Clary po drugiej stronie linii powstrzymywał go od załamania.

- Simon, tak mi przykro.

Był pewien, że znajdowała się gdzieś na mieście. Odgłosy ulicy w tle tłumiły jej słowa.

- Naprawdę jesteś w garażu Erica? On o tym wie?

- Nie – odparł. – Nikogo nie ma teraz w domu, a ja mam klucz od garażu. Myślałem, że to dobry pomysł. Tak w ogóle to gdzie jesteś?

- Na mieście. – Dla Brooklyńczyków określenie „miasto” zawsze odnosiło się do Manhattanu. Nie było dla nich innej metropolii. – Trenowałam z Jacem ale musiał wrócić do Instytutu i zająć się jakimiś sprawami Clave. Wracam teraz do domu.

W tle głośno zatrał samochód.

- A może chciałbyś pomieszkać z nami? Mógłbyś spać na kanapie Luke’a.

Simon zawahał się. Miał dobre wspomnienia związane z tamtym domem. Przez wszystkie lata jego znajomości z Clary, Luke mieszkał w tym samym starym ale przytulnym szeregowcu nad księgarnią. Clary miała klucze i spędzili tam razem wiele miłych chwil, czytając książki „pożyczone” z dołu, albo oglądając stare filmy w telewizji. Jednak teraz było inaczej.

- Może moja mama powinna porozmawiać z twoją – zaproponowała dziewczyna, zaniepokojona milczeniem przyjaciela. – Pomoże jej zrozumieć.

- Pomoże jej zrozumieć, że jestem wampirem? Myślę, że w jakiś pokręcony sposób to rozumie. Co nie znaczy, że kiedykolwiek to zaakceptuje i przejdzie nad tym do porządku dziennego.

- Nie możesz też ciągle sprawiać, by o tym zapomniała – zauważyła trzeźwo. – To nie będzie działać wiecznie.

- Dlaczego nie? – wiedział, że jest nierozsądny, ale leżąc na twardej podłodze, wdychając zapach benzyny i słysząc szelest pajęczych sieci w kątach garażu czuł się bardziej samotny, niż kiedykolwiek. Jego rozsądek postanowił wyjechać na Bahamy.

- Ponieważ, wasze relacje oparte są na kłamstwie. Nie możesz nie wrócić do domu...

- Bo co? – przerwał jej surowo wampir. – W końcu to część klątwy. *Tułaczem i zbiegiem będziesz na ziemi!*

Pomimo odgłosów ulicy i rozmów w tle usłyszał, jak jego przyjaciółka nabrała gwałtownie powietrza.

- Uważasz, że o tym też powinna wiedzieć? – ciągnął. – O tym, jak mnie naznaczyłaś Znakiem Kaina? O tym, że praktycznie jestem chodzącą klątwą? Czy naprawdę myślisz, że zniesie w swoim domu kogoś takiego?

Dźwięki w tle ucichły. Clary musiała być w jakimś przejściu. Słyszał, jak powstrzymywała łzy. – Simonie, tak mi przykro. Wiesz, że mi przykro...

- To nie twoja wina. – nagle poczuł się zmęczony do szpiku kości. Świetnie ci idzie. Przestraszyłeś matkę i doprowadziłeś najlepszą przyjaciółkę do łez. To nie jest twój dzień Simon. – Widzisz, nie powinienem teraz przebywać wśród ludzi. Mam zamiar zostać tutaj i pogadać z Erikiem, gdy wróci.

Parsknęła przez łzy. – Więc Eric nie liczy się jako „ludzie”?

- Wrócimy do tego później – zawahał się. – Zadzwonię jutro, dobrze?

- Zobaczymy się juto. Obiecałeś, że pójdziesz ze mną na przymiarkę sukienki, pamiętasz?

- Łał – powiedział. – Naprawdę muszę cię kochać.

- Wiem – zachichotała. – Też cię kocham.

Simon odłożył słuchawkę i położył telefon na piersi. To zabawne, pomyślał. Teraz mógł powiedzieć Clary, że ją kocha, kiedy przez lata nie był w stanie tego wykrztusić. Teraz, kiedy te słowa nie naczyły tego, co kiedyś było mu łatwiej. Zastanawiał się czasem, co by było, gdyby w ich życiu nigdy nie pojawił się Jace Wayland³⁰. Gdyby Clary nie dowiedziała się, że jest Nocnym Łowcą. Odepchnął od siebie tą myśl. To bezcelowe i prowadzi do nikąd. Nie możesz zmienić przeszłości. Możesz jedynie iść na przód. Nie żeby wiedział, co niesie ze sobą przyszłość.

Nie mógł zostać na zawsze w garażu Erica. Nawet w obecnym nastroju musiał przyznać, że nie jest to najlepsza kryjówka. Nie było mu zimno – w zasadzie nie czuł już zimna ani gorąca, ale podłoga była twarda i miał kłopoty ze snem. Chciałby przytępić swoje zmysły. Dźwięki dochodzące z zewnątrz nie pozwalały mu odpocząć, tak jak nieprzyjemny odór benzyny. Ale najgorszy był paraliżujący strach przed tym, co ma zrobić potem. Wyrzucił większość zapasów krwi a resztę upchnął w torbie. Miał wystarczająco dużo krwi, by przeżyć kilka dni, ale potem wpadnie w poważne tarapaty. Eric, gdziekolwiek teraz był, z pewnością pozwoliłby mu zostać w swoim domu, ale to spowodowałoby konsekwencje w postaci rodziców Erica dzwoniących do jego mamy. A dopóki ona myślała, że jest na szkolnej wycieczce taki telefon przysporzyłby mu tylko problemów.

Dni, pomyślał. Tyle zostało mu czasu, zanim zabraknie mu krwi, zanim jego mama zacznie się zastanawiać, gdzie się podział i szukając go zadzwoni do szkoły. Zanim sobie przypomni.

³⁰Jak to co? Nuda! XD

Był teraz wampirem, ale wszystko co miał, to dni. Był taki ostrożny. Starał się żyć normalnym życiem. Nie było to łatwe. Inne możliwości były pełne łez i samotności, więc nawet nie brał ich pod uwagę.

Głos Camille ponownie rozbrzmiał w jego głowie. *Co będzie za 10 lat, kiedy powinienes mieć 26 lat? Za 20? 30? Czy sądzisz, że nikt nie zauważy, że wszyscy się starzeją i zmieniają a ty nie?*

Namiastka życia, którą dla siebie stworzył, która tak bardzo przypominała jego dawne zwyczaje, nie będzie trwała wiecznie. Nigdy nie miała.

Pogrążył się we wspomnieniach. Ponownie pomyślał o Camille i jej ofercie. Teraz brzmiała dużo bardziej zachęcająco. Propozycja przebywania w społeczności, nawet jeśli nie była to ta społeczność, do której go ciągnęło. Miał jeszcze trzy dni, zanim zacznie oczekiwać od niego odpowiedzi. Co jej powie, kiedy się spotkają? Myślał, że wie, ale teraz nie był tego taki pewien.

Głośny zgrzyt wyrwał go z zamyślenia. Drzwi garażu uniosły się do góry a wpadający do środka promień słońca rozświetlił ciemne pomieszczenie. Simon usiadł. Jego ciało weszło w stan gotowości.

- Eric?

- Nie. To ja. Kyle.

- Kyle? – powtórzył głucho Simon, zanim sobie przypomniał. Koles, którego przyjęli na głównego wokalistę. Simon prawie opadł z powrotem na podłogę.

- Och. Dobra. Nie ma tu teraz reszty chłopaków, więc jeśli chciałeś poćwiczyć...

- Spoko. Nie po to tutaj przyszedłem. – Kyle wślizgnął się do garażu. Zamrugął. Ręce miał schowane w kieszeniach jeansów. – Jesteś, jak ci tam, basistą, prawda?

Wampir stanął na nogi, wycierając ubraniem kurz z podłogi. – Jestem Simon.

Kyle rozejrzał się wokoło. Między brwiami pojawiła mu się zmarszczka. – Wydaje mi się, że zostawiłem gdzieś tu wczoraj swoje klucze. Wszędzie ich szukałem. O, tu są. – Pochylił się koło perkusji. Sekundę później był już wyprostowany i pobrząkiwał triumfalnie kluczami. Wyglądał trochę inaczej niż ostatnio. Miał na sobie skórzaną kurtkę i niebieski T-shirt. wokół jego szyi migotał złoty łańcuszek. Jego ciemne włosy były bardziej rozczochrane. – Więc – zaczął – Ty tak jakby tu sypiasz? Na podłodze?

Simon przytaknął. – Wyrzucono mnie z domu. – To nie była do końca prawda, ale czuł się jakby tak było.

Przybysz pokiwał głową ze współczuciem. – Mama znalazła u ciebie działkę trawy? Do bani.

- Nie... żadnej trawy – wzdrygnął się Lewis. – Różniliśmy się opiniami na temat mojego stylu życia.

- Więc dowiedziała się o obu twoich dziewczynach? – uśmiechnął się Kyle. Simon musiał przyznać, że dobrze wygląda. Ale nie tak, jak Jace, który doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jest przystojny. Kyle wyglądał jak ktoś, kto prawdopodobnie od kilku dni nie czesał włosów. Miał w sobie coś z otwartego, przyjacielskiego szczeniaka, co było bardzo ujmujące. – Kirk mi powiedział. Brawo, chłopie.

- To również nie to – Simon pokręcił głową.

Między chłopakami zapadła krótka cisza.

- Ja... też nie mieszkam z rodzicami –powiedział w końcu Kyle. – Odszedłem kilka lat temu.
– Objął się ramionami i spuścił głowę. – Nie rozmawiałem z nimi od tamtego czasu. Radzę sobie sam, ale... rozumiem. – wyszeptał.
- Twoje tatuaże – Simon dotknął lekko własnych ramion. – Co oznaczają?
Kyle wyprostował ramiona - Shaantih shaantih shaantih. To mantry z Upanishad³¹. Sanskryt. Modlitwy o pokój.
Normalnie Simon pomyślałby, że wytatuowanie sobie sanskrytu jest nieco pretensjonalne. Ale nie w tej chwili. – Shalom. – odparł.
- Co?
- To znaczy „pokój” –wyjaśnił. – Po hebrajsku. Te słowa brzmią bardzo podobnie.
Kyle posłał mu przeciągłe spojrzenie. Zastanawiał się nad czymś. – To jest trochę... szalone – wykrztusił w końcu.
- No nie wiem. Moja definicja szaleństwa od kilku miesięcy jest dość elastyczna.
- ... ale mam mieszkanie w Alphabet City. Mój współlokator właśnie się wyprowadził. Są tam dwie sypialnie, więc mógłbyś zająć jego. Jest tam łóżko i cała reszta.
Simon zawahał się. Z jednej strony w ogóle nie znał Kyle’a i przeprowadzka do mieszkania nieznajomego była wręcz epicko głupia. Mimo swoich tatuaży propagujących pokój, mógł okazać się seryjnym zabójcą. Z drugiej jednak, to, że go nie znał było zaletą. Nikt nie będzie tam go szukał. I co z tego, że mógł być seryjnym zabójcą, pomyślał gorzko. To mogło się skończyć dla Kyle’a gorzej, niż dla niego, tak jak dla tamtego napastnika. – Chyba skorzystam z twojej oferty
- Mój wóz jest na zewnątrz. Mogę cię podwieźć do miasta.
Simon schylił się, chwycił swój marynarski worek i prostując się zarzucił go sobie na ramię. Wsunął telefon do kieszeni. – Chodźmy.

Tłumaczenie: *Hope Solo*

Korekta: *Isztar*

³¹Filozoficzne teksty religijne hinduizmu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Piekło wzywa piekło

Mieszkanie Kyle'a okazało się być przyjemną niespodzianką. Simon oczekiwał bardzo zaniedbanej kamienicy, bez windy, z karaluchami pełzającymi po ścianach i łóżku, złożonego z materacu położonego na skrzynkach. W rzeczywistości było to czyste mieszkanie, z dwoma sypialniami, pokojem gościnnym, z masą regałów, i wieloma zdjęciami na ścianach przedstawiających surfujących ludzi. Wprawdzie Kyle wyglądał na takiego, co uprawia marihuanę na schodach pożarowych, ale najwyraźniej tego nie robił.

Pokój Simona był zasadniczo pusty. Ktokolwiek w nim mieszkał, nie zostawił po sobie niczego prócz materacu. Ściany i podłogi były gołe, przez jedno pojedyncze okno mógł zobaczyć neon chińskiej restauracji, będącej po drugiej stronie ulicy.

- Podoba Ci się? - zapytał Kyle, stojąc w przejściu i patrząc na Simona przyjaźnie.

- Jest wielki. - odpowiedział szczerze wampir. - Dokładnie taki, jakiego potrzebowałem.

Najbardziej wartościową rzeczą w mieszkaniu był płaski telewizor w pokoju gościnnym. Simon rzucił się na kanapę i włączył go. Kyle był świetny, stwierdził Simon. Nie modlił się, nie dokuczał mu, nie zadawał pytań. Nie oczekiwał niczego za to, że Simon u niego mieszkał, nie chciał od niego pieniędzy. Był dla niego bardzo przyjaźliwski. Simon zastanawiał się, czy nie zapomniał jacy naprawdę są ludzie.

Później, kiedy Kyle wyszedł do pracy na popołudniową zmianę, Simon poszedł do swojego pokoju i położył się na materacu, słuchając ruchu ulicznego.

Dręczyło go wspomnienia wyrazu twarzy matki, odkąd wyszedł. Patrzyła na niego ze wstrętem i strachem, jakby był intruzem w jej domu. Nawet, kiedy teraz nie musiał oddychać, miał wrażenie, że coś ściska jego klatkę piersiową. Ale teraz...

Kiedy był dzieckiem, zawsze lubił podróżować, ponieważ bycie w nowych miejscach pozwalało mu przestać myśleć o problemach. Nawet teraz, wspomnienia które ma, zżerają go niczym kwas. Śmierć bandyty, reakcja jego mamy na to, kim tak naprawdę jest, była dla niego odległa i zamazana.

Może to był sekret, pomyślał. Przemieszczać się, iść tam, gdzie nikt go nie znajdzie. Stać się uciekinierem i wędrować po świecie. Ale to nie byłoby w porządku względem tych, na którym mu zależy i na odwrot.

W nocy spał niespokojnie. Jego naturalnym pragnieniem było spanie w dzień, ale dzięki swojej zdolności chodzenia w dzień, nie musiał się niepokoić o to, że musi to robić, wyczekując słońca, którego promienie zaczęłyby wpadać przez jego okno. Po założeniu czystych ciuchów z plecaka, opuścił sypialnię. Znalazł Kyle'a w kuchni, smażącego bekon i jajka na patelni.

- Cześć, współlokatorze. - Kyle przywitał go z uśmiechem. - Chcesz śniadanie?

Widok jedzenia, spowodował że Simonowi zrobiło się niedobrze.

- Nie dzięki, może trochę kawy. - powiedział, siadając na jednym, trochę przekrzywionym stolku barowym.

Kyle podał wampirowi kubek z kawą.

- Śniadanie jest najważniejszym posiłkiem w ciągu dnia. Nawet jeżeli jest już południe.

Simon położył swoje dłonie wokół kubka, ściskając go delikatnie, czując jak ciepło ogrzewa jego zimną skórę. Zaczął się zastanawiać, o czym porozmawiać.

- Nie zapytałem cię wczoraj, ale co robisz w życiu?

Kyle wziął jeden z kawałków bekonu z patelni i ugryzł go. Simon zauważył, że złoty medal, który miał zawieszony na szyi, ma wzór liścia i napis „Beati Bellicosi”: „Beati”, Simon wiedział, że to słowo miało coś wspólnego ze świętymi. Kyle musi być katolikiem.

- Jestem posłańcem rowerowym. - powiedział, żując bekon. - To niesamowita praca. Jeżdżę po mieście, oglądając wszystko, rozmawiając ze wszystkimi. Jest to sto razy lepsze niż liceum.

- Zostałeś wyrzucony?

- Wziąłem swoje świadectwo ukończenia szkoły średniej w ostatniej klasie i wybrałem szkołę życia. Nie chciałem iść na studia.

Simon pomyślał, że Kyle zabrzmiał nedorzecznie, gdyby nie powiedział „Szkoła życia” tak poważnie i szczerze.

- A co z tobą? Masz jakieś plany?

No wiesz, bez celu chodzić po ziemi, szerzyć śmierć i destrukcję na niewinnych ludziach. Możliwe, że pić dużo krwi. Żyć wiecznie i nie cieszyć się z tego. Tak po prostu.

- Nie mam żadnych planów, chodź jestem w zespole.

- Masz na myśli, że nie chcesz być muzykiem?

Zanim Simon zdążył odpowiedzieć, zaczął dzwonić jego telefon. Wyjął go z kieszeni i spojrzał na ekran. To była Maia.

- Cześć, - przywitał się z nią. - Co tam?

- Idziesz do Clary zobaczyć jej sukienkę po południu? - spytała, jej głos był pomieszany z szelestem, jaki panował tam, gdzie była. Dzwoniła pewnie z centrali w Chinatown, gdzie recepcja nie była najlepsza. - Powiedziała mi, że ma nadzieję, że dotrzymasz jej towarzystwa.

- Co?... Oh, no tak. Będę tam.

Clary poprosiła Simona, by towarzyszył jej w trakcie wybierania sukni drużyny, tak żeby później mogli iść do sklepu z komiksami, by wynagrodzić mu jego męczarnie.

- Też idę. Mam dla Luke'a coś, co jest w kopercie, ponadto czuję się jakbym nie widziała cię wiekami.

- Wiem. I bardzo cię przepraszam...

- Nie ma sprawy. - odpowiedziała Maia. - Ale będziesz musiał mi dać znać co założysz na siebie na wesele, ponieważ w innym przypadku możemy się nie dopasować.

Dziewczyna odłożyła słuchawkę, zostawiając Simona wpatrującego się w telefon. Clary miała rację. Wesele będzie dniem, w którym na pewno nie będzie przygotowany na bitwę.

- Jedna z twoich dziewczyn? - spytał dziwnym tonem Kyle. - To rude pisklę przy garażu? Była bardzo słodka.

- Nie. To była Clary, moja najlepsza przyjaciółka.

Simon włożył telefon do kieszeni.

- I ona ma chłopaka. Na prawdę ma chłopaka. Z którym lepiej nie zadzierać, zaufaj mi z tym.

- Po prostu pytałem. - powiedział z uśmiechem Kyle, pozbywając się resztek bekonu z patelni, którą włożył dlo zlewu. - Więc masz dwie dziewczyny. Jakie to jest uczucie?

- Jest bardzo, bardzo... inne. - opowiedział Simon, pod pewnym względem myśląc, że było w tym coś dziwnego. Maia była spokojna i taka ludzka. Życie Isabelle jest pełne podekscytowania. Maia jest jak światło w ciemności. Isabelle jest jak paląca gwiazda, która może zawrócić całkowicie w głowie.

- Mam na myśli, że obydwie są świetne. Piękne, mądre...

- I nie wiedzą o sobie nawzajem? - spytał Kyle oparty o ladę. - Lubią się?

Simon znalazł w sobie jakieś wytłumaczenie. Kiedy wrócił z Idrisu(jednak nie wspominał o tym miejscu imiennie), obydwie zaczęły rozmawiać z nim, chcąc się umawiać. A ponieważ lubił obydwie, umówił się z nimi. Wszystko zaczęło się tak układać, że chciał spędzać czas z obydwojma, ale nie miał odwagi powiedzieć im o sobie nawzajem. I jakoś nie mógł tego zrobić, nie chcąc zadawać im bólu.

- Więc, jeśli się mnie pytasz..- zaczął Kyle, odwracając się do zlewu by wylać resztę kawy do niej. - powinieneś wybrać jedną z nich, zanim się dowiedzą o sobie.

Zanim odwrócił się do Simona, nie mógł zobaczyć jego twarzy, ale miał wrażenie, że Kyle jest zły. Jego głos wydawał się być wyjątkowo groźny. Ale kiedy się odwrócił, jego twarz wyrażała szczerą przyjaźń. Simon uznał, że musiał sobie to wyobrazić.

- Wiem, masz rację. - powiedział wampir, rzucając okiem w kierunku sypialni. -Spójrz, jesteś pewny, że wszystko jest ok, kiedy tutaj jestem? Mogę się stąd wynieść kiedy tylko chcesz...

- W porządku. Zostań tyle, ile potrzebujesz.

Kyle otworzył kuchenną szufladę i zaczął w niej coś szukać po omacku. Wyciągnął z niej dodatkowe klucze zawieszone na gumowym pierścieniu. - To dla ciebie. Jesteś tutaj mile widziany. Muszę iść do pracy, jeżeli chcesz możesz zwiedzić okolicę. Play halo, lub coś. Będziesz tutaj kiedy wrócę?

Simon wzruszył ramionami.

- Pewnie nie. Muszę iść wybrać coś na ślub.

- Spoko. - powiedział Kyle, zawieszając torbę posłańca na ramieniu i idąc w kierunku drzwi wyjściowych. - Pozwól im namówić się na coś czerwonego. To totalnie twój kolor.

- Więc? - spytała Clare, wychodząc z przebieralni. - Co o tym myślisz?

Obróciła się wokół własnej osi. Simon siedział na jednym z niewygodnych, białych krzeseł w sklepie „Karyn Bridal Shop”, na którym zaczął się wiercić. - Wyglądasz ładnie.

Wyglądała lepiej niż ładnie. Clary jest druchną swojej matki, więc miała zezwolenie na wybranie jakiejkolwiek sukienki jaką chciała. Wybrała prostą sukienkę z miedzanego jedwabiu, na ramiączkach. Jej jedyną biżuterią był pierścień Morgersternów, powieszony na łańcuszku, który wisiał na jej szyi. Był to bardzo prosty srebrny łańcuszek.

Nie tak wiele miesięcy temu, widząc Clary ubraną w sukienkę, wywoływało to u Simona mix uczuć. Ponurą rozpacz (nigdy go nie kochała) i radosne podniecenie(może by chciała, żeby mógł po prostu wstać i powiedzieć jej co do niej czuł). To sprawiało, że czuł się trochę smutny.

- Ładnie? - spytała Clary, lekko z oburzeniem - Tylko tyle? - powiedziała, i odwróciła się w stronę Mai. - A ty co o niej myślisz?

Maia zrezygnowała z siedzenia na niewygodnym krzeselku i siedziała teraz na podłodze, opierając się plecami o ścianę, która była ozdobiona diamentami i długimi, zwiewnymi welonami. Trzymała konsolę DS Simona, którą dla równowagi położyła na jednym z kolan. Wydawała się być nieobecna, przez granie w GTA.

- Lepiej się mnie nie pytaj. - odpowiedziała. - Nienawidzę sukienek. Założyłabym džinsy na ślub jeśli tylko bym mogła.

To była prawda. Simon rzadko widział Maie nie ubraną w džinsy i koszulkę. Ubierała się całkowicie inaczej od Isabelle, która nosiła sukienki i szpilki bardzo często. (Od tamtej pory, kiedy zobaczył, jak zgmiotła mózg demona obcasem buta, zaczął się martwić o siebie).

Dzwonek wiszący nad drzwiami sklepu zaczął dzwonić. Do sklepu weszła Jocelyn, a za nią Luke. Obydwaj trzymali parujące kubki z kawą, Jocelyn spoglądała na Luke'a. Jej policzki pokrywał rumieniec a oczy lśniły. Simon pamiętał kiedy Clary powiedziała, że ich miłość zmienia się w obsesję. On nie zobaczył w nich czegoś obsesyjnego, możliwe, że dlatego ponieważ nie byli jego rodzicami. Wyglądali na bardzo szczęśliwych.

Jocelyn spojrzała na sukienkę, którą miała na sobie Clary.

- Kochanie, wyglądasz niesamowicie!

- Taa, wiedziałam, że to powiesz. Jesteś moją mamą. - odpowiedziała Clary, jednak uśmiechnęła się lekko. - Czy to kawa?

- Tak. Jest to prezent za to, że się spóźniliśmy. - powiedział Luke podając jej kubek. - Coś nas powstrzymało. Mieliliśmy problem z cateringiem.

Kiwnął głową w stronę Simona i Mai. - Cześć.

Maia również pokiwała głową w jego stronę. Luke był głową lokalnej paczki wilków, do której należała. Chociaż zabronił jej nazywania siebie mistrzem albo per Panem, pozostała pełna szacunku wobec niego w jego obecności, jak i bez niej.

- Przyniosłam kopertę. - powiedziała, zamykając konsolę. - Są w niej pytania o imprezie...

Maia i Luke zaczęli rozmawiać o imprezie dla ich paczki, na której wszyscy mają pokazać szacunek wobec swojego wilka alfa, przed jego ślubem. Właścicielka sklepu ślubnego, wysoka kobieta, która czytała gazetę za ladą, zdała sobie sprawę, że Jocelyn patrzy na nią od kilku minut, trzymając w ręce sukienkę, która chciała przymierzyć. Kiedy zaczęła odchodzić, kobieta zauważyła ją nagle i zaczęła ją gonić.

- Już biorę tę sukienkę, wygląda cudownie. - powiedziała, biorąc pod ramię mamę Clary, i ciągnąc ją w stronę przebieralni. - Proszę ją przymierzyć.

Jocelyn widząc idącego za nimi Luke, wymierzyła w niego groźnie palca.

- Zostajesz tutaj.

Luke patrzył, jak jego narzeczona znika za jednymi z białych drzwi wahadłowych, na których były namalowane dzwony weselne, co wyglądało dziwnie.

- Pan młody nie powinien widzieć panny młodej w sukni ślubnej przed ślubem, bo to przynosi pecha. - powiedziała Clary. - Chyba zdziwiła się widząc, że chciałeś iść za nią.

- Ale Jocelyn chciała znać moją opinię... - przerwał Luke i potrząsnął głową. - Przyziemni mają dziwne przesady.

Usiadł na krześle i skrzywił się czując, jak wyrzeźbiona kokarda wbiła mu się w plecy.

- A co ze ślubem Nocnych Łowców? - spytała Maia. - Czy oni też mają zwyczaje?

- Mają. - powiedział wolno Luke. - Ale to nie będzie klasyczna ceremonia Nocnych Łowców. Jeden z nas nie spełnia jej warunków, ponieważ nie jest już Nocnym Łowcą.

- Ale w czym to przeszkadza? - Maia wyglądała na zszokowaną.

- Jedną z części ślubu Nocnych Łowców jest rysowanie sobie nawzajem znaków runicznych. - powiedział Luke. Jego głos był spokojny, ale jego oczy pokazywały, że jest smutny. - Znaki miłości i przywiązania. Ale oczywiście nikt kto nie jest Nocnym Łowcą, nie może mieć narysowanych run, więc ja i Jocelyn zdecydowaliśmy się, że będzie to zwyczajny ślub.

- Do kitu. - powiedziała ostro Maia.

Luke uśmiechnął się. - Nie prawda. Poślubienie Jocelyn było zawsze tym, czego pragnąłem, i nie będę się martwić szczegółami. Wszystko się zmieni. Nowi członkowie komisji zrobili dużo postępów, w kierunku przekonywania Clave, by zaczęli tolerować takie...

- Clary! - krzyknęła Jocelyn, przez lekko uchylone drzwi. - Możesz tutaj przyjść na moment?

- Idę! - odrzyknęła Clary, wypijając do końca kawę, którą wyrzuciła do kosza. - Chyba ma jakiś problem z sukienką.

- Więc... powodzenia z tym. - powiedziała Maia, uginając kolana i wstając, podała wyłączoną konsolę, Simonowi, całując go w policzek. - Musze iść. Spotykam się z przyjaciółmi w „Hunter Moon”.

Simon poczuł miły zapach wanilii. Chwilę później poczuł słony zapach krwi, której woń była bardzo ostra, z dodatkiem cierpkiego zapachu cytryny, który był wyjątkowy dla wilkołaków. Krew każdego podziemnego pachniała inaczej, fearies pachniała zgniłymi kwiatami, czarowników jak spalone zapalki, i innych wampirów jak metal.

Clary kiedyś spytała go jak pachnie krew Nocnych Łowców.

- Jak światło słoneczne. - odpowiedział.

- Do zobaczenia, Simon. - powiedziała Maia, i prostując się, zmierzwiła włosy Simona, i wyszła. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Clary spojrzała na niego uważnie, z lekką złością.

- Musisz naprawić swoje życie miłosne do następnej soboty. - powiedziała. - Simon mam na myśli, że jeśli ty im nie powiesz, ja to zrobię.

Luke wyglądał na zdziwionego. - Powiedzieć komu co?

Clary potrząsnęła głową w stronę Simona.

- Stąpasz na cienkim lodzie, Lewis.

Mówiąc to, odwróciła się i ruszyła szybko w stronę drzwi, za którymi była jej matka.

- Oczywiście, - powiedział Luke. - coś się dzieje, a ja oczywiście nie wiem co.

Simon spojrzał ponad niego.

- Czasami myślę, że jest to dewizą mojego życia.

Luke spojrzał na niego uważnie. - Ale co? Czy coś się stało?

Simon zawahał się. Nie mógł powiedzieć Luke o jego życiu miłosnym, bo był z Maią w tej samej paczce, a wszyscy jej członkowie byli bardzo lojalni wobec siebie. Gdyby to zrobił, postawiłby Luke w dziwnej sytuacji. Prawdą było, że Luke był pomysłowy. Jako lider Manhattan'skiej paczki wilkołaków, miał dostęp do wszelkich informacji, i znał się dobrze na polityce podziemnych.

- Słyszałeś kiedyś o wampirzycy o imieniu Camille?

- Wiem, kim jest. Jestem zdziwiony, że się o nią pytasz. - powiedział cicho Luke.

- Jest ona głową wampirzego klanu w Nowym Jorku. Słyszałem o niej. - powiedział sztywno Simon.

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę kim jest. Myślę, że pragniesz żyć jak człowiek bardziej, niż możesz. - w głosie Luke było słyhać ciekawość. - Teraz śródmiejską paczką

wampirów zajmuję się ich zastępczy lider, jej zastępcą Raphael. Nie wiem czy ktokolwiek wie, gdzie jest. Jest prawie jak legenda. Jest niezwykle starym wampirem. Jest okrutna i przebiegła.

- Czy kiedykolwiek ją widziałeś?

Luke potrząsnął głową. - Nie widziałem jej. Dlaczego jesteś taki ciekawski?

- Raphael wspominał coś o niej.

Luke potarł swoje czoło. - Widziałeś się ostatnio z Raphaelem?

Zanim Simon odpowiedział, drzwi sklepu się otworzyły, i wszedł przez nie Jace. Clary nie wspominała o tym, by miał przyjść.

Tak właściwie, Clary nie wspominała o Jace ostatnio prawie w ogóle.

Jace spojrzała na Luke i Simona. Wydawał się być zaskoczony ich widokiem. Simon wyobraził sobie Jace'a obejmującego Clary, gdy byli sami i poczuł się dziwnie.

- Wygląda, - powiedział kiedyś Simon do Isabelle. - jakby myślał o czymś bardzo intensywnie, ale jeśli spytałby się go, o czym, dostałby prosto w twarz.

- Więc go nie pytaj. - odpowiedziała Isabelle takim tonem, jakby Simon powiedział coś śmiesznego. - Nikt cię nie zmusza, żebyś się z nim przyjaźnił.

- Jest tutaj Clary? - spytał Jace, zamykając drzwi za sobą. Wyglądał na zmęczonego. Miał cienie pod oczami, nie zwracając uwagi przy tym, że nie założył na siebie żadnej kurki, chodząc na dworze wiało zimny, jesienny wiatr. Chociaż chłód już nie przeszkadzał Simonowi, patrząc na Jace'a, w dzinsach i koszulce, zrobiło mu się chłodno.

- Pomaga Jocelyn. - wytłumaczył Like. - Ale możesz tutaj poczekać na nią z nami.

Jace rozejrzał się niepewnie po ścianach okrytych welonami, wachlarzami, tiarami oraz sznurami drobnych perełek.

- Wszystko jest takie ...białe.

- Oczywiście, że jest białe - powiedział Simon. - To w końcu ślub.

- Białe wśród łowców jest kolorem pogrzebowym - wyjaśnił Luke. - Ale dla przyziemnych, Jace, to właśnie kolor ślubny. Panny młode ubrane są w biel, która symbolizuje ich czystość.

- Myślałem, że Jocelyn mówiła, że jej sukienka nie jest biała - oznajmił Simon.

- Właściwie to... - zaczął Jace - mam wrażenie, że ten statek już dawno zadokował.

Luke zakrztusił się kawą. Zanim mógł cokolwiek powiedzieć, lub zrobić, Clary wróciła do pomieszczenia. Jej włosy były podpięte do góry lśniącymi spinkami, a kilka loczków opadało luźno na ramiona.

- Nie wiem - mówiła, idąc w ich kierunku. - Karyn dorwała się do moich włosów, ale nie jestem pewna co do tych błyskotek...

Przerwała zauważając Jace'a. Z jej wyrazu twarzy dało się wyczytać, że podobnie jak on, nie spodziewała się go tu. Jej usta rozwarły się w zaskoczeniu, ale nie uszedł z nic żaden dźwięk. Jace, z drugiej strony, patrzył się na nią i choć raz w jego życiu, Simon mógł z niego czytać, jak z otwartej książki. Było zupełnie jakby cały świat stracił znaczenie dla Jace'a i tylko on z Clary istnieli w danej chwili. Spoglądał na nią z nieskrywaniem wołaniem i pożądaniem, które sprawiało, że Simon czuł się niezręcznie, jakby nagle napotkał ich w bardzo prywatnym momencie.

Jace odchrząknął - Wyglądasz pięknie.

- Jace. – Clary wyglądała na bardziej zaintrygowaną, niż kiedykolwiek. – Czy wszystko jest w porządku? Myślałam, że nie będziesz mógł przyjść. Mówiłeś o spotkaniu z Konklawe.

- To prawda – powiedział Luke. – Słyszałem o ciebie łowcy w parku. Czy są jakieś wieści?

Jace potrząsnął głową, wciąż wpatrując się w Clary. – Nie. Wiemy tylko, że ofiara nie była członkiem nowojorskiego Konklawe, prócz tego nie została nawet zidentyfikowana. Żadne z ciał nie zostało. Cisi bracia właśnie je sprawdzają.

- To dobrze. Bracia rozgryzą kim oni są – powiedział Luke.

Jace milczał. Nie spuszczał wzroku z Clary, a jego spojrzenie było bardzo dziwne. Simon myślał, że właśnie takim spojrzeniem obdarowuje się kogoś kogo kochasz, ale nie masz prawa posiadać. Wyobrażał sobie, że właśnie tak Jace mógł się czuć wobec Clary wcześniej, ale teraz?

- Jace? – zapytała Clary, biorąc krok w jego stronę.

Oderwał od niej wzrok. – Ta kurtka, którą pożyczyłaś ode mnie wczoraj w parku – zaczął. – Masz ją jeszcze?

Będąc coraz bardziej zdezorientowaną, Clary wskazała na pytany przedmiot, perfekcyjnie zwyczajną, brązową kurtkę z zamszu, która wisiała na oparciu jednego z krzeseł. – Jest tam. Chciałam ci ją przynieść później.

- No więc – odrzekł Jace i podnosząc ubranie przełożył szybko ręce przez rękawy, jakby nagle był w pośpiechu - teraz już nie musisz.

- Jace – powiedział Luke w swoim charakterystycznie uspokajającym tonie - po przymiarkach wybieramy się na wczesny obiad na Park Slope. Możesz się przyłączyć jeśli chcesz.

- Nie – stwierdził Jace, zapinając kurtkę. – Mam trening dzisiaj wieczorem. Lepiej będę się już zbierać.

- Trening? – zawtórowała Clary. – Ale dopiero co trenowaliśmy wczoraj.

- Niektórzy z nas muszą trenować codziennie, Clary. – Jace nie brzmiał na zdenerwowanego, ale dźwięk jego głosu miał w sobie nutkę wyraźnej ostrości i Clary poczerwieniała. – Widzimy się później – dodał bez patrzenia i praktycznie wybiegł za drzwi.

Kiedy zamknęły się za nim, Clary powyrywała ze złości spinki z włosów. Loki opadły kaskadą w dół jej ramion.

- Clary – Luke powiedział delikatnie. Wstał. – Co ty robisz?

- Moje włosy. – Pociągnęła mocno za ostatnie upięcie. Jej oczy błyszczały się i Simon mógł powiedzieć, że z trudem powstrzymywała od łez. – Nie chcę mieć takiej fryzury. Wygląda głupio.

- Nie, wcale nie. – Luke zabrał od niej spinki i położył na jednym z małych, białych stolików. – Zrozum, śluby sprawiają, że mężczyźni się denerwują, okej? To nic nie znaczy.

- No jasne. – Clary próbowała się uśmiechnąć. Prawie, że jej się udało, ale Simon wiedział, że nie uwierzyła Lukowi. Nie mógł jej za to winić. Po tym jak widział wyraz twarzy Jace'a, sam nie mógłby mu wierzyć.

Z oddali „Fifth Avenue Diner³²” błyszczało się jak gwiazda, pośród grantowego zmierzchu. Simon szedł obok Clary, przecinając przecznice z Jocelyn i Lukiem kilka kroków na przód. Clary na powrót założyła jeansy. Gruby, biały szalik okrywał jej szyję. Od czasu do czasu

³²Restauracja

podnosiła dłoń, by pobawić się pierścieniem zawieszonym na łańcuszku. Nerwowy nawyk, którego pewnie nie była nawet świadoma.

Kiedy opuścili salon ślubny, zapytał ją czy wiedziała co jest nie tak z Jace`em, ale nie odpowiedziała mu konkretnie. Wzruszyła ramionami i zaczęła zagadywać go jego własnymi sprawami. Co się z nim działo, czy rozmawiał już ze swoją matką i czy nie przeszkadzało mu, że zostaje z Erykiem. Kiedy powiedział jej, że koczuje u Kyle`a była zaskoczona.

- Ale ty go prawie nie znasz – powiedziała. – Mógłby być seryjnym mordercą.

- O wszystkim już pomyślałem. Sprawdziłem jego mieszkanie, ale jeżeli jakimś cudem ma lodówkę pełną odrąbanych rąk, to jeszcze jej nie widziałem. Tak, czy inaczej wydaje się być w porządku.

- Więc jak wygląda jego chata?

- Przyjemnie, jak na Alphabet City. Powinnaś wpaść do nas później.

- Nie dziś – powiedziała Clary, lekko nieprzytomna. Znów bawiła się pierścieniem. – Może jutro?

Idziesz zobaczyć się z Jace`em? – pomyślał Simon, ale nie naciskał na nią. Jeżeli nie chciała o tym mówić, nie będzie jej zmuszał. – Proszę bardzo. – Otworzył dla niej drzwi restauracji i ciepły zapach souvlaki³³ uderzył ich nozdrza.

Znaleźli miejsce przy jednym z wielkich, płaskich telewizorów, wiszących na ścianach. Wcisnęli się na ławki³⁴, podczas gdy Jocelyn wraz z Lukiem gadali ożywieni o weselnych planach. Wyglądało na to, że stado Luka czuło się urażone brakiem zaproszenia na ceremonię, nawet jeśli lista gości była mała i nalegali na wystawienie uroczystości w odnowionej fabryce na Queens. Clary słuchała nie odzywając się słowem. Kelnerka podeszła do stolika, podając menu tak sztywnie laminowane, że można by go użyć jako broni. Simon położył swoje na bok i wyglądał za okno. Naprzeciwko ulicy znajdowała się siłownia i za szklaną szybą z przodu, widział ludzi ćwiczących na bieżni, podnoszących ciężary ze słuchawkami przytwierdzonymi do ich uszu. *Cale to bieganie bez celu* – pomyślał. *Historia mego życia.*

Próbował wyprzeć ciemne myśli z umysłu i prawie się mu udało. *To była jedna z najbardziej znajomych scen w jego życiu* – myślał. *Stolik w rogu restauracji, on sam i Clary z jej rodziną.* Luke zawsze był rodziną, nawet jeśli wcześniej nie planował ślubu z matką Clary. Simon czuł się jak w domu. Próbował wymusi uśmiech na twarzy, tylko po to, żeby zorientować się, że Jocelyn o coś go spytała i nie usłyszała. Wszyscy przy stole patrzyli na niego oczekująco.

- Przepraszam – powiedział. – Co mówiłaś?

Jocelyn uśmiechnęła się cierpliwie. – Clary mówiła mi, że macie nowego członka w zespole? Simon wiedział, że stara się być tylko miła. Miła, w takim sensie, w jakim rodzice udają, że podchodzą do twoich zainteresowań z powagą. Mimo to wciąż przychodziła na kilka z jego występów już wcześniej, żeby pomóc wypełnić salę. Naprawdę o niego dbała. Zawsze to robiła. W ciemnych, bardzo schowanych miejscach jego umysłu Simon podejrzewał, że zawsze wiedział jak czuje się w stosunku do Clary i zastanawiał się czy Jocelyn nie wolałaby, żeby jej córka dokonała innego wyboru, gdyby to było coś, co mogłaby kontrolować. Miał

³³Grecka potrawa: <http://pl.wikipedia.org/wiki/Souvlaki>

³⁴Chodzi o tego rodzaju siedziska, chyba brak na to polskiego odpowiednika:
http://www.eastmainupholstery.com/Quickstart/ImageLib/Restaurant_booth2.jpg

pojęcie, że nie do końca lubiła Jace'a. Było to słyszeć wyraźnie nawet w sposobie, jakim wymawiała jego imię.

- Ta - powiedział. – Kyle. Jest trochę dziwnym gościem, ale supermiłym. – Zachęcony do rozmowy o dziwactwie Kyle'a przez Luka, Simon powiedział im o mieszkaniu chłopaka, ze szczególną ostrożnością zachowując dla siebie szczegóły o tym, że lokal był teraz również jego miejscem pobytu. Jego robota kuriera rowerowego i jego obita ciężarówka pickup. – I hoduje te dziwne rośliny na balkonie – dodał. – To nie trawka, sprawdzałem. Mają takie srebrzyste liście...

Luke zmarszczył brwi, ale nie mógł nic powiedzieć, bo do stolika podeszła kelnerka, niosąc wielki, srebrny dzbanek z kawą. Była młoda i miała wyblakłe, jasne włosy, uczesane w dwa kucyki. Kiedy schyliła się by nalać Simonowi kawy, jeden z nich musnął go po ręce. Mógł wywęszyć jej spocone ciało, a pod jego skórą krew. Ludzka krew, najśłodszy zapach jaki mógł tylko istnieć. Poczuł znajome ściskanie żołądka. Ogarnęło go zimno. Był głodny, a wszystko zostawił w mieszkaniu Kayle'a, w dodatku w pokojowej temperaturze krew zaczęła się już rozkładać. Nie za przyjemny prospekt nawet jak dla wampira.

Nigdy nie żywiłeś się na człowieku, prawda? Zrobisz to jeszcze. A kiedy będzie po wszystkim, nigdy nie zapomnisz.

Zamknął oczy. Kiedy ponownie je otworzył, kelnerka zniknęła, a Clary wpatrywała się w niego ciekawsko z naprzeciwka stołu. – Czy wszystko jest w porządku?

- Tak. – Zaciśnął dłoń wokół kubka. Trzęsła się. Nad nimi telewizor wciąż huczał. Nadawali właśnie nocne wiadomości.

- Ugh – westchnęła Clary, spoglądając na ekran. – Słuchacie tego?

Simon podarzył za jej wzrokiem. Prezenter miał na twarzy ten charakterystyczny dla dziennikarzy wyraz, gdy mówili akurat o czymś bardzo ponurym. – Nikt nie przyznał się do noworodka porzuconego kilka dni temu w alei za szpitalem Beth Israel. – mówił mężczyzna. - Chłopiec jest biały, waży sześć funtów i osiem uncji oraz ogółem zdrowy. Został odnaleziony przywiązany do nosidełka dziecięcego, położony za kontenerem w uliczce – kontynuował prezenter. – Najbardziej wstrząsająca była ręcznie napisana notatka doczepiona do kocyka dziecka, w której zawierało się błaganie do władz szpitalnych o eutanazję dziecka, bo „Sama nie mam serca zrobić to własnoręcznie”. Policja mówi o prawdopodobieństwie choroby psychicznej matki i zapewniają, że mają w zanadrzu „obiecujące poszlaki”. Ktokolwiek posiadający konkretne informacje na temat dziecka powinien skontaktować się z Crime Stoppers³⁵ w...

- To takie okropne – powiedziała Clary, odwracając się od odbiornika z wzdrygnięciem. – Nie mogę zrozumieć, jak ludzie mogą tak po prostu wyrzucać maleństwa, zupełnie jakby były śmieciami...

- Jocelyn – rzekł Luke, ostrym tonem troski. Simon spojrzał na matkę Clary. Była blada, jak prześcieradło i wyglądała jakby zaraz miała zwymiotować. Odsunęła od siebie gwałtownie talerz, wstała od stołu i pośpieszyła do łazienki. Po chwili Luke upuścił serwetkę i pobiegł za nią.

³⁵ Określenie istnieje również w języku polskim. Jest to program dotyczący mniej więcej pomocy społeczeństwa w policji. Więcej na ten temat: <http://www.pomorska.policja.gov.pl/cs.php>

- O, kurde. – Clary zasłoniła dłonią usta. – Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam. Jestem taka głupia.

Simon był wielce zdumiony. – Co się dzieje?

Clary zjechała w dół siedzenia. – Myślała o Sebastianie – powiedziała. – To znaczy Jonathanie, moim bracie. Myślę, że doskonale go pamiętasz.

Robiła się sarkastyczna. Żadne z nich nie miało szansy na zapomnienie o Sebastianie, którego prawdziwe imię brzmiało Jonathan. Tego samego, który zamordował Hodge'a, Maxa i prawie, że zatryumfował w pomocy Valentinowi przy wygranej w wojnie, prowadzącej do destrukcji wszystkich łowców. Jonathan, który miał paląco czarne oczy i uśmiech, jak scyzoryk. Jonathan, którego krew smakowała, jak kwas od baterii, gdy Simon miał szansę go ugryźć. Nie, żeby tego teraz żałował.

- Ale twoja matka go nie opuściła – powiedział Simon. – Utknęła w roli jego wychowanki, nawet jeśli wiedziała, że jest z nim coś potwornie nie tak.

- Mimo to, wciąż go nienawidziła – powiedziała Clary. – Myślę, że chyba nigdy jej to nie przeszło. Wyobraź sobie nienawiść do własnego dziecka. Zwykłą nosić pudełko z jego rzeczami i płakać nad zawartością pojemnika każdego roku w urodziny Jonathana. Myślę, że płakała nad stratą syna, którego mogła mieć. No wiesz, gdyby Valentine nie zrobił tego, co zrobił.

- I miałybyś teraz brata – odrzekł Simon. – Takiego prawdziwego, a nie psychopatycznego mordercę.

Na krawędzi łez, Clary odepchnęła talerz na bok. – Teraz czuję się niedobrze – powiedziała. – Znasz to uczucie, kiedy jesteś głodny, ale nie zmusisz się do jedzenia?

Simon spojrzał na kelnerkę z wyblakłymi włosami, który pochylała się na białym. – Ta – odpowiedział. – Znam.

Luke wrócił w końcu do stolika, ale tylko po to by powiedzieć Clary i Simonowi, że zabiera Jocelyn do domu. Zostawił im pieniądze, którymi zapłacili za obiad, wychodząc z restauracji do „Galaxy Comics³⁶” przy siódmej alei. Żadne z nich nie mogło skupić się na zabawie, więc po jakimś czasie rozeszli się z obietnicą na spotkanie następnego dnia.

Simon wjeżdżał do miasta z kapturem od bluzy naciągniętym na głowę i iPodem trzeszczącym w jego uszy. Muzyka zawsze była jego sposobem na zablokowanie wszystkiego z zewnątrz. Do czasu, gdy dotarł na drugą aleję i zjechał na Houston, zaczął padać deszcz i zaczęło mu się zwijać w brzuchu.

Przebiegała pierwszą przecnicę, która była prawie że opustoszała. Kawałek ciemności pomiędzy światłami pierwszej alei, a ulicą A. Ponieważ miał na sobie słuchawki nie usłyszał, jak skradają się za nim, kiedy praktycznie na niego napadli. Pierwszy sygnał, że coś jest nie tak, dotarł do umysłu, gdy zauważył długi cień padający wzdłuż chodnika, zasłaniając jego własny. Kolejny cień dołączył do drugiego obok. Obrócił się... i zauważył dwóch mężczyzn z tyłu. Oboje byli ubrani jak złodziei, który go napadł innej nocy. Szare dresy, szare kaptury zaciągnięte na twarz, by ją ukryć. Byli tak blisko, że mogliby go dotknąć.

Simon odskoczył do tyłu z siłą, jaka go zaskoczyła. Rozmawiali tym samym gardłowym językiem, co poprzedni bandyta. Simon zaczął podejrzewać, że i tamten wcale nie był

³⁶ Oczywiście sklep z komiksami. Info na fejsie: <http://www.facebook.com/pages/Galaxy-Comics/9849083299>

przestępcą. O ile było mu wiadomo złodzieje nie pracowali w gangach i byłoby to nieprawdopodobne, że miał też przyjaciół złoczyńców, którzy zdecydowaliby się wymierzyć pomstę za śmierć ich kupła. Tu działo się wyraźnie coś innego.

Dotarli do podestu, efektywnie blokując go na schodach. Simon wyrwał słuchawki z uszu i pośpiesznie podniósł ręce do góry. – Słuchajcie – powiedział - nie wiem o co tu chodzi, ale naprawdę wolelibyście zostawić mnie w spokoju.

Złodziejaszki tylko się patrzyły. Albo przynajmniej myślał, że to robili. Pod cieniem ich kapturów trudno było zauważyć ich twarze.

- Mam wrażenie, że ktoś wysłał was za mną – rzekł. – Ale to misja samobójcza. Naprawdę. Nie wiem za co wam płacą, ale z pewnością nie jest to wystarczająca suma.

Jeden z dresów się zaśmiał. Drugi sięgnął do kieszeni i coś z niej wyjął. Coś co błyszczało na czarno w świetle ulic.

Pistolet.

- O, człowieku – powiedział Simon. – Naprawdę, ale to naprawdę nie chcesz tego zrobić. Nie żartuje. – Wziął krok do tyłu, w górę schodów. Może, gdyby wspiał się wystarczająco wysoko mógłby nad nimi skoczyć, albo nawet przeskoczyć. Cokolwiek byleby nie dopuścić do ataku. Nie mógłby przeżyć konsekwencji. Nie po raz kolejny.

Mężczyzna z bronią uniósł ją. Nastąpiło charakterystyczne kliknięcie, gdy odblokował spust. Simon przygryzł wargę, w panice wysunęły mu się kły. Zabolą go, gdy wbiły się w skórę. – Nie...

Czarny obiekt spadł z nieba. Z początku Simon był przekonany, że pewnie coś zsunęło się z wyższych okien, pudełko z klimatyzacją, albo ktoś zbyt leniwy by wynieść śmieci po prostu je zrzucił. Ale spadająca rzecz była osobą. Leciała w tym kierunku, celowo i z gracją. Figura wylądowała na złodzieju, przytwierdzając do podłoża. Pistolet wypadł mu z ręki i krzyknął cienkim, wysokim głosem.

Drugi z kryminalistów schylił się i chwycił za broń. Zanim Simon mógł zareagować, facet podniósł ją i pociągnął za spust. Iskry ognia pojawiły się u wylotu lufy.

Pistolet rozpadł się na pół. Rozpadł się zarówno on jak i złodziejaszek, a wszystko nastąpiło tak szybko, że ten nie wydał z siebie żadnego dźwięku.. Chciał wymierzyć szybką śmierć Simonowi, którą sam uzyskał w zamian. Połamał się na kawałeczki, jak szkło, jak układające się na zewnątrz kolory w kalejdoskopie. Była lekka eksplozja. Jej dźwięk roznoszący się w powietrzu, a potem nic prócz małego deszczyku soli, spadającej na chodnik, niczym skondensowane krople.

Wizja Simona się zamazała, gdy spadał na schody. Był świadomy głośniego huczenia w jego uszach, a wtedy ktoś złapał go mocno za nadgarstki i silnie potrząsł.

– Simon. Simon!

Spojrzał w górę. Osobą która go trzymała i potrząsała był Jace. Nie był w przebraniu, ale wciąż miał na sobie te same jeansy i kurtkę, którą wziął od Clary. Był rozczochrany, a jego ubrania i twarz przykryte były brudem i sadzą. Włosy miał mokre od deszczu.

- Co to do jasnej cholery miało być? – zapytał.

Simon rozejrzał się po ulicy. Była opustoszała. Asfalt świecił się czernią od wilgoci, całkowicie pusty. Drugi z bandytów zginął.

- Ty – powiedział lekko zachrypnięty. – Ty napadłeś na złodziejasków...

- Oni nie byli złodziejaskami. Śledzili cię odkąd wyszedłeś z metra. Ktoś ich przysłał – odrzekł Jace z kompletną pewnością.

- Ten drugi – zaczął Simon. – Co się z nim stało?

- Po prostu się rozplątał – Jace pstryknął palcami. – Zobaczył, co się stało z jego przyjacielem i ot tak zniknął. Nie wiem czym dokładnie byli. Na pewno nie demonami, ale też nie zupełnie ludźmi.

- Ta, sam na to wpadłem. Dzięki.

Jace przyjrzał się mu bliżej. – To... co przytrafiło się temu przestępcy... to byłeś ty, prawda? Twój znak tutaj. – Wskazał na swoje czoło. – Widziałem jaki pali się bielą, zanim ten gość... zniknął.

Simon nie odpowiedział.

- Nie zrobiłem tego – powiedział delikatnie. – Nic nie zrobiłem.

- Nie musiałeś – odparł Jace, jego złote oczy świeciły, odbijając się od brudnej twarzy. – „Moja jest odpłata i kara, w dniu, gdy się noga ich potknie.”³⁷

Tłumaczenie: *Windy Dreams, JimmyK*

Korekta: *Isztar*

³⁷ Cytat z Księgi Powtórzonego Prawa, Pieśń Mojżeszowa 32:35. Po angielsku: “For it is written, Vengeance is mine; I will repay, saith the Lord.”

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obudzona śmierć

Pokój Jace'a był czysty jak zawsze – idealnie pościelone łóżko, książki ustawione na półkach w kolejności alfabetycznej, zeszyty i notatki ułożone starannie na biurku. Nawet jego broń leżała wzdłuż ściany według wielkości, od masywnego miecza po zestaw małych sztyletów.

Stojąca w drzwiach Clary, powstrzymała westchnienie. Ta schludność była dobra. Przywykła do niej. Uważała, że to sposób Jace'a na kontrolę nad elementami jego życia, które, w przeciwnym razie, ogarnie chaos. Żył tak długo nie wiedząc kim – a nawet czym – jest, więc mogła mu tylko pozazdrościć jego starannie uporządkowanego życia.

Nie musiała, a jednak żałowała, że go tu nie ma. Jeśli nie wrócił z ślubnego sklepu, w którym byli, to dokąd poszedł? Rozejrzała się po pokoju i owiało ją niejasne przeczucie. Czy to możliwe, by to wszystko działo się naprawdę? Wiedziała, jak wyglądają zerwania od innych dziewczyn, które o tym opowiadały. Najpierw odejścia, stopniowo odmowne notatki lub rozmowy telefoniczne. Następnie niejasne wiadomości mówiące, że nic się nie stało, że ta druga osoba po prostu chciała trochę miejsca. Potem gadki typu „To nie ty, to ja”. I zostaje tylko ta łzawa część.

Nigdy nie myślała, że któraś z tych rzeczy mogłaby dotyczyć jej i Jace'a. To, co mieli, nie było zwykłe, to nie był zwykły związek ani zwykłe rozstania. Należeli do siebie całkowicie, zawsze tak było i tyle.

Ale może wszyscy czują się w ten sposób? Aż do momentu, w którym zdają sobie sprawę, że są jak inni i to, co uważali za prawdziwe, tylko ich rujnowało.

Coś połyskującego srebrem przykuło jej uwagę. Było to pudełko z delikatnym rysunkiem ptaków na bokach. Amatis dała je Jace'owi. Clary wiedziała, że pracował nad sobą, czytając listy, przyglądając się notatkom i zdjęciom. Nie mówił jej o tym zbyt wiele, a ona nie chciała się wtrącać. Uczucia do jego biologicznego ojca to było coś, z czym musiał pogodzić się we własnym zakresie.

Skupiła teraz uwagę na pudełku. Pamiętała Jace'a siedzącego na schodkach przed Salą Porozumień w Idrisie, trzymającego je na kolanach. *Jakbym mógł przestać Cię kochać?*, powiedział. Wzięła jedną i spojrzała na nią, zafascynowana. Na zdjęciu były dwie młode osoby – kobieta i mężczyzna.

Natychmiast w kobiecie rozpoznała siostrę Luke'a, Amatis. Była wpatrzona w młodzieńca i promenująca blaskiem pierwszej miłości. On był przystojny, wysoki, jasnowłosy, chociaż jego oczy były niebieskie, a nie złote, a rysy twarzy mniej ostre niż u Jace'a. A mimo to, wiedza, kim był – ojcem Jace'a – wystarczyła by ścisnąć jej się żołądek.

Odłożyła zdjęcie Stephena Herondale szybko z powrotem, prawie kalecz palec o ostrze cienkiego sztyletu ułożonego w poprzek pojemnika. Ptaki zostały wyrzeźbione na jego rękojeści, a samo ostrze było poplamione rdzą, lub czymś, co wyglądało jak rdza. Pewnie

było niedokładnie splukane. Zamknęła szybko wieczko i odwróciła się z poczuciem winy ciążącym na ramionach.

Myślała o zostawieniu mu notatki, ale wołała poczekać, aż będzie w stanie porozmawiać z Jace'em osobiście. Wyszła i skierowała się korytarzem do windy. Pukała wcześniej do drzwi Isabelle, ale wyglądało na to, że nie było jej w domu. Nawet delikatne magiczne światło wydawało się świecić słabiej niż zwykle.

Czując całkowitą rezygnację, Clary wcisnęła przycisk wywołania windy, tylko by uświadomić sobie, że był już podświetlony. Ktoś z dołu chciał się dostać do Instytutu.

Jace, pomyślała natychmiast z przyspieszonym pulsem. Ale oczywiście to może nie być on. To może być Izzy, albo Maryse, albo...

- Luke? – zapytała zdziwiona, gdy rozsunęły się drzwi windy. – Co ty tutaj robisz?

- Mógłbym zapytać cię o to samo. – wyszedł z windy, zaciągając za sobą kratkę. Był ubrany w wyściełaną polarem flanelową kurtkę, którą Jocelyn próbowała wyrzucić zanim zaczęli się spotykać. Clary uważała, że to całkiem miłe, że w Luke'u nic się nie zmieniło, bez względu na to, co wydarzyło się w jego życiu. Był jaki był i tyle. Nawet jeśli był to zniszczony, stary płaszcz.

- Podejrzewam, że jednak potrafię zgadnąć. Więc, jest tutaj?

- Jace? Nie. – Clary wzruszyła ramionami, starając się wyglądać na obojętną. – Nie ma sprawy. Zobaczę go jutro.

Luke zawahał się.

– Clary...

- Lucian – odezwał się za jego plecami zimny głos Maryse. – Dziękuję za tak szybkie przybycie.

Odwrócił się i skinął na nią.

- Maryse.

Maryse Lightwood stała w drzwiach z dłonią opartą o framugę. Miała na sobie szare rękawiczki dopasowane do kostiumu w tym samym kolorze. Clary zastanawiała się, czy ona kiedykolwiek nosiła jeansy. Nigdy nie widziała matki Aleca i Isabelle ubranej w coś innego jak taki kostium bądź zbroję.

- Clary – powiedziała. – Nie spodziewałam się, że tu będziesz.

Rudowłosa poczuła, że się rumieni. Wydawało się, że Maryse nie przeszkadza, że kręci się w pobliżu, ale z drugiej strony nigdy naprawdę nie zaaprobowwała związku jej związku z Jacem. Trudno było mieć o to do niej pretensje. Maryse wciąż przeżywała śmierć Maksa, który odszedł niecałe sześć tygodni temu, a na dodatek robiła to samotnie, bo Robert Lightwood wciąż był w Idrisie. Miała większe zmartwienia na głowie niż życie miłosne Jace'a.

- Właśnie wychodzę – odparła Clary.

- Odwiozę cię do domu, kiedy tu skończę – powiedział Luke, kładąc jej rękę na ramieniu. – Maryse, czy jest możliwość, by Clary poczekała, kiedy będziemy rozmawiać? Wolałbym, żeby została.

Maryse potrząsnęła głową.

- Myślę, że nie ma problemu. – Westchnęła, przeczesując palcami włosy. – Wierz mi, nie chcę cię niepokoić. Rozumiem, że się żenisz w tym tygodniu, tak nawiasem, gratulacje. Nie wiem, co by było, gdybym powiedziała ci to wcześniej.

- Nie musiałaś – odparł Luke. – Ale to miłe. Dziękuję.

- Tylko sześć tygodni – uśmiechnęła się lekko Maryse. – Dość szalonych zalotów. Wilkołak wbił palce w ramię Clary, okazując w ten sposób irytację.

- Wydaje mi się, że nie zaprosiłaś mnie tu po to, by gratulować zaręczyn?

Kobieta potrząsnęła głową. Była znużona, a Clary zauważyła srebrzyste nici w jej ciemnych włosach, których wcześniej tam nie było.

- Nie. Rozumiem, że słyszałeś o ciałach, które znaleźliśmy w ostatnich tygodniach, prawda?

- Martwych Nephilim, tak.

- Dzisiaj znaleźliśmy następne w pobliżu śmietników przy Columbus Park. To terytorium twojej watahy.

Brwi Luke’a uniosły się

- Tak, ale inni...

- Pierwsze ciało zostało znalezione w Greenpoint - terytorium czarowników. Następne pływające w stawie w Cenrtral Parku, gdzie urzędują Fearie. Teraz mamy terytorium wilkołaków. – Wpatrywała się w opiekuna Clary. – Co o tym myślisz?

- To musi być ktoś, kto nie jest zadowolony z ustanowienia nowych Porozumień i stara się skłócić Podziemnych – powiedział Luke. – Mogę zapewnić, że moja sfora nie ma z tym nic wspólnego. Nie wiem, kto to mógł zrobić, ale uważam, że są to bardzo niezdarne próby. Mam nadzieję, że Clave odkryje, kim jest ta osoba.

- Wiemy więcej – odparła Maryse. - Mamy zidentyfikowane pierwsze dwa ciała. Zajęło to trochę czasu, ponieważ pierwsza osoba została spalona prawie doszczętnie, a ciało drugiej uległo rozpadowi. Możesz zgadnąć, kim byli?

- Maryse...

- To Anson Pangbor - kontynuowała - i Charles Freeman. Żaden z nich, mogę zauważyć, nie był widziany od śmierci Valentine’a.

- Ale to niemożliwe – przerwała Clary. - Luke zabił Pangborna, w sierpniu, w Renwick.

- Zabił Emila Pangborna - powiedział Maryse. – Anson był młodszym bratem Emila. Obaj należeli do Kręgu.

- Podobnie jak Freeman - rzekł Luke. - Więc ktoś zabija, ale nie tylko nocnych Łowców, ale też byłych członków Kręgu? I porzuca ich ciała na terytorium Podziemnych?

Pokręcił głową.

- Brzmi to tak, jakby ktoś próbował wstrząsnąć kilku dodatkowych... Opornych członków Clave. Sprawić, że przemyślą nowe Porozumienia. Trzeba się tego spodziewać.

- Tak przypuszczałam – powiedziała Maryse. – Spotkałam się już z Królową Jasnego Dworu i mam wiadomość dla Magnusa. Gdziekolwiek jest. – wywróciła oczami. Wydawało się, że Robert i Maryse łaskawie zaakceptowali związek Aleca z Magnusem, ale Clary mogłaby przysiąc, że przynajmniej Maryse nie brała tego na poważnie.

- Pomyślałam, że może... - westchnęła - Byłam tak wyczerpana ostatnio. Czuję, że trudno mi myśleć prosto. Miałem nadzieję, że masz jakąś propozycję, kto mógł to zrobić, jakiś pomysł, który nie przyszedł mi do głowy.

Luke potrząsnął głową.

- To ktoś niechętny nowemu systemowi. Ale to może być każdy. Przypuszczam, że nie ma dowodów na zwłokach?

Maryse westchnęła.

- Nic rozstrzygającego. Gdyby zmarli mogli mówić, co Lucian?

To było tak, jakby Maryse podniosła rękę i zerwała kurtynę w wizji Clary; jest, wszędzie ciemno, z wyjątkiem jednego punktu, wiszącego świecącego znaku na pustym, nocnym niebie.

Wydawało się, że jej moc nie zniknęła zupełnie.

- Co jeśli... - powiedziała powoli i podniosła oczy na Maryse. – Co się stanie, jeśli będzie można?

Patrząc na siebie w lustrze, w łazience małego mieszkania Kyle, Simon nic nie mógł poradzić, że zastawiał się, skąd wziął się cały ten przesąd o wampirach niemogących zobaczyć swojego odbicia. Był w stanie widzieć siebie doskonale na brudnej powierzchni - potargane, brązowe włosy, duże brązowe oczy, nieskazitelnie biała skóry. Miał zaschniętą na wardze krew, chociaż rozcięcia już dawno się zabił.

Wiedział oczywiście, że jego przemiana w wampira uczyniła go bardziej atrakcyjnym. Isabelle wyjaśniła mu, że jego ruchy stały się płynne i, mając na uwadze, że wcześniej jego ubiór był zaniedbany, teraz wyglądał jakoś atrakcyjnie w tym nieładzie, jakby właśnie wstał z łóżka. "Kogoś innego łóżka", stwierdziła, na co on odpowiedział jej, że już zrozumiał, o co jej chodzi.

Kiedy jednak spojrzał na siebie, nie widział tego. Bładość jego skóry zawsze odzwierciedlała jego zdenerwowanie, podobnie jak ciemna siateczka żył na jego skroni, która wskazywała, że miał dosyć nowości na dzisiaj. Sam wyglądał jak odludek i nie on. Być może ten przesąd, że może się zobaczyć w lustrze był prawdziwy. Może chodziło o to, że nie uznaje się już własnego odbicia, patrząc na siebie.

Odświeżony udał się z powrotem do pokoju, gdzie siedział rozparty na kanapie Jace, czytając zniszczony egzemplarz "Władcy Pierścieni" Kyle'e. Rzucił książkę na stolik, kiedy Simon wszedł. Jego włosy wyglądały na mokre, woda płynęła strumieniem po jego twarzy jak gdyby leciała mu z kuchennego kranu na głowę.

- Wiem już, dlaczego ci się tu podoba - , powiedział, uzupełniając słowa szerokim gestem, który obejmował kolekcję plakatów, filmów i książek science fiction Kyle. – A to tylko cienka warstwa tego wszystkiego.

- Dzięki. Doceniam to. - Simon posłał Jace'owi ciężkie spojrzenie. Z bliska, w świetle żarówki, Jace wyglądał na chorego. Simon zauważył cienie pod oczami, bo były bardziej widoczne niż kiedykolwiek, a jego skóra wydawała się mocno napięta na kościach twarzy. Jego ręce trzęsły się trochę, kiedy odsunął włosy ręką z czoła w charakterystycznym geście.

Simon potrząsnął głową jakby chciał ją wyczyścić. Od kiedy znał Jace'a na tyle dobrze, by rozpoznawać jego typowe gesty? To nie było tak, jakby byli przyjaciółmi.

- Źle wyglądasz. – powiedział.

Jace zamrugnął

- Jak za dawnych czasów pora rozpocząć konkurs nieuprzejmości, ale jeśli nalegasz, mogę wymyślić coś lepszego.

- Nie, mówię poważnie. Nie wyglądasz dobrze.

- To mówi facet, który ma seksapil pingwina. Zobacz, zdaję sobie sprawę, że możesz być zazdrosny, że dobry Bóg nie obdarował cię tymi samymi przymiotami, co mnie, ale to jeszcze nie powód...

- Ja nie staram się ciebie wkurzyć. – Zdenerwował się. – Chodzi mi o to, że wyglądasz na chorego. Kiedy ostatni raz coś jadłeś?

Jace spojrzał na niego zdziwiony.

– Wczoraj?

- Jadłeś coś wczoraj. Jesteś pewien?

Jace wzruszył ramionami.

- No cóż, nie będę przysięgał na Biblię. Myślę, że to było chyba wczoraj.

Simon zbadał zawartość lodówki Kyle wcześniej, kiedy szukał miejsca i nie znalazł wiele. Jedzenie wysuszone ze starości, kilka puszek napojów gazowanych, funt mielonej wołowiny, oraz z jakiegoś powodu jeden Pop-Tart w zamrażarce. Chwycił klucze z blacie kuchennym.

- Chodź - powiedział. – Na rogu jest supermarket. Kupimy ci coś do jedzenia.

Jace spojrzał tak, jakby miał ochotę się sprzeczać, a następnie wzruszył ramionami.

- Dobra - powiedział tonem kogoś, kogo nie interesuje dokąd ani po co idą. - Chodźmy.

Na zewnątrz, na schodkach Simon zamknął za nimi drzwi kluczami, do których zdążył się przyzwyczaić, a Jace przeanalizował listę nazwisk obok domofonu.

- Ten jest twój, co? - zapytał, wskazując na 3A. – Jak to jest, że on się po prostu przedstawia Kyle? Czy on nie ma na nazwiska?

- Kyle chce być gwiazdą rocka - powiedział Simon schodząc w dół po schodkach. - To działa jak pseudonim artystyczny. Podobnie jak Rihanna.

Jace poszedł za nim, zasłaniając się lekko ramionami przed wiatrem, choć nie domyślił się zapiąć kurtki, którą miała dziś na sobie Clary.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Jestem pewien, że nie wiesz.

Kiedy zakręcili na B Avenue, Simon spojrzał na blondyna z boku.

- Więc - powiedział – od kiedy mnie śledzisz? Czy to tylko niesamowity zbieg okoliczności, że zdarzyło się to na dachu budynku, kiedy szedłem i zostałem zaatakowany?

Jace zatrzymał się na rogu, czekając aż światło się zmieni. Podobno nawet Nephilim musiał przestrzegać przepisów ruchu drogowego.

– Śledziłem cię.

- Czy to jest część, gdzie wyznajesz mi swoją sekretną miłość? Mojo wampir uderza ponownie.

- Nie ma czegoś takiego jak moja wampir - powiedział Jace, powtarzając jak echo komentarz Clary. - A tak naprawdę szukałem Clary, ale potem weszła do taksówki, której nie mogłem śledzić. Więc wróciłem się i zacząłem cię znowu obserwować. Musiałem czymś się zająć.

- Śledziłeś Clary – powtórzył Simon. - Oto gorące wskazówka: Większość dziewczyn nie lubi szpiegowania.

- Ona zostawiła swój telefon w kieszeni mojej kurtki - powiedział Jace, klepiąc kurtkę po prawej stronie, gdzie przypuszczalnie telefon był ukryty. - Myślałem, że gdybym mógł dowiedzieć się, dokąd idzie, mógłbym go zostawić tam, gdzie chciała się znaleźć.

- Albo – odparł Simon – mogłeś zadzwonić do jej domu, powiedzieć, że masz jej telefon i kazać przyjść go odebrać.

Jace nic nie powiedział. Światło się zmieniło. Udali się na drugą stronę ulicy w kierunku supermarketu C-Town. Był jeszcze otwarty. Sklepy na Manhattanie nigdy nie są zamknięte, a Simon pomyślał, że to miła odmiana od Brooklynu.. Manhattan był dobrym miejscem dla wampira. Można zrobić wszystkie zakupy o północy i nikt nie pomyśli, że to dziwne.

- Unikasz Clary – stwierdził Simon. – Przypuszczam, że nie powiesz mi dlaczego?

- Nie, nie powiem – odparł Jace. – Po prostu czuj się szczęściarzem, że cię śledziłem

- A co? Kolejny rabuś umrze? - Simon słyszał gorycz w jego własnym głosie, albo... - Widziałeś, co się wydarzyło.

- Tak. I widziałem twój wyraz twarzy, gdy tak się stało. - Ton Jace był neutralny. - To nie był pierwszy raz, gdy wiedziałeś, co będzie dalej, prawda?

Simon opowiedział Jace'owi o dresiarzu, który zaatakował go na Williamsburg i o tym, jak doszedł do tego, że to zwykły rabuś.

- Po śmierci obrócił się w sól – skończył. - Podobnie jak drugi facet. Myślę, że to coś z biblijnych rzeczy. Filary soli. Podobnie jak żona Lota.

Doszli do supermarketu, Jace popchnął drzwi, a za nim wszedł Simon, chwytając miniaturowy srebrny kołowy wózek z linii w pobliżu drzwi. Popchnął go w kierunku jednej z alejek, a Jace szedł za nim, wyraźnie zamyślony.

- Sądzę więc, że pytanie brzmi czy masz jakiś pomysł, za który można chcieć zabić? - powiedział Jace

Simon wzruszył ramionami. Chłonał oczami całe jedzenie wokół niego, przez co zakręciło mu się w żołądku, przypominając mu, jak głodny był, choć nie miał ochoty na to, co sprzedawano tutaj.

- Może Raphael. Zdaje się, że mnie nienawidzi. I chciał mnie zabić wcześniej.

- To nie on – odparł Jace.

- Jak możesz być tego pewien?

- Ponieważ Rafael wie o Znaku i nie będzie na tyle głupi, by uderzyć w bezpośrednio w tym stylu. On chciałby dokładnie wiedzieć, co się stanie. To jest ktoś, kto wie wystarczająco dużo o tobie, by przewidzieć, gdzie jesteś, ale nic nie wie o Znaku.

- Ale to może być każdy.

- Właśnie - powiedział Jace i uśmiechnął się. Przez chwilę wyglądał prawie jakby był sobą. Simon potrząsnął głową.

- Słuchaj, wiesz co chcesz zjeść czy po prostu chcesz, żebym pchał ten koszyk w górę i w dół alejkami, ponieważ to cię bawi?

- Ja naprawdę nie znam się na tym, co sprzedają w sklepach spożywczych Przyziemnych. Maryse zwykle gotuje lub zamawiamy gotowe żarcie. – odrzekł Nocny Łowca. Wzruszył ramionami i podniósł owoc losowo. - Co to jest?

- To mango.- Simon wpatrywał się Jace'a. Czasami wyglądało to tak, jakby Nocni Łowcy byli naprawdę z innej planety.

- Wątpię, bym wiedział jakiegokolwiek z nich przed pokrojeniem. – zastanowił się Jace. – Lubię mango.

Simon Chwycił owoc i wrzucił go do koszyka.

– Super. Co jeszcze lubisz?

Jace zastanowił się przez chwilę.

- Pomidorową - powiedział w końcu.

- Zupa pomidorowa? Chcesz zupę pomidorową i mango na obiad?

Blondyn wzruszył ramionami.

- Nie troszczą się o jedzenie.

- Świetnie. Nieważne. Zostań tu. Za moment będę z powrotem.

Nocni Łowcy. Simon był zły na siebie, kiedy wszedł do alei z puszkami zup. Były to swego rodzaju dziwaczne przyzwyczajenia milionerów, którzy nigdy nie mieli do rozpatrywania drobnych części życia, jak chociażby, chodzenie do sklepu spożywczego, obsługi maszyn MetroCard w metrze oraz żołnierzy z ich sztywną samodyscypliną i szkoleniem na stałym poziomie. *Być może było im łatwiej, przechodząc przez życie z przepaskami na rękach*, pomyślał, kiedy sprawdził przydatność zupy do spożycia. Może to pomaga skoncentrować się na obrazie walki, szczególnie, kiedy twoja praca polega na ochronie świata przed złem, był to całkiem wielki obraz.

Czuł współczucie do Jace'a, gdy go zostawił w alejce – i przystanął. Oparty o regał chłopak obracał coś w ręce. Z tej odległości Simon nie mógł zobaczyć, co to i nie mógł się zbliżyć, bo blokowały mu drogę dwie nastolatki stojące pośrodku alejki i chichoczące w sposób, w jaki to robią dziewczyny. Były ubrane oczywiście by wyglądać na dwadzieścia jeden lat, na wysokich obcasach i w krótkich spódniczki, biustonosze z push-upem i były bez kurtek, aby utrzymać chłód od hotelu.

Obie pachniały błyszczkiem i proszkiem dla niemowląt oraz krwią.

Słyszał je, pomimo ich szeptu. Mówiły o Jasie, o tym, jak gorący był. Jedna przekonywała drugą, by przejść obok i z nim pogadać. Odbyły żarliwą dyskusję na temat jego włosów i mięśni, bądź czy mogłyby naprawdę zobaczyć jego mięśnie pod koszulką, jednak tego Simon nie był pewien. *Blech*, pomyślał. *To jest śmieszne*. Miał powiedzieć: "Przepraszam", kiedy jedna z nich, wyższa i o ciemniejszych włosach z nich z dwóch, oderwała się i ruszyła do Jace, chwytając się nieco na każdej platformie obcasa. Jace spojrzał w górę, kiedy podeszła do niego, jego oczy były ostrożne i Simon nagle wpadł w panikę na myśl, że Jace mógłby pomylić ją z wampirem albo innym rodzajem sukuba i wydobędzie swojego serafickiego noża, a następnie wyląduje w areszcie.

Nie musiał się martwić. Jace tylko zmarszczył brwi. Dziewczyna powiedziała coś do niego bez tchu, wzruszyła ramionami, wcisnęła coś w jego ręce, a następnie poszła z powrotem do przyjaciółki. Wykołysały się ze sklepu, chichocząc.

Simon podszedł do Jace'a i wrzucił zupę do koszyka.

- Więc o co to wszystko?

- Myślę, że ona zapytała, czy może dotknąć mojej mango. – oparł Nocny Łowca.

- Tak powiedziała?

Jace wzruszył ramionami.

-Tak, właśnie wtedy dała mi swój numer.

Pokazał kartkę ze słodkim wyrazem obojętności na twarzy, a następnie wrzucił ją do koszyka.

- Czy możemy już iść?

- Nie będziesz do niej zadzwonić, prawda?

Jace spojrzał na niego tak, jakby był szalony.

- Zapomnij, że to powiedziałem - powiedział Simon. - Takie rzeczy się dzieją z tobą cały czas, nie? Dziewczyny podchodzą do ciebie?

- Tylko wtedy, gdy nie jestem niewidzialny.

- Tak, bo kiedy jesteś, dziewczyny nie widzą, że jesteś niewidzialny. - Simon potrząsnął głową. - Jesteś publicznym zagrożeniem. Nie powinno się ciebie wypuszczać samego.

- Zazdrość jest takie brzydkie uczucie, Lewis. - Jace uśmiechnął się krzywo, za co normalnie Simon by go uderzył, jednak nie tym razem. Zdał sobie sprawę, że Jace bawił się czymś, obracając to w kółko w palcach, jakby to było coś cennego lub niebezpiecznego, lub i takiego, i takiego. To był telefon Clary.

- Wciąż nie wiem, czy aby na pewno to jest dobry pomysł – oświadczył Luke.

Clary skrzyżowała ręce na piersiach, by zminimalizować skutki chłodu panującego z Cichym Mieście. – Może powinieneś powiedzieć to, zanim się tu znaleźliśmy – rzekła, zerkając na swojego opiekuna.

- Na pewno to mówiłem. I to kilka razy – głos mężczyzny odbił się echem od wznoszących się ku górze granitowych filarów pokrytych półszlachetnymi kamieniami: czarnymi onyksami, zielonymi jadeitami, różanymi karnelianami i niebieskimi lapisami. Srebrzyste czarodziejskie światło paliło się w pochodniach przyczepionych do kolumn, oświetlając płyty nagrobne rozmieszczone na każdej ze ścian tak, że ciężko było na nie patrzeć.

Niewiele zmieniło się w Cichym Mieście od ostatniej wizyty Clary. Wciąż było dziwne i obce, chociaż teraz zamasytne runy rozmieszczone na posadce w postaci płaskorzeźb u wyrytych wzorów były dla niej zrozumiałe, a nie tak jak kiedyś, niepojęte.

Maryse zostawiła ją i Luke'a w tej komnacie, woląc samej pójść i porozmawiać z Cichymi Braćmi. Ostrzegła Clary, że nie ma żadnej gwarancji, że pozwolą ich trójce wejść i zobaczyć ciało. Zamarli Nefilim należeli do kompetencji strażników Miasta Kości i nikt inny nie miał nad nimi władzy. Nie żeby stało zbyt wielu strażników. Valentine zabił większość z nich, kiedy szukał Miecza Anioła, zostawiając przy życiu jedynie kilku, których nie było wtedy w Cichym Mieście. Nowi członkowie zostali do nich oddelegowani, ale Clary wątpiła, by na świecie zostało więcej niż dziesięciu, najwyżej piętnastu Cichych Braci.

Miarowy stukot obcasów Maryse powiadomił ich o jej powrocie jeszcze zanim pojawiła się z podążającym za nią Cichym Bratem.

- Tu jesteście – rzuciła, jakby Clary i Luke nie byli tam, gdzie ich zostawiła. – To jest Brat Zachariasz. Bracie Zachariaszu, to jest dziewczyna, o której ci mówiłam.

Cichy Brat bardzo powoli zsunął kaptur z twarzy. Clary powstrzymała okrzyk zaskoczenia. Nie wyglądał jak Brat Jeremiasz, którego oczy były puste a usta zaszyte. Brat Zachariasz miał zamknięte oczy, jego wysokie kości policzkowe naznaczone były bliznami po jednej czarnej runie. Ale jego usta nie zostały zaszyte i nie sądziła żeby miał ogoloną głowę. Nie mogła stwierdzić, czy pod kapturem widzi cień jego ciemnych włosów.

Poczuła dotyk jego głosu w umyśle. *Naprawdę wierzysz, że możesz to zrobić, córko Valentine'a?* Poczuła, że się rumieni. Nienawidziła, gdy ktoś przypominał jej, czyją córką jest.

- Zapewne słyszałeś o runie, którą stworzyła – odezwał się Luke. – Runa wiążąca pomogła nam zakończyć Wojnę o Anioła.

Brat Zachariasz naciągnął kaptur, aby ukryć twarz. *Chodź ze mną do Ossuarium.*

Clary zerknęła na Luke'a mając nadzieję na jakiś gest wsparcia, ale ona patrzył na wprost i bawił się okularami tak, jak to robił, gdy był zaniepokojony. Z westchnieniem podążyła za Maryse i Bratem Zachariaszem.

On poruszał się cicho jak mgła, podczas gdy buty Maryse na marmurowej posadce brzmiały jak wystrzały z broni. Clary zastanawiała się, czy skłonność Isabelle do wkładania nieodpowiedniego obuwia jest genetyczna.

Szli krętą drogą między kolumnami, mijając wielki kwadrat Mówiących Gwiazd, gdzie po raz pierwszy usłyszała o Magnusie Banie. Za nimi było łukowate przejście zamknięte przez ogromne, żelazne wrota. Na ich powierzchni wypalono runy, które Clary rozpoznała jako znaki śmierci i pokoju. Nad wrotami wyryta była łacińska inskrypcja. Jej widok sprawił, że żałowała, że nie ma ze sobą notatek. Nie знаła łaciny tak dobrze jak większość Nocnych Łowców, którzy używali jej jak drugiego języka. *Taceant Colloquia. Effugiat risus. Hic locus est ubi mors gaudet succurrere vitae.*

- Zaprzeście rozmów. Przerwicie śmiechy – przeczytał na głos Luke. - Oto miejsce, gdzie śmierć cieszy się, że może przyjść z pomocą życiu.

Brat Zachariasz położył dłoń na drzwiach. *Ostatni z zamordowanych został dla ciebie przygotowany. Jesteś gotowa?*

Clary z trudem przełknęła, zastawiając się w co też się wpakowała.

– Jestem gotowa.

Wrota otwarły się i przeszli przez nie. Znaleźli się s dużym, pozbawionym okien pomieszczeniu ścianach z białego, gładkiego marmuru. Były niczym nie wyróżniającym się miejscem przyczepu haków, na których wisiały srebrne narzędzia do sekcji: lśniące skalpele, rzeczy wyglądające jak młotki, piły do kości i coś, co rozsuwa żebra. Oprócz nich, na półkach było jeszcze więcej osobliwych przyrządów: masywne niby-korkociągi, kawałki papieru ściernego i słoiki z różnokolorowymi płynami, wśród których zielony z etykietką „Kwas” parował. Pośrodku pokoju stał rząd kamiennych stołów. Większość była pusta. Trzy były zajęte, a na dwóch spośród tych trzech Clary była w stanie rozpoznać ludzkie kształty pod białym prześcieradłem. Na trzecim leżało ciało. Prześcieradło było ściągnięte do klatki piersiowej. Nagi od pasa w górę ciało należało do mężczyzny i Nocnego Łowcy. Jego błada skóra była pokryta Znakami. Oczy martwego były zgodnie ze zwyczajem zawiązane białą, jedwabną opaską.

Clary zignorowała mdłości i podeszła do trupa. Luke ruszył za nią trzymając jej dłoń na ramieniu w obronnym geście. Maryse stała naprzeciwko przyglądając się z ciekawością w niebieskich oczach, takich jak u Aleca.

Dziewczyna wyciągnęła stelę z kieszeni. poczuła zimno bijące od marmuru, kiedy pochyliła się nad martwym mężczyzną. Z tak bliska dostrzegła szczegóły – jego włosy były rudobrazowe, a gardło idealnie pocięte za pomocą szponów. Brat Zachariasz wyciągnął rękę i usunął opaskę z oczu mężczyzny. Były zamknięte. *Możesz zaczynać.*

Clary wzięła głęboki oddech i przytknęła koniec steli do ramienia martwego Nocnego Łowcy. Runa, którą wyobraziła sobie w przedsionku Instytutu, wróciła do niej tak łatwo, jak litery jej imienia. Zaczęła rysować. Czarne linie Znak ukaazywały się po przeciągnięciu steli

tak, jak zawsze, ale ręka wydała jej się ciężka, a stela sama w sobie trudno się prowadziła tak, jakby pisała w mule, a nie na skórze. Wyglądało na to, że narzędzie jest zdeorientowane, przemieszczało się po powierzchni martwej skóry, szukając iskry życia, której od dawna nie było w ciele Nocnego Łowcy. Brzuch Clary ścisnął się kiedy rysowała. Zanim skończyła i oderwała stelę, była cała spocona i zbierało jej się na mdłości. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Aż nagle, co było straszne, martwy Nocny Łowca otworzył oczy.

Były niebieskie z przekrwionymi białkami. Maryse wypuściła długi oddech. Było jasne, że nie do końca wierzyła, że runa zadziała.

– Na Anioła.

Martwy mężczyzna wydał świszczący odgłos tak, jakby próbował zaczerpnąć powietrza poderżniętym gardłem. Jego pocięta skóra unosiła się jak rybie skrzela. Klatka piersiowa podnosiła się, a z ust popłynęły słowa.

– Ból.

Luke zaklął i rzuciła spojrzenie w stronę Brata Zachariasza, ale ten pozostał niewzruszony. Pani Lightwood podeszła bliżej stołu. Jej wzrok był ostry, prawie drapieżny.

– Nocny Łowco – przemówiła. – Kim jesteś? Żądam twojego imienia.

Mężczyzna rzucił głową z boku na bok. Uniósł ręce i opuścił je w konwulsji.

– Ból. Spraw... żeby zniknął.

Clary prawie upuściła stelę. To było o wiele bardziej obrzydliwe, niż mogła sobie wyobrazić. Zerknęła na wilkołaka, który odsuwał się od stołu. Jego oczy rozszerzył strach.

- Nocny Łowco – powiedziała Maryse rozkazującym tonem. – Kto ci to zrobił?

- Proszę...

Luke odwrócił się plecami do dziewczyny. Chciał chyba poszperać w narzędziach należących do Cichych Braci. Rudowłosa stała jak skamieniała podczas, gdy ubrana w szarą rękawiczkę dłoń Maryse wystrzeliła i zacisnęła się na ramieniu trupa, wbijając palce w jego ciało.

- W imię Anioła rozkazuje ci odpowiedzieć!

- Podziemny... wampir... - Nocny Łowca wydał z siebie zdławiony odgłos.

- Który wampir? – naciskała Maryse.

- Camille. Starożytna... - denat zakrztusił się, kiedy z jego ust buchnęła fala szerniałej krwi.

Maryse wciągnęła powietrze i zabrała dłoń. Gdy to zrobiła wrócił Luke, niosąc słoik zielonego, płynnego kwasu, który Clary zauważyła wcześniej. Jednym ruchem oderwał wieczko i polał kwasem Znak na piersi zmarłego, niszcząc go. Denat wydał z siebie rozdzierający krzyk, po czym opadł na stół. Jego oczy pusto wpatrywały się w przestrzeń. Cokolwiek ożywiło go na krótką chwilę, zniknęło.

Luke postawił pusty słoik na stole.

– Maryse – jego głos był pełen wyrzutu. – Nie tak traktujemy naszych zmarłych.

- To ja decyduje jak będziemy traktować naszych zmarłych, Podziemny. – Maryse była blada. Na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy. – Teraz mamy imię. Camille. Może będziemy mogli zapobiec kolejnym mordom.

- Są rzeczy gorsze od śmierci. – Luke, nie patrząc na Clary, sięgnął po jej dłoń. – Chodź Clary. Czas na nas.

- Więc naprawdę nie wiesz kto jeszcze mógłby chcieć cię zabić? – zapytał, nie po raz pierwszy, Jace.

Kilkakrotnie analizowali listę i Simona zaczęły męczyć wciąż te same pytania. Nie wspominając o tym, że podejrzewał Jace'a jedynie o połowiczne zainteresowanie. Zjadłszy zupę, którą kupił Simon – zimną, łyżką prosto z puszki, co według Simona było obrzydliwe – opierał się o okno, lekko odsuwając na bok zasłonki, tak aby mógł zobaczyć ruch na Avenue B i światła w oknach mieszkań naprzeciwko. Wampir mógł przez nie dostrzec ludzi jedzących obiad, oglądających telewizję czy rozmawiających przy stole. Normalne sprawy zwykłych ludzi. Czuł się przez to dziwnie pusty.

- W przeciwieństwie do ciebie – zakpił Simon – nie mam wielu wrogów.

Jace go zignorował.

– Jest coś, o czym mi nie mówisz.

Brunet westchnął. Nie chciał wspominać o propozycji złożonej przez Camille, ale teraz, kiedy ktoś próbuje go zabić, mimo, że bez efektu, może dyskrecja nie jest najważniejsza. Wyjaśnił, co wydarzyło się na jego spotkaniu z kobietą, podczas gdy Jace przyglądał mu się ze skupionym wyrazem twarzy. Kiedy skończył, Jace odezwał się:

– Interesujące, ale również nie wydaje mi się, aby ona chciała cię zabić. Jedna sprawa, że wie o twoim Znaku. Poza tym, zostałyby złapana na takim łamaniu Porozumień. Tak długo żyjący Podziemni wiedzą jak trzymać się z dala od kłopotów. – Odstawił puszkę po zupie. – Może powinniśmy wyjść jeszcze raz – zasugerował. – Zobaczymy, czy spróbują zaatakować trzeci raz. Gdyby udało nam się schwycić któregoś z nich...

- Nie – zaprotestował Simon. – Dlaczego zawsze próbujesz się zabić?

- Taką mam pracę.

- To loteria. Przynamniej dla większości Nocnych Łowców. Ale ty robisz to celowo.

Jace wzruszył ramionami.

– Ojciec zawsze powtarzał... - przerwał. Twarz mu stężała. – Przepraszam, mam na myśli Valentine. Na Anioła. Za każdym razem, kiedy go tak nazywam mam wrażenie, że zdradzam swojego prawdziwego ojca.

Simon wbrew sobie poczuł sympatię dla Jace'a.

– Myślałeś, że jest twoim ojcem przez ile? 16 lat? To nie zniknie ot tak. A ty nigdy nie spotkałeś faceta, który naprawdę był twoim ojcem. Poza tym on nie żyje. Więc nie możesz go zdradzić. Po prostu myśl o sobie jak o kimś, kto ma dwóch ojców.

- Nie można mieć dwóch ojców.

- Oczywiście, że można – zaprzeczył Simon. – Kto powiedział, że nie? Możemy ci kupić jedną z tych książeczek dla małych dzieci. *Timmy ma dwóch tatusiów*. Chociaż nie sądzę, żeby mieli *Timmy ma dwóch tatusiów i jeden z nich był zły*. Z tym musiałbyś poradzić sobie sam.

- Fascynujące – przewrócił oczami blondyn. – Wszystkie te słowa są po angielsku, rozumiesz je, ale kiedy je złożysz w zdanie tracą sens. – Pociągnął lekko za zasłonę. – Nie oczekiwałem, że zrozumiesz.

- Mój ojciec nie żyje – powiedział Simon.

Jace odwrócił się, żeby na niego spojrzeć.

– Co?

- Podejrzałem, że nie będziesz wiedział. Nie tak, że miałeś zamiar zapytać albo w ogóle interesować się mną. Więc tak. Mój ojciec nie żyje. Czyli mamy coś wspólnego.

Nagle wyczerpany, oparł się plecami o futon³⁸. Poczuł się chory, skołowany i zmęczony – zmęczony aż do szpiku kości. Jace za to był pełen energii, co nieco przeszkadzało Simonowi. Nie łatwo też było mu patrzeć, jak je zupe pomidorową. Jak na jego gust za bardzo przypominała krew.

Jace zerknął na niego.

– Ile czasu minęło odkąd... Jadłeś? Nie wyglądasz najlepiej.

Simon westchnął. Nie mógł się klócić, po tym jak sam zmusił Jace'a do jedzenia.

– Zaczekaj – poprosił. – Zaraz wrócę.

Zsunąwszy się z materaca poszedł do swojej sypialni, gdzie spod łóżka wyciągnął ostatnią butelkę krwi jaką miał. Starał się na nią nie patrzeć, bo nieświeża krew nie wyglądała przyjemnie. Mocno wstrząsnął butelką i wrócił do salonu, gdzie Jace wciąż wyglądał przez okno. Opierając się o szafkę kuchenną, Simon odkorkował butelkę i upił łyk. Normalnie nie pijał krwi w obecności innych ludzi, ale to był Jace, a jego nie obchodziło, co blondyn sobie pomyśli. Poza tym Nocny Łowca wcześniej widział, jak pije krew.

Przynajmniej Kyle'a nie było w domu. Ciężko byłoby mu wytłumaczyć się przed nowym współlokatorem. Raczej nie polubiłby gościa, który trzyma krew w lodówce.

Poczuł na sobie wzrok dwóch Herondale'ów – prawdziwego i tego odbitego w oknie.

- Nie możesz przestać się żywić.

- Przecież jem – wzruszył ramionami Lewis.

- Tak, ale jesteś wampirem. Krew nie jest dla ciebie jak posiłek. Krew to... krew.

- To było bardzo pouczające. – Simon opadł na fotel stojący naprzeciwko telewizora. Kiedyś pewnie był obity jasnozłotym pluszem, ale teraz był wytarty do szarości. – Masz w zanadru więcej takich błyskotliwych uwag? Krew to krew? Toster to toster? Galaretowaty Sześcian³⁹ to Galaretowaty Sześcian?

- W porządku. Zignoruj moje rady. Będzie ci przykro później. – wzruszył ramionami Jace.

Zanim Simon zdążył odpowiedzieć, usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Spojrzał ostro na blondyna.

– To Kyle, mój współlokator. Bądź miły.

- Zawsze jestem miły – uśmiechnął się czarująco Jace.

Wampir nie miał czasu, żeby rzucić jakąś kąśliwą uwagę, bo chwilę później do pokoju wpadł dziarsko Kyle.

- Człowieku, obszedłem dziś całe miasto – powiedział wesoło. – Prawie się zgubiłem, ale wiesz jak to mówią: koniec języka za przewodnika⁴⁰. – Spojrzał na Jace'a późno orientując się, że w pokoju jest ktoś inny. – Oh, cześć. Nie wiedziałem, że zaprosiłeś kumpla. – Wyciągnął dłoń. – Jestem Kyle.

Chłopak nie odwzajemnił gestu. Ku zaskoczeniu Simona, cały zeszytywniał i zmrużył jasnożółte oczy. Całe odzwierciedlało czujność charakterystyczną dla Nocnych Łowców, która zmieniała go ze zwykłego nastolatka w kogoś więcej.

³⁸ rodzaj materaca z Japonii

³⁹ potwór z Dungeons&Dragons

⁴⁰ Oryg. Bronx up, Battery down – werset z piosenki Franka Sinatry *New York, New York*

– Interesujące – wycodził. – Simon nigdy nie wspominał, że jego nowy współlokator jest wilkołakiem.

Clary i Luke przejechali większość drogi powrotnej na Brooklyn w ciszy. Dziewczyna wyglądała przez okno, podziwiając przesuwające się za szybą Chinatown, potem Williamsburg Bridge, błyszczący jak sznur diamentów na tle nocnego nieba. W oddali, gdzieś za czarną wodą rzeki widoczny był oświetlony jak zawsze Renwick. Znów wyglądał jak ruina i czarnymi oknami, ziejącymi jak puste oczodoły czaszki. W jej głowie rozległ się głos Nocnego Łowcy *Ból... Spraw, żeby zniknął*. Zadrżała i owinęła się ciaśniej kurtką. Luke zerknął na nią pobieżnie, ale nic nie powiedział. Odwrócił się do niej i odezwał dopiero gdy zaparkował przed domem i wyłączył silnik.

- Clary, to co zrobiłaś...

- To było złe – przerwała mu. – Wiem, że było złe. Też tam byłam. – Pomachała rąbkami rękawa. – Dalej, nakrzycz na mnie.

Luk patrzył przez przednią szybę.

– Nie mam zamiaru na ciebie krzyczeć. Nie wiedziałas, co się stanie. Do diabła, też myślałem, że to zadziała. Nie szedłbym z tobą, gdyby tak nie było.

Clary wiedziała, że to powinno jej poprawić humor, ale nie poskutkowało.

– Gdybyś nie polał runy kwasem...

- Ale polałem.

- Nawet nie wiedziałam, że tak można. Zniszczyć runę w ten sposób.

- Jeśli zniekształcisz ją wystarczająco możesz zmniejszyć lub całkowicie usunąć jej moc. Czasami w bitwie wróg próbuje spalić, albo zedrzeć skórę z Nocnego Łowcy, żeby pozbawić go mocy runów.

Clary poczuła, że usta jej się trzęsą, więc zacisnęła je, by to powstrzymać. Czasami zapominała o bardziej potwornym aspekcie bycia Nocnym Łowcą. *O życiu pełnym blizn i zabijania*, jak kiedyś powiedział jej Hodge.

– Nie powtórzę tego.

- Czego nie powtórzysz? Tej konkretnej runy? Nie mam wątpliwości, co do tego, ale nie jestem pewien, czy w tym tkwi problem. – Postukał palcami w kierownicę. – Masz dar Clary. Wielki dar. Ale nie masz pojęcia, jak go używać. Nie jesteś wyszkolona. Nie wiesz prawie nic o historii run ani ile przez wieki znaczyły dla Nefilim. Nie możesz rozkazać runie przeznaczonej do czynienia zła, aby czyniła dobro.

- Byliście zadowoleni, kiedy stworzyłam runę wiążącą – wytknęła ze złością. – Nie zabroniliście mi tworzyć nowych.

- Nie mówię, żebyś teraz nie używała mocy. W rzeczywistości problem może tkwić w tym, że korzystasz z niej zbyt rzadko. Nie jest tak, że wykorzystujesz ją do zmieniania koloru paznokci, czy wzywania pociągu. Używasz jej tylko w nielicznych sytuacjach krytycznych.

- Runy przychodzą do mnie tylko w takich chwilach.

- Może to dlatego, że nie nauczyłaś się jeszcze jak to działa. Pomyśl o Magnusie: jego moc jest jego częścią. Ty swoją traktujesz jako oddzielny byt. Jak coś, co ci się przytrafiło. Ale tak nie jest. To zdolność, którą musisz nauczyć się używać.

- Jace powiedział, że Maryse chce zatrudnić dla mnie specjalistę od runów, ale jeszcze tego nie zrobiła.
 - Tak – potwierdził mężczyzna. – Wyobrażam sobie, że Maryse ma teraz inne sprawy na głowie. – Wyciągnął kluczyk ze stacyjki i siedział przez chwilę w ciszy. – Stracić dziecko tak, jak ona straciła Max’a... Nie mogę sobie tego wyobrazić. Powinienem wybaczyć jej zachowanie. Gdyby coś ci się stało... - powiedział łamiącym się głosem.
 - Szkoda, że Robert nie wrócił z Idrisu – zamyśliła się Clary. – Nie rozumiem, dlaczego ona musi radzić sobie z tym sama. To musi być straszne.
 - Wiele małżeństw się rozpada po śmierci dziecka. Małżonkowie nie mogą przestać obwiniać siebie samych i nawzajem. Robert wyjechał prawdopodobnie dlatego, że któreś z nich potrzebowało przestrzeni.
 - Ale oni się kochają – zbulwersowała się rudowłosa. – Czy nie o to chodzi w miłości? By wspierać się wzajemnie, mimo wszystko?
- Luke zapatrzył się na rzekę. Ciemna woda płynęła powoli oświetlana przez jesienny księżyc.
- Czasami Clary – westchnął – miłość nie wystarcza.

Tłumaczenie: *Hope Solo. Chaleur*

Korekta: *Gladys*

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Preator Lupus

Butelka wyslizgnęła się z ręki Simona, uderzyła o podłogę i roztrzaskała się posyłając odłamki fruujące we wszystkich kierunkach.

- Kyle jest wilkołakiem.?

- Oczywiście, że jest wilkołakiem, kretynie. – odparł Jace. Spojrzał na Kyle'a – Czyż nie? Kyle nic nie powiedział. Dobry humor uciekł z wyrazu jego twarzy. Jego piwne oczy były tak twarde i płaskie jak szkło.

- Kto pyta ?

Jace odsunął się od okna. Wcześniej nie było nic jawnie wrogiego w jego zachowaniu, a teraz wszystko w nim oznaczało wyraźne zagrożenie. Jego ręce wisiały luźno po jego bokach, ale Simon pamiętał, kiedy widział Jace'a przed wkroczeniem w akcję właściwie bez niczego, pomiędzy myślą i czynem.

- Jace Lightwood – powiedział – Z Instytutu Lightwood'ów. Do jakiego stada należysz.?

- Jezusie – powiedział Kyle – Jesteś Nocnym Łowcą.? – spojrzał na Simona – Ta słodka rudowłosa dziewczyna, która była z tobą w garażu – ona też jest Nocnym Łowcą, prawda.?

Simone zaskoczony pokiwał głową.

- Wiesz, niektórzy myślą, że Nocni Łowcy to tylko mity. Jak mumie i dżiny. – Kyle uśmiechnął się do Jace'a – Umiesz spełniać życzenia.?

Fakt, że Kyle właśnie nazwał Clary słodką nie sprawiły, że Jace, którego twarz była napięta, pokochał go.

- To zależy – odparł – Czy marzysz o tym, by zostać uderzonym w twarz.?

- Oj, oj – powiedział Kyle – I ja myślałem, że jesteście tak oddani Przymierzu w tych czasach...

- Przymierze wymaga od wampirów i likantropów stosowania się do zasad sojuszu. – przerwał Jace – Powiedz mi, do którego stada należysz, albo będę musiał uznać, że jesteś wywłoką.

- Okej, wystarczy. – powiedział Simon – Obydwoje przestańcie zachowywać się, jakbyście chcieli się pobić. – spojrzał na Kyle'a – Powinieneś być mi powiedzieć, że jesteś wilkołakiem

- Nie zauważyłem, żebyś mówił mi, że jesteś wampirem. Może pomyślałem, że to nie twoja sprawa.

Całe ciało Simone'a drgnęło z zaskoczenia.

- Co? – spojrzał na rozbite szkło i krew na podłodze. – Ja nie.. nie..

- Nie dręcz się – powiedział cicho Jace – On potrafi wyczuć, że jesteś wampirem. Tak jak ty mógłbyś wyczuć wilkołaki i innych Podziemnych, gdybyś tylko trochę więcej poćwiczył. On wiedział czym jesteś od pierwszego spotkania. Czy to nie prawda.? – Jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Kyle'a. Ten nic nie powiedział – I to wszystko z czym zmagał się na balkonie, nawiasem mówiąc.? To wilczy jad. Teraz wiesz.

Simon skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na Kyle'a

- Więc co to kurde jest? Jakiś rodzaj zмовы.? Dlaczego poprosiłeś mnie o mieszkanie z tobą.? Wilkołaki nienawidzą wampirów.

- Ja nie. – powiedział Kyle – Nie jestem zakrecony na punkcie ich rodzaju – wskazał palcem Jace’a – Oni myślą, że są lepsi od wszystkich innych.

- Nie – powiedział Jace – Ja myślę, że ja jestem lepszy od wszystkich innych. Opinia została potwierdzona poprzez wiele dowodów.

Kyle spojrzał na Simona

- On zawsze tak mówi.?

- Tak.

- Jest jakiś sposób, żeby go uciszyć? Oczywiście inny niż wybicie mu tych głupot z głowy.

Jace odsunął się od okna.

- Chciałbym, żebyś spróbował.

Simon wkroczył między nich.

- Nie zamierzam dopuścić do bójk między wami dwoma.

- A co zamierzasz zrobić, kiedy... Och. – Jace przyczepił spojrzenie do czoła Simona i, jakby od niechcienia, uśmiechnął się szeroko - Więc grozisz mi, że zmienisz mnie w coś, czym można posypać popcorn, jeśli nie zrobię tego, co mówisz.?

Kyle spojrzał zdumiony.

- Co ty..?

- Ja po prostu myślę, że wy dwoje powinniście porozmawiać – przerwał mu Simon – Więc Kyle jest wilkołakiem. Ja jestem wampirem. A ty też nie jesteś sąsiadem – dodał do Jace’a – Proponuję, żeby dojść do tego, co się dzieje i iść naprzód stamtąd.

- Twoje idiotyczne zaufanie nie zna granic – powiedział Jace, ale usiadł na parapecie krzyżując ręce. Po chwili Kyle też usiadł, na kanapie. Oboje mierzyli się wzrokiem. Zawsze to jakiś postęp, pomyślał Simon.

- Dobra. – powiedział chłopak – Jestem wilkołakiem. Nie należę do stada, ale stosuję się do Przymierza. Słyszeliście o Praetor Lupus.?

- Ja słyszałem o lupus – powiedział Simon – Czy to nie jakiś rodzaj choroby.?

Jace posłał mu miazdzące spojrzenie

- „Lupus” znaczy „wilk” – wyjaśnił – A „preatarions” były elitarnymi rzymskimi siłami zbrojnymi. Zgaduję, że tłumaczenie to „Wilczy Strażnicy” – wzruszył ramionami – Przeleciałem przez wspomnienia o nich, ale są bardzo zakonspirowaną organizacją.

- A Nocni Łowcy nie...? – powiedział wilkołak.

- My mamy dobre powody.

- My także – Kyle pochylił się do przodu. Muskły na jego ramionach napięły się, kiedy opierał łokcie na kolanach. – Istnieją dwa rodzaje wilkołaków – wyjaśnił – Jedne to te, które urodziły się wilkołakami, z wilkołaczymi rodzicami, drugie to te, które zostają skażone przez ugryzienie likantropa. – Simon spojrzał na niego zaskoczony. Nigdy nie pomyślałby, że Kyle, [slacker-stoner bike messenger] , znałby słowo „likantrop”, w dodatku wiedział jak to wymówić. Ale teraz to był inny Kyle – skupiony, zdeterminowany i bezpośredni. – Dla tych, którzy zostają przemienieni przez ugryzienie, ci pierwsi przez pierwszych kilka lat są kluczem. Demoniczna deformacja, powodująca przemianę w wilkołaka, powoduje również cały sznur innych zmian – fale niekontrolowanej agresji, niezdolność do kontrolowania gniewu, samobójczy gniew i rozpacz. Stado pomoże ci z tym, ale pełno nowo

zainfekowanych nie ma takiego szczęścia, żeby wpaść na stado. Są zdani sami na siebie, próbują dać sobie radę z tym przytłaczającym wszystkim, i większość z nich staje się agresywnym dla innych lub dla siebie. Jest duży współczynnik samobójstw i przemocy „w rodzinie” – spojrzał na Simona – Tak samo jest z wampirami, oprócz tego, że może być nawet gorzej. Sierocy początkujący nie ma w ogóle pojęcia co się z nim dzieje. Bez żadnego przewodnictwa, nie wie jak bezpiecznie się nakarmić, albo nawet, żeby nie stać na słońcu. I to wtedy my wchodzimy.

- I co robicie.? – zapytał wampir.

- Ścigamy „sierocych” Podziemnych- wampiry i wilkołaki, które dopiero co zostały przemienione i jeszcze nie wiemy czym są. Czasem nawet czarownicy- niektórzy z nich nie wiedzą czym są przez lata. Interweniuje, próbujemy wprowadzić go do stada albo klanu, próbujemy pomóc kontrolować ich moce.

- Dobrzy Samarytanie, nieprawdaż.? – Oczy Nocnego Łowcy błyszczały

- Właściwie, to tak. – Kyle brzmiał, jakby próbował zachować naturalny ton głosu. – Interweniuje przed tym, jak Podziemny może stać się niebezpieczny i zrani siebie, albo innych ludzi. Wiem co stałoby się ze mną, gdyby nie było Strażnika. Robiłem złe rzeczy. Naprawdę złe.

- Jak złe? – spytał Jace – Nielegalnie złe.?

- Zamknij się Jace – powiedział Simon – Nie jesteś na służbie, dobra.? Przestań być Nocnym Łowcą na sekundę. – zwrócił się do Kyle’a – Więc jak w takim razie skończyłeś na przesłuchaniu mojego bzdurnego zespołu.?

- Nie doszedłem do tego, że wiesz, że jest bzdurny.

- Po prostu odpowiedz na pytanie.

- Dostaliśmy raport o nowym wampirze – Chodzącym Za Dnia, żyjącym samotnie, bez klanu. Twój sekret nie jest taki sekretny jak myślisz. Przemieniający się wampir bez klanu do pomocy może być bardzo niebezpieczny. Zostałem wybrany, żeby mieć na ciebie oko.

- Więc mówisz – powiedział Simon – że nie tylko nie chcesz, żeby się wyprowadził teraz, kiedy wiem, że jesteś wilkołakiem, ale nie pozwolisz mi się wyprowadzić.?

- Dokładnie. – odparł Kyle – To znaczy, możesz się wyprowadzić, ale ja przeprowadzę się z tobą.

- To nie jest konieczne – dodał Jace – Mogę mieć oko na Simona, dziękuję. Jest moim początkującym Podziemnym do drwinienia i traktowania z góry, nie twoim.

- Zamknij się.! – wrzasnął Simon – Obydwaj. Żaden z was nie był w pobliżu, gdy ktoś chciał mnie dziś zabić..

- Ja byłem – powiedział Nocny Łowca – Wiesz, ostatecznie.

Oczy Kyle’a błysnęły, jak wilcze oczy w nocy.

- Ktoś chciał cię zabić.? Co się stało.?

Spojrzenie Simona spotkało się ze wzrokiem Jace’a przez pokój. Cicha zgoda o tym, że by nie mówić nic o Znakach Kaina została zawarta pomiędzy nimi.

- Dwa dni temu, i dzisiaj, byłem śledzony i zaatakowany przez dwóch gości w szarych dresach.

- Ludzie.?

- Nie jesteśmy pewni.

- I nie masz żadnego pojęcia co od ciebie chcieli.?

- Na pewno chcieli mnie martwego – odpowiedział Simon – Oprócz tego, naprawdę nie wiem.

- Mamy jakieś wskazówki – powiedział Jace – Będziemy prowadzić śledztwo.

Kyle potrząsnął głową.

- Dobra. Cokolwiek to jest, nie mówicie mi wszystkiego. Ostatecznie dojdę do tego. – podniósł się na nogi – A teraz jestem pokonany. Idę spać. Zobaczymy się rano – powiedział do wampira – Ty.. – zwrócił się do Jace’a – Cóż, zakładam, że się zobaczymy. Jesteś pierwszym Nocnym Łowcą, którego kiedykolwiek spotkałem.

- To niedobrze – odparł Jace – od teraz każdy następny spotkany przez ciebie będzie wielkim zawodem.

Kyle wywrócił oczami i wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami od swojej sypialni.

Simon spojrzał na Jace’a.

- Nie wracasz do Instytutu, prawda.?

Jace pokręcił głową.

- Potrzebujesz ochrony. Kto wie, kiedy ktoś znów będzie chciał cię zabić.?

- To całe unikanie Clary przybrało już epicką kolej. – powiedział Simon, wstając – Czy kiedykolwiek wrócisz do domu.?

Jace spojrzał na niego.

- A ty.?

Simon poszedł do kuchni, wyszukał miotłę i zamiótł szkło pozostałe z rozbitej butelki. To była jego ostatnia. Wyrzucił odłamki do kosza i minął Jace’a idąc do swojej własnej, małej sypialni, gdzie zdjął kurtkę i buty i rzucił się na materac.

Chwilę później do pokoju wszedł Jace. Rozejrzał się i unióś brwi, co było jego wyrażeniem rozbawienia.

- Trochę przestrzeni tu masz. Minimalistycznie. Lubię to.

Simon przekręcił się na bok, gapiąc się na Jace’a z niedowierzaniem.

- Proszę, nie mów, że właśnie planujesz, żeby zostać w moim pokoju.

Jace usiadł na parapecie i spojrzał na niego.

- Naprawdę nie pojmujesz tej całej ochrony, prawda.?

- Nawet nie myślałem, że lubisz mnie tak bardzo. – odpowiedział Simon. – Czy chodzi o to „trzymaj przyjaciół blisko, a wrogów jeszcze bliżej.?”

- Ja myślałem, że to „trzymaj przyjaciół blisko, żeby mieć kogoś do prowadzenia auta, kiedy wkradniesz się do domu nieprzyjaciela w nocy i przeszukasz jego skrzynkę mailową.”

- Jestem pewien, że to nie to. A to wszystko z tym całym chronieniem mnie jest mniej wzruszające niż pełzające, ty to wiesz. Mam się dobrze. Widziałeś, co się dzieje, gdy ktoś próbuje mnie skrzywdzić.

- Tak, widziałem – odparł Jace – Ale ostatecznie ktoś, kto próbuje cię zabić, zamierza dowiedzieć się o Znak Kaina. I oni zamierzają się poddać albo znaleźć inny sposób, by do ciebie dojść. – oparł się o ramę okienną – I to dlatego ja tutaj jestem.

Oprócz jego wydechu, Simon nie mógł znaleźć żadnych dziur w jego argumencie albo nie były wystarczająco duże. Przekręcił się na brzuch i schował twarz między ramionami. W ciągu kilku minut już spał.

Szedł przez pustynię po palącym piasku, mijając kości bielące się na słońcu. Nigdy wcześniej nie był tak spragniony. Kiedy przełykał, jego usta wydawały się pokryte piaskiem, a w gardle miał noże.

Ostre brzęczenie jego telefonu, obudziło wampira. Przekręcił się i chwycił zmęczony swoją kurtkę. Zanim wygmerał telefon z kieszeni, przestał dzwonić.

Włączył go i sprawdził, kto dzwonił. Luke.

Cholera. Założę się, że mama zadzwoniła do domu Clary, szukając mnie, pomyślał siadając. Jego mózg był nadal nie pracował dobrze po śnie i zajęło mu moment, żeby przypomnieć sobie, że gdy zasypiał, nie był sam.

Szybko spojrzał na okno. Jace nadal tam był, ale spał – siedząc, a jego głowa oparta była o szybę. Bładoniebieskie światło oblewało go. Wyglądał tak bardzo młodo, pomyślał Simon. Żadnej kpiny, żadnej obronności albo sarkazmu. Było prawie możliwe, żeby wyobrazić sobie, co Clary w nim widziała.

Było pewne, że nie brał jego służby ochroniarza bardzo na serio, ale to było oczywiste od początku. Simon zamartwiał się, nie pierwszy raz, co się tak naprawdę działo między Clary i Jace'em.

Telefon zaczął znów dzwonić. Popędzając się, Simon wyskoczył do salonu, naciskając zielony klawisz dokładnie przed kolejnym dzwonkiem.

- Luke?

- Przepraszam, że cię budzę, Simon – Luke był, jak zawsze, niezwykle greczny.

- Nie spałem – skłamał wampir.

- Musimy się spotkać na placu w Parku Waszyngtona za pół godziny. – odparł Luke – przy fontannie.

Teraz Simon był wyraźnie zaalarmowany.

- Wszystko gra.? Czy z Clary wszystko w porządku.?

- Ta, wszystko z nią gra. To nie o nią chodzi. – W tle słychać było dudnienie. Chłopak zgadywał, że Luke odpalał swój samochód. – Po prostu spotkaj się ze mną w parku. I nie przyprowadzaj nikogo ze sobą.

Rozłączył się.

Dźwięk auta Luke'a wyjeżdżającego z podjazdu, obudził Clary z niełatwego snu. Usiadła i skrzywiła się. Łańcuszek na jej szyi zaplątał się jej we włosy, kiedy spała i teraz odplątywała to nad głową, ostrożnie wyciągając go ze splotów.

Opuściła pierścionek na swoją dłoń, układając łańcuszek naokoło. Mały, srebrny okrąg ozdobiony we wzór schód zdawał się mrugać na nią kpiąco. Pamiętała, kiedy Jace dał jej go, zapakowanego w notatkę, którą zostawił, gdy poszedł szukać Jonathana. „Pomimo wszystko nie mogę wytrzymać myśli o zgubieniu pierścionka nie mniej jak myśli, żeby na zawsze cię zostawić.”

To było prawie 2 miesiące temu. Była pewna, że on ją kochał, tak pewna, że Królowa Jasnego Dworu nie była w stanie niczym jej skusić. Jak mogło istnieć coś, czego jeszcze pragnęła, skoro miała Jace'a.?

Ale może nigdy tak naprawdę nikogo nie miałaś, pomyślała. Może, nieważne jak bardzo ich kochałaś, oni mogli prześlizgnąć się między twoimi palcami jak woda i nic nie mogłaś na to poradzić. Zrozumiała, dlaczego ludzie mówili i „złamanych” sercach: czuła się, jakby jej było zrobione z potłuczonego szkła, a odłamki były jak cieniutkie noże w jej piersi kiedy oddychała. „Wyobraź sobie życie bez nich” – powiedziała Jasna Dama.

Zdziwił ją telefon i przez moment Clary poczuła, że coś, cokolwiek, przerwało jej cierpienie. Jej drugą myślą był Jace. Może nie mógł się dodzwonić do niej na komórkę i dzwonił do domu. Upuściła pierścień na szafeczkę nocną i odebrała telefon. Już miała się przywitać, kiedy zorientowała się, że już telefon został odebrany przez jej matkę.

- Halo.? – jej matka brzmiała jakby była zaniepokojona i zadziwiająco rozbudzona jak na tak wczesny poranek.

Głos, który jej odpowiedział był nieznajomy, słabo zaakcentowany.

- Tu Catarina ze Szpitala Beth Israel. Szukam Jocelyn.

Clary zmroziło. Szpital.? Coś się stało, może Luke’owi.? Wyjechał z podjazdu strasznie szybko.

- Tu Jocelyn – jej matka nie brzmiała na przestraszoną, tylko jakby spodziewała się telefonu.

– Dziękuję za tak szybkie oddzwonienie.

- Oczywiście. Ucieszyłam się na wieści od ciebie. Nie często widzi się ludzi zdrowiejących po kłątwie takiej, na którą ty cierpiełaś. – No tak, pomyślała Clary. Jej matka była w tym szpitalu w śpiączce, co było efektem zażycia eliksiru, żeby zapobiec przepytaniu jej przez Valentine’a. – I każdy przyjaciel Magnusa Bane’a jest moim przyjacielem.

Jocelyn brzmiała napięcie.

- Czy moja wiadomość miała sens.? Wiesz po co dzwoniłam.?

- Chciałaś dowiedzieć się o dziecku. – Powiedziała kobieta po drugiej stronie. Clary wiedziała, że powinna się rozłączyć, ale nie mogła. Jakie dziecko.? Co się działo.? – To, które zostało opuszczone.

W głosie matki brzmiał ucisk.

- T-tak. Myślałam...

- Przykro mi, ale nie żyje. Umarł ostatniej nocy.

Przez moment Jocelyn milczała. Dziewczyna mogła wyczuć szok matki przez telefon.

- Umarł.? Jak.?

- Nie jestem pewna, czy zrozumiałam. Ksiądz przyszedł wieczorem, żeby ochrzcić dziecko i...

- O mój Boże – głos Jocelyn drżał – Czy mogę... Czy mogłabym przyjść i zobaczyć ciało.?

Długa chwila milczenia. W końcu pielęgniarka się odezwała:

- Nie jestem pewna. Ciało jest teraz w kostnicy, czeka na przeniesienie do biura lekarza medycyny sądowej.

- Catharina, myślę, że wiem co stało się chłopcu. – matka Clary brzmiała, jakby mówiła na bezdechu. – A jeśli będę mogła to potwierdzić, może będę mogła temu zapobiec.

- Jocelyn...

- Schodzę – powiedziała kobieta i rozłączyła się. Clary gapła się niewidzącym wzrokiem przez moment zanim się rozłączyła. W pośpiechu stanęła, przeczesła włosy, zarzuciła jeansy i sweter i była na zewnątrz swojej sypialni akurat, żeby złapać matkę w salonie, bazgrającą

notatkę na bloku papieru koło telefonu. Uniosła wzrok kiedy Clary weszła i zaczęła pełna poczucia winy.

- Właśnie wybiegałam – powiedziała – Kilka ostatnich ślubnych rzeczy wyskoczyło i...

- Nie próbuj mnie okłamywać – przerwała Clary bez ogródek - Słuchałam przez telefon i dokładnie wiem, gdzie idziesz.

Jocelyn zbladła. Powoli opuściła długopis.

- Clary...

- Musisz przestać próbować mnie chronić – powiedziała – założę się, że Luke'owi też nic nie powiedziałaś.

Matka nerwowo odgarnęła włosy.

- To wydaje się nie fair względem niego. Ze zbliżającym się ślubem i tym wszystkim...

- Tak. Ślub. Bierzesz ślub. A dlaczego.? Bo wychodzisz za męża. Czy nie uważasz, że to czas, żeby ufać Luke'owi.? Ufać mnie.?

- Ufam ci. – delikatnie powiedziała jej matka.

- W takim razie nie będzie ci przeszkadzać, jeśli pójde z tobą do szpitala.

- Clary, nie myślę...

- Wiem, co myślisz. Myślisz, że to to samo, co przytrafiło się Sebastianowi, to znaczy Jonathanowi. Myślisz, że może ktoś gdzieś tam robi dzieciom co Valentine zrobił mojemu bratu.

Głos Jocelyn nieco drżał.

- Valentine nie żyje. Ale są inni, którzy byli w Kręgu, ale nigdy nie byli złapani.

I nigdy nie znaleźli ciała Jonathana. To nie było coś, o czym Clary lubiła myśleć. Poza tym Isabelle tam była i była zawsze nieugięta, co do tego, że Jace przeciął Jonathanowi kręgosłup ostrzem sztyletu i że Jonathan był całkiem martwy w rezultacie. Poszła na dół i sprawdziła, tak mówiła. Nie było pulsu, ani bicia serca.

- Mamo – powiedziała Clary – to był mój brat. Mam prawo do pójścia z tobą.

Bardzo powoli Jocelyn pokiwała głową.

- Masz rację. Przypuszczam, że masz – sięgnęła po torebkę, która była na wieszaku koło drzwi – Więc chodź i weź swój płaszcz. Zapowiadali, że ma padać.

Skwer Parku Waszyngtona wczesnym porankiem był w większości opuszczony. Powietrze było świeże i czyste, liście przykrywały chodniki cienką warstwą czerwieni, złota i ciemnej zieleni. Simon kopnął je na bok, torując sobie drogę pod kamiennym łukiem do południowego końca parku.

Wokół było kilkoro ludzi: para bezdomnych, którzy spali na ławce owinięci w śpiwory lub koce i goście w zielonych kombinezonach opróżniający kosze na śmieci. Był też mężczyzna pchający przed sobą wózek, sprzedając pączki, kawę i obwarzanki. A w centrum parku obok dużej, okrągłej, kamiennej fontanny stał Luke. Był ubrany w zieloną kurtkę zapinaną na zamek. Zamachał, gdy zobaczył Simona.

Simon odmachął nieco niepewnie. Nadal nie był pewien, czy nie miał kłopotów. To uczucie się wzmogło, gdy podszedł bliżej. Luke wyglądał na zmęczonego i na bardzo zestresowanego. Gdy jego wzrok spoczął na Simonie, był pełen troski.

-Simon- powiedział. –Dzięki, że przyszedłeś.

-Nie ma sprawy- Simonowi nie było zimno, ale i tak włożył dłonie do kieszeni, by coś z nimi zrobić. –Co się stało?

-Nie powiedziałem, że coś się stało.

-Nie przyciągnąłbyś mnie tu o świcie, jeśli wszystko byłoby w porządku- zauważył Simon. – Jeśli nie chodzi o Clary, to...?

-Wczoraj, w sklepie z sukienkami- powiedział Luke. –Zapytałeś mnie o kogoś. Camille.

Stado ptaków, kracząc, zerwało się z pobliskich drzew. Simon przypomniał sobie rymowaną, którą recytowała mu mama o srokach. Należało je liczyć i mówić: *Jedna za smutek, druga za radość, trzecia za ślub, czwarta za narodziny, piąta za srebro, szósta za złoto, siedem za sekret nigdy nie wyjawiony*⁴¹.

-To prawda- powiedział Simon. Zgubił już liczbę policzonych srok znajdujących się w parku. Siedem, zgadywał. Sekret nigdy nie wyjawiony. Cokolwiek to miało znaczyć.

-Słyszałeś o Nocnych Łowcach zamordowanych wokół miasta w ubiegłym tygodniu?- spytał Luke.

Simon powoli skinął głową. Miał złe przeczucie odnośnie kierunku, w jakim zmierzała ich rozmowa.

-Wygląda na to, że Camille może być za nie odpowiedzialna- powiedział Luke. –Nie mogę nic z tym zrobić, ale zapamiętałem, że o nią pytałeś. Usłyszenie tego imienia dwa razy w ciągu jednego dnia po latach braku wiadomości o nim w ogóle, jest nieco dziwnym zbiegiem okoliczności.

-Przypadki się zdarzają.

-Czasami- przyznał Luke- ale rzadko są wyjaśnieniem. Dziś Maryse będzie przesłuchiwać Raphaela odnośnie udziału Camille w tych morderstwach. Jeśli wyjdzie na jaw, że wiesz coś o Camille, że miałeś z nią kontakt... Nie chcę, żebyś się w to wplątywał, Simon.

-No to jest nas dwóch- Simonowi znów zaczęło huczeć w głowie. Czy wampiry w ogóle miały bóle głowy? Nie pamiętał, żeby go to spotkało przed wydarzeniami ostatnich dni.

-Spotkałem Camille- powiedział. –Jakieś kilka dni temu. Myślałem, że wezwał mnie Raphael, a okazało się, że to ona. Zaproponowała mi pewną umowę. Jeśli zacznę z nią pracować, uczyni mnie drugim najważniejszym wampirem w mieście.

-Dlaczego chciała, żebyś dla niej pracował?- ton Luke'a był neutralny.

-Wiedziała o moim Znaku- odpowiedział Simon. –Powiedziała, że Raphael ją zdradził, a dzięki mnie może odzyskać kontrolę nad klanem. Odniosłem wrażenie, że nie bardzo go lubi.

-Interesujące- powiedział Luke. –Historia, którą ja słyszałem, mówi, że jakiś rok temu Camille wyjechała na czas nieokreślony i mianowała Raphaela jej tymczasowym zastępcą. Jeśli wybrała go na przywódcę jej klanu, to dlaczego miałyby się teraz zwracać przeciw niemu?

Simon wzruszył ramionami.

-Nie wiem. Powtarzam tylko to, co ona mówiła.

-Czemu nam o tym nie powiedziałeś, Simon?- powiedział cicho Luke.

⁴¹ Nie ma polskiego odpowiednika, więc brak rymów ☺ (przyp. firefly.)

-Camille kazała mi milczeć- chłopak zdał sobie sprawę z tego, jak głupio to zabrzmiało. – Nigdy wcześniej nie spotkałem wampira takiego jak ona- dodał. –Tylko Raphaela i tych z Dumont. Trudno wytłumaczyć, jaka jest. Chciałeś wierzyć we wszystko, co mówiła. Chciałeś robić wszystko, co kazała. Chciałem sprawić jej przyjemność, mimo że wiedziałem, że chce tylko nabałaganić w moim życiu.

Mężczyzna pchający wózek z kawą i pączkami znów ich minął. Luke kupił kawę i drożdżówkę. Potem usiadł na krawędzi fontanny. Simon dołączył do niego po chwili.

-Człowiek, od którego usłyszałem imię Camilli nazywał ją ‘starożytną’- powiedział Luke. – Myślę, że ona jest jednym z najstarszych wampirów na świecie. Wyobrażam sobie, że może wprawiać większość ludzi w niezłe kompleksy.

-Sprawiła, że poczułem się jak robak- potwierdził Simon. –Obiecała, że jeśli w ciągu pięciu dni nie zdecyduję się na współpracę, już nigdy nie będzie mnie nachodzić. Powiedziałem jej, że się zastanowię.

-I co? Myślałeś nad tym?

-Jeśli to ona zabija Nocnych Łowców, nie chcę mieć z nią nic do czynienia- powiedział chłopak. –Tyle mogę powiedzieć.

-Jestem pewien, że Maryse ulży, gdy to usłyszysz.

-Teraz już jesteś sarkastyczny.

-Nieprawda- Luke wyglądał poważnie.

W takich momentach Simon mógł odłożyć na bok jego wspomnienia z Lukiem- ojcem zastępczym Clary; facetem, który zawsze był w pobliżu, oferował podwiezienie do domu lub pożyczanie 10 dolarów na książkę czy bilet do kina- za to przypominał sobie, że jest przywódcą największej sfory wilków w mieście. Że jest osobą, której w decydujących momentach słucha całe Clave.

-Zapominasz, kim jesteś. Zapominasz o sile, jaką posiadasz.

-Chciałbym zapomnieć- powiedział gorzko Simon. –Fajnie byłoby, gdyby ta moc odeszła, jeślibym jej nie używał.

Luke potrząsnął głową.

-Siła to magnes. Przyciąga tych, którzy jej pragną. Camille jest jedną z nich, ale będą też inni. Mamy w pewnym sensie szczęście, że spokój trwał tak długo- popatrzył na Simona. – Myślisz, że jeśli znowu cię wezwie, to dasz znać mi lub Conclave, gdzie możemy ją znaleźć?

-Tak- powiedział Simon powoli. –Dała mi sposób na skontaktowanie się z nią. Tyle że nie będzie to tak, że pojawi się, jak na wezwanie magicznego gwizdka. Ostatnim razem, gdy chciała ze mną porozmawiać, jej słudzy zaskoczyli mnie i zaprowadzili do niej. Więc obstawienie mnie ludźmi, gdy będę się z nią kontaktować, nie zadziała. Może złapiesz jej sługusów, ale nie ją.

-Hmm- Luke rozważał nad tą sprawą. –Musimy więc wymyślić coś sprytniejszego.

-Lepiej myśleć szybko. Dała mi pięć dni, co znaczy, że jutro będzie oczekiwać odpowiedzi.

-Zdaję sobie z tego sprawę- powiedział Luke. –Nawet na to liczę.

Simon ostrożnie otworzył drzwi mieszkania Kyle’a.

-Hej- zawołał wchodząc do środka i odwiesił kurtkę na wieszak. –Jest ktoś w domu?

Nikt nie odpowiedział, ale z salonu słychać było znajome odgłosy gry video. Wszedł do pokoju, trzymając przed sobą niczym znak przyjaźni, białą reklamówkę z bajglami z Bagel Zone na Avenue A.

-Przyniosłem śniadanie...- Simon przerwał w pół zdania.

Nie był pewien, czego oczekiwać, gdy jego samozwańczy ochroniarze dowiedzą się, że wymknął się z domu bez ich wiedzy. Myślał o czymś w stylu niezłego kazania.

-Zrób to jeszcze raz, a cię zabiję.

Za to na pewno nie myślał o Jasie i Kyle'u siedzących obok siebie na kanapie i wyglądających na świeżo upieczonych przyjaciół. Kyle trzymał w rękach joystick, a Jace wpatrywał się w telewizor, pochylony z łokciami na kolanach. Ledwo zauważali Simona.

-Tamten facet w rogu patrzy w zupełnie inną stronę- zauważył Jace. Wskazał coś na ekranie.

-Kopniak z półobrotu powinien go załatwić.

-W tej grze nie mogę kopać ludzi. Tylko strzelać. Widzisz?- Kyle wcisnął jakieś przyciski.

-To głupie- Jace rozglądnął się dookoła i po raz pierwszy popatrzył na Simona. -Widzę, że wróciłeś już z porannego spotkania- powiedział bez nuty życzliwości. -Pewnie myślałeś, że jesteś bardzo sprytny, wymykając się z domu.

-Średnio sprytny- przyznał Simon. -Jak połączenie George'a Clooney'a z „Ocean's Eleven” i tych gości z „Pogromców Mitów”, tylko przystojniejszy, wiesz.

-Zawsze cieszę się, że nie mam pojęcia o czym głędzisz- powiedział Jace. -Wprawia mnie to w dobre samopoczucie i spokój ducha.

Kyle odłożył joystick, zostawiając zamrożony obraz gry na zbliżeniu ogromnej broni z wąską lufą⁴².

-Wezmę bajgla.

Simon podał mu bułkę, po czym wilkołak poszedł do kuchni oddzielonej od salonu długim kontuarem, w celu opieczenia i posmarowania bajgla masłem. Jace popatrzył na białą torebkę i machnął lekceważąco ręką.

-Nie, dzięki.

Simon usiadł na stoliku do kawy.

-Powinieneś coś zjeść.

-Przyganiał kocioł garnkowi.

-Wyczerpałem swoje zapasy krwi- powiedział Simon. -Chyba że się oferujesz.

-Nie, dzięki. Już to przerabialiśmy i myślę, że lepiej, gdy zostaniemy tylko przyjaciółmi.

Ton Jace'a był lekko sarkastyczny, jak zawsze. Tylko gdy się przyjrzeć, można zauważyć, jak był blady i cienie pod oczami. Kości na twarzy wystawały bardziej niż zazwyczaj.

-Serio- Simon popchnął torbę po stole w stronę Jace'a. -Powinieneś coś zjeść. Nie żartuję.

Jace popatrzył w dół na reklamówkę i skrzywił się. Jego powieki były sino-fioletowe od wyczerpania.

-Jeśli mam być szczery, myślenie przyprawia mnie o nudności.

-Zasnąłeś ostatniej nocy- powiedział Simon. -Wtedy, gdy miałeś mnie pilnować. Wiem, że ta cała sprawa z chronieniem mnie to dla ciebie żart, ale wiesz... Kiedy ostatnio spałeś?

-Tak całą noc?- Jace się zamyślił. -Jakieś dwa tygodnie temu. Może trzy.

⁴² Enormous needle-tipped gun.

Simon otworzył usta.

-Czemu? To znaczy, co się dzieje?

Na twarzy Jace'a pojawił się cień uśmiechu.

-O Boże! Ja bym mógł być zamknięty w łupinie orzecha i jeszcze bym się sądził panem niezmierzonej przestrzeni, gdybym tylko złych snów nie miewał⁴³.

-Znam to. Hamlet. Mówisz więc, że nie możesz spać, bo masz koszmary?

-Wampirze- powiedział Jace zmęczonym, ale pewnym głosem. -Nawet nie masz pojęcia.

-Hej- Kyle wrócił z kuchni i rzucił się na powycierany fotel. Ugryzł swoją bułkę. -Co się dzieje?

-Poszedłem spotkać się z Lukiem- zaczął Simon i opowiedział im, co się wydarzyło, nie widząc powodu, by to ukrywać. Pomiął jedynie to, że Camille chce go nie tylko dlatego że jest Chodzącym Za Dnia, ale również z powodu Znaku Kaina. Kyle pokiwał głową, gdy skończył.

-Luke Garroway. Jest przywódcą sfory w centrum miasta. Słyszałem o nim. Jest z niego niezła szycha.

-Jego prawdziwe nazwisko to nie Garroway- powiedział Jace. -Kiedyś był Nocnym Łowcą.

-No tak. O tym też słyszałem. A teraz jest kluczową postacią w Porozumieniach- Kyle rzucił okiem na Simona. -Znasz wielu ważnych ludzi.

-Ważni ludzie oznaczają wiele kłopotów- powiedział Simon. -Na przykład Camille.

-Gdy Luke powie Maryse, co się dzieje, Clave się nią zajmie- stwierdził Jace. -Są przepisy, które pozwalają odpowiednio zajmować się łotrami z Podziemnego Świata- w tym momencie Kyle popatrzył na niego z ukosa, czego Nocny Łowca raczej nie zauważył. -Już ci mówiłem, że to ona chce cię zabić. Ona wie...- Jace przerwał. -Wie lepiej niż ktokolwiek.

-I poza tym, ona chce cię wykorzystać- powiedział Kyle.

-Racja- przytaknął Jace. -[no one is going to of valuable resource].

Simon skakał wzrokiem od jednego do drugiego, potem potrząsnął głową.

-Od kiedy się tak bardzo zakolegowaliście? Ostatniej nocy było tu coś w stylu 'Ja jestem najbardziej elitarnym wojownikiem!' 'Nie, to ja jestem najbardziej elitarnym wojownikiem!'. A dzisiaj gracie razem w Halo⁴⁴ i gratulujecie sobie nawzajem wspaniałych pomysłów.

-Zdaliśmy sobie sprawę, że mamy coś wspólnego- powiedział Jace. -Wkurzasz nas obu.

-W takim razie ja też mam pomysł. I nie sądzę, by się wam spodobał.

Kyle uniósł brwi.

-Mów.

-Problemem jest to, że jeśli będziecie mnie pilnować cały czas, to goście chcący mnie zabić nie spróbują znowu, więc nie dowiemy się, kim są i poza tym musicie pilnować mnie cały czas! Przypuszczam, że macie inne rzeczy, które powinniście robić. Cóż- dodał w stronę Jace'a. -Może ty nie masz.

-No i?- powiedział Kyle. -Co proponujesz?

-Zwabimy ich. Sprawimy, że zaatakują znowu. Spróbujemy złapać tego, kto ich wysłał.

-Jeśli dobrze pamiętam- wtrącił Jace. -Przedstawiłem ci ten pomysł kilka dni temu i nie bardzo ci się spodobał.

⁴³ William Szekspir 'Hamlet' (akt II scena II)

⁴⁴ Gra na X-boxa (przyp. tłum.)

-Byłem zmęczony- przyznał Simon. –Ale teraz to przemyślałem. I biorąc pod uwagę moje doświadczenie ze złoczyńcami, mogę stwierdzić, że oni nie odpuszczają, tylko gdy ich ignorujesz. Atakują przeróżnymi sposobami. Więc albo zmuszę ich do tego ataku, albo spędzę wieczność czekając na niego.

-Wchodzę w to- powiedział Jace. Kyle nadal miał wątpliwości.

-Zamierzasz po prostu wyjść na zewnątrz i spacerować, dopóki znowu się nie pokażą?

-Pomyślałem sobie, że im to ułatwię. Pokażę w miejscu, gdzie wszyscy wiedzą, że mogą mnie spotkać.

-To znaczy...?- zapytał Kyle.

Simon wskazał ulotkę przyczepioną do lodówki.

MILLENNIUM LINT, 16 PAŹDZIERNIKA. BAR ALTO, BROOKLYN. GODZ. 21.

-To znaczy koncert. Czemu nie?- nadal męczył go ból głowy, teraz uderzył ze zdwojoną siłą, ale odepchnął to na bok. Starał się nie myśleć o tym, jaki był wykończony lub jak przetrwa występ. Musiał jakoś zdobyć krew. Musiał.

Oczy Jace'a się zaświeciły.

-Wiesz, to nawet niezły pomysł, wampirze.

-Chcesz, aby zaatakowali cię na scenie- spytał Kyle.

-To byłby ekscytujący pokaz- odpowiedział Simon zuchwale, czym sam siebie zaskoczył. Myśl, że znów zostanie zaatakowany, prawie go przerastała, nawet jeśli nie obawiał się o własne bezpieczeństwo. Nie był pewien, czy znów zniesie oglądanie tego, jak działa Znak Kaina.

Jace potrząsnął głową.

-Oni nie atakują publicznie. Poczekają do końca występu. A my będziemy tam my, by się z nimi uporać.

Kyle pokręcił głową.

-No, nie wiem...

Trwało to jeszcze trochę czasu. Jace i Simon po jednej stronie sporu, Kyle po drugiej. Simon czuł się trochę winny. Jeśli Kyle dowiedziałby się o Znaku, byłoby go łatwiej przekonać. Ostatecznie złamał się pod presją i niechętnie zaakceptował to, co nadal nazywał „głupim planem”.

-Ale- powiedział w końcu, wstając i otrzepując koszulkę z okruszków po bajglu. –Robię to tylko dlatego, że wiem, że i tak byście to zrobili, nawet gdybym się nie zgodził. Więc równie dobrze mogę w tym uczestniczyć- popatrzył na Simona. –Kto by pomyślał, że chronienie cię przed samym sobą będzie takie trudne?

-Powinienem być ci to powiedzieć- stwierdził Jace, gdy Kyle narzucił na siebie kurtkę i skierował się do drzwi. Wyjaśnił, że musi iść do pracy. Wygląda na to, że naprawdę był chłopcem na posyłki. Praetor Lopus, poza tym, że miało beznadziejną nazwę, nie płaciło zbyt dobrze. Drzwi zamknęły się za wilkołakiem, a Jace odwrócił się do Simona. –Więc koncert jest o 21, tak? Co zrobimy z resztą dnia?

-My?- Simon popatrzył na niego z niedowierzaniem. –Masz zamiar w ogóle iść do domu?

-A co, znudziło ci się moje towarzystwo?

-Pozwól, że cię o coś spytam- powiedział Simon. –Uważasz mnie za tak fascynującego, że chcesz mieć mnie w pobliżu?

-Coś mówiłeś? –zapytał Jace. –Sorki, myślę, że zasnąłem na chwilkę. Idź dalej z tymi wszystkimi interesującymi rzeczami, które mówiłeś.

-Przestań- odezwał się wampir. –Przestań być sarkastyczny choć na chwilę. Nie jesz, nie śpisz. Wiesz kto jeszcze tak ma? Clary. Nie wiem, co się między wami dzieje, bo ona nic mi o tym nie powiedziała. Przypuszczam, że i tak nie chciałaby o tym gadać. Ale to chyba oczywiste, że się pokłóciliście. A jeśli zamierzasz z nią zerwać...

-Zerwać z nią?- Jace wpatrywał się w niego. –Oszalałeś?

-Jeśli będziesz jej unikał, to ona zerwie z tobą.

Jace wstał z kanapy. Jego odprężenie zniknęło, cały się spiął, niczym przyczajony kot. Podszedł do okna i niespokojnie szarpnął firanką. Światło późnego poranka przedostało się przez szczelinę, dodając jego oczom koloru.

-Mam swoje powody, by to robić- powiedział w końcu.

-Świetnie- powiedział Simon. –Clary je zna?

Jace nic nie odpowiedział.

-Ona cię kocha i ufa ci- kontynuował Simon. –Jesteś jej winny...

-Są rzeczy ważniejsze niż szczerłość- przerwał mu Jace. –Sądzisz, że lubię ją krzywdzić? Sądzisz, że lubię wiedzieć, że złoścę ją, a nawet sprawiam, by mnie nienawidziła? Jak myślisz, dlaczego tu jestem?- popatrzył na Simona z zimną złością w oczach. –Nie mogę z nią być- powiedział. –A jeśli nie mogę być z nią, nie ma dla mnie znaczenia, gdzie się znajduję. Mogę więc równie dobrze być z tobą, bo przynajmniej będzie wiedzieć, że starałem się ciebie chronić. Może ją to uszczęśliwi.

-Starasz się ją uszczęśliwić, mimo że tym, co ją unieszczęśliwia jesteś ty- stwierdził Simon niezbyt życzliwie. –To wygląda na paradoks, no nie?

-Miłość jest paradoksem- powiedział Jace i odwrócił się w stronę okna.

Tłumaczenie: *midnight Sun, firefly.*

Korekta: *Tellave*

ROZDZIAŁ ÓSMY

Chodząc w ciemnościach

Clary już zapomniała, jak bardzo nienawidziła zapachu szpitali, dopóki nie przeszła przez drzwi Beth Israe. Sterylność, metal i stara kawa to nie dość, by ukryć zapach śmierci i nieszczęścia.. Pamięć o chorobie matki, Jocelyn, która leży nieprzytomna i nie odpowiada, w gnieździe rurek i przewodów, uderzyła ją jak wymierzony policzek. Wstrzymała oddech, by nie czuć tego smaku.

- Wszystko w porządku? – Jocelyn zdjęła kaptur, a jej oczy wyrażały niepokój. Clary kiwnęła głową, zdejmując z ramion kurtkę i rozejrzała się. W środku było pełno marmuru, metalowych i plastikowych elementów. Było tu też duże biurko, za którym jedna z kobiet, prawdopodobnie pielęgniarka, kręciła się; znaki wskazywały na OIOM, rentgen, onkologię i oddział dziecięcy i tak dalej. Do kafeterii mogłaby pójść z zamkniętymi oczami; kupiła Luke’owi wystarczającą ilość zimnych kubków, by napelnić nimi cały Central Park.

- Przepraszam – powiedziała szczupła pielęgniarka, pchająca przed sobą starszego człowieka na wózku inwalidzkim, prawie przejechała po palcach Clary. Dziewczyna obejrzała się za nią – było w niej coś znajomego...

- Nie gap się, Clary – mruknęła pod nosem Jocelyn. Objęła córkę ramionami i skierowała ją do poczekalni dla ludzi, którzy mieli oddawać krew. Clary widziała jej i jej matki odbicie w ciemnej szybie drzwi. Mimo, że była o głowę niższa niż Jocelyn, były do siebie naprawdę podobne. Kiedyś nie zwracała uwagi, kiedy ktoś jej to mówił.

Jocelyn była piękna, a ona nie. Jednak kształt ich oczu i ust był taki sam, podobnie jak rude włosy, długie ręce i zielone oczy. Jak to jest, że ona dostała tak mało z wyglądu Valentine’a, a jej brat tak wiele? On miał ojcowskie jasne włosy i ciemne, przenikliwe oczy. Chociaż może jednak, pomyślała, gdy przypatrzę się uważniej, mam podobnie do Valentine’a zarysowaną szczękę.

- Jocelyn – obie odwróciły się. Pielęgniarka zajmująca się staruszką stała przed nimi. Była szczupła, wyglądająca na młodą o ciemnej skórze i ciemnych włosach, ale kiedy Clary przyjrzała jej się, czar prysł. Wciąż była niewielka, ale teraz jej skóra była granatowa, a włosy zebrane w kucyk z tyłu głowy – śnieżnobiałe. Odcień jej skóry rażąco kontrastował z jej różowymi paznokciami.

- Clary – powiedziała Jocelyn – to Catarina Loss. Zajmowała się mną, kiedy byłam tutaj. Jest przyjaciółką Magnusa.

- Jesteś czarownikiem – słowa wyszły z ust Clary, zanim zdążyła je powstrzymać.

-Ćśśś... - Kobieta czarownik spojrzała na nią w przerażeniu. Spojrzała na Jocelyn – Nie mówiłaś, że zamierzasz zabrać córkę ze sobą. Ona jest jeszcze dzieckiem.

- Clarissa potrafi zadbać o siebie – Jocelyn spojrzała na Clary surowo - Czy nie możesz?

Dziewczyna skinęła głową. Widziała czarowników wcześniej, oprócz Magnusa, w bitwie w Idrisie. Każdy z nich posiadał kilka cech, które odróżniały ich od ludzi, jak kocie oczy u

Magnusa. Niektórzy mieli skrzydła, inni zrośnięte, bądź szponiaste palce. Ale niebieska skóra to było coś, co trudno ukryć w życiu codziennym pod luźną kurtką. Catarina Loss musi każdego dnia nakładać na siebie czar, by móc wyjść na zewnątrz – szczególnie pracując w szpitalu przyziemnych.

Czarownik wskazała kciukiem windę – Dalej. Chodźcie za mną. Zróbmy to szybko.

Clary i Jocelyn pośpieszyły za nią do wind i weszły do pierwszej, które drzwi były otwarte. Gdy tylko drzwi zasunęły się z sykiem, Catarina wcisnęła przycisk oznaczony po prostu „M”. Obok znajdowała się wgłębienie, sugerujące, że użycie tego przycisku jest możliwe dopiero po włożeniu klucza, ale kiedy tylko dotknęła guzika, niebieska iskra skoczyła z jej palca i przycisk zaświecił. Winda zaczęła jechać w dół.

Catarina pokręciła głową. – Jeśli nie jesteś przyjaciółką Magnusa Bane’a, Jocelyn Fairchild ...

- Fray – poprawiła ją Jocelyn – używam teraz nazwiska Fray.

- Nigdy więcej nazwisk Nocnych Łowców? – Catarina uśmiechnęła się, a jej usta były zaskakująco czerwone, w porównaniu z jej skórą.

- A co z tobą, dziecino? Będiesz Nocną Łowczynią jak twój tata?

Clary starała się ukryć swoją irytację.

- Nie. Będę Nocną Łowczynią, ale nie taką, jaki był mój ojciec. I nazywam się Clarissa, ale możesz mi mówić Clary.

Winda zatrzymała się, a drzwi rozsunęły. Niebieskie oczy kobiety zatrzymały się na niej przez chwilę.

- Och, wiem, jak się nazywasz. – powiedziała – Clarissa Morgenstern, mała dziewczynka, która zatrzymała wielką wojnę.

- Chyba tak. – Clary wyszła z windy, trzymając się blisko matki – Byłaś tam? Nie pamiętam cię.

- Catarina była tam. – powiedziała Jocelyn i zaczerpnęła oddech, starając się go utrzymać. Szły w dół prawie pustym korytarzem, bez okien, ani drzwi. Ściany były pomalowane na obrzydliwy, jasno zielony kolor. – Pomogła Magnusowi wykorzystać Białą Księżę, by mnie obudzić. Potem została, pilnując jej, w czasie, kiedy on był w Idrisie.

- Pilnować książki?

- To bardzo ważna książka – powiedziała Catarina, stukając gumowymi podeszwami jej butów.

- Myślałam, że to raczej bardzo ważna wojna – mruknęła pod nosem Clary.

W końcu dotarły do drzwi. Były proste, z kwadratem matowego szkła wewnątrz, na którym namalowano czarną farbą „KOSTNICA”. Catarina przekręciła ręką jedną z gałek, przybierając rozbawiony wyraz twarzy i spojrzała na Clary.

- Już na początku mojego życia wiedziałam, że mam dar uzdrawiania – powiedziała to, co robię, to w pewnym sensie magia. Więc pracuję tu, za marne pieniądze, w szpitalu, lecząc przyziemnych, którzy krzyczeliby z przerażenia, gdyby wiedzieli, jak naprawdę wyglądam. Mogłabym zbić fortunę, sprzedając swoje usługi Nephilim i głupim przyziemnym, którzy myślą, że wiedzą, co to magia. Ale nie robię tego. Więc nie zachowuj się wobec mnie arogancko, rudowłosa dziewczynko. Nie jesteś ode mnie lepsza, tylko dlatego, że jesteś sławna.

Policzki Clary płonęły. Nigdy wcześniej nie myślała, że jest sławna.

– Masz rację. Przepraszam.

Niebieskie oczy czarownicy przeniosły się na Jocelyn, która była blada i spięta.

- Jesteś gotowa?

Jocelyn skinęła głową i popatrzyła na Clary, która również potaknęła. Catarina pchnęła drzwi i weszły do kostnicy.

Pierwszą rzeczą, która uderzyła Clary, było zimno. W pomieszczeniu było lodowato, więc dziewczyna pośpiesznie zapięła kurtkę. Druga, to był zapach, zapach środków czyszczących z delikatną wonią rozkładu. Z góry padało żółtawe światło z żarówek. Dwa duże i puste stoły stały po środku pomieszczenia; był tam też zlew oraz metalowa waga do ważenia narządów. Wzdłuż ścian umieszczone były przedziały, wyglądające jak bezpieczne sejfy z banku, tylko znaczenie większe. Catarina przeszła przez pomieszczenie i pociągnęła jedną z podziałek za rączkę; wysunęła się na szynach. Wewnątrz, leżące na zimnej płycie, znajdowało się ciało niemowlęcia.

Z gardła Jocelyn wydobyło się ciche jęknięcie. Chwilę później podbiegła do Cateriny; Clary zrobiła to znacznie wolniej. Widziała wcześniej martwe ciała – widziała zwłoki Maxa Lightwooda, którego знаła.

Miał tylko dziewięć lat. Ale dziecko – Jocelyn przykryła usta dłonią. Jej oczy były duże i ciemne, wpatrujące się w ciało dziecka. Clary spojrzała w dół; w pierwszym odruchu dziecko – chłopiec – wyglądał normalnie. Miało wszystkie dziesięć palców u stóp i rąk. Ale gdy przyjrzała się dokładniej, w sposób, w jaki patrzyła, by złamać czar, zobaczyła, że palce dziecka wcale nie są palcami, a szponami zakrzywionymi do wewnątrz i bardzo ostrymi. Jego skóra była szara, oczy szeroko otwarte, wpatrywały się w nie całą swoją czernią – nie tylko źrenicy, ale też tęczówek i białek.

Jocelyn zaczęła szeptać

– Tak wyglądały oczy Jonathana, kiedy się urodził – jak czarne tunele. Potem zmieniły się na bardziej ludzkie, ale ja wciąż pamiętam...

Cała dygocąc odwróciła się i wybiegła z pomieszczenia, trzaskając drzwiami.

Clary spojrzała na Caterinę, która wyglądała na poruszoną.

– Lekarze nie mogli powiedzieć? – zapytała – Mam na myśli jego oczy i ręce.

Catarina potrząsnęła głową.

– Nie widzą tego, czego nie chcą widzieć. – wzruszyła ramionami – Praca tutaj to też jakiś rodzaj magii, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Demoniczna magia. Zła rzecz.

Wyjęła coś ze swojej kieszeni. Była to próbka materiału, zamknięta w samozatraskowej, plastikowej torebce.

- To kawałek tego, czym było owinięte to dziecko, kiedy je do nas przyniesiono. Też śmierdzi demoniczną magią. Przekaż to swojej matce. Może niech przekaze to Cichym Braciom, może oni coś z tego wyciągną. Kto to zrobił.

Uważnie Clary wzięła torebkę. Kiedy tylko jej ręce zacisnęły się na opakowaniu, przed oczami pojawiła się runa – matryca linii i zawijasów, która zniknęła w momencie wsunięcia do kieszeni przedmiotu.

Jej serce waliło. To nie pójdzie do Cichych Braci. Nie dopóki nie dowiem się, co oznacza ta runa.

- Porozmawiasz z Magnusem? – zapytała Caterina – Powiedz mu, że pokazałam Twojej mamie, to, co chciała zobaczyć.

Clary skinęła głową mechanicznie jak lalka. Wszystko, czego chciała było z dala od tego oświetlonego na żółto pokoju, z dala od zapachu śmierci i małego skamieniałego ciała leżącego na blacie. Pomyślała o matce i o tym, że każdego roku, w urodziny Jonathana wyjmowała lok Jonathana i płakała. Płakała nad synem, którego powinna mieć, zamiast tego, którego miała. Nie sądzę, żeby to było to, co chciała zobaczyć. Myślę, że to, czego chciała, było niemożliwe. Ale „jasne, przekażę mu” było jedyne, co powiedziała.

Alto Bar był ich typowym miejscem spotkań, położonym pod wiaduktem Brooklyn-Queens Expressway na Greenpoint. Bywali tu w każdą sobotę i Erick zdążył zaprzyjaźnić się z właścicielem. Więc mogli grać w jakąkolwiek sobotę, jaką chcieli, bez względu na to, że ciągle zmieniali nazwy i nie można było liczyć na ruch w tłumie.

Kyle i reszta zespołu byli już na scenie, ustawiając sprzęt i robiąc końcowe poprawki. Mieli zacząć od jednego z ich starszych numerów, z Kyle'em na wokalu. Szybko nauczył się tekstu, więc czuli się pewnie. Simon zgodził się zostać za kulisami aż nie zacznie się występ, co znacznie łagodziło nerwy Kyle'a. Teraz Simon patrzył przez szparę w aksamitnych zasłonach na tych, którzy byli na zewnątrz. Naprzeciwko, stoliki wokół ścian były jak zwykle zapelnione. Simon zobaczył Isabelle, siedzącą samotnie przy stoliku, ubraną w sukienkę z srebrnej siateczki, która wyglądała jak kolczuga, oraz wysokie buty. Uczesana była w kok, zebrany srebrzystymi pałeczkami. Simon wiedział, że każda z tych pałeczek jest bardzo ostra, mogąca przeciąć skórę aż do kości. Usta miała pomalowane szminką w kolorze świeżej krwi. Wstrzymaj się, pomyślał Simon. Przestań myśleć o krwi.

Inny stół był zajęty przez Blythe i Kate, dziewczyny odpowiednio Kirka i Mata, dzielącymi się nachosami z jednego talerza. Większość wianuszka dziewczyn Ericka była rozrzucona po Sali, nie mówiąc już o jego znajomych ze szkoły, co nadawało wrażenie, że sala była pełna.

Przy stole w kacie siedziała Maureen, jedyna fanka Simona – szczuplutka samotna blondynka, która wyglądała na dwanaście lat, a zaklinała się, że ma szesnaście. Doszedł do wniosku, że ma około czternastu. Kiedy zobaczyła jego głowę wystającą zza kurtyny, pomachała mu energicznie.

Simon cofnął głowę gwałtownie niczym żółw i zaciągnął kurtynę.

- Hej - powiedział Jace, który siedział na przewróconym głośniku, patrząc na swój telefon komórkowy - Czy chcesz zobaczyć zdjęcie Alec'a i Magnusa w Berlinie?

- Niespecjalnie – Odparł Simon.

- Magnus ma na sobie laderhosen

- A jednak wciąż nie chcę.

Jace schował telefon do kieszeni i spojrzał na Simona pytająco.

– Wszystko w porządku?

- Tak – Odparł Simon, ale wcale tak się nie czuł. Czuł zawroty głowy, mdłości i napięcie w dole kręgosłupa, w związku z tym, co się wydarzyło tego wieczoru. I nic nie pomógł fakt, że nic nie czuł, musiał to załatwić i to szybko. Chciał, żeby Clary tu była, ale ona nie mogła przyjść. Miała wiele obowiązków związanych ze ślubem i już dawno mu powiedziała, że nie będzie mogła przyjść. przeszedłby do Jace'a zanim oni by tam dotarli. Jace wydawał się tak przygnębiony jak i zdezorientowany cały czas- co było imponujące.

- Hej, hej, jesteśmy już gotowi do pracy – powiedział Kyle wychylając się zza zasłony i przypatrzył się Simonowi z bliska. – Jesteś tego pewny?

Simon spojrzał z Kyle'a na Jace.

– Czy wiecie, że wyglądacie tak samo?

Obaj popatrzyli w dół, a potem na siebie. Obaj mieli na sobie džinsy i czarne t-shirty z długim rękawem. Jace szarpał brzeg koszuli zakłopotany.

- Pożyczyłem to od Kyle. Inne moje ciuchy były brudne.

- Wow, nosicie teraz swoje ubrania. Tak robią tylko najlepsi przyjaciele.

- Czujesz się odrzucony? – powiedział Kyle – Przypuszczam, że też chcesz pożyczyć ode mnie czarny t-shirt.

Choć było oczywiste, że na niego nie będą pasować ubrania, które noszą Kyle i Jace, nie na jego błądą skórę.

- Jasne, póki wszyscy nosimy własne spodnie.

- Widzę, że przyszedłem w najlepszym momencie dyskusji – Erick wsadził głowę między zasłony.

- Chodź. Czas zacząć.

Kiedy Kyle i Simon poszli na scenę, Jace wstał. Pod jego koszulką Simon mógł dostrzec ostrze szeptu.

- Połamanie nóg – powiedział Jace – ja będę tam na dole, mam nadzieję łamiąc kogoś innego.

Raphael miał przyjść o zmierzchu, ale niemal trzy godziny przed zapowiedzianą wizytą, jego projekcja ukazała się w Instytucie.

Polityka wampirów, pomyślał sucho Luke. Przywódca klanu w Nowym Jorku może przyjść, jeśli musi, gdy wzywa go Nocny Łowca. Ale on nie był wezwany ani nie chciał być punktualny.

Luke spędził kilka ostatnich godzin na czytaniu książek w bibliotece, Maryse nie była chętna do rozmowy i spędziła większość czasu na staniu przy oknie, piciu czerwonego wina kryształowego kieliszka i wpatrywaniu się w ruch na York Avenue.

Odwróciła się, kiedy postać Raphaela zaczęła się materializować. Pierwszy pojawił się zarys jego twarzy i rąk, a następnie ciemność pochłonęła jego ubrania i włosy. Wreszcie stanął w pełnej projekcji. Spojrzał na Maryse spieszącą do niego i powiedział:

- Wzywałaś, Nocna Łowczyni?

Odwrócił się wtedy, a jego wzrok padł na Luke'a.

- I wilkołak też tu jest, Czyżbym został wezwany na posiedzenie Rady?

- Nie do końca. - Maryse odstawiła kielich na biurko - Słyszałeś o ostatnich zgonach, Raphael? O organach Nocnych Łowców, które zostały odnalezione?

Raphael uniósł brwi.

- Owszem. Ale nie sądzę, by to było warte dla mnie uwagi. To nie ma nic wspólnego z moim klanem.

- Jedno ciało znaleziono na terenie czarnoksiężników, jedno na terytorium wilkołaków i jedno na terytorium Fearie. – Rzekł Luke – Mam wrażenie, że twój gatunek będzie następny.

Wydaje się jasne, próba podsycenia niezgody wśród Podziemnych. Jestem tu w dobrej wierze, aby pokazać, że nie wierzę, że jesteś za to odpowiedzialny, Raphael.

- Cóż za ulga – odparł Raphael, ale jego oczy były ciemne i czujne. – Skąd przypuszczenia, że mógłbym?

- Jeden z zabitych był w stanie powiedzieć nam, kto go zaatakował - powiedziała Maryse ostrożnie. – zanim zmarł, oznajmił nam, że osoba odpowiedzialna za to, to Camille.

- Camille. - Głos Raphaela był ostrożny, a jego twarz przeszedł prąd, by chwilę później przejść w zakłopotanie - Ale to nie jest możliwe.

- Dlaczego nie jest możliwe, Raphael? – zapytał Luke - Ona jest głową klanu. Jest silna i bezwzględna. Jednak wydaje się, że zwyczajnie zniknęła. Nie przybyła do Idrisu, by walczyć u twojego boku w wojnie. Nie zatwierdziła nowych Porozumień. Żaden Nocny Łowca nie słyszał o niej, ani nie widział – aż do teraz.

Raphael nie odpowiedział.

- Coś się dzieje - powiedziała Maryse. - Chcieliśmy dać ci szansę wyjaśnić to nam, zanim powiemy Clave o zaangażowaniu Camille. W dobrej wierze.

- Tak – odparł Raphael – To z pewnością wszystko na pokaz.

- Raphael – powiedział Luke ugodowo. – Nie należy jej chronić. Jeśli ci na niej zależy...

- Zależy na niej? – Raphael odwrócił się i splunął, choć to był teatralny gest – był projekcją.

- Nienawidzę jej. Nie uznaję jej. Codziennie wieczorem, kiedy wstaję, chcę ją zabić.

- Oh - powiedziała Maryse delikatnie. – W takim razie...

- Ona dowodziła nami przez lata - powiedział Raphael – Była głową klanu, kiedy zostałem wampirem, a to było ponad pięćdziesiąt lat temu. Kiedy przybyła do nas z Londynu była obca w tym mieście, ale jej pozycja drastycznie skoczyła w klanie na Manhattanie w przeciągu zaledwie kilku miesięcy. W zeszłym roku zostałem jej zastępcą. Kilka miesięcy temu odkryłem, że zabija ludzi. Zabija dla sportu i krwi. Łamie prawo. Zdarza się. Wampiry są nieuczciwe i nic nie da się na to poradzić. Ale jeśli to się przydarzyło głowie klanu... która powinna być lepsza od wszystkich. – stał nieruchomo, z oczami utkwionymi w jeden punkt, przywołując wspomnienia – Nie jesteśmy jak wilki. Nie zabijamy lidera, by wyłonić nowego. Dla wampira podniesienie ręki na innego wampira to największa zbrodnia. A Camille ma wielu sojuszników, wielu zwolenników. Nie mogłem jej zabić bez ryzyka. Zamiast tego poszedłem do niej i powiedziałem jej, że ma nas opuścić, że ma się ratować, albo pójdę do Clave. Nie chciałem tego robić, to oczywiste, bo wiedziałem, że gdybym to odkrył, sprowadziłbym na siebie gniew całego klanu. Nie ufaliby mi, zniszczyli. Ogarnąłby mnie wstyd i zostałbym upokorzony przed innymi klanami.

Maryse prychnęła niecierpliwie.

- Są ważniejsze rzeczy niż utrata twarzy.

- Kiedy jesteś wampirem, może oznaczać różnicę między życiem i śmiercią. – Głos Raphaela się załamał - Ja grałem. Udawałem, że w to wierzę tak długo, aż ona mi uwierzyła. Zgodziła się odejść. I odeszła, pozostawiając po sobie zagadkę. Nie mogłem zająć jej miejsca, bo to nie abdykowała. Nie umiałem wytłumaczyć jej wyjazdu, nie ujawniając, co zrobiła. Musiałem usprawiedliwiać jej długą nieobecność chęcią podróżowania. Coś takiego nie jest rzadkie w naszej naturze; to przychodzi z chwili na chwilę. Kiedy możesz żyć wiecznie, pobyt w jednym miejscu może się wydawać nudnym wiezieniem po wielu, wielu latach...

- Jak długo możesz utrzymać tą farsę? – zapytał Luke.

- Tak długo, jak tylko mogę.- powiedział Raphael. - Do tej pory się udaje.

Odwrócił się od nich, w stronę okna i musującej nocy za nim.

Luke oparł się plecami o jeden z regałów. Był niejasno rozbawiony faktem, że znajdował się w sekcji o zmiennokształtnych, przy ogromnych tomach w wilkołakach, nagach, kitsune i selkiach.

- Musisz wiedzieć, że ona opowiedziała podobną historię o tobie. – powiedział, nie wspominając, kiedy to mówiła.

- Myślałem, że opuściła miasto.

- Być może, ale wróciła – odparła Maryse – I jest spragniona już nie tylko ludzkiej krwi.

- Nie wiem, co mogę powiedzieć – rzekł Raphael – Staralem się chronić mój klan. Jeśli prawo mnie za to ukarze, zgodzę się na to.

- Nie jesteśmy zainteresowani karaniem ciebie - powiedział Luke. – Nie, chyba, że odmówisz współpracy.

Raphael zwrócił się ku nim, a jego oczy płonęły.

- Chcielibyśmy schwycić Camille. Żywą. - powiedziała Maryse. – Chcemy ją przesłuchać. Musimy wiedzieć, dlaczego zleciła zamordowanie Nocnych Łowców, w szczególności tych Nocnych Łowców.

- Jeśli macie na to nadzieję, to ja mam nadzieję, że macie jakiś chytry plan. – powiedział z mieszaniną rozbawienia i pogardy Raphael – Camille jest zbyt chytra nawet dla mojego gatunku, który jest i tak wystarczająco przebiegły.

- Mam plan – rzekł Luke – I włącza w to Daylightera. Simona Lewisa.

Raphael skrzywił się.

- Nie lubię go. – powiedział wampir – Nie chcę brać udziału w planie, w który on jest zaangażowany.

- Dobrze. – odparł Luke – Ale to nie jest najgorsze.

Głupia, pomyślała Clary. Głupio, że nie wzięłam parasola. Słaby deszczyk, o którym mówiła jej matka rano, przerodził się w pełnowymiarową ulewę, zanim dotarła do Alto Bar na Lorimer Street. Wepchnęła się w strumień przechodniów i weszła z ulgą do wnętrza ciepłego baru.

Szarpanie Tysiąclecia byli już na scenie, chłopcy odpływali przy swych instrumentach, a Kyle, z przodu, pochylał się seksownie do mikrofonu. Clary poczuła na moment satysfakcję. To, że był w zespole, było w dużej mierze jej zasługą i była z tego wyraźnie dumna.

Rozejrzała się po pomieszczeniu, w nadziei na dostrzeżenie Mai lub Isabelle. Wiedziała, że będzie tylko jedna z nich, ponieważ Simon starannie zapraszał je na przemian na występy. Jej spojrzenie padło na smukłą postać o czarnych włosach, więc zaczęła iść wolnym krokiem w stronę stolika, by zatrzymać się w połowie drogi. To nie była wcale Isabelle, ale o wiele starsza kobieta, której twarz składała się głównie z ciemnych kręgów pod oczami. Miała na sobie wytworny garnitur i czytała gazetę, pozornie obojętna na muzykę.

- Clary, tutaj!- Clary odwróciła się i zobaczyła rzeczywistą Isabelle, siedzącą w pobliżu sceny. Była ubrana w strój, który świecił jak srebrna latarnia. Clary ruszyła w jej stronę i w końcu opadła na miejsce obok niej.

- Widzę, że złapał cię deszcz – spostrzegła Isabelle.

Clary odsunęła wilgotne włosy z twarzy z uśmiechem

- W walce przeciwko Matce Naturze wiele można stracić.

Izabela podniosła ciemne brwi.

- Myślałem, że nie przyjdiesz dziś wieczorem. Simon powiedział, że miałeś jakieś bla-bla bla obowiązki weselne.

Isabelle nigdy nie była zachwycona weselami, jako paradą miłości czysto romantycznej, odkąd tylko Clary ją знаła.

- Moja mama nie czuła się dobrze - powiedział Clary. - Ona zdecydowała się to przełożyć.

To była prawda, do pewnego momentu. Gdy wróciły do domu, Jocelyn poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Clary, z poczuciem bezradności i frustracji, słyszała jak płacze cicho przez drzwi, ale matka nie pozwoliła jej o tym rozmawiać. Końcu Luke wrócił do domu i Clary ulgą zostawiła matkę pod jego opieką, kierując swoje kroki na miasto, zanim zobaczy zespół Simona. Zawsze starała się dotrzeć do jego występy, a po za tym, rozmowa z nim sprawi, że poczuje się lepiej.

- Hm. – Isabelle nie pytała o nic więcej. Czasami jej niemal całkowity brak zainteresowania problemami innych ludzi, był czymś w rodzaju ulgi. – Cóż, sądzę, że Simon ucieszy się, że przyszedł.

Clary spojrzała w stronę sceny.

– Jak spisują się do tej pory?

- Nieźle - Isabelle żuła w zamyśleniu gumę - Ten ich nowy wokalista jest bardzo gorący. Czy jest wolny? Chciałbym jeździć nim po mieście jak zły, zły kucyk pony...

- Isabelle!

- Co? - Isabelle obejrzała się na nią i wzruszył ramionami. - Oh, cokolwiek. Simon i ja nie jesteśmy wyjątkowi. Mówiłam Ci to.

Prawda, pomyślała Clary, Simon nie potrafi sobie radzić w tej dziwnej sytuacji. Ale wciąż był jej przyjacielem.

Miała coś powiedzieć w jego obronie, gdy spojrzała w stronę sceny i znowu coś przykuło jej uwagę. Znana postać, która pojawiła się przy wejściu na scenę. Ona poznałaby go w każdym miejscu i o dowolnej porze, bez względu na oświetlenie czy swoje zaskoczenie.

Jace. Był ubrany jak przyziemny: dżinsy, obcisły czarny T-shirt który uwydatniał ruchy mięśni jego ramion i pleców. Jego włosy lśniły w światłach sceny ukradkiem obserwowała go, kiedy podszedł do ściany i oparł się o nią, wpatrując się uważnie w kierunku przedniej części pokoju. Clary czuła jak serce zaczyna jej walić czuła się tak, jakby nie widziała go wieczność, choć minął zaledwie jeden dzień. A jednak kiedy patrzyła na niego, wydawał jej się obcy, wpatrując się w daleki obiekt. Co on jeszcze tu robi? Nie lubił Simona! On nigdy wcześniej nie przyszedł na występ jego zespołu...

- Clary! - głos Isabelle brzmiał oskarżycielsko. Clary odwróciła się i zobaczyła, że przez przypadek wylała wodę na piękną sukienkę Isabelle.

Isabelle, chwytając serwetkę, spojrzała na nią ponuro.

- Po prostu idź i z nim porozmawiaj – powiedziała – Przecież wiem, że chcesz.

- Przepraszam. – westchnęła Clary.

Isabelle machnęła ręką ponaglając

– Idź.

Clary wstała i wygładziła sukienkę. Gdyby wiedziała, że Jace będzie tutaj, założyła by coś innego, niż czerwone rajstopy, kozaki i wściekle różową sukienkę vintage Betsey Johnson, którą znalazła na dnie szafy Luke'a. Kiedyś myślała, że jej zielone trampki w kwiaty są świetne, ale teraz wołała coś bardziej wyrafinowanego, na podobieństwo Isabelle.

Zaczęła się przepychać wśród tłumu, który teraz był przepełniony luddzmi albo tańczącymi, stojącymi w miejscu, pijącymi piwo lub kołyszącymi się lekko w rytm muzyki. Nie pomógł fakt, że przypomniała sobie, jak pierwszy raz spotkała Jace'a. To było w klubie, a ona dostrzegła go na parkiecie, podziwiając jego jasne włosy i aroganckie ułożenie ramion. Uważała, że jest piękny, ale nie w sposób, który jej odpowiadał. Ona nie myślała, że był typem chłopaka, z którym można się spotykać. Istniejącym ponad tym światem.

Nie zauważył jej, dopóki nie podeszła bliżej. Z bliska mogła dostrzec, na jak zmęczonego wyglądał, jakby nie spał cały dzień. Jego twarz była szara ze zmęczenia, kości policzkowe bardzo wystawały. Był oparty o ścianę, z palcami zaczepionymi w pętli pasa, a jego blado złote oczy były czujne.

- Jace. – powiedziała.

Spojrzał na nią. Przez chwilę jego oczy zaświeciły się, jak zwykle, kiedy ją widział, a ona poczuła ukłucie nadziei w sercu. Jednak niemal natychmiast to światło zgasło, a na jego twarzy pojawiły się plamy.

- Myślałem, że... Simon powiedział, że nie przyjdiesz.

Fala mdłości przeszła przez jej ciało, aż oparła się ręką o ścianę.

- Więc przyszedłeś tu tylko dlatego, że mnie miało tu nie być?

Pokręcił głową.

– Ja...

- Zamierzasz ze mną znowu kiedykolwiek rozmawiać? Clary poczuła, jak podnosi głos i starała się z wysiłkiem go ściszyć. Dało jej się to z ogromnym wysiłkiem. Ze zdenerwowania wbijała sobie paznokcie w dłonie, tak mocno, że zaczęło ją to boleć – Jeśli chcesz ze mną zerwać, mógłbyś przynajmniej to powiedzieć, a nie tylko przestawać się do mnie odzywać i zostawić mnie samej sobie.

- Dlaczego – powiedział Jace – Czy wszyscy muszą się mnie pytać, czy chce z tobą zerwać? Najpierw Simon, teraz...

- Mówiłeś o nas Simonowi?- Clary potrząsnęła głową. – Dlaczego? Dlaczego nie mówisz tego mi?

- Bo nie mogę rozmawiać z tobą – powiedział Jace – Nie mogę z tobą rozmawiać, nie mogę być z tobą, nie mogę na ciebie patrzeć."

Clary wstrzymała oddech, który był teraz jak żrący kwas

– Co?

Zdał sobie sprawę z tego, co powiedział i wpatrywał się w nią w ciszy. Przez chwilę po prostu patrzyli na siebie. Potem Clary odwróciła się i rzuciła powrotem w tłum, przepychając sobie drogę powrotną łokciami i ramionami pośród bawiących się ludzi, nieczuła na wszystko, aż dotarła do drzwi najszybciej, jak mogła.

- A teraz – Erick krzyczał do mikrofonu - będziemy śpiewać nową napisaną przez nas piosenkę. Jest dla mojej dziewczyny. Jesteśmy razem trzy tygodnie i, cholera, nasza miłość jest prawdziwa. Będziemy razem na zawsze, skarbie. Kawalek nazywa się 'Bang You Like a Drum'.

Nie było śmiechu i aplauzu ze strony publiczności, a kiedy muzyką rozpoczęła się, Simon nie był pewien, czy oni zdawali sobie sprawę, że Erick żartuje, czy nie. Zawsze był zakochany w jakiejś dziewczynie, zaczynał się z nią spotykać i pisał niepoprane piosenki o tym. Normalnie nie byłoby Simon zależało, ale on ma naprawdę nadzieję, że zrobią wrażenie już po pierwszej piosence. Czuł się gorzej niż kiedykolwiek, miał zawroty głowy, lepkie ręce od potu i chory, metaliczny posmak w ustach, jak starej krwi.

Muzyka brzmiała wokół niego, brzmiąc jak gwoździe wbijane w błonę bębnową. Jego palce ślizgały się w górę i w dół po strunach, gdy grał, widział Kirka, który spoglądał na niego pytająco. Próbował zmusić się do skupienia, ale to było jak próba uruchomienia starego samochodu z zepsutej baterii. To były puste dźwięki w jego głowie, nie muzyka.

Wpatrywał się w bar, wypatrując – nawet nie wiedział dlaczego – Isabelle, ale widział tylko morze białych twarzy zwróconych ku niemu, i przypomniał sobie pierwszą noc w Dumort i twarze wampirów zwrócone się ku niemu, jak białe papierowe kwiaty rozwijające się przed ciemną pustką. Skok ciśnienia oraz tępy ból ogarnął go. Zatoczył się do tyłu, ręce oderwał od gitary. Czuł się tak, jakby grunt pod jego nogami falował. Pozostali członkowie zespołu, zatopieni w muzyce, nie dostrzegli go. Simon zerwał pasek na gitarę z jego ramienia i opadł na plandekę z tyłu sceny, schylając się przez to w sam raz do upadku na kolana.

Nic się nie stało. Jego żołądek był jak pusta studnia. Wstał i oparł się o ścianę, przyciskając zimne ręce do twarzy. Minęły tygodnie, zanim zaczął odczuwać zimno czy ciepło, ale teraz był rozgorączkowany – i bał się.

Co się z nim dzieje?

Pamiętał Jace'a mówiącego, że jest wampirem. Krew to nie jedzenia dla ciebie. Krew jest ... krwią. Czy to wszystko przez to, bo nie jadł? Ale nie czuł się głodny, nie chciał nawet pić Czuł się tak chory, tak jakby umierał.

Może on był zatruty. Może Znamię Kaina nie chroni przed coś takiego?

Ruszył powoli w kierunku drzwi, prowadzących na ulicę za klubem. Może chłodne powietrze oczyści mu głowę. Być może wszystko to było tylko zmęczenie i nerwy.

- Simon? - Głosik, jak ćwierkanie ptaka. Spojrzał w dół z lękiem, i zobaczył, że Maureen stała u jego boku. Spojrzał na jej drobne, oświetlone ptasie kości i bardzo jasne blond włosy, który spływały kaskadą spod jej różowej czapki. Miała na sobie tęczowy bezrękawnik i koszulkę z krótkim rękawem z nadrukiem truskawkowego ciasta. Simon jęknął w duchu.

- To naprawdę nie jest dobry czas, Mo - powiedział.

- Chcę tylko, zrobić wam zdjęcie moim nowym aparatem. - powiedziała, wciskając włosy za ucho nerwowo. – Żeby pokazać moim przyjaciołom, okej?

- Dobra – głowa go bolała. To było śmieszne. Nie czuł się przytłoczony fanami. Maureen była dosłownie jedyną fanką zespołu, o której wiedział i była przyjaciółką kuzyna Ericka. Przypuszczał, że nie może sobie pozwolić, aby ją zniechęcić.

- Idź dalej. Bierz to.

Podniosła telefonu i kliknęła a następnie zmarszczyła brwi.

- Teraz jedno razem? – przycisnęła się do niego szybko, naciskając na jego prawą stronę. Mógł poczuć zapach truskawkowego błyszczku na niej, i na dodatek zapach potu i skóry na niej. Spojrzała na niego, podniosła rękę do góry i uśmiechnęła się. Miała przerwę między zębami i niebieską tętnicę na szyi. Pulsowała w rytmie jej oddechu.

- Uśmiechnij się - powiedziała.

Dreszcz przeszedł Simona, kły wysunęły się wolno, raniąc jego usta. Usłyszał jęk Maureen, a następnie świst jej wyrzuconego w powietrze telefonu, kiedy chwycił ją, obrócił ku sobie, a jego kły zatopił w jej szyi.

Krew eksplodowała w jego ustach, smakując jak nic innego. To tak, jakby był spragniony powietrza i teraz oddychał, wdychając wielkie hausty czystego tlenu. Maureen walczyła i napierała na niego, ale ledwo zauważalnie. On nawet nie dostrzegł, kiedy przestała walczyć, jej ciężar przyciągnął go do podłoża, tak, że leżała na jego kolanach, a on rękami chwycił ją za ramiona, zaciskając się coraz mocniej, pił.

- Nigdy nie karmiłeś się czystą krwią człowieka, prawda? - Pytała Camille - Ale będziesz, A kiedy to zrobisz, nigdy o tym nie zapomnisz.

Tłumaczenie: *Chaleur*

Korekta: *lsztar*

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Z deszczu pod rynnę

Clary dotarła do drzwi i wybiegła na deszczowe, wieczorne powietrze. Woda lała się z nieba strumieniami, więc od razu przemokła. Dławiąc się łzami i deszczem przeszła obok znajomego, żółtego vana Erica, po którym woda ściekała do ulicznego rynsztoku, i już miała przejść przez ulicę, gdy czyjaś ręka złapała ją za ramię i obróciła w drugą stronę.

To był Jace. Był przemoczony równie jak ona. Deszcz sprawił, że jego jasne włosy przykleiły się do głowy, a koszulka przylgnęła do ciała jak czarna farba.

- Clary, nie słyszałaś, jak cię wołałem?

- Puść mnie- jej głos się trząsł.

- Nie. Nie dopóki ze mną nie porozmawiasz - popatrzył wokół siebie, w dół i górę opustoszałej ulicy, na której krople deszczu rozbijały się niczym szybko kwitnące kwiaty. – Chodź.

Nadal trzymając jej ramię, pociągnął ją obok vana w stronę bocznej alejki przylegającej do baru „Alto”. Z wysokich okien nad nimi słychać było przytłumi muzykę, która nadal grała w środku. Alejka była otoczona ceglanyimi ścianami oraz pełna szczątków niedziałającego sprzętu muzycznego. Zepsute wzmacniacze i stare mikrofony pokrywały ziemię razem z odłamkami butelek po piwie i wypalonymi papierosami⁴⁵.

Clary wyrwała ramię z uścisku Jace’a i zwróciła się do niego twarzą.

- Jeśli masz zamiar przeproszać, nie masz po co- odgarnęła mokre i ciężkie włosy z twarzy.- Nie chcę tego słuchać.

- Chciałem ci powiedzieć, że starałem się pomóc Simonowi- powiedział Jace. Deszcz spływał po jego rzęsach i policzkach jak łzy. – Byłem z nim przez ostatnie...

- I nie mogłeś mi tego powiedzieć? Nie mogłeś napisać jednego smsa dając znać gdzie jesteś? Oh, no tak. Nie mogłeś, bo nadal masz mój cholerny telefon. Oddaj mi go.

Bez słowa Jace sięgnął do kieszeni jeansów i podał jej telefon. Wydawał się nieuszkodzony. Wcisnęła go do swojej torby zanim deszcz zdążył go zamoczyć. Jace obserwował ją, gdy to robiła i wyglądał, jakby dała mu w twarz. To ją jedynie rozzłościło. Jakim prawem mógł się czuć zraniony?

- Myślę - powiedział powoli.- że przebywałem z Simonem, bo dzięki temu czułem się bliżej ciebie. To całe pilnowanie go. Miałem taki głupi pomysł, że zdasz sobie sprawę z tego, że robię to dla ciebie i mi wybaczysz...

Clary zalała fala niepohamowanej wściekłości.

- Przecież nawet nie wiem za co niby mam ci wybaczać!- krzyknęła. – Może mam ci wybaczyć to, że już mnie nie kochasz? Bo jeśli ty, Jace Lightwood, tego chcesz, możesz bez problemu...- postąpiła jeden krok do tyłu i prawie się potknęła o zepsuty głośnik. Jej torba

wyślizgnęła się z jej ręki, gdy wyciągnęła ramię przed upadkiem, ale Jace już tam był. Ruszył do przodu, aby ją złapać i szedł dalej dopóki jej plecy nie zderzyły się ze ścianą alejki. Wtedy już obejmował ją ramionami i całował gorączkowo.

Clary wiedziała, że powinna go odepchnąć. Jej rozum mówił, że to rozsądna rzecz, by ją zrobić, lecz reszty jej ciała nie obchodziło, że było to rozsądne. Nie wtedy, gdy Jace całował ją, jakby miał za to pójść do piekła, wiedząc że było warto.

Wbiła palce w jego ramiona, w wilgotny materiał podkoszulka, czując napięcie jego mięśni i oddała pocałunek wkładając w to rozpacz ostatnich kilku dni - całą tę niewiedzę, gdzie był i o czym myślał, tym uczuciem, jakby kawałek jej serca został wyrwany z jej klatki piersiowej, a ona nie mogła normalnie oddychać.

-Powiedz mi - odezwała się między pocałunkami, gdy ich mokre twarze ocierały się o siebie.- Powiedz mi, co jest nie tak, oh - westchnęła, gdy odsunął się od niej na tyle daleko, by opuścić swoje ręce i objąć ją w talii. Podniósł ją lekko, aby mogła stanąć na zepsutym głośniku, co sprawiło, że byli prawie tego samego wzrostu. Potem położył dłonie po obu stronach jej głowy i nachylił się do przodu tak, że ich ciała się stykały, jednak nie do końca. To drażniło ich nerwy. Clary czuła gorąco pochodzące od niego. Jej dłonie były nadal na ramionach Jace'a, lecz to jej nie wystarczało. Chciała by objął ją całą i trzymał mocno.

- Dla.. dlaczego – sapnęła. - nie możesz ze mną porozmawiać? Dlaczego nie możesz na mnie patrzeć?

Schylił głowę, by spojrzeć w jej twarz. Jego oczy otoczone ciemnymi od deszczu rzęsami były niesamowicie złote.

- Ponieważ cię kocham.

Nie mogła tego znieść. Zabrała ręce z jego ramion i za szlufki od paska w spodniach przyciągnęła go do siebie. Jace pozwolił jej to zrobić bez żadnego sprzeciwu, jego ręce były oparte o ścianę za Clary. Przyciskał ją do siebie dopóki nie stykali się wszystkimi częściami ciała - klatkami, biodrami, nogami - jak puzzle. Opuścił swoje dłonie na jej biodra i pocałował ją długo i tęsknie, przyprowadzając ją tym samym o dreszcze.

Odsunęła się.

- To nie ma żadnego sensu.

- Nic nie ma - powiedział Jace. - ale mam to gdzieś. Mam dość udawania, że mogę żyć bez ciebie. Nie rozumiesz? Nie widzisz, że to mnie zabija?

Clary wpatrywała się w niego w ciszy. Mogła zobaczyć, że mówił prawdę. Widziała to w jego oczach, które znała jak swoje własne, widziała to w sińcach pod oczami i w pulsie tłuczącym się na jego szyi. Jej pragnienie uzyskania odpowiedzi zostało najpierw stłumione przez bardziej prymitywne części jej mózgu, a potem zupełnie je straciła.

- Pocałuj mnie - wyszeptała i przycisnęła swoje usta do jego. Ich serca biły w jednym rytmie, czuli to przez cienkie warstwy materiału, które ich dzieliły. Clary całkiem się w tym zatraciła. W uczuciu, gdy Jace ją całował, w kroplach deszczu płynących po jej rzęsach, w rękach Jace'a ślizgającym się po mokrym, pogniecionym materiale jej sukienki, który stał się cienki i obcisły od wody. To było prawie tak, jakby dotykał gołej skóry jej klatki piersiowej, bioder, brzucha. Blondyn uniósł rąbek jej sukienki, chwycił ją za uda i przycisnął mocniej do ściany, po czym ona objęła go nogami w pasie.

Z jego gardła wydobył się dźwięk zaskoczenia. Wbił palce w cienki materiał jej rajstop. Nieoczekiwanie pękły i nagle jego mokre dłonie znajdowały się na nagiej skórze jej nóg.

Clary, nie chcąc pozostać dłużna, wsunęła dłonie pod jego przemoczoną koszulkę i pozwoliła swoim palcom odkrywać, co znajdowało się pod spodem: napięta, gorąca skóra na żebrach i brzuchu, blizny na plecach, wystające kości bioder nad paskiem jeansów. Dla Clary był to nieznany teren, jednak wydawało się, że doprowadza tym Jace'a do szaleństwa, jęczał cicho w jej usta, całując ją mocniej i mocniej, jakby nigdy nie było wystarczająco, nigdy dość...

Niespodziewanie straszliwy hałas wybuchł w głowie Clary, wyrывая ją z marzeń o pocałunkach i deszczu. Z westchnieniem odepchnęła Jace'a od siebie wystarczająco mocno, aby się od niej odsunął. Zeskoczyła ze wzmacniacza, szybko poprawiając sukienkę. Jej serce waliło w klatce piersiowej jak młot, poza tym kręciło jej się w głowie.

- Cholera - to stojąca u wylotu alejki Isabelle kopnęła śmietnik stojący jej na drodze i zgromiła ich spojrzeniem. Jej mokre włosy opadły jej na ramiona jak płaszcz. - Na litość boską - powiedziała. - Nie mogę uwierzyć, wy dwoje?! Dlaczego? Co jest złego z sypialnią? I prywatnością?

Clary popatrzyła na Jace'a. Był całkowicie przemoczony, woda spływała po nim strugami. Jego jasne włosy przyklejone do czoła były prawie srebrne w słabej poświacie ulicznych latarni. Tylko popatrzenie na niego sprawiło, że Clary chciała go znów dotknąć. Isabelle czy nie Isabelle, ta tęsknota nieomal bolała. Wpatrywał się w Izzy wzrokiem kogoś, kto został właśnie wyrwany ze snu- oszołomienie, złość, dezorientacja odnośnie tego, co jest prawdziwe⁴⁶.

- Ja tylko szukałam Simona - broniła się Isabelle, widząc wyraz twarzy Jace'a. - Zbiegł ze sceny i nie mam pojęcia, gdzie się teraz podziewa.

Niewiadomo kiedy, Clary zdała sobie sprawę, że muzyka przestała grać.

- W każdym razie, na pewno nie ma go tutaj. Wracajcie do swoich zajęć. Jak to zawsze mówię, po co ma się marnować taka dobra murowana ściana, gdy możesz o nią kimś rzucić.

I Isabelle odeszła majestatycznym krokiem w stronę baru.

Clary popatrzyła na Jace'a⁴⁷. W każdym innym przypadku zaśmialiby się z humorów Isabelle, ale teraz nie było ani krzty rozbawienia na jego twarzy. Od razu już wiedziała, że cokolwiek między nimi zaszło, cokolwiek zakwitło z tego chwilowego braku kontroli u blondyna, teraz odeszło. Mogła poczuć krew w jej ustach i nie była pewna, czy sama przegryzła sobie wargę, czy on to zrobił.

- Jace... - postąpiła krok w jego stronę.

- Nie - powiedział, a jego głos był szorstki. - Nie mogę.

I już go nie było. Pobiegł tak szybko, jak tylko mógł. Jego postać rozmyła się, nim mogła zaczerpnąć powietrza, by go zawołać.

- Simon! - wściekły głos rozległ się w uszach wampira. Miał już wypuścić Maureen, lub tak tylko sobie wmawiał, ale nie zdążył. Silne ręce złapały go za ramiona i odciągnęły od

⁴⁶ dawning realization- uświadomienie sobie świtu. Jakoś to musiałam odnieść do danej sytuacji.. (przyp. tłum)

⁴⁷ Przeto cały czas na niego patrzyła! (przyp. tłum)

dziewczyny. Został postawiony na nogi przez bladego jak ściana Kyle'a, nadal potarganego i spoconego od piosenki, którą grali zanim wyszedł. – Co do diabła, Simon! Co do diabła...

- Ja nie chciałem..- Simon łapał z trudem powietrze. Jego kły cały czas były wysunięte, a jeszcze nie nauczył się mówić z nimi w ustach. Za Kyle'em mógł zobaczyć Maureen leżącą na podłodze. Była skulona i nie ruszała się. – To się po prostu stało...

- Mówiłem ci, mówiłem - głos Kyle'a się podniósł. Mocno pchnął Simona, który aż się potknął. Jego czoło płonęło, gdy jakaś niewidzialna ręka uniosła Kyle'a i rzuciła o ścianę za nim. Uderzył w nią i zsunął się na ziemię, lądując w przysiadzie upodabniającym go do wilka. Wstał na nogi i wpatrywał się w Simona. – Jezu Chryste, Simon...

Wampir upadł na kolana obok Maureen, położył dłoń na jej gardle, chcąc jak najszybciej sprawdzić puls. Gdy poczuł pod opuszkami lekkie, ale stabilne trzepotanie, niemal odetchnął z ulgą.

- Odsuń się od niej - głos Kyle'a był napięty. On sam przysunął się do Simona. – Wstań i odejdź.

Simon podniósł się niechętnie i stanął ponad ciałem Maureen naprzeciw Kyle'a. Światło przebijało się przez lukę w kurtynie prowadzącej na scenę. Mógł usłyszeć resztę zespołu, którzy rozmawiali ze sobą i zaczynali się burzyć. Za chwilę zechcą tu przyjść.

- To, co przed chwilą zrobiłeś - powiedział Kyle. – Ty.. popchnąłeś mnie? Bo nie widziałem, żebyś się ruszał.

- Nie chciałem - powtórzył Simon lakonicznie. To by było wszystko, na co było go teraz stać. Kyle skinął głową, jego włosy rozwiały wiatr.

- Idź stąd. Poczekaj przy vanie, a ja się nią zajmę - schylił się i wziął Maureen na ręce. W jego masywnych ramionach wyglądała jak lalka. Popatrzył na Simona twardym spojrzeniem. - No idź. I mam nadzieję, że czujesz się, cholera, okropnie.

Simon odszedł. Dotarł do drzwi pożarowych i pchnął je, aby się otworzyły. Nie odezwał się żaden alarm - był zepsuty od miesięcy. Drzwi zatrzasnęły się za nim, a on oparł się o tylną ścianę baru, wtedy każda część jego ciała zaczęła się trząść.

Z tyłu klubu była wąska uliczka, wzdłuż której stały same magazyny. Po drugiej stronie znajdowały się tereny mieszkalne otoczone powyginanym płotem łączonym łańcuchami. Z pęknięć w chodniku wyrosły brzydkie trawy. Deszcz nadal padał, mocząc śmieci przykrywające ulicę; puszki po piwie turlały się do przepelnionych rynsztoków.

Wampir pomyślał, że jest to najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek widział. Cała noc wybuchła ostrym światłem. Płot był dla niego łańcuchem z brylantowo- srebrnych drutów, a każda kropla deszczu platynową łzą.

Kyle powiedział, że ma nadzieję, że Simon czuje się fatalnie. Ale prawda była o wiele gorsza. Czuł się fantastycznie, tak żywy, jak nigdy wcześniej. Ludzka krew była bez wątpienia idealnym pożywieniem dla wampirów. Fale energii przepływały przez jego ciało jak impulsy elektryczne. Ból głowy i brzucha zniknęły. Mógłby teraz przebiec tysiące kilometrów.

To było straszne.

- Ej, ty. Dobrze się czujesz? - głos, który usłyszał był kulturalny i rozbawiony. Simon obrócił się i zobaczył kobietę w długim czarnym płaszczu z jasnożółtą parasolką rozłożoną nad jej głową. Z jego nowym wzrokiem, wyglądała jak migający słonecznik. Sama w sobie, kobieta była piękna- chociaż w tej chwili wszystko wydawało mu się piękne - razem z błyszczącymi,

długimi czarnymi włosami i ustami pomalowanymi czerwoną szminką. Przywołał w pamięci mgliste wspomnienie tej kobiety siedzącej przy jednym ze stolików na występie zespołu.

Kiwnął głową, nie mając pewności, czy byłby w stanie teraz rozmawiać. Musiał wyglądać na nieźle zszokowanego, jeśli obcy ludzie podchodzili do niego, by zapytać się o stan zdrowia.

- Wyglądasz, jakbyś dostał w głowę, o tutaj - powiedziała, wskazując jego czoło. – Paskudna blizna. Jesteś pewien, że nie chcesz po kogoś zadzwonić?

Szybko sięgnął włosów, aby zakryć Znak Kaina.

- Czuję się dobrze. Nic się nie stało.

- Okey, skoro tak mówisz - nie brzmiała na przekonaną. Sięgnęła do kieszeni, wyciągając wizytówkę i podała ją Simonowi. Wydrukowano na niej imię, Satrina Kendall. Pod imieniem i nazwiskiem było napisane drobnym drukiem MENADŻER ZESPOŁÓW⁴⁸ oraz numer telefonu i adres. – To ja – powiedziała. - Spodobało mi się, co tam robiliście, na scenie. Dajcie znać, jeśli jesteście zainteresowani zrobieniem kariery.

Potem odwróciła się i odeszła, poruszając biodrami i zostawiając Simona wpatrującego się w jej plecy⁴⁹. Był pewien, że nie ma mowy, aby ta noc mogła stać się jeszcze dziwniejsza.

Potrząsając głową – ruch ten spowodował, że krople wody z jego włosów poleciały w różnych kierunkach - wyszedł z uliczki w stronę zaparkowanego vana. Drzwi baru były otwarte, ludzie wylewali się na ulicę. Wszystko nadal wyglądało nienaturalnie jasno dla nowego wzroku Simona, lecz jego ostrość zaczęła powoli słabnąć. Widok przed nim był normalny: pustoszejący bar, jego otwarte drzwi oraz van z otwartym bagażnikiem, który był już prawie zapakowany sprzętem przez Matta, Kirka i kilku ich przyjaciół. Kiedy Simon podszedł bliżej, zobaczył Isabelle opierającą się o vana. Jej jedna noga była ugięta w kolanie, a obcas jej szpilki podparty o wgniecioną stronę samochodu. Mogłaby być pomocna przy tłumieniu paniki⁵⁰, oczywiście – Isabelle była silniejsza od kogokolwiek innego w zespole, może z wyjątkiem Kyle’a - tyle że najwyraźniej nie chciała się mieszać. Simon nie był wcale zaskoczony.

Izzy podniosła głowę, gdy podszedł. Deszcz nie padał już tak mocno, jednak widać było, że przez jakiś czas przebywała na dworze: jej włosy były ciężkie, wyglądały jak mokra kurtyna na jej plecach.

- Tu jesteś - powiedziała, odpychając się od vana i idąc w jego stronę. – Gdzie się podziewałeś? Wybiegłeś ze sceny...

- Taa - powiedział. – Źle się poczułem. Przepraszam.

- Dobrze, że już teraz ci lepiej - objęła go ramionami i uśmiechnęła szeroko. Zalała go falą ulgi, gdy zorientował się, że nie ma ochoty jej ugryźć. Drugą falą była wina, gdy przypomniał sobie dlaczego⁵¹.

- Nie widziałas przypadkiem Jace’a prawda? - zapytał Simon.

Isabelle wywróciła oczami.

- Znalazłam go, gdy migdałił się z Clary – powiedziała. - Teraz pewnie już poszli, do domu, mam nadzieję. Oni są parą ‘potrzebujemy pokoju dla siebie’.

⁴⁸ Niby mały druczek, to po co były te duże litery? xd (przyp. tłum)

⁴⁹ Pfff, plecy! Na pewno wzroczek zjechał mu niżej, jeśli „kręciła biodrami” :P (przyp. tłum)

⁵⁰ Teardown w słowniku było jak demolka czy rozdzielenie... Ale panika chyba może być, nie? (przyp. tłum)

⁵¹ W sensie że czemu JUŻ nie chce jej ugryźć, cnie? (przyp. tłum.)

- Nie wiedziałem, że Clary przyjdzie - powiedział Simon, myśląc, że to właściwie nie było takie dziwne. Przypuszczał, że spotkanie odnośnie wyboru tortu weselnego zostało odwołane lub coś w tym stylu. Był zbyt zmęczony na to, by być złym na Jace'a i na to, jak beznadziejnym ochroniarzem się okazał. Nie było to tak, że Jace brał bezpieczeństwo Simona na poważnie. Wampir miał tylko nadzieję, że Clary i Jace'owi udało się naprawić to, co miało być naprawione w ich związku.

- Nieważne - Isabelle błysnęła uśmiechem. – Teraz jesteśmy tylko ty i ja, więc może chcesz pójść gdzieś i...

Jakiś bardzo znajomy głos dobiegł ich z cieni, właściwie tuż zza granicy otaczającego ich światła.

- Simon?

O, nie. Nie teraz. Nie w tym momencie.

Odwrócił się powoli. Ręka Isabelle nadal była zaciśnięta na jego nadgarstku, chociaż myślał, że nie będzie to trwało długo. Nie, jeśli przemawiającą osobą była ta, o której myślał.

I była.

Maia wyszła z cienia i stała tam z wyrazem niedowierzania na twarzy. Jej zwykle pokręcone włosy były teraz przyklejone do głowy przez deszcz, bursztynowe oczy rozszerzone, a jeansy i teksasowy żakiet przemoczone. W lewej ręce ścisnęła zrolowany kawałek papieru.

Simon miał niejasne wrażenie, że reszta zespołu zwolniła swoje ruchy i wprost gapili się na ich trójkę. Dłoń Isabelle zsunęła się z jego nadgarstka.

- Simon? - powiedziała⁵². – Co się tu dzieje?

- Mówiłeś, że będziesz zajęty - odezwała się Maia, patrząc na Simona. – Ale dziś rano ktoś podłożył to pod drzwiami posterunku - rozwinęła kawałek papieru w jej dłoni. Mógł od razu rozpoznać jedną z ulotek zapraszających na dzisiejszy koncert ich zespołu.

Wzrok Isabelle skakał z Mai na Simona, zrozumienie pojawiało się na jej twarzy.

- Czekaj chwilę - powiedziała. – Czy wy dwoje się spotykacie?

Maia skinęła głową w jej stronę.

- A wy?

- Tak - odpowiedziała Isabelle. – Od jakiś kilku tygodni.

Oczy Mai się zwęziły.

- My tak samo. Umawiamy się od września.

- Nie mogę w to uwierzyć - Izzy rzeczywiście wyglądała, jakby nie wierzyła. – Simon? - odwróciła się w jego stronę z rękami na biodrach. – Masz coś na swoje usprawiedliwienie?

Koledzy z zespołu, którzy zapakowali już cały sprzęt do samochodu – bębny zajmowały całą tylną kanapę, a gitary bagażnik - stali niedaleko vana, cały czas się na nich gapiąc. Eric ułożył dłonie wokół ust, aby wyglądały jak megafon.

- Drogie panie - wykrzyczał. – Nie ma potrzeby walki. Simona wystarczy dla każdej.

Isabelle odwróciła się gwałtownie w jego stronę i zgromiła spojrzeniem tak przerażającym, że Eric od razu zamilkł. Trzasnęły tylne drzwi vana i samochód zniknął ich pola widzenia. Zdrajcy, pomyślał Simon. Chociaż pewnie pomyśleli, że wampir zabierze się do domu z Kyle'em, którego samochód stał za rogiem. O ile uda mu się przeżyć.

- Nie mogę w to uwierzyć, Simon - Maia powtórzyła słowa Nocnej Łowczyni. Stała obok niej z dłońmi na biodrach, wyglądały identycznie. – Co ty sobie myślałeś? Jak mogłeś nas tak okłamać?

- Ja nikogo nie okłamałem - zaprotestował Simon. – Nigdy nie było powiedziane, że umawiamy się na poważnie! - potem zwrócił się do Isabelle. – Tak samo z tobą! I wiem, że umawialiście się z innymi ludźmi...

- Nie z ludźmi, wiesz - powiedziała Isabelle złośliwie. – Nie z twoimi przyjaciółmi. Jakbyś się poczuł, gdyby się okazało, że umawiam się z Erichem?

- Szczerze oszołomiony - powiedział Simon. – On nie jest w ogóle w twoim typie.

- Nie o to chodzi, Simon - Maia przysunęła się bliżej Isabelle i teraz obydwie stały przed nim niczym niewzruszona ściana kobiecej wściekłości. Ludzie przestali wychodzić z baru i ulica była opustoszała, nie licząc ich trójki. Simon oszacował swoje szanse na ucieczkę i doszedł do wniosku, że nie były wysokie. Wilkołaki były szybkie, a Isabelle została wytrenowana na łowczynię wampirów.

- Przykro mi - wyjąkał Simon. Brzęczenie spowodowane wypiciem krwi zaczęło się wreszcie wyciszać. Czuł się mniej przytłoczony tym wszechobecnym uczuciem, ale bardziej spanikowany. Sprawa stawała się jeszcze gorsza, bo jego myśli popędziły w stronę Maureen, tego, co jej zrobił i czy dobrze się czuła. Proszę, aby wszystko było z nią dobrze. – Powinienem wam o wszystkim powiedzieć. Tylko, że... po prostu lubię was obie i nie chciałem zranić waszych uczuć.

W momencie, gdy te słowa opuściły jego usta, doszło do niego, jak głupio to zabrzmiało. Był tylko kolejnym kretyńcem, wymyślającym wymówki dla swojego kretyńskiego zachowania. Simon nigdy przedtem tak o sobie nie myślał. Był miłym facetem, który stał się sexi złym chłopcem⁵³ lub męczennikiem z duszą artysty. Stał się średnio zaangażowanym typem chłopaka, który myśli tylko o tym, by umawiać się z dwoma dziewczynami naraz, nie do konca kłamiąc o tym, co robi, ale też nie mówić żadnej z nich o tej drugiej.

- Wow - powiedział. – Ale ze mnie dupek⁵⁴.

- To jest chyba pierwsza prawdziwa rzecz, którą powiedziałaś, odkąd tu przyszłam - powiedziała Maia.

- Amen - powiedziała Isabelle. – Chociaż, jeśli mnie się pytasz, to za mało, za późno...

Boczne drzwi baru otworzyły się i ktoś wyszedł na zewnątrz. To był Kyle. Simon odetchnął z ulgą. Wilkołak wyglądał bardzo poważnie, lecz nie tak poważnie, jak Simon myślał, że będzie wyglądać po tym, co stało się Maureen.

Zrobił dwa kroki w ich stronę. Deszcz przeszedł teraz w mżawkę. Isabelle i Maia stały do niego tyłem i nadal piorunowały Simona wzrokiem pełnym gniewu.

- Mam nadzieję, że nie spodziewasz się, że któraś z nas się jeszcze kiedyś do ciebie odezwie - powiedziała Isabelle. – I zamierzam też pogadać z Clary. Będzie to bardzo, bardzo poważna rozmowa o jej doborze przyjaciół.

- Kyle - Simon nie mógł opanować ulgi brzmiącej w jego głosie. – Emm, Maureen... Czy ona...

⁵³ You were a very Bad boy, Psimon. Veery bad. xD (przyp. tłum.)

⁵⁴ Bravo, bravo, bravissimo xD (przyp. tłum.)

Nie miał pojęcia, jak zapytać się o to, co chciał, nie zdradzając Mai i Isabelle, co się stało. Jednakże, jak się okazało, to nie miało znaczenia, bo nie zdołał wypowiedzieć już żadnego słowa. Maia i Isabelle odwróciły się. Nocna Łowczyni wyglądała na rozdrażnioną a Maia zaskoczoną. Obie wyraźnie zastanawiały się, kim był Kyle.

Gdy tylko Maia zobaczyła Kyle'a, wyraz jej twarzy się zmienił. Oczy stały się dzikie, krew napłynęła do policzków. Z kolei Kyle wpatrywał się w nią wzrokiem osoby, która obudziła się z koszmaru, aby odkryć, że dzieje się to naprawdę. Jego usta poruszały się, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie padło z nich żadne słowo.

- Jejku - powiedziała Isabelle, patrząc to na Kyle'a, to na Maię. – Czy wy dwoje... znacie się? Maia otworzyła buzię. Nadal gapiała się na Kyle'a. Simon zdążył tylko pomyśleć, że nigdy się w nikogo nie wpatrywała tak intensywnie, kiedy wyszeptwała:

- Jordan - i ruszyła w stronę Kyle'a. Jej ostre pazury wysunęły się, a ona zatopila je w jego gardle.

Tłumaczenie: *firefly.*

Korekta: *Isztar*

Część II

Za każde życie

*„Nie ma nic za darmo. Za wszystko trzeba zapłacić.
Kiedy coś zyskujemy, musimy też coś stracić.
Za każde życie- śmierć.
Nawet Twoja muzyka, o której tyle słyszeliśmy, za nią też trzeba zapłacić.
Twoja żona była opłatą za Twoją muzykę.
Piekło jest teraz zadowolone.”
—Ted Hughes, “The Tiger’s Bones”*

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Riverside Drive

Simon siedział w fotelu w salonie Kyle'a, patrząc na zamrożony widok na ekranie telewizora stojącego w rogu pokoju. Był to zatrzymany obraz z gry, w którą Kyle i Jace razem grali. Przedstawiał jeden z tych wilgotnych podziemnych tuneli ze stertą połamanych ciał na ziemi i kałużą krwi, która wyglądała bardzo realistycznie. To było denerwujące, jednak Simon nie miał wystarczająco dużo energii⁵⁵ i chęci, by kłopotać się, aby to wyłączyć.

Obrazy przewijające się w jego snach przez całą noc były o wiele gorsze.

Światło wpadające do pokoju przez okna wskazywało na to, że dzień zmienił się z bladego świtu do wczesnego poranka, ale Simon ledwie to zauważył. Cały czas widział ciało Maureen leżące skulone na ziemi, jej blond włosy ubrudzone krwią. Jego zdumiewającą przemianę, gdy jej krew krążyła w jego żyłach. A potem Maia rzucająca się z pazurami na Kyle'a. Nie zrobił wtedy nic, nawet nie uniósł dłoni, by się ochronić. Prawdopodobnie dał by się Mai zabić, gdyby nie interwencja Isabelle. Odepchnęła ją od Kyle'a, przyszpilając ją własnym ciałem do chodnika i trwając tak, dopóki furia nie zmieniła się we łzy. Simon próbował się do niej dostać, ale Isabelle zatrzymała go spojrzeniem pełnym gniewu. Jedno jej ramię trzymało dziewczynę, a drugie uniosła w ostrzegawczym geście.

-Wynoś się stąd- powiedziała wtedy. -I zabierz go ze sobą. Nie wiem, co jej zrobił, ale musiało to być coś złego.

I rzeczywiście było. Simon znał to imię, Jordan. Usłyszał je od Mai, kiedy spytał się, jak zmieniła się w wilkołaka. Zrobił jej to były chłopak. Brutalnie ją zaatakował, potem z premedytacją zostawił, aby sama radziła sobie ze skutkami.

Imię tego chłopaka brzmiało Jordan.

To dlatego Kyle miał tylko jedną nazwę przy domofonie. Było to jego nazwisko. Naprawdę nazywał się Jordan Kyle, pomyślał Simon. Był głupi, niewyobrażalnie głupi, skoro nie domyślił się tego wcześniej. Chociaż i tak nie potrzebował kolejnego powodu, by siebie teraz nienawidzić.

Kyle- czy raczej Jordan- był wilkołakiem, szybko się leczył. Kiedy Simon dosyć niedelikatnie podniósł go na nogi i zaciągnął do samochodu, głębokie rozcięcia na gardle i pod strzępami koszulka zdążyły przedstawiały blizny z czerwonymi strupami. Simon wziął klucze od Jordana i zawiózł go powrotem na Manhattan. Wilkołak siedział nieruchomo na siedzeniu pasażera, wpatrując się w swoje zakrwawione dłonie.

-Maureen ma się dobrze- powiedział w końcu, gdy przejechali Williamsburg Bridge. -To tylko tak poważnie wyglądało. Nie jesteś jeszcze dobry w pożywianiu się na ludziach, więc nie straciła dużo krwi. Wsadziłem ją do taksówki. Nic nie pamięta. Myśli, że zemdląca przy tobie, jest nieźle zażenowana.

⁵⁵ Ile energii potrzeba do wyłączenia telewizora! Ech, co ten wampiryzm robi z ludźmi! xD (przyp. firefly.)

Simon wiedział, że powinien podziękować Jordanowi, ale jakoś nie mógł się do tego zmusić.

-Ty jesteś Jordan- powiedział. –Byłem chłopakiem Mai. Tym, który przemienił ją w wilkołaka.

Byli teraz na Kenmare. Simon skręcił na północ, jadąc Bowery, wzdłuż moteli i rozświetlonych sklepów.

-No- odpowiedział w końcu. –Kyle to moje nazwisko. Zacząłem go używać, gdy dołączyłem do Praetor.

-Zabiłaby cię, gdyby Isabelle jej nie powstrzymała.

-Ma pełne prawo do zabicia mnie, jeśli chce- powiedział Jordan, po czym zapadła cisza. Nie powiedział nic, nawet gdy Simon zaparkował samochód i wmaszerowali po schodach do mieszkania. Jordan poszedł do swojego pokoju, nawet nie zdejmując zakrwawionej kurtki i zatrzasnął drzwi.

Simon spakował plecak i już miał wychodzić, gdy się zawahał. Do tej pory nie był pewien dlaczego, jednak rzucił bagaż koło drzwi i siadł w fotelu, na którym spędził całą noc.

Bardzo chciał zadzwonić do Clary, ale było zbyt wcześnie rano i poza tym Isabelle powiedziała, że Clary poszła gdzieś z Jace'em, a myśl, że mógłby przeszkodzić im w czymś ważnym nie była zachęcająca. Zastanawiał się, jak się czuje jego matka. Gdyby zobaczyłaby go wczoraj z Maureen, pomyślałaby, że jest tym potworem, jakim go wcześniej nazwała.

I może naprawdę nim był.

Podniósł głowę, gdy otworzyły się drzwi pokoju Jordana i pojawił się w nich jego współlokator. Był boso, miał na sobie te same dżinsy i koszulkę, które nosił wczoraj. Blizny na szyi były jedynie czerwonymi liniami. Popatrzył na Simona. Jego brązowe oczy, zwykle jasne i pogodne, były teraz pełne cieni.

-Myślałem, że odejdziesz- powiedział.

-Miałem taki zamiar- odparł Simon. –Ale doszedłem do wniosku, że powinienem dać ci szansę na wytłumaczenie się.

-Nie ma nic do tłumaczenia- Jordan poczłapał do kuchni i zaczął grzebać w szafce dopóki nie znalazł filtra do kawy. –Cokolwiek Maia o mnie powiedziała, było prawdą, jestem pewien.

-Powiedziała, że ją uderzyłeś- odezwał się Simon.

W kuchni Jordan stał nieruchomo. Wpatrywał się w filtr do kawy, jakby nie był pewien, do czego on służy.

-Powiedziała, że spotykaliście się przez kilka miesięcy i wszystko było świetnie- kontynuował Simon. –Wtedy stałeś się agresywny i zazdrosny. Kiedy co to zarzuciła, uderzyłeś ją. Zerwała z tobą, a kiedy wracała pewnego wieczoru do domu, coś ją zaatakowało i nieomal zabiło. A ty... Wyniosłeś się z miasta. Żadnych przeprosin, żadnego wytłumaczenia.

Jordan odłożył filtr na szafkę.

-Jak ona się tu dostała? Jak odnalazła sforę Luke'a Garroway'a?

Simon potrząsnął głową.

-Wskoczyła do pociągu do Nowego Jorku i ich wytropiła. Maia jest twarda. Nie pozwoliła, aby to, co jej zrobiłeś, przybiło ją. A wielu ludzi by się poddało.

-To dlatego zostałeś?- zapytał Jordan. -Aby powiedzieć mi, że jestem sukinsynem⁵⁶? Już i tak to wiem.

-Zostałem z powodu tego, co wczoraj zrobiłem. Jeśli dowiedziałbym się o tym wszystkim wcześniej, już by mnie tu nie było. Ale po tym, co zrobiłem Maureen... - Simon zagryzł swoje wargi. -Myślałem, że mam kontrolę nad tym, czym się stałem, ale się myliłem. I przez to skrzywdziłem kogoś, kto na to nie zasłużył. To dlatego zostałem.

-Bo jeśli ja nie jestem potworem, to i ty nim nie jesteś.

-Bo chcę wiedzieć, jak iść z tym wszystkim dalej, a ty możesz mi pomóc- Simon pochylił się do przodu. -Bo byłeś dla mnie miły odkąd cię spotkałem. Nigdy nie widziałem cię wrednego czy zdenerwowanego. I potem pomyślałem o Wilczej Straży, o tym, jak mówiłeś, że wstąpiłeś do niej, bo w przeszłości zrobiłeś wiele złego. I że sprawa z Maią jest takim błędem, który chciałeś wynagrodzić.

-Chcę- powiedział Jordan.

Clary siedziała przy biurku w pokoju gościnnym u Luke'a. Przed nią leżał rozłożony skrawek materiału, który wzięła z kostnicy szpitala Beth Israel. Jego końce były przyłożone ołówkami, a ona unosiła nad nim dłoń ze stelą, starając się przypomnieć sobie run, który widziała w szpitalu.

Trudno było jej się skoncentrować. Cały czas myślała o Jasie, o ostatniej nocy. O tym, gdzie mógł pójść. Dlaczego był taki nieszczęśliwy. Nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki nie zobaczyła, że wyglądał równie nędznie jak ona. Rozdzierało jej to serce. Chciała do niego zadzwonić, lecz powstrzymywała się od tego odkąd wróciła do domu. Jeśli zamierzał jej powiedzieć, o co chodzi, zrobi to bez pytania. Znała go na tyle dobrze, by to wiedzieć.

Clary zamknęła oczy i próbowała zmusić się do przywołania obrazu runu. Była pewna, że to nie ona go wymyśliła. On już istniał, nie wiedziała tylko, czy widziała go w Szarej Księdze. Jej kształt przemówił do niej bardziej jak objawienie niż tłumaczenie, jak ukazanie kształtu czegoś ukrytego pod powierzchnią, jak powolne zdmuchnięcie piasku by przeczytać inskrypcję pod spodem.

Stela drgnęła w jej palcach. Otworzyła oczy i ze zdumieniem zauważyła, że nakreśliła mały wzorek na rogu tkaniny. Wyglądał trochę jak kleks z porozrzucanymi wokół plamkami. Clary zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy straciła swoje umiejętności. Ale wtedy materiał zaczął migotać, jak żarzący się asfalt⁵⁷. Wpatrywała się, jak na tkaninie zaczęły pojawiać się słowa, pisane jakby niewidzialną ręką:

Własność Kościoła Talto. 232 Riverside Drive.

Dreszcz podekscytowania przeszedł przez jej ciało. To była wskazówka, prawdziwa poszlaka. I Clary znalazła ją sama bez niczyjej pomocy.

232 Riveside Drive było na Upper West Side, pomyślała, obok Riverside Park, po drugiej stronie rzeki New Jersey. Nie była to wcale taka długa wyprawa. Clary odłożyła stelę z

⁵⁶ Jeśli zbyt wulgarne, to ten.. można zmienić na np. dupek ☺ (przyp. firefly.)

⁵⁷ Jej, ta Cassandra to ma porównania... (przyp. firefly.)

niezadowoloną miną. Cokolwiek to było, zapowiadało niezbyt dobre wiadomości. Przysunęła krzesło do starego komputera Luke'a i włączyła Internet. Nie mogła powiedzieć, że była zaskoczona brakiem jakichkolwiek zrozumiałych dla niej wiadomości na temat Kościoła Talto. Nazwa z materiału musiała więc być w języku demonów.

Jednej rzeczy była pewna. Czymkolwiek był Kościół Talto, był tajemnicą i to najprawdopodobniej taką niebezpieczną. Jeśli miało to coś wspólnego z zamienianiem ludzkich dzieci w stwory z pazurami zamiast rąk, nie było żadną prawdziwą religią. Clary zastanawiała się, czy matka, która porzuciła swoje dziecko niedaleko szpitala, była członkinią Kościoła i czy wiedziała, w co się wpakowała przed narodzinami dziecka.

Było jej zimno, gdy sięgała po telefon i nagle zatrzymała swoją rękę. Miała zamiar zadzwonić do matki, ale nie mogła tego zrobić Jocelyn. Ledwie przestała płakać i zgodziła się wyjść z Luke'em pooglądać obrączki. Doszła do wniosku, że jej mama poradzi sobie z prawdą, jakakolwiek by ona nie była, ale wtedy Jocelyn bez wątpienia wpadłaby w kłopoty z Clave za prowadzenie jej śledztwa bez informowania ich.

Luke. Ale teraz był z jej matką. Nie mogła do niego zadzwonić.

Może Maryse. Sam pomysł zadzwonienia do niej wydawał się obcy i przerażający. W dodatku Clary wiedziała (choć wcale nie chciała tego faktu przyjąć do wiadomości), że jeśli pozwoli Clave przejąć sprawę, wszystko będzie przesądzone. Zostanie odepchnięta od postępowania w przypadku, który wydawał się bardzo osobisty. I czułaby się, jakby zdradzała swoją matkę Clave.

Ale pójście tam samej, bez wiedzy o tym, co można tam znaleźć... W sumie trochę trenowała, lecz nie wystarczająco. Wiedziała, że często robi coś, a dopiero potem się nad tym zastanawia. Niechętnie wzięła do ręki telefon. Wahając się przez chwilę, napisała szybkiego sms'a: 232 RIVERSIDE DRIVE. SPOTKAJ SIĘ TAM ZARAZ ZE MNĄ. TO WAŻNE. Nacisnęła przycisk 'wyślij' i siedziała przez chwilę, dopóki ekran się nie zaświecił z dźwiękiem odpowiedzi: OK.

Z westchnieniem Clary odłożyła telefon i poszła przygotować broń.

-Kochałem Maię- powiedział Jordan. Siedział teraz na materacu ze zrobioną przez siebie kawą, której jeszcze nie tknął. Trzymał tylko w rękach kubek, obracając go dłońmi, gdy mówił. -Musisz to wiedzieć, zanim powiem ci cokolwiek innego. Obydwoje pochodzimy z ponurej dziury w New Jersey, a ona miała więcej kłopotów, bo jej tata był czarny, a mama biała. Miała też brata, który był totalnym psychopatą. Nie wiem, może ci o nim opowiadała. O Danielu.

-Niewiele- powiedział Simon.

-Sumując to wszystko, jej życie było nieco ciężkie, ale nie pozwoliła, aby ją to przybiło. Spotkałem ją w sklepie muzycznym, kupowała stare nagrania. Winylowe, oczywiście. Zaczęliśmy rozmawiać i zdałem sobie sprawę, że jest właściwie najfajniejszą dziewczyną w okolicy. I piękną. I słodką- oczy Jordana jakby odpłynęły. -Umówiliśmy się i było fantastycznie. Byliśmy w sobie totalnie zakochani. Wiesz, w ten sposób, jaki są szesnastolatki. Wtedy zostałem ugryziony. Pewnej nocy brałem udział w bójce, w klubie. Często wpłytywałem się w bijatyki. Kopano mnie, bito, ale gryziono? Pomyślałem, że gość,

który to zrobił, jest szalony, ale to nieważne. Poszedłem do szpitala, zaszyli mi to i zapomniałem o sprawie.

-Okolo trzy tygodnie później coś zaczęło się dziać. Nachodziły mnie niekontrolowane fale wściekłości i gniewu. Mój wzrok się jakby zacierał i nie wiedziałem, co się dzieje. Wybiłem okno kuchenne, bo szuflada mi się zacięła. Byłem szalenie zazdrosny o Maię, przekonany, że patrzy na innych facetów, przekonany... Właściwie nie wiem, co sobie myślałem. Wiem tylko, że przegiąłem. Uderzyłem ją. Chciałbym powiedzieć, że nie tego pamiętam, ale pamiętam. I potem ona ze mną zerwała...- jego głos ucichł. Wziął łyka kawy. Wygląda na chorego, pomyślał Simon. Pewnie długo nie opowiadał nikomu tej historii. Jeśli w ogóle.- Kilka nocy później wybrałem się na imprezę i ona tam była. Tańczyła z innym chłopakiem. Całowała go, jakby chciała mi udowodnić, że to już koniec. Wybrała sobie złą noc, chociaż oczywiście nie miała o tym pojęcia. To była pierwsza pełnia księżyca odkąd zostałem ugryziony- od ściskania kubka zbieleły mu kostki na dłoniach. –Pierwszy raz się Przemieniłem. Transformacja przeszła przez moje ciało, łamiąc kości i rozdzierając skórę. Wiłem się w agonii, nie tylko z powodu bólu. Pragnąłem jej, chciałem, by wróciła, chciałem jej wszystko wytłumaczyć, ale jedyne co mogłem, to wyć. Biegałem po ulicach i i wtedy zobaczyłem ją wracającą przez park do domu...

-Zaatakowałeś ją- wtrącił Simon. –Ugryzłeś ją.

-Tak- Jordan tępo wpatrywał się w przeszłość. –Kiedy obudziłem się następnego dnia, wiedziałem, co zrobiłem. Próbowałem pójść do jej domu, wytłumaczyć. Byłem w połowie drogi, kiedy jakiś wielki gość zastąpił mi drogę i zgromił spojrzeniem. Wiedział, kim jestem. Wiedział o mnie wszystko. Wyjaśnił, że jest członkiem Praetor Lopus i został do mnie przydzielony. Nie był zbytnio szczęśliwy, że się spóźnił i już zdążyłem kogoś ugryźć. Nie chciał mnie do niej wypuścić. Obiecał, że Wilcza Straż będzie miała na nią oko. Powiedział mi, że skoro ugryzłem człowieka, co było ostro zabronione, jedynym sposobem uniknięcia kary było przyłączenie się do Straży i nauka panowania nad sobą.

-Nie zrobiłbym tego. Byłem bliski naplucia mu w twarz i nakazania wypchać się tą całą karą. Ale wtedy powiedział, że będę w stanie pomagać ludziom takim jak ja. Że mogę zapobiec takim sytuacjom, jaka przytrafiła się mi i Mai. Poczułem się, jakbym zobaczył światelko w ciemności, sposób na przyszłość. Może był sposób na naprawienie moich błędów.

-Okay- powiedział powoli Simon. –Ale czy to nie jest dziwny zbieg okoliczności, że zostałeś przypisany do mnie? Chłopaka, który umawia się z dziewczyną, którą ugryzłeś i przemieniłeś w wilkołaka?

-Żaden zbieg okoliczności- zaprzeczył Jordan. –Twoje akta były w stosie, który dostałem. Wybrałem ciebie, bo w twoich notatkach widniało imię Mai. Wampir i wilkołak jako para. Wiesz, to tak jakby wielka sprawa. Wtedy po raz pierwszy dałem sobie sprawę, że została wilkołakiem po tym co... co jej zrobiłem.

-Nigdy wcześniej nie sprawdziłeś, co u niej? To trochę...

-Próbowałem. Praetor mi nie pozwalał, ale robiłem, co mogłem, by dowiedzieć się, co się działo z Maią. Wiem, że uciekła z domu, ale jej życie rodzinne i tak było gówniane, więc nic mi to nie dało. Poza tym nie istnieje nic takiego jak narodowy spis wilkołaków, gdzie mógłbym ją namierzyć. Tylko miałem nadzieję, że się nie Przemieniła...

-Więc wziąłeś mój przydział ze względu na Maię?

Jordan się zarumienił.

-Pomyślałem, że może jak ciebie spotkam, to dowiem się, co stało się z Maią i czy wszystko z nią dobrze.

-To dlatego ochrzaniłeś mnie za oszukiwanie jej- powiedział Simon, wspominając. –Byłeś opiekuńczy.

Jordan spiorunował go spojrzeniem znad kubka z kawą.

-To był cios poniżej pasa.

-Ale to ty podrzuciłeś jej ulotkę o występie pod drzwi, prawda?- Simon potrząsnął głową.

-Mieszanie w moim życiu miłosnym było częścią umowy o przydziale do mnie czy twoim własnym dodatkowym pomysłem?

-Ja ją zawiodłem- odpowiedział Jordan. –Nie chciałem, by znów zawiódł ją ktoś inny.

-Nie przemawia to do ciebie, że gdy zjawiała się pod barem, to tobie chciała rozerwać gardło. Jeśli przyszłaby wcześniej, może nawet zrobiłaby to na scenie. To byłoby coś ekstra dla publiczności.

-Nie wiedziałem...- zaczął Jordan. –Nie zdawałem sobie sprawy, że tak bardzo mnie nienawidzi. To znaczy, ja nie czuję urazy do gościa, który mnie Przemienił. Nawet trochę rozumiem, że nie był w stanie się kontrolować.

-Taa- mruknął Simon. –Ale nie byłeś w tym facecie zakochany. Nie byłeś z nim w związku. Maia cię kochała. Myśli, że ugryzłeś ją, zwałeś i zapomniałeś. Będzie cię nienawidzić tak mocno, jak cię kiedyś kochała.

Zanim Jordan mógł odpowiedzieć, rozbrzmiał dzwonek - nie ten sygnalizujący, że ktoś czeka na dole, lecz ten, którym mogła zadzwonić osoba stojąca na korytarzu przed ich drzwiami. Chłopcy wymienili zdziwione spojrzenia.

-Spodziewasz się kogoś?- zapytał Simon.

Jordan pokręcił przecząco głową i odłożył kawę. Razem poszli do przedpokoju. Jordan zasugerował Simonowi, by stanął za jego plecami, po czym otworzył drzwi.

Nikogo tam nie było. Zamiast tego na wycieraczce leżała złożona kartka papieru przyłożona dużym kamieniem. Jordan pochylił się i podniósł kartkę. Gdy ją rozwinął, skrzywił się.

-To do ciebie- powiedział, podając liścik Simonowi.

Zaskoczony wampir wziął kartkę do ręki. Na samym środku dużymi literami była wydrukowana wiadomość:

SIMON LEWIS. MAMY TWOJĄ DZIEWCZYNĘ. PRZYJDŹ DZIŚ DO 232 RIVERSIDE DRIVE. BĄDŹ TAM PRZED ZMROKIEM ALBO PODERŻNIEMY JEJ GARDŁO.

-To żart- Simon tępo wpatrywał się w list. –To musi być żart.

Jordan bez słowa pociągnął go za ramię do salonu. Puścił go i odszukał telefon bezprzewodowy.

-Zadzwoń do niej- powiedział, podając słuchawkę Simonowi. –Zadzwoń do Mai i upewnij się, że wszystko z nią ok.

-Może tu nie chodzi o nią- wampir patrzył się na telefon, gdy cały horror tej sytuacji zaczął do niego docierać, niczym upiór wałęsający się wokół domu i błagający o wpuszczenie do środka. Skup się, powiedział sobie. Nie panikuj. –To może być Isabelle.

-Och, Jezu- Jordan spojrzał na niego groźnie. –Masz jeszcze jakieś inne dziewczyny? Czy może powinniśmy ułożyć listę osób, do których mamy zadzwonić?

Simon szarpnął telefonem, po czym odwrócił się i wykręcił numer. Maia odebrała po drugim sygnale.

-Halo?

-Maia, tu Simon.

Uprzejmość zniknęła z jej głosu.

-Och, czego chcesz?

-Tylko sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku- odpowiedział.

-Mam się dobrze- powiedziała sztywno. –Nie jest tak, że brałam to coś między nami na serio. Nie jest mi wesoło, ale przeżyję. Chociaż nadal jesteś dupkiem.

-To znaczy, chciałem sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku⁵⁸.

-Chodzi o Jordana?- mógł usłyszeć wzrost napięcia w jej głosie, gdy wymawiała to imię. –No tak. Wy dwaj trzymacie się razem, no nie? Jesteście teraz przyjaciółmi, czy coś w tym stylu? Możesz mu powiedzieć, żeby trzymał się ode mnie z daleka. Właściwie to dotyczy was obu. Rozłączyła się. Sygnał rozłączenia brzęczał w telefonie niczym wściekła pszczoła.

Simon popatrzył na Simona.

-Wszystko z nią okay. Nienawidzi nas obu, ale nic poza tym się nie dzieje.

-Spoko- Jordan był cały spięty. –Zadzwoń do Isabelle.

Należało zadzwonić dwa razy, zanim Izzy odebrała. Simon był już pełen paniki, gdy jej głos odezwał się w słuchawce. Brzmiał na roztargniony i wkurzony.

-Kimkolwiek jesteś, lepiej, żeby to było coś dobrego.

Wampira zalała fala ulgi.

-Isabelle. Tu Simon.

-Och, na miłość boską. Czego chcesz?

-Chciałem się tylko upewnić, czy wszystko u ciebie okay...

-No co? Mam być nieszczęśliwa, bo ty mnie oszukujesz, okłamujesz, zdradzasz, ty skur...

-Nie- ta sytuacja zaczęła dawać się Simonowi we znaki. –To znaczy, dobrze się czujesz? Nie zostałaś może porwana czy coś?

Nastąpiła długa chwila ciszy.

-Simon- powiedziała w końcu Isabelle. –To jest naprawdę najgłupsza wymówka dla beznadziejnego kłamstwa, jaką kiedykolwiek słyszałam. Co jest z tobą nie tak?

-Nie jestem pewien- odpowiedział Simon i rozłączył się, nim dziewczyna zdążyła to zrobić. Podał telefon Jordanowi. –U niej też wszystko w porządku.

-Nie rozumiem- Jordan wyglądał na zdezorientowanego. –Kto wysyła groźbę w takim stylu, jeśli jest ona bez pokrycia? Przecież łatwo jest odkryć, że to kłamstwo.

-Pewnie myślą, że jestem głupi- zaczął Simon i nagle przerwał, gdy naszła go straszna myśl. Wyrwał słuchawkę z rąk Jordana i wykręcił numer zdrętwiałymi palcami.

-Do kogo dzwonisz?– zapytał Jordan.

Telefon Clary zadzwonił, gdy skręcała z 96 ulicę w Riverside Drive. Deszcz zdawał się wymyć zwyczajny brud miasta. Słońce z błękitnego nieba oświeślało jasny pas zieleni parkowej, ciągnący się wzdłuż rzeki, której wody wyglądały dziś na prawie niebieskie.

⁵⁸ Tak, tak. Miało być tak powtórzone. (przyp. firefly.)

Wyszukała komórkę i rozsunęła klapkę.

-Halo?

Po drugiej stronie linii usłyszała głos Simona.

-Och, dzięki...- przerwał. –Jesteś cała? Nikt cię nie porwał czy coś?

-Porwał?- Clary uważnie śledziła numery budynków, idąc ulicą. 220, 224. Nie była pewna, czego się spodziewać. Kościoła? Czy czegoś innego, zaczarowanego, by wyglądał, jak opuszczona parcela? –Jesteś pijany, czy jak?

-Na to za wcześnie- ulga w jego głosie była słyszalna. –Nie, ja tylko... Dostałem Dziwną wiadomość. Ktoś grozi mojej dziewczynie?

-Której?

-Ale śmieszne- Simon nie brzmiał na rozbawionego. –Już dzwoniłem do Mai i Isabelle i z nimi wszystko ok. Potem pomyślałem o tobie. No wiesz, spędzamy ze sobą dużo czasu. Ktoś mógłby to źle zrozumieć. Ale w takim razie już nie wiem, co myśleć.

-Też nie mam pojęcia- numer 232 Riverside Drive wyskoczył nagle Clary przed oczami. Było to duży kamienny budynek ze szpiczastym dachem. Kiedyś mógł to być kościół, pomyślała Clary, ale teraz na niego nie wygląda.

-Aha, Maia i Isabelle dowiedziały się o sobie wczoraj. Nie było miło- Simon dodał. –Miałaś rację, mówiąc o igraniu z ogniem.

Clary studiowała fasadę budynku. Większość domów przy tej ulicy była ekskluzywnymi willami z kamerdynerami przy drzwiach. Numer 232 miał jednoskrzydłowe drewniane wysokie drzwi o ostrym zakończeniu i starodawnych metalowych klamkach zamiast kołatek.

-Och, ałł. Przykro mi. Rozmawia któraś z tobą?

-Nie całkiem.

Dziewczyna pociągnęła za jedną klamkę i pchnęła drzwi, które otworzyły się ze skrzypnięciem. Na chwilę straciła głos.

-Może któraś z nich podrzuciła liścik?

-To nie w ich stylu- powiedział Simon, szczerze zaskoczony. –Myślisz, że Jace mógł to zrobić?

Usłyszenie jego imienia było jak dostanie pięścią w brzuch. Clary złapała oddech.

-Nie sędzę, by to był on, nawet jeśli się wkurzył- odsunęła słuchawkę od ucha. Zaglądając przez uchylone drzwi, mogła zobaczyć wnętrze, jak w normalnym kościele: długą nawę i migoczące jak świece światła. Na pewno nie zaszkodzi, gdy tylko się rozejrzy. –Muszę kończyć, Simon. Zadzwoń później.

Zamknęła telefon i weszła do środka.

-Naprawdę myślisz, że to kawał?- Jordan pałętał się po mieszkaniu jak tygrys w klatce w zoo.

-Bo ja tam nie wiem. Zbyt chore jak na żart, według mnie.

-Nie powiedziałem, że to nie chore- Simon rzucił okiem na liścik, leżący na stoliku do kawy. Drukowane litery były widoczne z daleka. Tylko zerknięcie na wiadomość sprawiało, że przewracało mu się w żołądku, chociaż to było bez znaczenia. –Staram się dowiedzieć, kto to wysłał. I dlaczego.

-Może powinienem wziąć sobie wolne od pilnowania ciebie i zająć się nią- powiedział Jordan. -Wiesz, tak na wszelki wypadek.

-Przypuszczam, że mówisz o Mai. -Wiem, że chcesz dobrze, ale nie sądzę, by chciała mieć cię w pobliżu. W żadnym wypadku.

Szczęka Jordana się zacisnęła.

-Trzymałbym się z daleka, aby nie mogła mnie zobaczyć.

-Wow, nadal coś do niej masz, prawda?

-Jestem za nią w pewnym sensie odpowiedzialny- odpowiedział twardo Jordan. -Żadne uczucie poza tym się nie liczy.

-Rób, co chcesz- Simon wzruszył ramionami. -Ale myślę...

Znowu przerwał im dźwięk dzwonka. Chłopcy wymienili się spojrzeniami, po czym obaj popędzili do przedpokoju. Jordan dobiegł pierwszy. Złapał stojący obok drzwi wieszak, zrzucił z niego ubrania i otworzył szeroko drzwi z wieszakiem trzymanym nad głową niczym włócznia.

Po drugiej stronie stał Jace. Zamrugął.

-Czy to jest wieszak?

Jordan odłożył wieszak na ziemię i westchnął.

-Bardziej by mi się przydał, gdybyś był wampirem.

-Tak- powiedział Jace. -Lub kimś z dużą ilością kurtek.

Simon wychylił głowę zza Jordana.

-Sorki, mieliśmy stresujący poranek.

-No, cóż- westchnął Jace. -To stanie się jeszcze bardziej stresujący. Przyszedłem zabrać cię do Instytutu, Simon. Conclave chce cię zobaczyć, a oni nie lubią czekać.

W momencie, gdy drzwi Kościoła Talto zatrzasnęły się za Clary, poczuła się jak w innym świecie- hałas i zgiełk ulic Nowego Jorku nagle ucichł. Pomieszczenie wewnątrz było duże i wyniosłe, z wysokimi sufitami nad jej głową. Była tu wąska nawa otoczona rzędami ławek i grube brązowe świece wypalone w świecznikach przytwierdzonych do ścian. Wnętrze wydawało się Clary za słabo oświetlone, ale może to dlatego, że przywykła do jasności magicznego światła.

Ruszyła wzdłuż nawy. Kroki jej stóp zagłuszał kurz na kamiennej posadzce. To dziwne, pomyślała, kościół bez żadnych okien. Na końcu nawy znalazła się przy absydzie, gdzie kilka kamiennych stopni prowadziło na podium, gdzie znajdował się ołtarz. Popatrzyła na niego i zauważyła inną dziwną rzecz: w tym kościele nie było krzyży. Zamiast tego na ołtarzu znajdowała się pionowa tablica z kamienia z rzeźbioną sową na szczycie. Słowa na niej brzmiały:

*„Już dom jej ku śmierci się chyli,
ku cieniom Szeolu jej droga:
każdy, kto idzie do niej, nie wraca,*

nie odnajdzie ścieżek życia.”⁵⁹

Clary zamruwała. Nie знаła Biblii dobrze - daleko jej było do Jace’a, który już niemal znał ją na pamięć- ale ten tekst brzmiąc religijnie, był jednocześnie dziwnym cytatem do umieszczenia go w kościele. Przeszedł ją dreszcz, przysunęła się bliżej ołtarza, gdzie leżała duża zamknięta księga. Wyglądało na to, że niektóre strony były zaznaczone⁶⁰. Otwierając książkę, odkryła, że to, co brała za zakładkę, było tak naprawdę sztyletem z czarnym uchwytem pokrytym okultystycznymi symbolami. Widywała je wcześniej w podręcznikach. To był księga athame, często używana w demonicznych rytuałach wezwania.

Jej żołądek się skręcił, ale kontynuowała przeglądanie stron, zdeterminowana, by się czegoś nauczyć. Odkryła jednak, że tekst jest napisany ciasną czcionką, która byłaby trudna do odczytania nawet po angielsku. Ale to nie był angielski. Nigdy nie widziała tego ostrego alfabetu, który wyglądał jak najeżony. Słowa znajdowały się pod ilustracją, na której Clary rozpoznała krąg wezwania- rodzaj wzoru, który czarownicy rysują na ziemi przed rzuceniem czaru. Kręgi miały służyć do przyciągania i koncentrowania magicznej mocy. Ten znajdował się na stronie pokrytej zielonym atramentem i wyglądał jak pierścień z kwadratem w środku. Na pierścieniu były wypisane runy. Clary ich nie rozpoznawała, ale mogła poczuć język runów w jej kościach i zaczęła się trząść. Śmierć i krew.

Szybko odwróciła stronę i trafiła na zbiór ilustracji, przez które przestała na chwilę oddychać. Był to ciąg obrazków, który zaczynał się podobizną kobiety z ptakiem na lewym ramieniu. Ptak, najprawdopodobniej kruk, wyglądał złowieszczo i przebiegle. Na następnej ilustracji zabrakło ptaka, a kobieta najwyraźniej była w ciąży. Trzeci obraz przedstawiał tą kobietę leżącą na ołtarzu nieco podobnym do tego, przy którym stała teraz Clary. Przed nią stała postać ubrana w długą togę i trzymała w ręku drażniąco nowocześnie wyglądającą strzykawkę. Była ona pełna ciemnoczerwonego płynu. Kobieta z pewnością wiedziała, że płyn zostanie jej wstrzyknięty, bo krzyczała.

Na ostatnim zdjęciu kobieta siedziała z dzieckiem na kolanach. Niemowlę wyglądało prawie normalnie, poza oczami, które były całkowicie czarne bez białek. Kobieta patrzyła na dziecko wzrokiem pełnym przerażenia.

Clary poczuła ciarki na plecach i karku. Jej matka miała rację. Ktoś próbował stworzyć więcej takich dzieci jak Jonathan. Właściwie, już im się to udało.

Cofnęła się o krok. Każdy nerw jej ciała zdawał się krzyczeć, że coś z tym miejscem jest nie tak. Nie sądziła, by mogła tu spędzić chociaż minutę dłużej. Lepiej będzie wyjść na zewnątrz i poczekać na kawalerię. Może i odkryła coś na własną rękę, ale dalej już nie mogła działać na własną rękę.

Właśnie wtedy coś usłyszała.

Miękki szelest, jak lekki powiew pchający do tyłu, który wydawał się pochodzić znad niej. Popatrzyła w górę, zaciskając rękę na księdze. Wypatrywała. Wokół wyższej galerii stał rząd cichych postaci. Byli ubrani w coś podobnego do szarych dresów- adidas, szare matowe spodnie i bluzy na zamek z kapturem, który każdy z nich miał naciągnięty na głowę. Byli zupełnie nieruchomi. Z rękami na barierce galerii, wpatrywali się w Clary. Przynajmniej

⁵⁹ Stary Testament, Księga Przypowieści 2, 18 (przyp. firefly.)

⁶⁰ Jak zakładką ☺ (przyp. firefly.)

przypuszczała, że się wpatrywali. Ich twarze były całkowicie w cieniu. Nie mogła nawet stwierdzić, czy byli to mężczyźni, czy kobiety.

-Prze... Przepraszam- wyjąkała. Jej głos zabrzmiał głośno. –Nie chciałam przeszkadzać, czy...

Nie było żadnej odpowiedzi, tylko cisza. Ciężyla jej. Serce dziewczyny zaczęło bić szybciej.

-Więc ja już pójdę- powiedziała, ciężko oddychając. Ruszyła do przodu, kładąc athame na ołtarzu i skręciła, by wyjść. Poczula nieprzyjemny zapach na sekundę nim się odwróciła. Znany jej odór gnijących śmieci. Między nią a drzwiami wyrosła niczym ściana, mieszanka łuskowatej skóry, kłów i pazurów.

Przez ostatnie siedem tygodni Clary trenowała, jak sobie poradzić w walce z demonami, nawet w pojedynkę. Ale teraz kiedy zdarzyło się to naprawdę, jedyne, co mogła zrobić, to krzyczeć.

Tłumaczenie: *firefly*

Korekta: *Tellave*

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nasz gatunek

Demon rzucił się na Clary, która nagle przestała krzyczeć. Rzucając się do tyłu, w stronę ołtarza i robiąc perfekcyjne salto. Chciałaby, aby Jace tu był i to zobaczył. Wylądowała na ziemi w momencie, gdy cały ołtarz wręcz się zatrząsł.

Nagle w Kościele rozbrzmiało wycie. Schowana za Ołtarzem, spojrzała ponad jego krawędzią, w stronę wydobywającego się dźwięku. Demon, który wcześniej się na nią rzucił, nie był aż tak duży, jakiego sobie wyobraziła, ale nie był też mały. Rozmiarem przypominał lodówkę, z trzema głowami na kołyszących się szyjach, które wyglądały jak długie łodygi. Głowy były niewidomymi, ogromnymi rozchylającymi się szczękami, z których płynął zielonkawy płyn. Demon wyglądał, jakby szukał jej, jedną z głów dotykając ołtarza i ruszając nią w tą i z powrotem.

Clary zerknęła szybko w górę, ale postacie w dresach nadal były tam, gdzie poprzednio. Żadna z nich się nie ruszyła. Wyglądały jakby czekały na to, co stanie się z demonem. Odwróciła się i spojrzała za siebie, ale nie było chyba żadnych innych drzwi wyjściowych, niż tych głównych, które blokował jej demon. Zdając sobie sprawę z tego, że zmarnowała cenne sekundy, złapała za związanego przy jej kostce Althame. Wyskoczyła szybko zza ołtarza, widząc, że demon znowu ją zauważył. Potoczyła się na podłodze, w stronę drzwi wyjściowych. Demon, nadal kołysząc głowami, wysunął gwałtownie język, szukając jej. Z krzykiem złapała za Athame i mocnym szarpnięciem wbiła go w jedną z szyj demona, ruszając nim na boki. Demon zaczął wyć, kiedy odcięła mu głowę. Z jego rany, zaczęła się lać czarna krew. Ale to nie był dostateczny cios, by go zabić. Clary przyjrzała się ranie demona, która zaczęła się zrastać szybko, jak zaszywany materiał. Jej serce stanęło. Jednym z powodów rysowania przez Nocnych Łowców run na ciele i przedmiotach, było to, że uniemożliwiali demonom leczenie.

Wzięła stelę do swojej lewej dłoni, i spojrzała na demona, czekając na niego, by podszedł do niej jeszcze raz. Demon rzucił się w jej stronę, a ona szybko odskoczyła w stronę ławek kościelnych. Następnie znowu zwrócił się w jej stronę i rzucił się jeszcze raz. Schowała się dalej. Zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma kurczowo stelę i sztylet. Sztylet skaleczył ją, kiedy musiała uciekać przed demonem, przez co krew szybko plamiła przód jej marynarki. Przerzuciła sztylet do swojej lewej ręki, a stelę do prawej i z zaczęła rysować uzdrawiającą runę w miejscu gdzie krwawiła.

Inny symbol, narysowany przez nią na rękojeści sztyletu, zaczął się roztopiać i tworzyć znak runiczny anielskiej mocy. Clary spojrzała na demona, który był już bardzo blisko niej. Szukał jej dwoma głowami, z których ciekła ciecz. Wstając, złapała mocno sztylet i z całej siły wbiła go w środkową głowę. Demon znowu zaczął się krzyczeć. Z całej siły pociągnęła nożem, tak, że jego głowa upadła na ziemię z głuchym odgłosem. Demon nadal podążał chwiejnym krokiem w jej stronę. Clary podeszła do niego bliżej, gotowa by zadać ostateczny cios.

Rozległ się odgłos wielu kroków zbliżających się. Widmowe postacie zniknęły i kościół zrobił się pusty. Jednak Clary nadal miała wrażenie, że tam są. Jej serce biło jak szalone. Odwróciła się i ruszyła w stronę frontowych drzwi, ale demon był szybszy od niej. Była tak zmęczona, że miała wrażenie, że zaraz upadnie.

Coś przecięło powietrze, wyglądając jak błyskawica o kolorze promienisto-srebrzystego złota. Demon obejrzał się w stronę tego czegoś, jednak nie zdążył tego zrobić, bo z jego gardła rozległo się syczenie, które zmieniał się w krzyk. Jednak było za późno, srebrzysta rzecz, przecięła mu szyję, z której zaczęła ciec czarna krew. Głowa poturlała się po podłodze. Krew tryskała tak mocno, że poplamiała całą Clary. Bezwładne ciało zaczęło się kołysać, i zbliżać niebezpiecznie w jej stronę.

I nagle zniknęło, wraz ze swoimi głowami, do swojego wymiaru, skąd pochodziły wszystkie demony. Clary podniosła się ostrożnie. Frontowe drzwi Kościoła otworzyły się. Stała w nich Isabelle, w botkach, czarnej sukience, i z batem w ręce. Zaczęła go owijać sobie wokół nadgarstka, rozglądając się po kościele, marszcząc przy tym brwi. Kiedy zobaczyła Clary, uśmiechnęła się lekko.

- Cholera, dziewczyno. - powiedziała. - Masz jakieś wytłumaczenie swojego zachowania?

Simon poczuł dotyk służącego Camille, który był zimny, a zarazem lekki jak dotknięcie lodowatych skrzydeł. Zadrżał lekko i zaczął rozwijać przepaskę, która miał zawiązaną wokół głowy.

Rozejrzał się wokół i zaczął szybko mrugać. Przed chwilą stał w słońcu na skrzyżowaniu dróg siedemdziesiątej ósmej i drugiej Alei. Następnie był w miejscu, który mógłby być jego grobem, daleko od instytutu- tak, by nie wzbudzać podejrzeń Camille.

Teraz znajduje się w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Było całkiem duże, z gładką marmurową podłogą, i eleganckimi marmurowymi filarami unoszącymi się do wysokiego sufitu. Wzdłuż ścian rozciągały się w rzędzie szklane kabiny, każda z przyklejonym mosiężnym napisem „Kasjer”. Inna, mosiężna płyta na ścianie głosiła, że był to Bank Państwowy Douglas. Niegdyś ludzie pisali tutaj czeki, albo zlecenia wypłaty, a lampy, które zwisały z sufitu były pokryte grynszpanem szlachetnym. Na środku pomieszczenia, na wysokim fotelu siedziała Camille. Jej srebrno-blond włosy były rozpuszczone, i spadały jej gładko na ramiona. Jej piękna twarz nie była w ogóle pokryta makijażem, nawet bardzo czerwone usta. W słabo oświetlonym pomieszczeniu Simon widział ich bladą skórę, która wręcz się świeciła.

- W normalnych okolicznościach nie zgodziłabym się na spotkanie w godzinach światła słonecznego, Daylighter. - powiedziała. - Ale dla ciebie mogę zrobić wyjątek.

- Dziękuję.

Simon rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś krzesła, jednak pozostało mu stanie.

Gdyby jego serce wciąż biło, pewnie byłoby to mocne łomotanie. Kiedy zgodził się by to robić, dla tajnego zebrania, zapomniał jak bardzo Camille go przeraża. Może to było niedorzeczne, ale co tak naprawdę z nim robi?

- Mam nadzieję, że dobrze rozważyłeś moją propozycję. - powiedziała Camille. - I zgadzasz się.

- Dlaczego myślisz, że się zgodziłem? - zapytał Simon, mając nadzieję, że to nie wydało jej się głupie, by spróbować zyskać trochę czasu.

Spojrziała na niego z lekkim zniecierpliwieniem.

- Ciężko byłoby ci dostarczyć mi osobiście wiadomości, że zdecydowałeś się odmówić. Bałbyś się mojej reakcji.

- A powinienem się bać twojej reakcji?

Camille, siedząca nieruchomo w fotelu, uśmiechnęła się. Było ono współczesne i luksusowe, w porównaniu do opuszczonego banku. Musiało być tutaj przyniesione, pewnie przez służących Camille, którzy stali daleko od nich, i wyglądali jak nieruchome posągi.

- Wielu się boi, - zaczęła. - ale ty nie masz powodu by to robić. Jestem bardzo dumna z ciebie. Chociaż czekałeś do ostatniej chwili, by skontaktować się ze mną. Mam nadzieję, że podejmiesz właściwą decyzję.

Telefon Simona zaczął dzwonić. Podskoczył, czując jak strużka zimnego potu płynie mu po plecach. Wyciągnął szybko w kieszeni telefon.

- Przepraszam. - powiedział, otwierając telefon. - Telefon.

Camille wyglądała na oburzoną.

- Nie odbieraj.

Simon zaczął podnosić telefon do ucha, próbując trafić kilkakrotnie w zieloną słuchawkę.

- To mi zajmie sekundę.

- Simon...

Spojrzał na telefon i odrzucił połączenie.

- Przepraszam. Nie pomyślałem.

Klatka piersiowa Camille poruszała się szybko, jak była wściekła, pomijając fakt, że tak naprawdę nie oddychała.

- Oczekuję więcej szacunku od moich służących. - wyszczała. - Nie rób tego nigdy więcej, bo..

- Bo co? - spytał Simon. - Nie możesz mnie zranić, nikt nie może tego zrobić. Powiedziałaś mi, że będę twoim partnerem, nie służącym. - przerwał, dodając nutę arogancji do swojego głosu - Może powinienem jeszcze raz zastanowić się nad twoją ofertą.

- Oh, na Boga. Nie bądź głupi.

- Dlaczego możesz wymawiać to słowo? - spytał Simon.

- Które słowo? Jesteś rozdrażniony tym, że nazwałam cię głupim? - Camille podniosła delikatnie brwi.

- Nie. To znaczy tak, ale to nie o to słowo chodzi. Powiedziałaś „Oh, na...”. - przerwał, jego głos jakby uwiązł mu w gardle. Wciąż nie mógł tego powiedzieć. Bóg.

- Ponieważ nie wieżę w niego, głupi chłopcze. - odpowiedziała. - A ty nadal to robisz.

Pochyliła swoją głowę w jego stronę. Simonowi przypominało to widok ptaka, który próbował wydostać robaka z ziemi, którego uważał za jedzenie. - Myślę, że to może być czas, na przysięgę krwi.

- Na... przysięgę krwi? - Simon zaczął się zastanawiać, czy się nie przesłyszał.

- Zapomniałam, że twoja wiedza o naszych zwyczajach jest ograniczona. - Camille potrząsnęła głową. - Chce zawrzeć z tobą przysięgę krwi, żebyś był lojalny wobec mnie. To zapobiegnie twojemu nieposłuszeństwu w przyszłości. Uważaj to za... coś w rodzaju intercyzy małżeńskiej. - uśmiechnęła się, pokazując błyszczące kły. - Chodź. - wyciągnęła swoje palce władczo przed siebie. Podbiegł do niej sługa, zgięty, blady. Podał jej coś, co wyglądało jak stare, szklane pióro. Było lekko spiralne, a jego końcówka wyglądała, jakby miała łapać i trzymać atrament. - Będziesz musiał się skaleczyć, i pociągnąć swoją krew. -

powiedziała Camille. - Normalnie ja bym to zrobiła, ale znak mi to uniemożliwia. Dlatego musimy improwizować.

Simon zawahał się. To nie był dobry pomysł. Raczej bardzo zły. Wiedział dość o nadprzyrodzonym słowie, by wiedzieć, co oznaczają przysięgi, które mogą źle się skończyć. Ta przysięga nie może być po prostu złamana, nie jest rzucona na wiatr. Byłby skrepowany obietnicą, coś jak wirtualne kajdanki. Jeśli się zgodzi na nią, będzie musiał naprawdę być lojalny wobec Camille. Możliwe, że wiecznie.

- Podejdź tutaj. - powiedziała wampirzyca, z nutką zniecierpliwienia w głosie. - Nie wlec się tak.

Simon zrobił niepewny krok do przodu, i następny. Służący podszedł do niego, blokując mu przejście. Trzymał on nóż dla Simona, którego ostrze było ostre i cienkie niczym igła. Chłopak wziął go i przyłożył do nadgarstka. Dotknął nim skórę.

- Wiesz - zaczął. - naprawdę nie lubię odczuwać bólu...

- Zrób to. - ponagliła go Camille.

- Wcale nie musimy tego robić.

Kły wampirzycy były w pełni wysunięte. Wyglądała na bardzo złą.

- Jeśli nie przestaniesz marnować mój czas...

Nagle rozległ się jakiś cichy wybuch, jakby coś pękło. Niedaleko na jednej ze ścian pojawił się połyskujący panel. Camille odwróciła się w jego stronę, lekko otwierając usta ze zdziwieniem, kiedy zobaczyła co to jest. Wiedział, że rozpoznaje co to jest, ponieważ on też to robił.

Portal. Zaczęli wychodzić przez niego Nocni Łowcy.

- Okey. - powiedziała Isabelle, odkładając szybko na miejsce apteczkę. Były w jednym z pokoi gościnnych w instytucie, które zamieszkiwali czasami członkowie Clave. W każdym znajdowało się łóżko, kredens, szafa, i niewielka łazienka. Oraz oczywiście w każdym była apteczka, w których były bandaż, plastry, nożyczki, i dodatkowe stele.

- Przydałby się jakiś znak uzdrawiający, żeby zagoiły się stłuczenia. I to. - powiedziała Isabelle, wskazując na poparzoną dłoń i przedramię Clary, które zostały opryskane krwią demona. - Najprawdopodobniej nie zagoi się dzisiaj całkowicie, tylko jutro. Jeśli chcesz...

- Nic mi nie jest. Dzięki, Isabelle. - powiedziała Clary spoglądając na swoje dłonie. Były owinięte bandażami. Jej koszulka była poplamiona krwią, jednak Izzy wyleczyła resztę jej ran. Mogła sama narysować sobie uzdrawiającą runę, ale było to miłe, że ktoś się o nią troszczył. Isabelle była najbardziej serdeczniejszą osobą, jaką знаła. - I dzięki za uratowanie mojego życia, przed tym, co mnie dzisiaj chciało zabić.

- Był to demon hydry, mówiłam ci. Miał parę głów, ale były one ślepe. Szło ci całkiem nieźle, zanim się pojawiłam. Podobało mi się, co zrobiłaś Athame. Miałaś dobry pomysł z mocnym wbiciem go w głowę demona. Ale takie myślenie mają Nocni łowcy, działają szybko, instynktownie wybierając formę walki. - powiedziała Isabelle, siadając koło Clary na łóżku z westchnięciem. - Prawdopodobnie powinnam przeszukać Kościół i jego okolice, zanim zjawi się w nim Conclave. Może znalazłabym tam coś. Coś szpitalnego, dzieci. - Isabelle zadrżała. - Nie lubie tego.

Clary zaczęła opowiadać Isabelle najbardziej szczegółowo jak potrafiła co stało się w kościele. O demonie dziecka w szpitalu, ukrywając, że ma tylko jednego podejrzanego, pomijając obecność jej matki tam. Isabelle wyglądała blado, kiedy Clary opisywała wygląd

dziecka, które wyglądało na całkowicie normalne, gdyby nie czarne oczy, i pazury zamiast dłoni.

- Myślę, że próbowali zrobić z tego dziecka coś na podobieństwo mojego brata. Przeprowadzali na nim doświadczenia. - powiedziała Clary. - Od samego początku było inne, jakby nieobecne. Kto robi takie rzeczy? Jakiś zwolennik Valentine? Ktoś kto nie został złapany, kontynuuję to, co robił mój ojciec?

- Możliwe. Może to demon, uwielbiający eksperymenty? Jest takich dużo. Nie mogę sobie tego nawet wyobrazić, że jest ktoś, kto chce stworzyć kogoś podobnego do Sebastiana. - odpowiedziała Isabelle z nienawiścią, kiedy wypowiadała ostatnie słowo.

- Ale on ma na imię Jonathan.

- Jonathan jest imieniem Jace'a. - powiedziała Izzy stanowczo. - Nie potrafię nazywać tego potwora imieniem mojego brata. Będzie dla mnie zawsze Sebastianem.

Clary musiała przyznać, że Isabelle ma rację. Był to dla niej trudny czas, myśleć o nim jako o Jonathanie. Przypuszczała, że to nie było sprawiedliwe wobec prawdziwego Sebastiana, ale nikt go nie znał. Zmiana imienia, udawanie innej osoby, to wszystko miało pozwolić podszyć się Jonathanowi pod Sebastiana, któremu zaproponował to najwyraźniej Valentine. Miało to ułatwić jej bratu od samego początku wkroczenie do życia jej, jak i Isabelle, Aleca, Jace' jako członka rodziny, zaufanej osoby.

Isabelle starała się mówić spokojnie, ale Clary wyczuwała w jej głosie nutkę rozgoryczenia.

- Poza tym, jestem zadowolona, że do mnie napisałaś. Nie mogłam odpowiedzieć na twoją wiadomości, bo działo się coś dziwnego, i szczerze mówiąc nudziło mi się. Wszyscy robią coś dla tajnego stowarzyszenia, a ja nie, ponieważ Simon tam będzie. A w tej chwili nie chcę mieć z nim nic do czynienia.

- Simon jest w tajnym stowarzyszeniu? - spytała zdziwiona Clary. Dopiero teraz zauważyła, że Instytut wyglądał, jakby były w nim same. Jace'a, oczywiście, nie było, ale nie oczekiwała tego po nim, by tu był, sama nie wiedziała dlaczego.

- Rozmawiałam z nim dzisiaj rano, i nie mówił nic o tym, że miałby robić coś dla tajnego stowarzyszenia. - dodała Clary.

- Nakazuje mu to w pewnym sensie polityka wampirów. Wiedzą to wszyscy. - Isabelle wzruszyła ramionami.

- Myślisz, że nic mu nie jest?

Isabelle wyglądała jakby była zirytowana.

- On już nie potrzebuje twojej pomocy, Clary. Ma znak Kaina. Nikt go nie uderzy, nie zastrzeli, nie utopi, nie zaatakuje nożem, i jestem pewna, że nic mu nie jest. - powiedziała Isabelle, spoglądając ostro na Clary. - Dlaczego nie spytałaś mnie dlaczego nienawidzę Simona? - spytała. - Przypuszczam, że wiedziałaś o tym, że umawia się też z inną?

- Wiedziałam. - powiedziała Clary. - Przepraszam.

- Jesteś jego najlepszą przyjaciółką. To normalne, że mi nie powiedziałaś

Isabelle nie wydawała się być zdziwiona.

- Powinnam ci powiedzieć. - zaczęła Clary. - Po prostu, myślałam, że nie myślisz aż tak poważnie o Simonie, no wiesz...

Isabelle zmarszczyła brwi. - Bo nie myślałam. Po prostu, prawda jest taka, że on też nie brał tego na poważnie. Postąpiłam z nim lepiej niż z innymi facetami. Nie jest on dobrą ligą dla mnie.

- Możliwe. - szepnęła Clary. - Simon nie powinien umawiać się z kimś, kto myśli że nie jest dla niego.

Isabelle spojrzała na Clary, która zarumieniła się.

- Przepraszam. Po prostu twoje stosunki z Simonem, powinnaś zatrzymać dla siebie.

Isabelle zaczęła się bawić swoimi włosami, zawsze tak robiła, gdy czuła się spięta.

- Nie, nie o to chodzi. Mam na myśli, że powinnam cię spytać, dlaczego napisałaś do mnie, żebym przyszła do kościoła i spotkała się z tobą, a nie do Jace? Ale nie zrobiłam tego. Nie jestem głupia. Wiem, że jest coś pomiędzy wami, co psuje wasz związek, jest między wami jakaś gorąca namiętność. - powiedziała Isabelle, spoglądając uważnie na Clary. - Spaliście już ze sobą?

Clary poczuła, jak robi się czerwona. - Co?...Miałam na myśli, że nie, ale nie widzę powodu, żeby robić cokolwiek.

- To nie. - powiedziała Isabelle, nie przestając bawić się włosami. - Byłam po prostu chorobliwie ciekawa. Co cię powstrzymuje?

- Isabelle. - zaczęła nieśmiało Clary. Podniosła nogi, położyła je na łóżku i oplotła ramionami.

- Nic. My cały czas rozmawiamy. Ja nigdy... no wiesz.

- A Jace tak. - powiedziała Izzi. - Mam na myśli, że przypuszczam, że ma to za sobą. Nie jestem pewna. Ale jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebować czegokolwiek... - Isabelle podniosła wzrok w górę.

- Potrzebować czegokolwiek?

- Ochrony, no wiesz. Musisz uważać. - odpowiedziała Isabelle. Nie wydawała się być zawstydzona tak jak Clary. Mówiła o tym, jak o czymś zwyczajnym. - Anioł nie był taki przezorny by dać nam taki znak runiczny, który działałby jak antykoncepcja.

- Oczywiście, że będę uważać. - powiedziała szybko Clary, czując jak jej policzki robią się jeszcze bardziej czerwone. - Wystarczająco. To trochę niezręczne.

- To normalna rozmowa dziewczyn. - odpowiedziała Isabelle. - Myślisz, że to jest niezręczne ponieważ spędziłaś całe życie zadając się z Simonem, który był twoim jedynym przyjacielem. I nie możesz z nim rozmawiać o Jace. To byłoby bardziej krępujące.

- Jace na prawdę nic ci nie mówił? Że go to martwi? - powiedziała cicho Clary. - Obiecujesz?

- Nie musiał. - powiedziała Isabelle. - Rola, jaką grasz względem Jace, powoduje, że wygląda jakby umarł, nie żeby było to złe. Powinniśmy o tym porozmawiać jak najszybciej.

- Czy ostatnio wszystko z nim w porządku? - spytała cicho Clary.

Isabelle wstała z łóżka i spojrzała na nią z góry.

- Nie. - powiedziała. -Jest z nim niezbyt dobrze, a z tobą?

Clary potrząsała głową.

- Nie myślałam o tym. - powiedziała Isabelle.

Ku zaskoczeniu Simona, Camille kiedy zobaczyła Nocnych Łowców, nie próbowała nawet zachować zimną krew. Zaczęła krzyczeć i uciekać w stronę drzwi, kiedy zamarła, przypominając sobie, że jest dzień, a opuszczenie banku grozi jej szybkim spalaniem. Kuląc się lekko, podeszła do jednej z ścian, obnażając kły, a z jej gardła wydobył się syk.

Simon podszedł do tajnego stowarzyszenia Nocnych Łowców okrążając ich. Poznał Jace, jego twarz była biała jak biały marmur, przewracał on pałaszem, spoglądając na ludzkiego służącego Camille, jakby był bardzo łatwym celem do zabicia. Maryse stała na przodzie, jej czarne włosy przypominały mu Isabelle. Próbowwała odgonić drugiego kulącego się sługusa, wymierzając w niego ostrzem seraфина. Spoglądała intensywnie na Camille i jej odsłonięte kły. Jace stał obok niej, a inny Nocny Łowca, wysoki mężczyzna, którego czarne znaki runiczne owijały jego przedramiona niczym winorośle, był po jej drugiej stronie.

Reszta Nocnych Łowców rozdzieliła się po banku, rozglądając się, z wyciągniętymi przedmiotami do walki, czujnie sprawdzając czy są demony w pomieszczeniu. Ignorowali całkowicie Camille, i jej służących, stojącej nieruchomo, która spoglądała na nich z rzedzą krwi. Ignorowali również Simona. Starał się być jak najdalej ich, koło filara.

- Camille Belcour. - powiedziała Maryse, którego głos odbił się echem od ścian. - Złamałaś prawo, i podlegasz karze prawnej. Kapitulujesz, i idziesz z nami, czy walczysz?

Camille zaczęła płakać, nie próbując nawet tego ukrywać, brudząc się krwią. Na jej bladej twarzy pojawiły się czerwone, rozmazane linie.

- Walker, i mój Archer...

Maryse wyglądała na zakłopotaną. Obejrzała się na mężczyznę po jej lewej stronie. - Co ona mówi, Kadir?

- O swoich ludzkich sługach. - odpowiedział. - Chyba będzie żałować ich śmierci.

Maryse pomachała lekceważąco ręką. - To jest wbrew prawu, robienie z ludzi służących.

- Robiłam to zanim podziemni narzucili ci te przeklęte prawa, dziwko. Oni byli ze mną dwieście lat. Są dla mnie jak dzieci.

Palce Maryse zacisnęły się mocno na rękojeści jej miecza. - Co ty możesz wiedzieć o dzieciach? - szepnęła. - Jak możesz wiedzieć o czymkolwiek oprócz niszczenia?

Pokryta łzami twarz Camille zaczęła wyrażać triumf.

- Wiem. - powiedziała. - Cokolwiek innego powiesz, jakiegokolwiek kłamstwa powiesz, nienawidzisz mojego gatunku. Prawda?

Twarz Maryse stała się kamienna. - Weźcie ją. - powiedziała. - Zabierzcie ją do świątyni.

Jace podszedł szybko do Camille i złapał ją mocno za ramię, Kadir zrobił to samo, łapiąc za drugie. Mocno ją ścisnęli.

- Camille Belcourt, jesteś oskarżona o morderstwo ludzi. - zaintonowała Maryse. - Oraz za zabójstwo Nocnych Łowców. Zostaniesz zabrana do świątyni, gdzie zostaniesz przesłuchana. Wyrokiem za zabicie Nocnego Łowcy jest śmierć, ale możliwe jest, że jeśli będziesz z nami współpracować, zostaniesz oszczędzona. Rozumiesz? - spytała Maryse.

Camille potrząsnęła wyzywająco głową. - Jest jedna rzecz o która muszę cie zapytać. - powiedziała. - Jeśli nie przyprowadzisz go do mnie, nic ci nie powiem. Możesz mnie zabić, i nic wam nie powiem.

- A więc. - zaczęła Maryse. - O kogo chodzi?

Camille obnażyła swoje kły. - Magnus Bane.

- Magnus Bane? - Maryse wyglądała na osłupiałą. - Największego czarownika w Brooklynie? Dlaczego chcesz z nim porozmawiać?

- Mam do niego pytanie. - rzekła Camille. - Lub kilka pytań.

I to było wszystko. Więcej się nie odezwała. Kiedy została wyprowadzona przez Nocnych Łowców, Simon patrzył na to uważnie. Nic nie czuł, ponieważ czuł, że mu ulżyło. Poczul

dziwne ukłucie w żołądku. Spojrzał na dół, na ciała służących. Nie lubił ich zbytnio, ale to nie oni wybrali sobie taki los. W pewnym sensie, żaden nie miał nikogo prócz Camille. Była potworem, ale jednak Nephilim. I może nie dlatego, że zabijała Nocnych Łowców. Możliwe, że nie miała innego wyjścia względem nich, którzy myśleli tylko o niej.

Camille została przepchnięta przez portal. Jace stanął koło portalu, gestykulując w stronę Simona, by poszedł za nim.

- Idziesz, czy nie? - spytał.

Cokolwiek innego powiesz, jakiegokolwiek kłamstwa powiesz, nienawidzisz mojego gatunku.

- Idę. - powiedział Simon, i ruszył się niechętnie za nim.

Tłumaczenie: JimmyK

Korekta: Isztar

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sanktuarium

- Jak myślisz, dlaczego Camille chce się widzieć z Magnusem? - spytał Simon.

On i Jace stali oparci o ścianę Sanktuarium w masywnym pokoju, do którego dochodziło się wąskim korytarzem. Sanktuarium nie było częścią instytutu. Celowo nie zostało poświęcone, aby można było go używać do przetrzymywania wampirów lub demonów.

Sanktuaria, jak poinformował Simona Jace, wyszły z mody, gdy wynaleziono Projekcje, ale raz na jakiś czas się przydawały. Jak na przykład teraz.

Było to duże pomieszczenie z kamiennymi ścianami i kolumnami oraz z przedsionkiem, również kamiennym, nie wliczając podwójnych drewnianych drzwi. Przedpokój prowadził do korytarza, łączącego Sanktuarium z Instytutem. Ogromne wyłobienia w posadzce wskazywały na to, że cokolwiek było tu kiedyś trzymane, było całkiem groźne i duże. Simon nie mógł się powstrzymać od myślenia, w ilu takich pomieszczeniach jeszcze się znajdzie. Camille stała przy jednym z filarów z rękami na plecach i Nocnymi Łowcami po bokach. Maryse przechadzała się tam i z powrotem, co chwila zamieniając słowa z Kadirem. Widocznie próbowali ustalić jakiś plan. Oczywiście nie było żadnych okien, lecz pochodnie z magicznym światłem wisiały wszędzie, nadając całej scenie białawy odcień.

- Nie wiem – odpowiedział Jace. - Może chce porady odnośnie mody.

- Ha – prychnął Simon. - Kim jest ten facet z twoją matką? Wygląda znajomo.

- To Kadir – powiedział Jace. - Pewnie spotkałeś jego brata, Malika. Zginął w czasie bitwy na statku Valentine'a. Kadir jest drugą najważniejszą osobą w Konklawie, zaraz po mojej mamie. Bardzo mu ufa.

W tym momencie Kadir pociągnął Camille za rękę tak, by objęły kolumnę i spiał jej dłonie kajdankami. Wampirzyca wydała z siebie cichy krzyk.

- Błogosławiony metal – wyjaśnił Jace bez emocji. - Pali je.

Je, pomyślał Simon. Miałeś na myśli „ciebie”. Jestem taki jak ona. Nie różnię się od niej tylko dlatego, że mnie znasz.

Camille płakała. Kadir stał obok niewzruszony. Ciemne, zawijane runy pokrywały całą powierzchnię ramion i gardła. Odwrócił się, by powiedzieć coś do Camille. Simon wyłapał słowa „Magnus” i „ognista wiadomość”.

- Znowu o Magnusie – powiedział Simon. - Ale czy on nie jest w podróży?

- Camille i Magnus są dość wiekowi – wyjaśnił Jace. - To nie jest dziwne, że się znają – wzruszył ramionami, najwyraźniej niezbyt zainteresowany tematem. W każdym razie na pewno zrobią wszystko, aby Magnus tu przybył. Maryse chce informacji i to bardzo. Wie, że Camille nie zabiła tych Nocnych Łowców dla krwi. Są łatwiejsze sposoby, żeby ją dostać.

Simon przelotnie pomyślał o Maureen i poczuł mdłości.

- Cóż – starał się brzmieć beztrosko. - Przypuszczam więc, że Alec wróci. To chyba dobrze, nie?

- Pewnie - głos Jace'a był bez uczuć. Nie wyglądał też dobrze. Białawe światło w pokoju nadawało jego kościom policzkowy ostry wyraz, pokazując, że schudł. Jego paznokcie były obgryzione do krwi i miał ciemne sińce pod oczami.

-Chociaż twój plan wypalił- dodał Simon, chcąc rozchmurzyć Jace'a. To był właśnie jego pomysł, by zrobić zdjęcie telefonem i wysłać Konklawe, co pozwoliło się przenieść za pomocą Bramy. -To była niezła myśl.

-Wiedziałem, że się uda- Jace brzmiał, jakby był znudzony komplementami. Popatrzył w górę, kiedy dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się i weszła Isabelle z powiewającymi włosami⁶¹. Rozejrzała się po pokoju, Camille i Nocnych Łowców zaszczylił jedynie pojedynczym zerknięciem, po czym podeszła do Jace'a i Simona, stukając butami o kamienną posadzkę.

-O co chodzi z tym ściąganiem biednych Magnusa i Alec'a z wakacji?- spytała. -Mają zarezerwowane bilety do opery!

Blondyn wszystko jej wyjaśnił, podczas gdy Izzy stała z rękami na biodrach, totalnie ignorując Simona.

-No, dobra- odezwała się, gdy skończył. -Ale to niedorzeczne. Ona gra na czas. Co ma niby do powiedzenia Magnusowi?- rzuciła wzrokiem przez ramię na Camille. Teraz była nie tylko zakuta w kajdany, lecz przyszpilona złotym łańcuchem do kolumny. Owijał jej pierś, kolana, nawet kostki, całkowicie ją unieruchamiając. -Czy to błogosławiony metal?

Jace kiwnął głową.

-Kajdany w sumie jej nie ranią, lecz kiedy się za bardzo poruszy...- usłyszeli syk Camille. Simon przypomniał sobie jak jego ręce przypaliły się, gdy dotknął Gwiazdy Dawida w celi w Idrisie oraz jak ze skóry popłynęła mu krew i musiał zwalczać ochotę ugryzienia Jace'a.

-Cóż, kiedy wy byliście zajęci łapaniem wampirów, ja na przedmieściu walczyłam z demonem Hydrą - powiedziała Isabelle. -Z Clary.

Jace, który do tej pory nie przejawiał zainteresowania rozmową, gwałtownie podniósł głowę.

-Z Clary? Zabrałaś ją na polowanie na demony? Isabelle...

-Oczywiście, że nie. Sama bardzo dobrze radziła sobie z walką, gdy tam dotarłam.

-Ale skąd wiedziałaś...?

-Napisała do mnie, więc poszłam- Isabelle sprawdziła swoje paznokcie, które były jak zawsze idealne.

-Napisała do ciebie?- Jace złapał Izzy za nadgarstek. -Wszystko z nią w porządku? Zraniła się?

Dziewczyna popatrzyła w dół, na swój przegub w uścisku Jace'a. Nawet jeśli ją to bolało, nie dała tego po sobie nic poznać. Ale wyraz jej twarzy był ostry, a głos ociekał sarkazmem.

-Tak, właśnie wykrwawia się na śmierć na dole. Myślałam, że uniknę powiedzenia ci tego, aby podnieść napięcie.

Jace, jakby nagle zdał sobie sprawę, co robi, puścił rękę Isabelle.

-Jest tutaj?

-Na górze- powiedziała. -Odpoczywa...

Ale Jace'a już nie było, biegł w stronę korytarza. Przebił się przez drzwi i zniknął.

-Chyba nie myślałaś, że zrobi cokolwiek innego- przyznał Simon.

Przez chwilę nie odpowiadała. Wampir zastanawiał się, czy będzie ignorować wszystko, co powie przez resztę wieczności.

-Wiem- powiedziała w końcu. –Chciałabym tylko wiedzieć, co się między nimi dzieje.

-Nie wiem, czy oni sami to wiedzą.

Dziewczyna przygryzła wargę. Wyglądała bardzo młodo i, jak na nią, była niezwykle zamyślona. Najwyraźniej coś było nie tak i Simon czekał cicho, aż podejmie decyzję.

-Nie chcę, żeby to tak wyglądało- wyznała. –Chodź. Chcę z tobą porozmawiać- ruszyła w stronę drzwi Instytutu.

-Naprawdę?- Simona ogarnęło zdziwienie.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

-Teraz chcę. Ale nie mogę ci obiecać, ile to będzie trwało.

Simon uniósł rękę.

-Też chcę z tobą pogadać, Iz. Ale nie mogę wejść do Instytutu.

Czoło Isabelle się zmarszczyło.

-Dlaczego?- urwała, patrząc raz na drzwi, raz na Camille. –Och, no tak. W takim razie jak się tu dostałeś?

-Przez Bramę- odparł Simon. –Ale Jace powiedział, że jest korytarz, prowadzący do drzwi, przez które można wyjść na zewnątrz. Żeby wampiry mogły tu wejść nocą- wskazywał na drzwi kilka metrów od nich. Były zabezpieczone rdzewiejącymi, metalowymi zasuwami, jakby od dawna ich nie używano.

Isabelle wzruszyła ramionami.

-Zgoda.

Zasuwa wydała piszczący odgłos, kiedy dziewczyna za nią pociągnęła, posyłając w powietrze płatki rdzy, wyglądające niczym czerwony spray.

Za drzwiami znajdował się mały kamienny pokój podobny do kościelnej zakrystii z drzwiami, które najprawdopodobniej prowadziły na zewnątrz. Nie było tam okien, ale przez otwarte drzwi wkradło się zimne powietrze, wprawiając Isabelle ubraną w krótką sukienkę w dreszcze.

-Posłuchaj, Isabelle- zaczął Simon, zdając sobie sprawę, że to na nim spoczywa ciężar rozpoczęcia rozmowy. –Naprawdę przepraszam za to, co zrobiłem. Nie mam żadnej wymówki...

-Nie, nie masz- przerwała Isabelle. –A jeśli już mówimy o tym, może powiesz mi, dlaczego zadajesz się z gościem, który przemienił Maię w wilkołaka?

Simon przekazał dziewczynie historię, którą opowiedział mu Jordan, starając się przedstawić ją całkowicie bezstronnie.

Czuł, że bardzo ważne jest, aby powiedzieć Nocnej Łowczyni, że nie miał pojęcia, kim jest Jordan i że chłopak żałuje tego, co zrobił.

-W sumie to nic nie zmienia- zakończył. –Ale wiesz... wszyscy zrobiliśmy coś złego. - Tyle że nie mógł zmusić się do opowiedzenia jej o Maureen. Nie w tej chwili.

-Wiem- powiedziała Isabelle. –I słyszałam o Praetor Lupus. Jeśli chcą go w tej organizacji, to chyba znaczy, że nie jest taki zły - uważnie popatrzyła na Simona. –Chociaż nie rozumiem, dlaczego potrzebujesz ochrony. Masz... - wskazała na jego czoło.

-Nie mogę iść sobie przez życie i patrzeć, jak Znak rozrywa na strzępy każdego, kto mnie atakuje- powiedział Simon. – Muszę wiedzieć, kto chce mnie zabić. Jordan mi w tym pomaga. Jace również.

-Naprawdę myślisz, że Jordan ci pomaga? Bo Clave ma nieco wpływu na Praetor . Możemy zastąpić go kimś innym.

Simon się zawahał.

-Taa- mruknął. –Naprawdę uważam, że pomaga. I nie mogę zawsze polegać na Clave.

-Okay- Isabelle oparła się o ścianę. –Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, dlaczego tak różnie się od moich braci?- zapytała bez ogródek. –Od Aleca i Jace’a.

Simon zamrugął.

-Chodzi ci o coś poza sprawą, że ty jesteś dziewczyną, a oni... nie?

-Nie o to chodzi, idioto. No, popatrz na nich. Nie mają problemów z zakochiwaniem się. Teraz obaj kogoś kochają. I to tak chyba „na zawsze”. Są skończeni. Popatrz na Jace’a. Kocha Clary tak, jakby nic poza nią nie istniało na świecie i nigdy nic takiego nie będzie. To samo Alec. A Max... -zawiesiła głos. –Nie wiem, jakby to było z nim. Ale każdemu ufał. A ja, jak zdążyłeś zauważyć, nie ufam nikomu.

-Ludzie są różni- powiedział Simon, starając się brzmieć, jakby rozumiał. –To wcale nie znaczy, że są szczęśliwsi od ciebie...

-Oczywiście, że znaczy- zaoponowała Isabelle. –Myślisz, że tego nie wiem?- popatrzyła na niego twardym wzrokiem. –Znasz moich rodziców.

-Niezbyt dobrze- nigdy nie byli zbyt chętni, by poznać chłopaka-wampira swojej córki. Była to sytuacja, która nie pocieszała Simona, był ledwie ostatni na długiej liście niepożądanych gości.

-Cóż, wiesz, że oboje byli w Kręgu. Ale pewnie nie wiesz, że przyłączenie się do niego, to był pomysł mamy. Tata nigdy go jakoś specjalnie nie popierał. I kiedy to wszystko się stało, kiedy zostali wypędzeni, zdali sobie sprawę, że mają zrujnowane życia. I on obwinia za to mamę. Ale na świecie był już Alec, zaraz miałam pojawić się ja, więc tata został, chociaż myślę, że bardzo chciał odejść. A kiedy Alec miał jakieś 9 lat, znalazł sobie kogoś innego.

-Whoa- powiedział Simon. –Twój tata zdradził twoją mamę? To... straszne.

-Powiedziała mi- oznajmiła Isabelle. –Miałam 13 lat. Wyznała, że pewnie by ją zostawił, ale dowiedziała się, że jest w ciąży z Maxem, więc został, a z tą drugą kobietą zerwał. Mama nigdy nie zdradziła, kim była tamta kobieta. Powiedziała, że nie można ufać mężczyznom. Kazała mi nikomu tego nie opowiadać.

-I nie powiedziałaś? Nikomu?

-Aż do teraz- wyznała dziewczyna.

Simon wyobraził sobie młodszą Isabelle, która dotrzymywała swojego sekretu, która nikomu go nie zdradza, nawet braciom. Isabelle, która wie o swojej rodzinie rzeczy, jakich oni nie poznają.

-Nie powinna ci zakazywać mówić tego komukolwiek- wyznał Simon, nieoczekiwanie zły. – To nie fair.

-Może- przyznała. –Pomyślałam, że to sprawia, iż jestem wyjątkową. Nie sądziłam, że to mnie w jakiś sposób zmieni. Ale patrzyłam na braci, oddających swoje serca innym i myślałam „Przecież dobrze wiesz, że serca się czasem łamią.” Uważam, że nawet, gdy rany się goją, nie jesteś już wtedy tą samą osobą.

-Może przez to jesteś lepsza- powiedział Simon. –Ja wiem, że jestem lepszy.

-Masz na myśli Clary- oznajmiła Isabelle. –Ponieważ zła mała ci serce.

-Na drobne kawalki. Wiesz, kiedy ktoś odrzuca cię na rzecz własnego brata, to nie jest zastryk zaufania. Myślałem, że kiedyś zda sobie sprawę, iż jej i Jace'owi nie wyjdzie i wtedy do mnie wróci. Ale w końcu zrozumiałem, że ona nigdy nie przestanie go kochać, nawet gdyby im nie wyszło. Wiedziałem, że była ze mną tylko dlatego, że nie mogła być z nim, więc wolałem być sam i zakończyłem to.

- Nie wiedziałam, że to ty z nią zerwałeś- powiedziała Isabelle. – Przypuszczałam, że...

- Że nie mam szacunku do samego siebie?- przerwał jej z kwaśnym uśmiechem.

- Sądziłam, że nadal jesteś zakochany w Clary- powiedziała. – I że przez to nie zwiążesz się z nikim innym.

- Dlatego, że wybierasz sobie chłopaków, którzy się nie angażują- oznajmił Simon. – Wtedy sama też nie musisz się angażować.

Oczy Isabelle się zaświeciły, kiedy spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała.

- Zależy mi na tobie - wyznał Simon. – Zawsze zależało.

Zrobiła krok w jego stronę. Stali dosyć blisko siebie w tym małym pomieszczeniu, więc mógł usłyszeć jej oddech i ciche bicie serca w jej klatce piersiowej. Pachniała szamponem, potem, kwiatowymi perfumami i krwią Nocnych Łowców.

Myśl o krwi sprawiła, że przypomniał sobie Maureen i jego ciało się napięło. Isabelle to zauważyła- oczywiście, że zauważyła, była wojownikiem, jej zmysły wyczuwały każdą zmianę w ciele przeciwnika- i odsunęła się z napiętym wyrazem twarzy.

- No, dobrze - powiedziała. – Cieszę się, że pogadaliśmy.

- Isabelle...

Ale jej już nie było. Podążył za nią do Sanktuarium, ale poruszała się zbyt szybko. Kiedy drzwi pomieszczenia się za nim zamknęły, ona była już w połowie pokoju. Poddał się i patrzył, jak znika za podwójnymi drzwiami, zmierzając do Instytutu, gdzie nie mógł za nią pójść.

Clary usiadła i potrząsnęła głową, by przegonić zmęczenie. Zajął jej to chwilę, by skojarzyć, gdzie się znajdowała- w wolnym pokoju w Instytucie, gdzie jedynym źródłem światła był blask wpadający przez wysokie okno. Było niebieskie- co oznaczało, że zachodziło słońce. Leżała owinięta w koc. Jej buty, jeansy i kurtka leżały złożone w staranny stosik na krześle obok łóżka. A obok niej znajdował się Jace, jakby go sobie wyczarowała dzięki snom.

Siedział na łóżku w swojej zbroi, jakby przed chwilą wrócił z walki. Jego włosy były zmierzwione, a słaby blask zza okna oświecał cienie pod oczami, dołki na skroniach i kości policzkowe. W tym świetle miał niesamowitą, prawie nierealną urodę obrazu Modiglianiego⁶² o charakterystycznych wydłużonych plamach i kątach. Clary potarła oczy, odpędzając zmęczenie.

- Która godzina?- zapytała. – Jak długo...?

⁶²

Malarz, rysownik i rzeźbiarz włoski pochodzenia żydowskiego (przyp. firefly)

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Na chwilę znieruchomiała, potem uświadomiła sobie, że była ubrana jedynie w cienką koszulkę i bieliznę. Przy nim czuła się bezwładna. Był to rodzaj długiego pocałunku, który zmieniał jej wnętrze w wodę. Rodzaj pocałunku, który mógłby sprawić, że zapomniaby, iż coś jest nie tak; wszystko było jak dawniej, a on po prostu cieszył się, widząc ją. Ale gdy jego dłonie miały podnieść skrawek jej koszulki, odepchnęła je.

- Nie - oznajmiła, obejmując jego nadgarstki. – Nie możesz za każdym razem, gdy mnie widzisz, przyciągać mnie i całować. To nie zastąpi rozmowy.

Jego oddech był nierówny.

- Dlaczego napisałaś do Izzy zamiast do mnie? Jeśli wpadłaś w kłopoty...

- Ponieważ wiedziałam, że przyjdzie- przerwała. – Czego nie byłam pewna odnośnie ciebie. Nie teraz.

- Gdyby coś ci się stało...

- Myślę, że wtedy byś się o tym dowiedział. Wiesz, jeśli raczyłbyś odebrać telefon- nadal trzymała go za nadgarstki, które w końcu puściła i siadła. To było trudne, psychiczna męka, siedzieć blisko niego i go nie dotknąć, ale zacisnęła ręce na bokach i tak je trzymała. – Albo mi powiesz, co się dzieje, albo wyjdź z tego pokoju.

Otworzył usta, ale nic nie powiedział. Nie sądziła, że kiedykolwiek powie do niego tak ostrym tonem.

- Przepraszam- powiedział w końcu. – To znaczy, wiem, że wcale nie musisz mnie słuchać. Pewnie nie powinienem był tu przychodzić. Ale gdy Isabelle powiedziała, że się zraniła, nie mogłem się powstrzymać.

- To tylko oparzenia - oznajmiła Clary. – Nie ma znaczenia.

- Wszystko co ci się przytrafia, ma dla mnie znaczenie.

- Cóż, to wyjaśnia, dlaczego nie oddzwaniałeś. Kiedy ostatni raz cię widziałam, uciekłeś, nie mówiąc dlaczego. To tak, jakbym umawiała się z duchem.

Usta Jace'a skrzywiły się.

- Nie do końca. Isabelle naprawdę umówiła się z duchem. Może ci powiedzieć...

- Nie - odparła Clary. – To była metafora. I dobrze wiesz, co mam na myśli.

Przez chwilę panowała cisza.

- Pokaż twoje oparzenia - nakazał w końcu.

Wyprostowała ręce. Na wewnętrznych stronach jej nadgarstków były chropowate czerwone plamy, tam, gdzie dotknęła ją krew demona. Ujął jej przeguby bardzo delikatnie, czekając na pozwolenie, po czym odwrócił je. Przypomniała sobie pierwszy raz, gdy jej dotknął na ulicy przed Java Jones, szukając Znak, którego tak naprawdę nie miała.

- Krew demona- stwierdził. – Znikają po kilku godzinach. Boli?

Clary potrząsnęła głową.

- Nie wiedziałem- odezwał się. – Nie wiedziałem, że mnie potrzebowałaś.

Jej głos się trząsł.

- Zawsze cię potrzebuję.

Schylił głowę i pocałował skórę na jej nadgarstku. Fala ciepła przeszła przez jej ciało, wędrując od przegub do żołądka.

- Nie zdawałem sobie z tego sprawy - powiedział Jace.

Pocałował poparzenie na przedramieniu, potem następne, posuwając się w górę jej ręki. Naciskał na nią, dopóki nie położyła się na poduszkach, wpatrując się w jego twarz. Oparł się na łokciach, aby nie przygnieść jej swoim ciężarem i również na nią spojrział.

Jego oczy zawsze stawały się ciemniejsze, gdy się całowali, jakby pożądanie wpływało na ich kolor. Jace dotknął małej blizny w kształcie gwiazdy na jej ramieniu, jaki posiadali oboje, co znaczyło, że mieli kontakt z aniołami.

- Wiem, że ostatnio dziwnie się zachowywałem - odezwał się blondyn. – Ale to nie twoja wina. Kocham cię. To się nigdy nie zmienia.

- W takim razie, co...?

- Myślę, że chodzi o to, co zdarzyło się w Idrisie: Valentine, Max, Hodge, nawet Sebastian. Przywołuje sobie te obrazy, staram się zapomnieć, ale to nie chce odejść. Ja... Poradzę sobie. Poprawię się. Obiecuję.

- Obiecujesz.

- Przysięgam na Anioła - pochylił się i pocałował ją w policzek. – Ech, do diabła z tym. Przysięgam na nas.

Clary bawiła się rękawem jego bluzki.

- Dlaczego na nas?

- Ponieważ nie ma niczego, w co wierzę bardziej - przechylił głowę na bok. – Jeśli będziemy brać ślub - zaczął, lecz chyba poczuł, jak ciało Clary się napięło, bo się uśmiechnął. – nie panikuj, jeszcze się nie oświadczam. Zastanawiałem się tylko, co wiesz o ślubach Nocnych Łowców.

- Nie ma obrączek - powiedziała Clary, kładąc mu ręce na karku. Jego skóra była delikatna. – Tylko runy.

- Jeden tutaj - lekko dotknął jej ramienia opuszką palca tam, gdzie miała bliznę. – I jeszcze jeden tu- przejechał dłonią w górę jej ręki, wzdłuż obojczyka i w dół, dopóki nie dotarł w miejsce tuż nad jej walącym sercem. – Sam rytuał pochodzi z *Pieśni nad Pieśniami*: „Połóż mię jak pieczęć na twoim sercu, jak pieczęć na twoim ramieniu, bo jak śmierć potężna jest miłość”⁶³.

- Nasza jest silniejsza - wyszeptała Clary, przypominając sobie, jak sprowadziła go z powrotem po śmierci. I kiedy jego oczy pociemniały, przyciągnęła go do siebie i przycisnęła swoje usta do jego.

Całowali się długo, aż większość światła w pokoju wygasła i pozostali w ciemnościach, Jace nie poruszał rękoma, nie próbował jej dotykać, ale Clary wiedziała, że czeka na zgodę.

Zdała sobie sprawę, że to właśnie ona może pociągnąć to dalej, jeśli tylko chciała- a chciała tego. Jace przyznał, że coś jest nie tak i że nie ma to z nią nic wspólnego. To jest jakiś postęp. Powinien coś za to dostać, prawda? Uśmiechnęła się, lekko unosząc kącik ust. Kogo chciała oszukać? Chciała tego bardziej dla siebie. Ponieważ to był Jace. Ponieważ go kochała. Ponieważ był tak niesamowity, że czasem czuła potrzebę szturchnięcia go w ramię, aby sprawdzić, czy jest prawdziwy.

I to zrobiła teraz.

- Au- odezwał się. – Za co to było?

⁶³Biblia, *Pieśń nad Pieśniami* 8,6 (przyp. firefly)

- Zdejmij koszulkę - wyszeptała. Sięgnęła po skrawek, lecz Jace już zdążył unieść ubranie przez głowę i rzucić je niedbale na podłogę. Potrząsnął włosami, a ona niemal spodziewała się, że ze złotych kosmyków wylecą iskry, rozświetlając ciemność.

- Usiądź - powiedziała miękko. Serce waliło jej młotem. Zazwyczaj nie przejmowała kontroli w tego typu sytuacjach, ale Jace'owi to chyba nie przeszkadzało. Podniósł się powoli, pociągając ją za sobą, dopóki oboje nie siedzieli pomiędzy zmiętymi kocami. Siadła mu okrakiem na kolanach. Ich twarze znajdowały się na tym samym poziomie. Usłyszała, jak Jace wciąga powietrze. Uniósł ręce, sięgając po jej koszulkę, ale ona je odepchnęła na bok. Zamiast tego sama położyła dłonie na jego ciele. Patrzyła na swoje palce ślizgające się po jego klatce piersiowej, muskularnych ramionach, bliźnie w kształcie gwiazdy. Palcem wskazującym kreśliła linię od piersi do brzucha. Obydwoje ciężko oddychali, gdy Clary dotarła do zapięcia jego jeansów. Nie poruszył się, tylko popatrzył wzrokiem mówiącym „co tylko zechcesz”.

Serce łomotało jej jak szalone, kiedy opuściła ręce, sięgając po krawędź swojej koszulki i przeciągając ją przez głowę. Żałowała, że nie ma na sobie bardziej ekscytującego biustonosza- ten był biały, gładki i bawełniany- ale kiedy popatrzyła na wyraz twarzy Jace'a, ta myśl wyparowała jej z głowy. Otworzył usta, oczy były niemal czarne i mogła w nich zobaczyć swoje własne odbicie. Teraz wiedziała, że nie obchodziło go, czy jej biustonosz był czarny, biały czy rażąco zielony. Widział tylko ją.

Sięgnęła po jego dłonie, kładąc je na swojej talii, jakby mówiąc „teraz możesz mnie dotykać”. Jace uniósł głowę, jej usta znalazły jego i znowu się całowali. Tym razem gwałtownie i zawzięcie, zamiast przeciągle i szybko. Jego ręce poruszały się nerwowo po jej włosach, ciele, pociągając ją w dół tak, że leżała pod nim. To, że ich naga skóra się o siebie ocierała, przypominało im, że poza jego jeansami i jej bielizną nic ich nie dzieliło. Zanurzyła dłonie w jego jedwabiste, rozczochrane włosy, trzymając jego głowę, kiedy on całował jej szyję. Jak daleko to zajdzie? Co my robimy?- zdawała się pytać mała część jej mózgu, ale reszta kazała jej się zamknąć. Nie chciała przestawać go dotykać, całować. Chciała, by ją trzymał. Chciała być pewna, że on jest prawdziwy, teraz z nią i że już nigdy jej nie opuści.

Palce Jace'a odnalazły zapięcie jej biustonosza. Spięła się. Jego oczy były duże i świecące w ciemności. Powoli się uśmiechnął.

- W porządku?

Kiwnęła głową. Oddychała szybko. Nikt nigdy nie widział jej topless- w każdym razie żaden chłopak. Jakby wyczuł jej zdenerwowanie, bo lekko ujął jej twarz jedną dłonią, ustami drażniąc jej usta, ocierając się o nie, dopóki napięcie nie zaczęło ulatywać z ciała Clary. Długie palce jego prawej dłoni pogłaskały jej policzek, potem ramię, uspokajając ją. Nadal była na krawędzi, czekając, aż druga ręka powróci do zapięcia biustonosza, znowu jej dotknie, ale zdawał się sięgać po coś za sobą. Co on wyprawiał?

Clary nagle pomyślała o tym, co Isabelle powiedziała o byciu ostrożną. Och, pomyślała. Lekko zeszytywniała i odsunęła się.

-Jace, nie jestem pewna, czy...

W ciemności błysnęło srebro i coś zimnego i ostrego przecięło jej ramię. Przez chwilę czuła jedynie zaskoczenie, dopiero potem ból. Przyciągnęła ręce do siebie, mrugając. Zobaczyła stróżkę ciemnej krwi płynącą po jej skórze, gdzie znajdowała się płytka rana, biegnąca od łokcia do nadgarstka.

- Alé - powiedziała bardziej z irytacji i zaskoczenia niż z bólu. – Co...

Jace jednym ruchem szybko się od niej odsunął. Nagle stał na środku pokoju bez koszulki, z twarzą bladą jak ściana.

Przyciskając rękę do rany, Clary zaczęła się podnosić.

- Jace, co...

Przerwała. W lewej dłoni zaciskał nóż- ten ze srebrną rękojeścią, który należał do jego ojca. Na ostrzu widniała rozmazana plama krwi.

Popatrzyła w dół na rękę, potem znów w górę na niego.

- Nie rozumiem...

Rozluźnił dłoń i nóż upadł na podłogę. Przez chwilę wyglądał, jakby miał zaraz uciec, jak to zrobił przed barem. Ale potem opadł na podłogę, trzymając się rękami za głowę.

- Lubię ją - odezwała się Camille, kiedy drzwi zamknęły się za Isabelle. – Trochę przypomina mnie.

Simon odwrócił się, by na nią spojrzeć. W Sanktuarium panował półmrok, ale on widział ją wyraźnie z placami opartymi o filar i rękoma przykutymi do niego. Niedaleko drzwi stał przydzielony do niej Nocny Łowca, ale albo nie usłyszał uwagi Camille, albo nie był zainteresowany odpowiedzią.

Simon przysunął się nieco do Camille. Więzy, którymi była spętana, tłumiły również dziwną fascynację Simona kobietą. Błogosławiony metal. Łańcuch wydawał się migotać lekko w porównaniu z jej bladą skórą, a on mógł zobaczyć kilka strużek krwi sączących się spod kajdan na jej nadgarstkach.

- Wcale nie jest taka jak ty.

- Jak tam sobie chcesz- Camille przekreśliła głowę na bok. Jej włosy wyglądały na świeżo ułożone, chociaż Simon wiedział, że nie mogła nawet ich dotknąć.

- Tak ich kochasz- powiedziała. – Tych twoich przyjaciół, Nefilim. Tak, jak sokół kocha swojego pana, który go ogranicza i oślepia.

- Sprawy mają się inaczej, niż sądzisz - powiedział Simon. – Nocni Łowcy i Podziemni nie są wrogami.

- Nawet nie możesz wejść do ich domu. Wykluczają cię. Ale nadal jesteś chętny im służyć. Mógłbyś nawet stanąć po ich stronie przeciw własnemu gatunkowi.

- Nie mam gatunku- odparł Simon. – Nie jestem jednym z nich. Ale jednym z was też nie. I raczej wolałbym być taki jak oni, niż jak ty.

- Jesteś jednym z nas - poruszała się niespokojnie [rat ling her chains] i wydała z siebie cichy jęk bólu. – Jest coś, czego nie powiedziałam ci tam, w banku - uśmiechnęła się poprzez ból. – Wyczuwam w tobie ludzką krew. Pożywiłeś się ostatnio. Na Przyziemnym.

Simon poczuł, jakby coś w środku mu podskoczyło.

- Ja...

- Piękne uczucie, prawda? - jej czerwone wargi się wykrzywiły. – Pierwszy raz, odkąd jesteś wampirem, nie jesteś głodny.

- Nie - powiedział Simon.

- Kłamiesz - była pewna, że ma rację. – Oni, Nefilim próbują zmusić nas do walki z naszą własną naturą. Zaakceptują nas tylko wtedy, gdy nie będziemy tym, kim jesteśmy naprawdę: łowcami i zabójcami. Twój przyjaciele nie uznają tego, czym jesteś, tylko to, czym udajesz, że jesteś. Nie zrobią dla ciebie tego, co ty robisz dla nich.

- Nie wiem, dlaczego się tym zadręczasz - odparł Simon. – Co się stało, to się stało. Nie zamierzam cię wypuścić. Dokonałem wyboru. Nie chcę tego, co chciałaś mi dać.

- Może nie teraz - odpowiedziała Camille miękko. – Ale kiedyś zechcesz. Zechcesz na pewno. Strażnik cofnął się, gdy drzwi się otworzyły i do środka weszła Maryse. Za nią szły dwie postacie, które Simon od razu rozpoznał: brat Isabelle, Alec i jego chłopak, czarownik Magnus Bane.

Alec ubrany był w skromny, czarny garnitur i, ku zaskoczeniu Simona, Magnus wyglądał tak samo, jedynym dodatkiem był długi jedwabny szalik z frędzlami i para białych rękawiczek. Jego włosy stały jak zwykle, za to były pozbawione brokatu. Odkąd go zobaczyła, Camille stała bardzo spokojnie.

Magnus chyba jeszcze jej nie zauważył. Słuchał Maryse, która niezgrabnie tłumaczyła, że dobrze, iż tak szybko przybyli.

- Tak naprawdę spodziewaliśmy się was najwcześniej jutro.

Alec wydał stłumiony odgłos irytacji i wpatrzył się w przestrzeń. Wydawał się niezadowolony, że musi tutaj być. Ale poza tym, myślał Simon, wyglądał właściwie tak, jak zwykle: te same czarne włosy, te same spokojne niebieskie oczy. Chociaż było w nim jakby więcej luzu, jak gdyby bardziej wierzył w siebie.

- Na szczęście niedaleko Wiedeńskiej Opery Narodowej znajduje się Brama - odezwał się Magnus, zarzucając uroczyście szalik na ramię. – W momencie, gdy dostaliśmy twoją wiadomość, pospieszyliśmy się, by tu przyjechać.

- Nadal nie rozumiem, co to ma z nami wspólnego- powiedział Alec. – Złapaliście wampira, który robił coś złego. Czy nie robią tego zawsze?

Simon poczuł skurcz żołądka. Popatrzył na Camille, aby sprawdzić, czy się z niego śmiała, ale była wpatrzona w Magnusa.

Alec, kiedy zobaczył Simona, zarumienił się⁶⁴. Rumieńce zawsze łatwo zauważyć na jego bladej skórze.

- Przepraszam, Simon. Nie miałem ciebie na myśli. Ty jesteś inny.

Powiedziałbyś to, gdybyś widział mnie ostatniej nocy, gdy pożywiałem się na czternastolatce? pomyślał Simon. Nie powiedział tego na głos, tylko kiwnął głową w stronę Alec'a.

- Ona jest zaangażowana w nasze śledztwo odnośnie śmierci trzech Nocnych Łowców - odezwała się Maryse. –Potrzebujemy od niej informacji, a ona chce rozmawiać tylko z Magnusem Bane'em.

- Serio? - Alec popatrzył na Camille ze zdziwieniem i zainteresowaniem. – Tylko z Magnusem?

Czarownik podążył za jego spojrzeniem i po raz pierwszy –tak się przynajmniej wydawało Simonowi- popatrzył bezpośrednio na Camille.

⁶⁴ Awww... Kocham Alec'a za te jego rumieńce <3 (przyp. firefly.)

Coś zaiskrzyło między nimi, pewien rodzaj energii. Usta Magnusa wykrzywiły się w zadumanym uśmiechu.

- Tak - odparła Maryse. Cień zaskoczenia przemknął przez jej twarz, kiedy zauważyła wymianę spojrzeń między wampirem i czarownikiem. – To znaczy, jeśli Magnus się zgodzi.

- Nie ma sprawy - powiedział Magnus, ściągając rękawiczki. – Porozmawiam dla was z Camille.

- Camille? - Alec popatrzył na Magnusa, unosząc brwi. – Więc znasz ją? Czy raczej, ona zna ciebie?

- Znamy się - Magnus wzruszył lekko ramionami, jakby chcąc powiedzieć „nic nie poradzisz”. - Dawno temu była moją dziewczyną.

Tłumaczenie: *firefly.*

Korekta: *Midien*

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dziewczyna odnaleziona martwa

- Twoja dziewczyna? - Alec wyglądał na zdziwionego. Maryse również. Simon nie mógł powiedzieć, że czuł się inaczej od nich. - Umawiałeś się z wampirem? Z dziewczyną wampirem?

- To było sto trzydzieści lat temu - powiedział Magnus. - Nie widziałem jej od tamtego czasu.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałeś? - zażądał Alec.

Magnus westchnął. - Alexandrze, żyłem przez setki lat. Byłem z mężczyznami, kobietami z faerie, czarnoksiężnikami, wampirami a nawet z djinnem⁶⁵, albo dwoma. - Zerknął ukradkiem na Maryse, która delikatnie rzecz mówiąc wyglądała na przerażoną. - Za dużo informacji?

- Nie, to w porządku - powiedziała, nawet, jeśli wciąż była lekko blada. - Muszę coś przedyskutować z Kadir przez chwilę. Zaraz wracam. - Odstąpiła kroku, dołączając do Kadir. Zniknęły za drzwiami. Simon też wziął kilka kroków do tyłu, udając, że przygląda się uważnie witrażom w oknach, choć wciąż mógł słyszeć wszystko, o czym mówili, dzięki swoim wampirzym zdolnościom, nawet, jeśli nie chciał. Wiedział, że Camille też wszystko słyszy. Miała głowę przechyloną do boku, kiedy nasłuchiwała, a jej powieki były lekko niedomknięte, przykrywając zamyśłone oczy.

- Jak wielu innych ludzi? - zapytał Alec. - Z dokładnością.

Magnus potrząsnął głową. - Nie mogę zliczyć, choć to i tak nie ma znaczenia. Jedyne, co się liczy to, to, co czuję do ciebie.

- Więcej jak setka? - drążył Alec. - Dwie stówki?

- Nie mogę uwierzyć, że prowadzimy „tę” rozmowę właśnie teraz - powiedział Magnus w przestrzeń. Simon niezaprzeczalnie się z nim zgadzał i chciałby, żeby nie rozmawiali o tym właśnie przy nim.

- Dlaczego tak dużo? - Oczy Aleca były niebywale błękitne w przyćmionym świetle. Simon nie mógł sprecyzować czy był wściekły. Nie brzmiał na takiego, wypowiedzi były po prostu bardzo intensywne, a Alec zazwyczaj był bardzo zamknięty w sobie. Być może stał się w tej chwili na tyle wściekły na ile pozwalały jego możliwości. - Szybko nudzisz się jedną osobą?

- Żyję wiecznie - odpowiedział Magnus cicho. - Ale nie wszyscy tak mają.

⁶⁵ duch w wierzeniach arabskich

Alec wyglądał jakby ktoś go uderzył. - Więc zostajesz z nimi aż do śmierci, a potem znajdujesz kogoś nowego?

Magnus milczał. Spojrzał na Aleca błyszczącymi, kocimi oczyma. - Wolałbyś, żebym spędził wieczność samotnie?

Alecowi zadrżały wargi. - Idę poszukać Isabelle - powiedział i bez żadnego, zbędnego słowa odwrócił się, wchodząc do Instytutu.

Magnus patrzył jak znika ze smutnymi oczyma. *Nie wyglądały na ludzki rodzaj "smutku"* - pomyślał Simon. Jego spojrzenie trzymało w sobie rozpacz całych wieków, jakby ostre końce ludzkiej boleści, zelżyły do czegoś gładszego przemijającym czasem. Niczym ostre końce szkła znoszone przez morskie fale.

Zupełnie jakby wiedział, że Simon myśli o nim, Magnus zerknął w jego kierunku. - Podsluchujesz, wampirze?

- Naprawdę nie lubię, gdy ktoś mnie tak nazywa - powiedział Simon. - Mam przecież imię.

- Chyba lepiej by było, gdybym je zapamiętał. W końcu za sto, dwieście lat, zostaniemy tylko ty i ja - stwierdził Magnus. - Będziemy wszystkim, co pozostanie.

Myśl o tym spowodowała, że Simon poczuł się jakby znalazł się w spadającej windzie, tysiąc pięter ponad ziemią. Już wcześniej się nad tym zastanawiał, ale odsuwał te wątki na bok. Miałby pozostać wiecznie szesnastolatkiem, podczas gdy Clary, Jace i wszyscy inni, których zna się starzeli, dorastali, mieli dzieci, a dla niego wszystko pozostałoby takie samo? Przerastało go to i było za okropną rzeczą do kontemplacji.

Bycie wiecznym szesnastolatkiem brzmiało dobrze, póki nie zaczynałeś się zastanawiać nad tym głębiej. - Patrząc wieczności prosto w twarz - powiedział. - Nie takie śmieszne, co?

Zanim Simon mógł odpowiedzieć, wróciła Maryse. - Gdzie jest Alec? - spytała, rozglądając się zdezorientowana na około.

- Poszedł zobaczyć się z Isabelle - odrzekł Simon, wyprzedzając Magnusa.

- Bardzo dobrze. - Maryse przygłaskała przód marynarki, choć nie była nawet pomarszczona.

- Jeżeli nie macie nic przeciwko...

- Porozmawiam z Camille - powiedział Magnus. - Ale chcę to zrobić na osobności. Gdybyście mogli poczekać na mnie w Instytucie, byłbym wdzięczny. Dołączę do was, kiedy skończę.

Maryse zawahała się. - Wiesz, o co ją spytać?

Spojrzenie Magnusa było niewzruszone. - Tak, wiem jak z nią rozmawiać. Jeżeli jest skora do odpowiedzi, to wyzna prawdę tylko dla mnie.

Oboje z nich wyglądali, jakby zapomnieli o obecności Simona. - Czy ja też powinienem wyjść? - zapytał, przerywając ich bitwę na wzrok.

Maryse spojrzała na niego na wpół rozkojarzona. - Oh, tak. Dziękuję za twoją pomoc, Simonie, ale nie jesteś nam już potrzebny. Idź do domu, jeśli chcesz.

Magnus się nie odzywał. Ze wzruszeniem ramion odwrócił się udał w kierunku drzwi, które prowadziły do zakrystii i do wyjścia. Zatrzymał się przy drzwiach, patrząc za plecy. Maryse i Magnus wciąż rozmawiali, choć zasłona od drzwi do Instytutu była odsłonięta, gotowa do wyjścia. Wyglądało na to, że tylko, Camille pamiętała o obecności Simona. Uśmiechała się do niego z jej kolumny. Usta wygięte przy kącikach, oczy lśniąco obietnicą.

Simon wyszedł na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi.

- To się zdarza każdej nocy. - Jace siedział na podłodze z podwiniętymi nogami, ręce kołyszące opadające wolno przy kolanach. Położył nóż na łóżku koło Clary. Trzymała na nim jedną dłoń, gdy rozmawiał. Bardziej po to by podtrzymać go na duchu, aniżeli obronić się w razie czego. Jace wyglądał jakby uszła z niego cała energia, gdy wydobywał z siebie słowa, jak przy wielkiej odległości. - Śnię o tym, że przychodzisz do mojego pokoju i... robimy to, co robiliśmy właśnie przed chwilą. I wtedy cię skrzywdzę. Ranię, duszę, albo dźgam, a ty umierasz, patrząc na mnie swoimi zielonymi oczami, kiedy życie wycieka z ciebie kroplami krwi, spod mych dłoni.

- To tylko sny - powiedziała delikatnie Clary.

- Dopiero, co widziałaś, że nie tylko - odrzekł Jace. - Byłem bardzo przytomny, gdy podniosłem ten nóż.

Clary wiedziała, że ma rację. - Boisz się, że tracisz zmysły?

Potrząsnął wolno głową. Kosmyki włosów opadły mu na oczy. Odsunął je. Jego włosy stały się lekko przydługie. Nie ścinał ich przez jakiś czas i Clary zastanawiała się, czy stało się tak, dlatego, że było mu wszystko jedno. Jak mogła nie zwrócić uwagi na jego sińce pod oczami, poobgryzane paznokcie i zmęczony wygląd? Tak bardzo zastanawiała się nad tym czy wciąż ją kocha, że nie myślała już o niczym innym. - Nie jestem tym aż tak zmartwiony, na prawdę - powiedział. - Boję się, że cię skrzywdzę. Boję się, że ta trucizna, która wkrada się w moje sny, przedrze się do rzeczywistości i ja... - Jakby zakrztusił się na słowa.

- Nigdy byś mnie nie skrzywdził.

- Miałem ten nóż w ręce, Clary. - Spojrzał na nią i odwrócił wzrok. - Jeśli cię skrzywdzę... - przerwał. - Łowcy wciąż giną młodo, cały czas - powiedział. - Wszyscy to wiemy. A ty chciałaś być Nocnym łowcą i ja nigdy nie mógłbym ci tego zabronić, bo nie jest mi dane mówić, co masz robić ze swoim życiem. Zwłaszcza, gdy podejmuję to samo ryzyko. Jakim człowiekiem musiałbym się stać, gdybym wmawiał ci, że wolno mi stawiać swoje życie na szali, a twoje jest na to za cenne? Pomyślałem, więc jakby to było dla mnie, jeżeli umarłabyś. Mogę się założyć, że myślałaś już o tym samym.

- Wiem jakby to było - powiedziała Clary, pamiętając o jeziorze, mieczu i krwi Jace'a rozplywającej się po piasku. Był umarły, a anioł przywrócił mu życie. To były najgorsze minuty jej istnienia. - Chciałam nie żyć, ale wiedziałam jak bardzo zawiódłbyś się na mnie, gdybym tak łatwo się poddała.

Uśmiechnął się lekko. - Pomyślałem o tej samej rzeczy. Gdybyś umarła, nie chciałbym żyć. Ale nie zabiłbym się, bo cokolwiek wydarzy się po naszej śmierci, chcę być tam z tobą. I gdybym się zabił, wiedziałbym, że nigdy byś się do mnie nie odezwała ponownie. W jakimkolwiek życiu. Więc egzystowałbym, próbując coś osiągnąć, póki nie dołączyłbym do ciebie. Ale jeśli skrzywdziłbym cię, gdybym to ja cię zabił, nie trzymałoby mnie już nic od samozniszczenia.

- Nie mów tak. - Clary poczuła przeszywające do kości zimno. - Jace, powinieneś mi być powiedzieć.

- Nie mogłem. - Jego głos był płytki i ostateczny.

- Dlaczego nie?

- Myślałem, że jestem Jace Lightwood - powiedział. - Miałem nadzieję, że istniała ta szansa, że pozostałem nietknięty przez mojego wychowawcę. Ale teraz zastanawiam się czy ludzie w ogóle są zdolni do zmiany. Może już na zawsze pozostanę Jace'em Morgensternem, synem

Valentine`a. Wychowywał mnie przez dziesięć lat i być może jest to skaza, której już nigdy nie usunę.

- Myślisz tak tylko przez swego ojca - powiedziała Clary, gdy przez jej umysł przebiegała historia, którą kiedyś jej opowiedział, o tym, że kochać znaczy niszczyć. I wtedy pomyślała jak dziwne jest to, że mogła nazwać Valentina, ojcem Jace`a, podczas gdy jego krew przemierzała szlaki w jej żyłach, a nie Jace`a. Nigdy nie postrzegala Valentine`a jako swego ojca, ale Jace mógł. - I nie chciałeś, żebym wiedziała?

- Jesteś wszystkim, czego pragnę - powiedział Jace. - I może Jace Lightwood zasługuje na wszystko, czego chce, ale Jace Morgenstern już nie. Gdzieś głęboko w środku muszę o tym wiedzieć. W przeciwnym razie starałbym się zniszczyć to, co mamy.

Clary wzięła mocny wdech, i wyzwała z siebie wszystko bardzo powoli. - Wcale tak nie uważam.

Podniósł swoją głowę i zamrugał mocno. - Co masz na myśli?

- Myślisz, że to problem natury psychologicznej - odrzekła Clary. - Że z tobą jest coś nie tak. Ale ja się z tym nie zgadzam. Uważam, że to ktoś inny tobą manipuluje.

- Ja nie...

- Ithuriel wysyłał mi sny - powiedziała Clary. - Może ktoś też to tobie robi.

- Ithuriel wysyłał ci sny, żeby pomóc. By doprowadzić cię do prawdy. Jaki jest cel tych koszmarów? One są chore, bez sensu, sadystyczne...

- Może mają swoje znaczenie - odpowiedziała. - Może nie chodzi o to, o czym myślisz. Albo ktoś, kto je wysyła stara się cię skrzywdzić.

- Kto by to zrobił?

- Ktoś kto za nami nie przepada - powiedziała Clary i odsunęła z umysłu obraz Jasnej Damy.

- Może - odrzekł Jace, spoglądając na dłonie. - Sebastian...

- *Więc wcale nie chce go nazywać Jonathanem* - pomyślała Clary. Nie mogła go za to winić. Przecież to było również jego imię. - Sebastian nie żyje - powiedziała odrobinę za ostro. - I gdyby miał ten rodzaj mocy, na pewno wykorzystałby ją już wcześniej.

Zwątpienie i nadzieja przemknęły przez twarz Jace`a. - Naprawdę myślisz, że mógłby to robić ktoś inny?

Serce Clary waliło mocno o żebra. Nie była pewna. Tak bardzo chciałaby, żeby to była prawda, ale jeśli było inaczej, podniosłaby Jace`a na duchu na daremno. Straciłaby nadzieję ich obojga.

Czuła jednak, że minęło dużo czasu, odkąd Jace był optymistycznie nastawiony do czegoś.

- Myślę, że powinniśmy się udać do Miasta Kości - powiedziała. - Cisi Bracia mogą się dostać do twojej głowy i powiedzieć, czy ktoś z nią namieszał, tak jak zrobili ze mną.

Jace otwierał i zamykał swoje usta. - Kiedy? - spytał w końcu.

- Teraz - powiedziała Clary. - Nie chcę czekać, a ty?

Nie odpowiedział. Po prostu wstał z podłogi, podnosząc koszulkę. Spojrzał na Clary i prawie się uśmiechnął. - Jeżeli wybieramy się do Miasta Kości, to czy nie zechciałabyś się ubrać? Wydaje mi się, że ja mogę docenić bieleżniany look, ale Cisi Bracia chyba już nie. Pozostało ich już tak niewielu i nie chciałbym żeby umarli z podekscytowania.

Clary podniosła się z łóżka i rzuciła w niego poduszką, praktycznie z ulgą. Sięgnęła po swoje ciuchy i zaczęła naciągać na siebie bluzkę. Zanim przesunęła ją przez głowę, jej wzrok

przyciągnął widok noża leżącego pośród pościeli, migoczącego niczym kłające płomienie płynnego srebra.

- Camille - powiedział Magnus. - Kopę lat, prawda?

Uśmiechnęła się. Jej skóra była bielsza, niż zapamiętał i ciemne pajęczki żyły zaczęły być widoczne przy jej powierzchni. Jej włosy wciąż przypominały srebrne nici, a oczy błyszczały zielenią jak u kota. Wciąż była piękna. Gdy na nią spoglądał, znów znalazł się w Londynie. Widział gazowe oświetlenie, wachał dym i brud oraz zapach koni, metaliczny posmak mgły, kwiaty w Kew Gardens⁶⁶. Widział chłopca z czarnymi włosami i niebieskimi oczyma, zupełnie jak u Aleca. Dziewczynkę z długimi, brązowymi lokami i poważną twarzą. W świecie, gdzie wszystko inne zawsze w końcu od niego odchodziło, ona zawsze pozostawała. I była też Camille.

- Tęskniłam za tobą, Magnusie - powiedziała.

- Nie, wcale nie. - Usiadł na podłodze Sanktuarium. Czuł zimno przez ubrania. Był zadowolony, że założył szalik. - Więc dlaczego mnie zawiadomiłeś? Kupowałeś sobie czas?

- Nie. - Nachyliła się do przodu. Łańcuchy zadzwoniły. Prawie, że usłyszał, jak syczy jej parząca skóra nadgarstków przy dotyku poświęconego metalu. - Słyszałam o tobie różne rzeczy, Magnusie. Słyszałam, że od niedawna jesteś pod skrzydłem Nocnych Łowców. Słyszałam też, że zdobyłeś sobie miłość jednego z nich. Pewnie chodzi o tego chłopca, z którym rozmawiałeś. Z drugiej jednak strony twoje gusta zawsze były zróżnicowane.

- Wysłuchiwałaś plotek o mnie, - powiedział Magnus, - ale mogłaś najzwyczajniej w świecie mnie zapytać. Wszystkie te lata przebywałem w Brooklynie, wcale nie tak bardzo daleko, a ani razu nie usłyszałem zdania od ciebie. Nie widziałem cię na żadnej z moich imprez. Pomiędzy nami znalazła się ściana lodu, Camille.

- Nie zbudowałam jej. - Jej zielone oczy poszerzyły się. - Zawsze cię kochałam.

- Zostawiłaś mnie - powiedział. - Zrobiłaś ze mnie swoje zwierzątko, a potem mnie zostawiłaś. Gdyby miłość była pożywieniem, umarłbym z głodu przez kości, jakimi mnie karmiłaś - stwierdził. Minęło dużo czasu.

- Ale mieliśmy wieczność - protestowała. - Musiałeś wiedzieć, że do ciebie wrócę...

- Camille - przerwał jej z bezgraniczną cierpliwością. - Czego chcesz?

Jej pierś unosiła się i opadała szybko. Od kiedy oddychanie nie było jej potrzebne, Magnus wiedział, że robiła to dla efektu. - Wiem, że masz chody wśród Nocnych Łowców - powiedziała. - Chcę, żebyś wstawił się za mną.

- Chcesz przysługi - przetłumaczył Magnus.

Posłała mu ostre spojrzenie. - Twoja wymowa zawsze była tak bardzo nowoczesna i bezpośrednia.

- Mówią, że zabiłaś trzech łowców - rzekł Magnus. - Czy to prawda?

- Byli członkami Kręgu- powiedziała, podczas gdy jej dolna warga drżała. - Torturowali i zabijali, takich jak ja w przeszłości...

⁶⁶ chodzi o królewskie ogrody botaniczne: http://pl.wikipedia.org/wiki/Kew_Gardens

- Czy to powód dla którego popełniłaś zbrodnię? Zemsta? - Gdy milczała, Magnus powiedział. - Wiesz co robią dla tych, którzy zabijają Nefilim, Camille.

Jej oczy błyszczały. - Musisz interweniować w mojej sprawie, Magnusie. Chce swojego immunitetu. Chce pisanej umowy z Konklawe, że jeżeli przekażę im potrzebne informacje, oszczędzą mi życie i mnie uwolnią.

- Nigdy cię nie uwolnią.

- Nigdy nie dowiedzą się dlaczego ich koledzy musieli umrzeć.

- Musieli? - zadrwił. - Ciekawe słownictwo, Camille. Czy nie myślę się twierdząc, że chodzi o coś więcej, niż oczy zdolają ujrzyć? Więcej niż krew, bądź zemsta?

Milczała, spoglądając na niego, jej pierś wzrastająca i opadająca artystycznie. Wszystko, dotyczące jej osoby było artystyczne. Srebro opadających włosów, kształt jej gardła, a nawet krew na nadgarstkach.

- Jeżeli chcesz, bym wstawił się za tobą, - powiedział Magnus, - musisz mi zdradzić choć jedną, małą rzecz. Pokaz w dobrej wierze.

Uśmiechnęła się genialnie. - Wiedziałam, że się zgodzisz Magnusie. Czułam, że przeszłość jeszcze dla ciebie nie umarła.

- Możesz ją uznać za nieumarłą, jeżeli chcesz - powiedział Magnus. - Prawdę, Camille?

Przejechała językiem po dolnej wardze. - Możesz im powiedzieć, - zaczęła, - że byłam pod rozkazami, kiedy zabijałam tych Nocnych Łowców. Nie przeszkadzało mi zadanie, bo tamci zdążyli już zabić moich i kara była słuszną, ale nie zrobiłabym tego, gdyby ktoś mi nie kazał. Ktoś znacznie potężniejszy ode mnie.

Serce Magnusa biło nieco szybciej. Nie podobała mu się ta sytuacja. - Kto?

Ale Camille potrząsnęła głową. - Immunitet, Magnusie.

- Camille...

- Przebiją mnie przez słup i pozostawią na słońcu do spalenia - powiedziała. - Tak postępują z zabójcami Nefilim.

Magnus wstał. Jego szalik zakurzył się od leżenia na podłodze. Spojrzał na plamy żalobnie. - Zrobię, co mogę, Camille. Ale nic nie obiecuję.

- Nigdy tego nie robisz - wymruczała, jej oczy lekko przymrużone. - Chodź tu, Magnusie. Zbliź się do mnie.

Nie kochał jej, ale była wspomnieniem z marzeń jego przeszłości, więc podszedł bliżej, tak, że mógł ją dotknąć.

- Pamiętasz... - zaczęła delikatnie. - Pamiętasz Londyn? Przyjęcia u Quinceya? Pamiętasz Willa Herondale? Wiem, że tak. Ten twój chłopak, Lightwood, nawet oni wyglądają podobnie.

- Naprawdę? - powiedział Magnus, jakby nigdy o tym nawet nie myślał.

- Śliczni chłopcy zawsze byli twoją zgubą - powiedziała. - Ale co tak naprawdę mógłby ci dać jakiś śmiertelny chłopiec? Dziesięć lat, dwadzieścia, zanim dopadnie go rozkład? Czterdzieści, pięćdziesiąt lat nim śmierć go zabierze? Ja mogę ofiarować ci całą wieczność.

Dotknął jej policzka. Był chłodniejszy niż podłoga pod nim. - Mogłabyś mi oddać przeszłość,

- powiedział nieco smutny, - ale Alec jest moją przyszłością.

- Magnusie... - zaczęła.

Drzwi do Instytutu się otworzyły i Maryse stała w przejściu. Jej sylwetka obramowana magicznym światłem z oddali. Obok niej stał Alec z założonym na klatce piersiowej rękoma. Magnus zastanawiał się czy Alec usłyszał coś z ich rozmowy przez drzwi.

- Magnusie - powiedziała Maryse. - Czy doszliście do porozumienia?

Magnus opuścił dłoń. - Nie jestem pewien, czy nazwałbym to porozumieniem, - odezwał się do Maryse, - ale myślę, że naprawdę mamy do pogadania.

Ubrana, Clary poszła z Jace'em do jego pokoju, gdzie zapakował małą płócienną torbę niezbędnymi rzeczami, jakby, jak pomyślała Clary, wybierał się na jakąś ponurą imprezę pizamową. Były to głównie bronie: kilka serafickich noży, jego stella, a po dalszych przemyśleniach także ręczny, srebrny nóż, wyczyszczony już z krwi. Wślizgnął się w skórzaną kurtkę, a ona patrzyła jak się zapina, wyciągając uciekinierskie włosy zza kołnierza. Kiedy odwrócił się by na nią spojrzeć, zawiesił torbę na ramię, uśmiechając się słabo i ujrzała mały ubytek w jego siekaczu, którego zawsze uważała za uroczy. Małe wady w wyglądzie, zaprzeczające perfekcyjności. Jej serce zadudniło mocno i na moment odwróciła się od niego, ledwie zdolna do oddechu.

Wyciągnął w jej kierunku dłoń. - Chodźmy.

Nie było mowy by przywołać Cichych Braci do nich, więc Jace i Clary, wsiedli w taksówkę, udając się w dolne dzielnice miasta w kierunku Houston i cmentarza Marble. Clary zasugerowała, że mogliby po prostu teleportować się do Miasta Kości, przecież już tam była, ale Jace stwierdził, że obowiązują zasady i odczuła, iż Cisi Bracia mogliby uznać taką wizytę za niegrzeczną.

Jace siedział z nią na tylnych siedzeniach taksówki, trzymając za dłoń, na której zewnętrznej stronie malował wzorki kciukiem. Było to rozpraszające, ale nie na tyle, że nie mogła się skupić na uzupełniających informacjach od Jace'a. Mówił o tym co się działo z Simonem, opowiedział historię Jordana, ich schwytanie Camilli i jej żądaniu o rozmowie z Magnusem.

- Wszystko w porządku z Simonem? - zapytała, zmartwiona. - Nie zdawałam sobie sprawy. Był w Instytucie i nawet go nie widziałam...

- Nie było go w Instytucie. Był w Sanktuarium i wydaje się, że całkiem nieźle sobie radzi. Nawet lepiej, niż byłbym w stanie wyobrazić kogoś kto jeszcze do niedawna był przyziemnym.

- Ale plan brzmi na niebezpieczny. To znaczy, Camille musi być szalona, prawda?

Jace przesunął palcami po jej kłykciach. - Musisz przestać myśleć o Simonie, jakim był wcześniej. O tym który potrzebował tyle ratunków ze strony innych. Teraz prawie nikt nie jest w stanie mu zagrozić. Nie widziałas tego Znak, jaki dałaś mu podczas akcji. Ja tak. Jakby gniew Boga zsyłany podczas wizyty na świecie. Myślę, że powinnaś być dumna.

Przeszły ją dreszcze. - Nie wiem. Zrobiłam to, bo musiałam, nawet jeśli jest to klątwa. Nie wiedziałam, że będzie przechodził przez to wszystko. Nie mówił. Miałam pojęcie o tym, że Maja i Isabelle dowiedziały się o sobie, ale nie wiedziałam o Jordanie, że jest eks Mai. - *Bo byłaś zbyt zajęta. Zajęta przejmowaniem się o Jace'a. Nie dobrze.*

- W takim razie, - powiedział Jace, - czy mówiłaś mu coś o sobie? No wiesz, to dotyczy obu stron.

- Nie. Tak naprawdę nie mówiłam nikomu - powiedziała Clary. Opowiedziała Jace'owi o wycieczce do Cichego Miasta z Lukiem i Maryse, o tym co znalazła w kostnicy na Beth Israel i o jej późniejszych odkryciach dotyczących Kościoła Talto⁶⁷.

- Nigdy o tym nie słyszałem, - powiedział Jace, - ale Isabelle ma rację. Na świecie istnieje kupa bzdetnych, wielbiących demony sekt. Większości z nich nie udaje się nawet wezwać demona. Wygląda na to, że oni tego jednak dokonali.

- Myślisz, że demon, którego zabiliśmy, był tym samym, którego wielbili? Uważasz, że mogliby... przestać?

Jace potrząsnął głową. - To był tylko demon Hydra, swego rodzaju pies-strażnik. Poza tym "jej Dom skierowany ku śmierci, jej ścieżki ku śmierci"⁶⁸. Jak dla mnie brzmi to na damskiego demona. I zazwyczaj to kultury, które wielbią damskie demony robią okropne rzeczy z płodnością i niemowlętami. - Oparł się o siedzenie, na wpół przymykając oczy. - Jestem pewien, że Konklawe uda się do kościoła i to sprawdzi, ale na dwadzieścia do jednego nic nie znajdą. Zabiłaś ich demona- strażnika, więc sekta zmyje się i zatuszuje dowody. Najprawdopodobniej będziemy musieli poczekać, póki nie rozstawią straganów gdzie indziej.

- Ale... - Clary uczuła ścisk w żołądku. - To dziecko... i zdjęcia w książce, które widziałam. Wydaje mi się, że chcą stworzyć więcej takich, jak Sebastian.

- Nie mogą - powiedział Jace. - Nafaszerowali ludzkie dziecko krwią demona, co owszem, jest dosyć podłe, ale coś takiego jak Sebastian można uzyskać, używając jedynie potomstwa Nocnych Łowców. Zamiast tego dziecko umarło. - Ścisnął lekko jej dłoń, jakby dla wsparcia.

- Nie są dobrymi ludźmi, ale nie wyobrażam sobie, żeby próbowali podobnej rzeczy jeszcze raz, skoro nie wyszło za pierwszym.

Taksówka zatrzymała się z piskiem opon na rogu Houston i Second Avenue. - Licznik jest zepsuty - powiedział kierowca. - Dziesięć bucksów.

Jace, który w innych okolicznościach dodałby sarkastyczną wzmiankę, rzucił taksówkarzowi dwie dychy i wyszedł, przytrzymując drzwi dla Clary. - Gotowa? - spytał, gdy kierowali się w kierunku żelaznej bramy, prowadzącej do miasta.

Przytaknęła głową. - Nie mogę powiedzieć, że moja ostatnia wycieczka w to miejsce była zabawna, ale tak, jestem gotowa. - Wzięła jego dłoń. - Tak długo, jak jesteśmy razem, będę gotowa na cokolwiek.

Cisi Bracia czekali na nich przy wejściu, prawie jakby wiedzieli, że przybędą. Clary rozpoznała brata Zachariasza, wśród grupy. Stali w cichej linii, blokując głębszy wgląd Clary i Jace'a w miasto.

- *Dlaczego przybyliście córko Valentine'a i synu Instytutu?* - Clary nie była pewna który z nich pytał, czy też mówili wszyscy na raz. - *To niestychane widzieć dzieci, wkraczające do Miasta Kości bez opieki.*

Podkreślenie słowa "dzieci" zabolalo, nawet jeśli Clary wiedziała, że wszyscy poniżej osiemnastego roku życia za takowe byli uważani i posiadali inne zasady.

- Potrzebujemy waszej pomocy - powiedziała Clary, gdy wydało się jasnym, że Jace nic nie powie. Jace spoglądał z brata na brata z wyraźną apatią, jak ktoś, kto otrzymywał ostateczne i

⁶⁷ W sensie wspólnoty- sekty.

⁶⁸ cytata z Biblii Króla Jakuba, która niestety chyba nie jest przetłumaczona na polski, jedynie z greckiego na angielski. Dom dużą literą, bo wydaje mi się, że chodzi tu raczej o jej wyznawców, to jest "wspólnotę".

nieodwracalne diagnozy od różnych lekarzy i teraz stojąc w kolejce czekał na kolejną bez nadziei. - Czy to nie wasza praca? Pomaganie Nocnym Łowcom?

-I mimo tego nie jesteśmy sługami na każde wasze kiwnięcie palcem. Również nie każdy problem podlega naszej jurysdykcji.

- Ale ten tak - powiedziała pewnie Clary. - Wierzę, że ktoś sięga umysłu Jace'a. Ktoś z mocą miesza mu jego wspomnienia i sny. Sprawia, że robi rzeczy, których nie chce robić.

- *Hipnomancja*⁶⁹ - powiedział jeden z Cichych Braci. - *Magia snów. To domena jedynie najlepszych i najsilniejszych użytkowników magii.*

- Jak aniołów - powiedziała Clary i spotkała się ze sztywną, zaskoczoną ciszą.

- *Najwidoczniej*, - powiedział brat Zachariasz w końcu, - *powinniście z nami pójść do Mówiących Gwiazd* - To nie było zaproszenie, a najwyraźniej rozkaz, bo odwrócili się od razu i zaczęli zmierzać w kierunku serca miasta nie patrząc nawet czy Jace i Clary idą za nimi.

Dotarli do pawilonu Mówiących Gwiazd, gdzie bracia zasiedli za czarnym, bazaltowym stołem. Miecz Anioła był na swoim miejscu, błyszcząc się na ścianie za nimi, jak skrzydło srebrnego ptaka. Jace przesunął się na środek pomieszczenia i spoglądał w dół metalicznych gwiazdek, wypalonych na czerwono złotej posadzce. Clary oglądała go, czując jak widok ścisła ją za serce. Było ciężko patrzeć na niego w ten sposób, gdy stał bez energii, jak magiczny promień zanikający pod połacią kurzu.

Podniósł wtedy swoją blond głowę, mrugając i Clary wiedziała już, że Cisi Bracia z nim rozmawiają, przekazując słowa, jakich nie mogła usłyszeć. Zobaczyła jak kiwa głową i mówi, - Nie wiem. Myślałem, że nie są niczym innym, jak zwyczajnymi snami. - Jego wargi zacisnęły się wtedy i nie mogła przestać myśleć o tym, o co go mogą pytać. - Wizje? Nie wydaje mi się. Tak widziałem się z aniołem, ale to Clary miała prorocze wizje, nie ja.

Clary spięła się. Zbliżali się niebezpiecznie blisko do zadawania pytań o tym, co się wydarzyło z Jacem i aniołem tamtej nocy przy jeziorze Lyn. Nie myślała o tym. Kiedy Cisi Bracia wkradali się w twój umysł, co mogli widzieć? Tylko to, czego szukali, czy też może wszystko?

Jace pokiwał wtedy głową. - W porządku. Jestem gotowy, jeśli i wy jesteście.

Zamknął oczy i Clary uspokoiła się nieco, obserwując. - *Tak musiał czuć się Jace, kiedy patrzył na nią wtedy* - pomyślała. - *Pierwszy raz kiedy to w jej umysł weszli Cisi Bracia.* - Widziała wtedy szczegóły, jakich nie dostrzegała wcześniej, jako, że została uwięziona w sieciach umysłów ich i jej, spoglądając we wspomnienia, zagubiona dla świata.

Zauważyła jak Jace spał się, gdy dotykali go swoimi dłońmi. Jego głowa odchyliła się do tyłu. Jego dłonie przy boku otwierające się i zaciskające na przemian, podczas gdy gwiazdy pod nim zajarzyły się oślepiającym światłem. Zamrugła odganiając łzy, spowodowane jasnością. Stał się wdzięczną, czarną postacią na płótnie ostrego światła, jakby stał w sercu wodospadu. W koło nich rozbrzmiewał dźwięk, łagodne, niezrozumiałe szept.

Gdy patrzyła, upadł na kolana, zapierając się dłońmi o posadzkę. Kolejny ścisł w sercu. Interrogacja Cichych Braci o mało co nie przyprawiła ją o omdlenie, ale Jace był chyba silniejszy od niej, prawda? Powoli zwinął się w kulkę chwytając dłońmi za brzuch, agoniz

⁶⁹ tak naprawdę takie słowo chyba nie istnieje i stworzyłam jej na potrzebę tłumaczenia. W oryginale "Hypnomancy". Termin raczej z zakresu fantastyki. Nie oznacza jednak tego samego, co hipnoza.

widoczna na każdym jego skrawku, choć nawet nie zawył, ani nie zapłakał. Clary nie mogła znieść tego dłużej. Podeszła do niego przez promienie światła i uklękła obok, zarzucając ramiona wokół jego ciała. Ciche szepty urosły do postaci sztormu protestu, kiedy odwrócił głowę i spojrzał na nią. Srebrne światło wymyło jego oczy przez co wyglądały tak płytko i tak blado jak marmurowe posadzki. Jego usta ułożone w brzmienie jej imienia.

I wtedy wszystko zniknęło. Światło, dźwięki, wszystko. I klęczeli razem na nagiej podłodze pawilonu w otoczeniu ciszy i cienia. Jace trząsł się, a gdy jego ręce uwolniły ich z uścisku, zobaczył, że w miejscach, gdzie poprzednio wbijał paznokcie, pozostawił krwawe ślady na skórze. Wciąż przytrzymując go za ramię Clary spojrzała na Cichych Braci, walcząc ze wściekłością. Wiedziała, że przypominało to furję skierowaną w kierunku lekarza, który musiał zastosować bolesny, ale ratujący życie zabieg, ale było ciężko, tak ciężko pozostać rozsądnym, kiedy sprawa dotyczyła kogoś, kogo kochasz.

- *Jest coś, o czym nam nie powiedziałas, Clarisso Morgenstern* - powiedział brat Zachariasz. - *Sekret, który oboje chowaliście.*

Lodowata dłoń zacisnęła się wokół serca Clary. - Co masz na myśli?

- *Znak śmierci na tym chłopcu* - odezwał się kolejny z braci, wydawało się jej, że Enoch.

- Śmierci? - powiedział Jace. - Masz na myśli, że umrę? - Nie brzmiał na zdziwionego.

- *Chodziło nam o to, że ty już byłeś martwy. Przeciąłeś ścieżkę ponad portalem do królestwa cieni, twoja dusza odcięta od ciała.*

Clary i Jace wymienili spojrzenia. - Anioł Razjel... - zaczęła.

- *Tak, jego znak również znajduje się na całym jego ciele.* - Zabrzmiął wyprany z emocji głos Enocha. - *Są tylko dwa sposoby by przywrócić kogoś do życia. Nekromancja, cechująca się ciemną magią dzwonka, książki i świecy, która przywraca pozorne życie. Ale tylko anioł z powołania Boga mógłby wetknąć ludzką duszę z powrotem w ciało z taką łatwością, z jaką wpojone zostało pierwsze tchnienie w pierwszego człowieka.* - Potrząsnął głową. - *Równowaga pomiędzy życiem i śmiercią, dobrem i złem jest delikatną sprawą, młodzi łowcy. Zakłóciliście ją.*

- Ale anioł Razjel, - powiedziała Clary, - może zrobić, co tylko zechce. Wierzycie w niego, prawda? Jeżeli właśnie tak zapragnął uczynić...

- *A zapragnął?* - zapytał kolejny z braci. - *Czy wybierał?*

- Ja... - Clary spojrzała na Jace'a. Myślała, że mogła poprosić, o to, co tylko zapragnie. Pokój na świecie, lekarstwo na chorobę, wieczne życie. - *Ale wszystkim, czego pragnęłam byłeś ty.*

- *Znamy rytuały Darów Anioła* - powiedział Zachariasz. - *Wiemy, że ktokolwiek posiada je wszystkie, ten, kto jest ich Panem, może zażądać od anioła jednej rzeczy. Nie wydaje mi się, że mógłby ci odmówić.*

Clary zadarła podbródek. - Więc, - powiedziała, - stało się.

Jace zaśmiał się drętwą. - No wiesz, zawsze mogą mnie zabić - rzekł. - Przywrócić wszystko do porządku.

Jej dłonie zacisnęły się na jego ramieniu. - Nie bądź śmieszny. - Ale głos zabrzmiał cieniutko. Zesztywniała jeszcze bardziej, kiedy brat Zachariasz wybił się z szeregu, przesuwając nogami po Mówiących Gwiazdach. Dosiał Jace'a i Clary, a ta z trudem powstrzymywała się od odepchnięcia go, kiedy położył swoje długie palce pod brodą chłopca, unosząc twarz w jego kierunku. Palce Zachariasza były gładkie, bez linii i wyglądały jak kończyny młodego

mężczyzny. Nigdy nie zastanawiała się nad wiekiem Cichych Braci z góry zakładając, że wszyscy muszą być gatunkami zasuszonymi i starymi.

Kłęczący Jace spojrzał na Zachariasza, który patrzył na niego z góry ślepy, beznamietnym wzrokiem. Clary od razu pomyślała o tych wszystkich średniowiecznych obrazach, na których święci na kolanach spoglądali wwyż. Ich twarze oblane złotym blaskiem. - *Gdybym był tam wtedy*, - powiedział nagle, nadzwyczajnie delikatnie, - *kiedy dorastałeś, widziałbym, prawdę w twojej twarzy, Jace`ie Lightwoodzie i wiedziałbym, kim byłeś.*

Jace wyglądał na zdezorientowanego, ale nie poruszył się, żeby odejść.

Zachariasz obrócił się do pozostałych. - *Nie możemy i nie powinniśmy skrzywdzić chłopca. Stare więzi łączą Herondale`ów i Braci. Jesteśmy mu winni pomoc.*

- Pomocy, w czym? - zażądała Clary. - Czy widzicie, że coś jest z nim nie tak, coś we wnętrzu jego głowy?

- *Gdy rodzi się Nocny Łowca, odprawia się rytuał. Kilka ochronnych zaklęć, umieszczonych na dziecku przez Cichych Braci i Żelazne Siostry.*

Żelazne Siostry, jak dowiedziała się Clary z jej nauk, były stowarzyszeniem lustrzanym do sekty Cichych Braci, choć jeszcze bardziej zamkniętym od ich męskiego odpowiednika. Zajmowały się kształtowaniem broni Nocnych Łowców.

Brat Zachariasz kontynuował, - *Gdy Jonathan umarł i został ponownie narodzony, te ochrony i rytuały zostały cofnięte. To sprawiło, że został otwarty, jak niezamknięte drzwi, otwarty na jakiegokolwiek demoniczny wpływ, lub wrogość.*

Clary oblizała swoje spierzchnięte wargi. - Masz na myśli opętanie?

- *Nie opętanie, a jedynie wpływ. Podejrzewam, że potężna, demoniczna moc szepcze ci do uszu, Johanthanie Herondale. Jesteś silny i ją zwalczasz, ale ta siła zmiata cię zupełnie jak ocean przygniata piasek na dnie.*

- Jace - wyszeptał przez blade usta. - Jace Lightwood, a nie Herondale.

Clary, przyczepiając się do praktyczności spytała, - Skąd ta pewność, że to demon? I co możemy zrobić, żeby zostawił go w spokoju?

Enoch, brzmiąc na zaniepokojonego, powiedział, - *Musimy ponownie odprawić rytuał, zakładając na powrót zabezpieczenia, które posiadał przy urodzeniu.*

- Możecie to zrobić? - zapytała Clary.

Zachariasz pochylił głowę. - *Da się to zrobić. Musimy się przygotować. Trzeba sprowadzić jedną z Żelaznych Sióstr i potrzeba wyrzeźbić amulet...* - dumał. - *Jonathan musi z nami pozostać póki nie zakończymy rytuału. To miejsce jest dla niego najbezpieczniejsze w tej chwili.*

Clary spojrzała na Jace`a jeszcze raz, szukając jego wyrazu, jakiegokolwiek. Nadziei, ulgi, rozradowania, czegokolwiek. - Jak długo? - powiedział.

Zachariasz rozłożył szeroko swoje cienkie ręce. - *Dzień, być może dwa. Rytuał jest przeznaczony dla niemowląt. Będziemy musieli go zmienić, tak żeby pasował dla dorosłego. Gdybyś miał więcej niż osiemnaście lat, byłoby to niemożliwe do wykonania. Póki co, będzie ciężko. Ale da się go ocalić.*

Da się go ocalić. Nie na to liczyła Clary, Chciała żeby jej powiedzieli, że problem jest błahy i bardzo łatwo można go rozwiązać. Spojrzała na Jace`a. Jego głowa była pochylona, kosmyki włosów przykrywające czoło. Tył jego szyi wyglądał dla niej na tak bezbronny i wrażliwy, że zakłuło jej serce.

- W porządku - powiedziała cicho. - Zostanę tu z tobą...

- Nie. - przemówili grupą Bracia, ich głosy nieuchronne. - *Musi pozostać tu samotnie. Do tego, co potrzebujemy zrobić, nie możemy zaryzykować rozproszeniem.*

Poczuła jak Jace sztywnieje⁷⁰. Ostatnim razem, gdy znalazł się sam w Mieście Kości, był nieuczciwie uwięziony, jako prezent za okropną śmierć większości z Cichych Braci i maltretowany przez Valentine'a. Nie mogła się spodziewać, że noc spędzona samotnie w mieście, będzie dla niego czymś przyjemnym.

- Jace - wyszeptała. - Zrobię cokolwiek zapragniesz. Jeżeli chcesz iść...

- Zostanę - powiedział, Podniósł głowę, a jego głos był silny i czysty. - Zostanę i zrobię cokolwiek potrzeba, żeby to naprawić. Musisz tylko zadzwonić do Izzy i Aleca. Powiedz im, powiedz, że zatrzymałem się u Simona, żeby mieć na niego oko. Powiedz, że zobaczę się z nimi jutro, albo pojutrze.

- Ale...

- Clary. - Delikatnie wziął jej dłonie w swoje. - Miałas rację. To nie pochodzi z mojego wnętrza. Ktoś mi to robi. Nam. Wiesz, co to znaczy? Jeżeli mogę być... wyleczony... to nie będę musiał bać się samego siebie, gdy jestem przy tobie. Spędziłbym tysiące nocy w Mieście Kości tylko dla tego jednego powodu.

Nachyliła się do przodu, ignorując obecność Cichych Braci i pocałowała go. Krótkie przytknięcie ust do ust. - Wrócę - wyszeptała. - Jutro w nocy po imprezie Ironworks, wrócę po ciebie i znów się spotkamy.

Nadzieja w jego oczach była wszystkim, co doprowadziło do złamania jej serca. - Może wtedy będę już zdrowy.

Dotknęła jego twarzy opuszkami palców. - Może będziesz.

Simon obudził się wciąż czując zmęczenie po długiej nocy koszmarów. Przewrócił się na plecy i spoglądał na światło dochodzące z jedyne okna w jego sypialni.

Zastanawiał się czy sypiałby lepiej, gdyby robił to, co robiły inne wampiry i spał podczas dnia. Pomimo faktu, że słońce nie mogło go zranić, czuł pociąg do nocy, pożądanie by znajdować się pod osłoną ciemnego nieba zdobionego migoczącymi gwiazdami. Było w nim coś, co sprawiało, że chciał żyć w cieniu, że czuł promienie słoneczne jako cienki, jak od ostrza noża ból. Podobnie było z tym czymś, które pragnęło krwi. I spójrzcie tylko jak walka odcisnęła na nim swoje piętno.

Simon zatoczył się wstając i po chwili narzucił na siebie ciuchy, wychodząc do salonu. W mieszkaniu pachniało tostami i kawą. Jordan siedział na stołku przy ladzie, jego włosy powykęcane we wszystkie strony jak zwykle, a ramiona przygarbione.

- Hej - powiedział Simon. - Jak leci?

Jordan popatrzył się na niego. Zbladł pod swoją opalenizną. - Mamy problem - odrzekł.

⁷⁰ bez skojarzeń, proszę ;P.

Simon zamrugał. Nie widział swojego wilkołaczego współlokatora od wczoraj. Wracał do domu z Instytutu wycieńczony, dlatego od razu rzucił się na łóżko. Jordana nie było w mieszkaniu i dlatego Simon myślał, że pracuje. Ale być może coś jednak się przydarzyło. - Co się stało?

- To podłożono nam pod drzwi. - Jordan popchnął do Simona zwiniętą gazetę. To była "New York Morning Chronicle", zagięta na jednej ze specyficznych stron. U góry znajdowało się makabryczne zdjęcie, ziarnisty obrazek ukazujący ciało rozłożone na jakimś chodniku. Sztywne, chude kończyny powyginane w dziwne kąty. Prawie nie wyglądało jak ludzkie i nieraz martwe ciała mają do tego tendencję. Simon miał już spytać się Jordana, dlaczego musi na to patrzeć, kiedy tekst pod fotografią przykuł jego uwagę.

DZIEWCZYNA ODNALEZIONA MARTWA

Policja mówi, że podjęła należyte kroki związane ze śmiercią czternastoletniej Maureen Brown, której ciało odnaleziono sobotniej nocy o dwudziestej trzeciej, wepchnięte w kontener na śmieci na zewnątrz „Big Apple Deli”⁷¹ przy trzeciej przecznicy. Koroner nie stwierdził, co było oficjalną przyczyną śmierci, ale właściciel delikatesów, Michael Garza, który odnalazł dziewczynę, stwierdził, że jej gardło było rozcięte. Policja nie zlokalizowała jeszcze narzędzia zbrodni...

Niezdolny dalej czytać, Simon padł ociężale na krzesło. Teraz już wiedział, że fotografia niezaprzeczalnie wskazywała na Maureen. Rozpoznał jej różowe ocieplacze rąk, głupi, różowy kapelusz, który miała na sobie ostatnim razem. - - *Mój Boże* - chciał powiedzieć. - *Oh, Boże.* - Ale, żadne ze słów nie opuściło ust.

- Czy ta notatka nie mówiła przypadkiem, - powiedziała, Jordan wyblakłym z uczucia głosem, - że jeżeli nie pójdziesz pod wyznaczony adres, to poderżną twojej dziewczynie gardło?

- Nie – Simon wyszeptał. – To niemożliwe. Nie.

Ale pamiętał.

Przyjaciółka małej kuzynki Erica. Jak jej było na imię? Ta sama, która podkochiwała się w Simonie. Przychodziła na każdy nasz występ i wmawiała wszystkim na oko, że jest jego dziewczyną.

Simon pamiętał o jej telefonie. Jej mały, różowy telefonik z naklejkami na wierzchu. Sposób w jaki trzymała go w górze robiąc jego kapeli zdjęcie. Uczucie jej gładkiej dłoni na jego ramieniu, lekkie, jak motylek. Czternastolatka. Zwinął się, obejmując ramionami pierś, jakby próbując skurczyć się do tego stopnia by mógł rozplynać się w całości i zniknąć.

Tłumaczenie: *Windy Dreams*

Korekta: *Tellave*

⁷¹ knajpka, tudzież delikatesy: <http://www.thebigappledeli.com/>

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Co mogą przynieść sny

Jace rzucał się niespokojnie w wąskim łóżku w Cichym Mieście. Nie wiedział gdzie śpią Cisi Bracia, i nie wydawali się skłonni do ujawniania mu tego. Jedyne miejsce zdawało się dla niego położone w jednej z celi w której Cisi Bracia zazwyczaj umieszczali więźniów. Zostawili drzwi otwarte, więc nie czuł się tak, jak w więzieniu, ale to miejsce nie mogło w żadnym przypadku być nazywane miłym.

Powietrze było gęste i ciężkie. Zdjął swoją koszulkę i leżał na łóżku w samych jeansach, ale nadal było mu gorąco. Ściany były ciemno- szare. Ktoś wyrył litery JG na kamieniu tuż nad łóżkiem, pozostawiając go w zamyśleniu, kto to napisał- i nie było niczego innego w tym pokoju, oprócz łóżka i pękniętego lustra w którym odbijał się on we wszystkich kawałeczkach i umywalka. Nie mówiąc już o bardziej nieprzyjemnych wspomnieniach które mieszały się z wyglądem pokoju.

Bracia wchodzili i wychodzili z jego myśli całą noc, przez co czuł się jak wrak. Od kiedy byli tacy skryci we wszystkim, nie miał pomysłu czy zrobili jakiś postęp. Nie wydawali się zadowoleni, ale oni nigdy nie byli zadowoleni.

Prawdziwym testem, jak wiedział, był sen. O czym będzie śnić? Spać: ewentualnie śnić. Przewrócił się na bok kryjąc twarz w ramionach. Nie mógł znieść kolejnego snu o krzywdzeniu Clary. Myślał, że może faktycznie stracić swój umysł, i ten pomysł przerażał go. Perspektywa śmierci nigdy nie przerażała go tak bardzo, ale myśl że może oszaleć była prawie najgorszą rzeczą jaką mógł sobie wyobrazić. Ale pójść spać było jedynym sposobem aby się dowiedzieć. Zamknął swoje oczy i chciał zasnąć.

Spał i śnił.

Z powrotem był w dolinie- w Idrisie, gdzie walczył z Sebastianem i prawie umarł. Była jesienna pora, nie było silnego słońca tak jak wtedy, kiedy był tu ostatnim razem. Liście były w kolorach złotym, brunatnym, czerwonym i pomarańczowym. Stał na brzegu małej rzeki- a raczej strumienia- który przecinał dolinę na pół. W oddali, szedł do niego ktoś, kogo nie mógł zobaczyć wyraźnie na razie, ale ta osoba kroczyła do niego bezpośrednio i zdecydowanie.

Nie był pewny czy to był Sebastian, dopóki ta osoba nie podeszła do niego wystarczająco blisko żeby zobaczyć dokładnie i uświadomić sobie że możliwe że to nie on. Sebastian był wysoki, wyższy od Jace'a, ale ta osoba była mała- twarz miała w cieniu, ale głowa była dwa razy mniejsza od głowy Jace'a- i chudy, z chudymi dziecięcymi ramionami, i kościste ręce wystające z zza małych rękawów jego koszulki.

Max.

Widok jego młodszego brata trafił Jace'a jak cios, padł na kolana na zielonej trawie. Upadek nie bolał. Wszystko było wyścielane na krawędzi snu którym był. Max patrzył na niego w jego charakterystyczny sposób. Słabowity chłopiec na skraju dorastania z tego etapu rośnięcia. Teraz już nigdy nie dorośnie.

-Max-powiedział Jace- Max, Przepraszam.

-Jace -Max stał w miejscu. Lekki wiatr pojawił się i wzniósł jego brązowe włosy na twarz. Jego oczy, za okularami, były poważne- Ja nie jestem tu z mojego powodu- powiedział - Nie jestem to żeby straszyć Cię lub żebyś poczuł się winny.

Oczywiście, że nie był, powiedział głos w głowie Jace'a. Max zawsze cię kochał, patrzył na ciebie jakby myślał że jesteś najwspanialszy.

-Twoje sny jakie masz- powiedział Max- To wiadomości.

-Te sny to oddziaływanie demona, Max. Cisi Bracia powiedzieli...

- Mylą się- Powiedział szybko Max- Wiedzą o nich tylko trochę, a ich moc jest słabsza niż kiedyś. Te sny chcą ci coś przekazać. Nie rozumiesz ich. One nie mówią ci o krzywdzeniu Clary. One ostrzegają cię, przed czymś, czym już jesteś.

Jace pokręcił wolno głową.

- Nie rozumiem.

- Anioł polecił mi porozmawiać z tobą, ponieważ ja wiem.- powiedział Max, swoim czystym, dziecięcym głosem- Wiem jaki jesteś wobec osób które kochasz, i nigdy ich chętnie nie skrzywdzisz. Ale nie zniszczyłeś jeszcze całego wpływu Valentine'a na Ciebie. Jego głos nadal przemawia do Ciebie, myślisz że go nie słyszysz ale słyszysz. Sny będą mówić do Ciebie, że dopóki nie zabijesz w sobie tej części, nie możesz być z Clary.

-Więc zabije to- powiedział Jace- Zrobię wszystko co musze. Tylko powiedz mi jak.

Max uśmiechnął się promienistym uśmiechem i odsłonił coś w jego ręce. To był srebrny, poręczny sztylet Stephana Herondala srebrny sztylet, ten z pudełka. Jace poznał go od razu

-Weź to- powiedział Max- odwróć go do siebie. Część ciebie tu we śnie musi umrzeć. Co powstanie później będzie oczyszczone.

Jace wziął nóż. Maż uśmiechnął się.

-Dobrze. Wiele z nas tutaj, po innej stronie martwiło się o ciebie. Twój ojciec jest tutaj.

- Nie Valentine....

- Twój prawdziwy ojciec. Powiedział mi żebym przekazał ci żebyś użył tego. On wyrzucił wszystko, co zepsute w twojej duszy.

Max uśmiechnął się jak anioł kiedy Jace obrócił nóż do siebie, błąd wewnątrz. W ostatnim momencie Jace zawahał się. To było zbyt blisko tego co Valentine mu zrobił, wniknął mu w serce. Wziął nóż i zrobił długie nacięcie na swoim prawym przedramieniu, od łokcia do nadgarstka. Nie było żadnego bólu. Przełożył nóż do prawej ręki i zrobił to samo z drugim ramieniem. Krew wytrysnęła z długiego skaleczenia na jego ramionach, jaśniejsza niż krew w rzeczywistości, ta była koloru rubinu. Rozlała się w dół jego skóry i na trawę.

Słyszał jak Max oddycha cicho. Chłopiec pochylił się i dotknął palcami jego prawej ręki krwi. Kiedy podniósł je, błyszczały na szkarłatno. Zrobił krok w kierunku Jace'a a potem kolejny. Tak blisko, Jace mógł zobaczyć twarz Maxa dokładnie- jego czysta, dziecięca skóra, przezroczyste powieki, jego oczy... Jace nie pamiętał żeby miał tak ciemne oczy. Max położył jego rękę na piersi Jace'a, tuż nad sercem, i krwią zaczął rysować na jego piersi znak, runę. Nie raz Jace ją widział wcześniej, nakładające się rogi i dziwne anioły na ich kształt.

Skończywszy, Max opuścił rękę, cofnął się do tyłu, przekręcił głowę, i oceniał jego dzieło. Nagłe ułknięcie agonii przeszło Jace'a. Czuł jak skóra na jego piersi pali się. Max stał i oglądał go, uśmiechając się, zginając zakrwawioną dłoń. - Czy to Cie boli, Jace'sie Lightwood? - powiedział, a jego głos nie był już jak głos Maxa, ale kogoś innego, wysoki, ochryply i znajomy.

-Max....-powiedział Jace.

-Jeśli czujesz śmiertelny ból, będziesz czuł ten ból- powiedział Max, którego twarz zaczęła migotać i zmieniać się.- Jeśli masz powód swojego żalu, będziesz czuł ten żal. Jesteś teraz mój, Jace Lighwood. Jesteś mój.

Cierpienie oślepiało. Jace miotał się przed siebie, rękoma szarpał swoją pierś, i spadł w ciemność.

Simon siedział na kanapie, twarz miał ukrytą w dłoniach. Jego myśli brzęczały.

-To moja wina.- powiedział- Równie dobrze mogłem zabić Maureen kiedy piłem jej krew. Umarła przeze mnie.

Jordan rozwalił się na fotelu naprzeciwko niego. Miał jeansy i zieloną, termiczną bluzkę, z długimi rękawami, z otworami na mankietach: miał [thumbs] oblepiony myśli nim, i martwił się o materiał. Złoty medal Preator Lupus błysnął na jego szyi.

-Daj spokój- powiedział- Nie było sposobu żebyś wiedział. Nic jej nie było kiedy usadziłem ją w aucie. Ten gość musiał przechwycić i zabić ją potem.

Simon czuł się roztargniony.

- Ale ja ją ugryzłem. Nie wróci, prawda? Nie stanie się wampirem?

-Nie. Daj spokój, wiesz że robisz rzeczy takie jak ja. Musiałbyś oddać jej trochę swojej krwi, żeby została wampirem. Jeśli wypije twoją krew i wtedy umrze, taa, wtedy stalibyśmy na cmentarzu i czekali na jej powstanie. Ale nie wypła. Mam na myśli, musiałbyś pamiętać co takiego.

Simon poczuł kwaśną krew z tyłu jego gardła.

-Myśleli że była moją dziewczyną- powiedział- Ostrzegli mnie że zabiją ją jeśli nie pokaże się, i jeżeli nie przyjdę, potną jej gardło. Musiała czekać tam cały dzień, mając nadzieję że przyjdę. Może jeśli bym się pokazał ...- Jego żołądek zbuntował się, więc pochylił się, oddychając ciężko, próbując powstrzymać się od zadławienia.

-Tak- powiedział Jordan- Ale pytanie, kim oni są?- posłał w kierunku Simona twarde spojrzenie- Myślę że może to czas żeby zadzwonić do Instytutu. Nie przepadam za Nocnymi Łowcami, ale słyszałem że mają niesamowite archiwa. Może będą mieli tam adres z notatki.

Simon zawahał się.

-No weź.-powiedział Jordan- Już zrobiłeś wystarczająco dla nich. Niech teraz oni zrobią coś dla Ciebie.

Wzruszając ramionami, Simon poszedł po swój telefon i wrócił do pokoju. Wybrał numer Jace'a.

Isabelle odebrała po drugim sygnale.

-To znowu ty?

-Przepraszam.- Powiedział Simon niezręcznie. Najwidoczniej ich mała rozmowa w Sanktuarium nie zmiękczyła jej stosunku do niego tak jak myślał.- Szukałem Jace'a, ale przypuszczam że mogę pogadać z tobą....

-Uroczy jak zawsze. - powiedziała Isabelle.- Myślałam że Jace jest z tobą.

-Nie- powiedział Simon- Kto Ci to powiedział?

-Clary – Powiedziała Isabelle- Może wymknęli się gdzieś razem albo coś.- Nie brzmiała na zmartwioną, co miało sens; ostatnią osobą która by kłamała na temat Jace'a gdzie był, jeżeli był w jakiś kłopotach była Clary. - W każdym razie, Jace zostawił swój telefon w pokoju. Jeśli chcesz się z nim zobaczyć, przypominam ci, że powinien być na przyjęciu w Ironworks dzisiaj wieczorem. Jeżeli nie przyjdzie, Clary go zabije.

Simon prawie zapomniał że powinien być na przyjęciu wieczorem.

-Racja- powiedział- Słuchaj, Isabelle. Mam problem.

-Mów. Kocham problemy.

-Nie wiem czy pokochasz akurat ten.- powiedział z powątpieniem, i powiedział jej szybko sytuację. Sapnęła lekko kiedy dotarł do momentu gdzie ugryzł Maureen, i poczuł jak zaciska mu się gardło.

-Simon- wyszeptała.

-Wiem, wiem- powiedział smutno.- Myślisz że nie jest mi przykro? Jest mi strasznie przykro.

-Jeżeli ją zabiłeś, złamałeś prawo. Mógłbyś zostać wygnany. Musiałabym Cię zabić.

-Ale jej nie zabiłem- powiedział, jego głos trząsł się trochę- Nie zrobiłem tego. Jordan przysiągł, że wszystko jest z nią w porządku kiedy zabrał ją do samochodu. A gazety doniosły że miała pocięte gardło. Nie zrobiłem tego. Ktoś zrobił to żeby dotrzeć do mnie. Tylko nie wiem dlaczego.

-Ale to nie koniec problemu.- jej głos był srogi- Ale najpierw weź notatkę którą zostawili. Przeczytaj mi ją.

Simon zrobił to o co prosiła, i został nagrodzony ostrym wdechem ze strony Isabelle.

-Myślę że ten adres brzmi znajomo. -powiedziała- Tam gdzie Clary poprosiła mnie o spotkanie wczoraj. To kościół, w górze miasta. Siedziba kultu niektórych demonów.

-Ale co te demony chcą ode mnie?- Simon powiedział, i otrzymał ciekawe spojrzenie od Jordana, który słyszał tylko połowę rozmowy.

-Nie wiem. Jesteś Daylighter'em. Masz niesamowitą moc. Możesz być celem dla szaleńców i czarnych magików. Tak jak teraz.- Simon czuł jak Isabelle brzmi trochę bardziej sympatycznie. - Słuchaj, idziesz na imprezę do Ironworks , prawda? Możemy się tam spotkać i omówić co dalej. I powiem mojej mamie co się dzieje. Teraz interesuję się Kościołem Talto, więc może doda tą informację do tej sterty.

-Tak myślę - powiedział Simon. Ostatnią rzeczą teraz którą chciał teraz było pójście na przyjęcie.

-I weź Jordana ze sobą- powiedziała Isabelle- Możesz potrzebować ochrony.

-Nie mogę. Maia tam będzie.

-Pogadam z nią.- powiedziała Isabelle. Brzmiała bardziej pewnie od Simona, który chciał być na jej miejscu. - Do zobaczenia.

Rozłączyła się. Simon odwrócił się do Jordana, który leżał w poprzek fotela, jego głowa podparta była na jednym z poduszek.

-Ile z tego słyszałeś?

-Wystarczająco żeby wiedzieć że idziemy na przyjęcie dzisiaj wieczorem.- powiedział. - Słyszałem o Ironworks. Nie jestem w paczce Garrowa więc nie jestem zaproszony.

-Zgaduję że teraz idziesz jako mój partner. - Simon wepchnął telefon z powrotem do kieszeni.

-Jestem wystarczająco pewny swojej męskości żeby się na to zgodzić. -powiedział Jordan-
Lepiej znajdziemy ci coś fajnego do ubrania. -Zawołał do Simona kiedy ten szedł do swojego pokoju.- Chcę żebyś wyglądał bosko.

Kilka lat wcześniej, kiedy Long Island City było centrum przemysłu zamiast modnej dzielnicy pełnej galerii sztuki i kawiarni, Ironworks było manufakturą. Teraz, było ogromną, ceglaną muszlą która w środku została przerobiona w skromne, ale piękne miejsce. Podłoga składała się z nakładających się na siebie wzorów stali szczorkowanej: Cienkie belki składały się w łuk nad głową: owinięte w liny cienkie białe światło. Ozdoby z kutego żelaza spiralne schody do wybiegu ozdobione wiszącymi liśćmi. Masywna podpora szkła sufitu otworzyła się ukazując nocne niebo. Był nawet taras, wybudowany na zewnątrz nad East River, ze spektakularnym widokiem na pięćdziesiątą dziewiątą Street Bridge, która majaczyła na górze, rozciągając się od Queens do Manhattanu jak oszczep szykownego lodu.

Sfora Luka sprawiała że to miejsce wyglądało miło. Były tam pomysłowe, ogromne wazony cynowe w których były długie kwiaty koloru kości słoniowej, i stoły pokryte białym płótnem ułożonych w okrąg wokół sceny, na której wilkołaczy kwartet smyczkowy grał muzykę klasyczną. Clary nie mogła poradzić na komentarz Simona; była prawie pewna że będzie sądził iż Wilczy Kwartet Smyczkowy to nie najlepsza nazwa dla zespołu.

Clary wędrowała od stołu do stołu, organizując rzeczy których nie trzeba było organizować, majstrować przy kwiatkach i prostować srebro, które nie było krzywe. Tylko kilku z gości przybyło do tej pory i żadne z nich nie było kimś jej znanym. Jej mama i Luke stali przy drzwiach witając ludzi i uśmiechając się , Luke wyglądał nieswojo w garniturze, a Jocelyn promieniała w dostosowanej niebieskiej sukience. Po wydarzeniach z ostatnich kilku dni, dobrze było widzieć jej matkę wyglądającą na szczęśliwą. Clary zastanawiała się ile z tego było prawdziwe a ile na pokaz. Sposób ułożenia jej ust sprawił, że Clary zmartwiła się- czy była teraz szczęśliwa czy uśmiechała się pomimo bólu?

Ale Clary nie wiedziała jak ona się czuje. Niezależnie od wszystkiego co się działo, nie mogła przestać myśleć o Jace'ie. Co Cisi Bracia zrobili z nim? Czy nic mu nie było? Czy byli w stanie naprawić to co było złego z nim, zablokować działanie trucizny demona? Spędziła bezsenność noc wieczorem przed ściemnieniem się w jej pokoju i martwiła się do czasu aż źle się poczuła.

Bardziej od wszystkiego innego, chciała żeby tu był. Chciała żeby zobaczył jej sukienkę którą miała na sobie- blado złotą i przylegającą do ciała bardziej niż wszystko co zwykle nosi – z nadzieją że Jace polubi ją, ale nie zobaczy jej w tym. To była drobnostka jak na takie zamartwianie się i wiedziała to: chodziłaby w beczie do końca życia, jeśli wiedziałaby, że dzięki temu Jace'owi się polepszy.. Do tego on zawsze mówił jej że jest piękna, i nigdy nie skarżył się że zazwyczaj nosi jeansy i adidas, ale myślała że on to lubi.

Stojąc naprzeciwko lustra, wieczorem, czuła się prawie piękna. Jej mama zawsze mówiła że była spełniona, i Clary patrząc na swoje własne odbicie chciała, żeby to samo przydarzyło się jej. Nie była już tak płaska jak wcześniej- musiała zwiększyć numer stanika w zeszłym roku- i jeśli patrzyła, myślała co mogłaby polepszyć- tak, jej zdecydowane biodra. Miała krzywe. Może są małe, ale gdzieś trzeba zacząć.

Bizuterię miała prostą. Bardzo prostą.

Wzięła rękę do góry i dotknęła pierścień Morgensterna na szyi. Założyła go dziś pierwszy raz od wielu dni. Czuła jakby to był cichy gest zaufania dla Jace'a, sposób sygnalizacji że jest lojalna, nie ważne czy o tym wiedział czy nie. Zdecydowała że założy go kiedy znowu go spotka.

-Clarissa Morgenstern? -powiedział głos za jej plecami.

Clary obróciła się zdziwiona. Ten głos nie był znajomy. Stała tam szczupła dziewczyna która wyglądała na 20 lat. Jej skóra była mleczno biała, pasmowane żyłki czysto zielone , i jej blond włosy miały ten sam odcień zielonego. Jej oczy były intensywnie niebieskie, jak rzeźba i miała na sobie kombinację niebieskiej sukienki, więc Clary myślała że powinno być jej zimno. Wspomnienia płynęły powoli z głębin.

-Kaelie- powiedziała Clary powoli, uznając że faerie była kelnerką w Taki, która serwowała jej i Lightwoodom więcej niż jeden raz, mignięcia przypominały jej że było parę zawiadomień że Jace i Kaelie się rozstali, ale fakt, w obliczu wszystkiego innego że nie mogła zająć sobie głowy myśleniem o tym. -Ja nie przypuszczałam... znasz Luke'a ?

- To nie przypadek że jestem gościem tutaj.- powiedziała Kaelie, jej szczupłe ręce śledziły od niechcenia obojętne gesty w powietrzu- Moja pani powiedziała żebyś cię znalazła- nie uczestniczyła w uroczystości.- spojrzała zaciekawiona przez jej ramię, jej całe niebieskie oczy zaświeciły. - Nie wiedziałam że twoja matka wychodzi za wilkołaka.

Clary uniosła brwi- I co?

Kaelie spojrzała w górę i w dół z lekkim rozbawieniem- Moja pani powiedziała że możesz być trochę twarda, mimo twojego małego wzrostu. W Court by patrzyła na to że jesteś niska.

-Nie jesteśmy w Court.- powiedziała Clary - I nie jesteśmy w Taki, co znaczy, że przyszedłeś do mnie, co znaczy że masz 5 sekund do powiedzenia mi co Królowa Jasnego Dworu chce ode mnie. Nie lubię jej za bardzo co znaczy że nie będę pionkiem w jej grze.

Kaelie wskazała smukłymi zielonymi paznokciami na gardło Clary- Moja pani powiedziała żebyś zapytała się ciebie - powiedziała- Dlaczego założyłaś pierścień Morgensterna. Czy to znaczy że przyznajesz się do swojego ojca?

Ręce Clary powędrowały do jej gardła

- To dla Jace'a, ponieważ on mi go dał.- powiedziała zanim zdążyła się powstrzymać, teraz jednak siedziała już cicho. Królowa nie powinna wiedzieć więcej niż wie.

-Ale on nie jest Morgenstern- powiedziała Kaelie- Tylko Herondale, a oni mają swój własny pierścień. Wzór czapli zamiast spadającej gwiazdy. I lepszy od niego, a nie obojętny jak Lucyfer.

-Kaelie- powiedziała Clary przez zęby- Co chce Królowa ode mnie ?

Faerie zaśmiała się- Dlaczego- powiedziała- tylko po to by dać ci to. - odsłoniła coś co było w jej ręce, cienki złoty, wisiołek z dzwonkiem z pętelką na końcu tak żeby mógł być nawleczony na łańcuszek. Kaelie poruszyła ręką, w kierunku jej ,dzwoneczek zadzwonił, zaświecił słodko jak deszcz. Clary skurczyła się.

-Nie chce przyjmować prezentów od twojej pani. -powiedziała- która przychodzi przestraszona z kłamstwami i oczekiwaniami. Nie zawdzięczam jej nic.

- To nie prezent. - powiedziała Kaelie niecierpliwie.- To dla wezwania. Królowa wybacza ci twój wcześniejszy upór. Rozumie że będzie czas w przyszłości kiedy będziesz jej potrzebować. Jest chętna oferować ci to, powinnaś wziąć to pod uwagę. Po prostu weź ten dzwonek, zadzwoni, i czekaj na Court którzy przyjdą po ciebie i zabiorą cię do niej.

Clary potrząsnęła głową- Nie założę tego.

Kaelie wzruszyła ramionami.

- Będzie Cię to drogo kosztować, jeśli tego nie weźmiesz.

I jak we śnie, Clary widziała swoje ręce jak brały wisiorek.

- Powinnaś zrobić wszystko aby był bezpieczny. - powiedziała Kaelie, jej głos był cieniutki i słodki jak dzwoneczek. - Cokolwiek będzie cie to kosztować, cokolwiek będziesz zawdzięczać Piekłu lub Niebu, dobrze?

Jej głos dzwonił w Clary głowie. Czy ty kiedykolwiek zastanawiałaś się ile nieprawdy mogło być w bajce jaką matka mówiła ci, serwowała ci proponując powiedzieć? Czy ty naprawdę myślisz że wiesz wszystkie sekrety z dzieciństwa?

Madame Dorothea powiedziała Jace'owi że zakocha się w niewłaściwej osobie.

Jest on bez ochrony. Ale to może być trudne.

Dzwonek zabrzmiał kiedy Clary wzięła go. Złożyła go w dłoni. Kaelie uśmiechnęła się, jej oczy zaświeciły jak szklane paciorki.

-Mądry wybór.

Clary zawahała się. Ale zanim mogła oddać wisiorek faerie, usłyszała jak ktoś ją woła, i obróciła się żeby zobaczyć swoją mamę, która szła do niej przez tłum. Obróciła się naprędce i nie zdziwiła się że Kaelie gdzieś zniknęła, rozplynęła się w tłumie jak mgła w porannym słońcu.

-Clary- powiedziała Jocelyn, obejmując ją- Szukałam cię, i wtedy Luke zauważył cię, stojącą tu samą. Czy wszystko w porządku?

Stojącą samą. Clary wiedziała jaki rodzaj niewidzialności użyła Kaelie : jej matka powinna być w stanie ją zobaczyć.

-Wszystko w porządku, mamo.

- Gdzie Simon? Myślałam że przyjdzie.

Oczywiście myślała najpierw o Simonie, pomyślała Clary, nie o Jace'ie. Nawet jeśli Jace powinien przyjść, jako chłopak Clary, on powinien być tu nawet wcześniej- Mamo,- powiedziała, a potem zrobiła przerwę.- Myślisz że kiedykolwiek polubisz Jace'a ?

Oczy Jocelyn pociemniały.

- Nie zauważyłam żeby tu był, Clary. Po prostu nie wiem dlaczego chcesz o tym rozmawiać.

-Mam na myśli- Clary powiedziała zawzięcie- Czy myślisz że jest coś co mógłby zrobić żebyś go polubiła?

-Tak- powiedziała Jocelyn- Mógłby sprawić że jesteś szczęśliwa. - dotknęła twarz Clary lekko, i Clary zacisnęła swoją ręką, czując dzwoneczek przyciśnięty do jej skóry.

- Sprawia że jestem szczęśliwa- powiedziała- Ale nie może kontrolować wszystkiego na świecie, mamo. Wszystko to, co się dzieje....- szukała słów. Jak mogła wyjaśnić że to nie Jace sprawia że jest nieszczęśliwa, ale to co się z nim dzieje, bez mówienia jej co to było ?

- Kochasz go za bardzo- powiedziała Jocelyn łagodnie- Przeraża mnie to. Zawsze chciałam cię chronić.

-I zobacz jak to się skończyło. - Clary zaczęła, a potem uspokoiła swój głos. To nie był dobry czas żeby winić matkę lub walczyć z nią, nie teraz. Nie z Luke'iem patrzącym na mnie od drzwi, jego twarz płonęła miłością i niepokojem.- Jeśli byś go znała- powiedziała trochę beznadziejnie- Ale zgaduję że wszyscy mówią tak o swoich chłopakach.

-Masz rację- powiedziała Jocelyn, zadziwiając ją- Nie znam go za dobrze. Widzę go i przypomina mi trochę jego matkę. Nie wiem dlaczego- nie wygląda jak ona, myślę tylko, że była taka piękna i była tak strasznie wrażliwa jak on ..

- Wrażliwa?- Clary była zdziwiona. Nigdy nie podejrzewała, że jest ktoś, kto również uważa, Jace jest wrażliwy.

- O, tak- powiedziała Jocelyn- Chcę ją nienawidzić za to że Stephen zostawił dla niej Amatis, ale nie możesz nie chcieć chronić Celine. Jace był za mały na to.- jej głos był zamyślony- Albo może to była taka piękna rzecz, ale prosta dla złamania świata.- opuściła ręce- To nie ma znaczenia. Mam moje wspomnienia z którymi się zmagam, ale to moje wspomnienia. Jace nie powinien wytrzymywać ich ciężaru. Powiem ci coś. Jeśli nie kochałby cię tak, jak kochał i to jest wypisane na jego twarzy zawsze kiedy na Ciebie patrzy- nie tolerowałabym go nawet przez moment. Więc wspomnij to, kiedy będziesz na mnie zła.

Machnęła na Clary pokazując, że nie jest zła z uśmiechem i szczęśliwa w sprawie wyboru, i wróciła do Luka z ostatnim odwołaniem się do Clary żeby dostać się do tłumu i zmieszać z nim. Clary skinęła głową i nie powiedziała nic, patrząc jak jej matka odchodzi i czując dzwonek gdy chwyciła go. Poczula pieczenie, jakby złapała końcówkę zapalki. Miejsce wokół Ironworks było tylko magazyny i galerie sztuki, rodzaj okolicy która jest pusta w nocy, więc Jordan i Siomon Mie szukali długo miejsca na parking. Simon zeskoczył z samochodu, po to żeby znaleźć Jordana, który był już na chodniku, patrząc na niego krytycznie.

Simon nie wziął ze sobą jakiś fajnych ciuchów kiedy wychodził z domu - nie miał nic lepszego od śmiesznej kurtki po tacie,- więc on i Jordan spędzili popołudnie w East Village na zakupach w poszukiwaniu stroju godnego tej uroczystości. W końcu znaleźli stary garnitur Zegna w przesyłkowym sklepie zwanym Love Saves the Day, najczęściej sprzedającym błyszczące buty na koturnach i sześćdziesiąt chust Pucciego. Simon podejrzewał że to tutaj Magnus zdobywał swoje ubrania.

-Co- powiedział teraz, pół świadomie, ściągając rękawy garnituru. Był trochę za mały dla niego, ale Jordan powiedział że nigdy więcej go nie założy, tylko ten 1 raz. - Jak źle wyglądałam?

Jordan wzruszył ramionami

- Nie potłuczesz żadnego lustra -powiedział. - Chciałbym tylko żebyś był uzbrojony. Chcesz czegoś? Sztylet może?- otworzył odrobinę kurtkę garnituru i Simon zobaczył coś długiego i metalowego lśniącego od wewnętrznej poszewki.

- Nie wiedziałem że Ty i Jace lubicie się tak bardzo. Jesteście zwariowani z tą bronią.- Simon pokręcił głową w trudzie i obrócił głowę w kierunku wejścia do Ironworks. To było naprzeciwko ulicy, dzika złota markiza rzucająca cień prostokąta na chodnik, który był udekorowany ciemnym czerwonym dywanem ze złotymi obrazami przedstawiające wilkołaki stąpające na nich. Simon nie mógł powstrzymać się być trochę rozbawiony.

Pochylając się nad jednym z nim, trzymając się markizy, stała Isabelle. Miała upięte włosy i była ubrana w długą czerwoną sukienkę, miała szczelinę z boku pokazując jej nogę. Pętla złota wspinała się na jej prawym ramieniu. Wyglądała jak bransoleta, ale Simon wiedział że to był bat. Miała ukryty Znak. Splotła ręce gwałtownie aż jej drogę w górę swojego uda, naszyjnik na jej gardle. i dekoracje na piersi, było dobrze wiele których była widoczna, dzięki tłoczonemu dekolтови sukni. Simon próbował się nie gapić.

- Hej Isabelle- powiedział

Obok niego Jordan oczywiście również próbował się na nią nie gapić.

-Um- powiedział- Hej. Jestem Jordan.

- Spotkaliśmy się - powiedziała Isabelle chłodno, ignorując jego wyciągniętą rękę- Maia próbowała rozedrzeć twoją twarz. Całkiem słusznie.

Jordan wyglądał na zmartwionego.- Jest tutaj? Wszystko z nią w porządku?

- Jest tutaj. -powiedziała Isabelle- To jak się czuje nie leży w twoim interesie.

- Czuje się odpowiedzialny- powiedział Jordan.

- I gdzie te uczucie się ulokowało? W twoich spodniach, może?

Jordan wyglądał na oburzonego.

Isabelle machnęła lekko udekorowaną ręką.

-Słuchaj, cokolwiek zrobiłeś w przeszłości, to przeszłość. Wiem że jesteś Preator Lupus, teraz, i powiedziałam to Mai, co to znaczy. Była skłonna do zaakceptowania tego że jesteś tutaj i ignorować cię. Ale to wszystko co dostaniesz. Nie niepokój jej, nie próbuj rozmawiać z nią, w ogóle na nią nie patrz, albo raz na pół tak wiele razy będziesz wyglądał ja origami, wilkołaku.

Simon odchrząknął.

-Śmieję się z daleka- Isabelle wskazała na niego-Z tobą też nie chce gadać. Pomimo faktu, wygląda dzisiaj fenomenalnie - i jeśli spróbujecie coś jej zrobić, będę po jej stronie. Chyba, że ona zgodzi się rozmawiać z wami. Kumacie?

Skinęli głowami, patrząc na swoje buty jak skarani uczniowie którzy właśnie zostali przyłapani.

Isabelle odwróciła się do bieguna.

-Świetnie. Chodźmy już.

Tłumaczenie: [Te_Amo_Love](#)

Korekta: [Tellave, Karolina.julia](#)

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Beati Bellicosi

We wnętrzu Ironworks było dużo połyskujących, wielokolorowych świateł, które wszystko oświetlały. Kilka osób właśnie siedziało, ale większość kręciło się wokół, niosąc pełne kieliszki szampana, w którym syczała ciecz. Kelnerami byli wilkołaki, co zauważył Simon. Cała impreza wydawała się być oddaniem hołdu Luke'owi przez jego paczkę, która chodziła koło gości, roznosząc im szampana w kieliszkach. Simon przypominał sobie imprezę Magnusa. To było wydarzenie, od którego nie czuł się bezpieczny pijąc cokolwiek co wcześniej nie spróbował, nie znał. Zresztą i tak nie mógł pić niczego, co nie było krwią, bo znowu byłby chory.

Maia stała obok jednego z marmurowych filarów, rozmawiając i śmiejąc się z dwoma innymi wilkołakami. Była ubrana w pomarańczową, satynową sukienkę, która podkreślała jej ciemny kolor skóry. Jej włosy były dziwnie rozkopane, a brązowo-złote loki opadały jej na twarz. Kiedy zobaczyła, że Simon i Jordan jej się przyglądają, odwróciła się do nich bokiem. Tył jej sukienki miał wycięcie w kształcie litery V, przez co było widać jej spory kawałek pleców, jak i tatuaż w jej dolnym odcinku kręgosłupa.

- Nie pamiętam, żeby to miała kiedy ją poznałem. - powiedział Jordan. - Mam na myśli tatuaż.

Simon spojrział na Jordana. Mówił w taki sposób o swojej eks dziewczynie, jakby za nią tęsknił, co podejrzewał Simon. Miał chęć walnąć go pięścią w twarz, ale zobaczyłaby to Isabelle, i musiał być ostrożny.

- No chodź. - powiedział klepiąc Jordana po barku. - Zobaczymy gdzie siedzimy.

Isabelle, która ich obserwowała, uśmiechnęła się dziko

- Dobry pomysł. - powiedziała.

Zaczęli przepychać się przez tłum ludzi, do miejsca, gdzie były ustawione stoły, znajdując swój, w połowie już zajęty. Clary zajmowała jedno z miejsc, spoglądając na stół, gdzie stał kieliszek do szampana, w którym było to co najbardziej lubiła, piwo. Obok niej był Alec i Magnus, obydwoje w czarnych garniturach. Magnus bawił się swoim białym szalikiem. Alec miał ramiona skrzyżowane na piersi, wpatrując się zaciekle w jakiś odległy punkt.

Clary spojrzała na Simona i Jordana. Wstała, i obeszła stół by przywitać się z Simonem, który zauważył, że była ubrana w złotą, jedwabną sukienkę, i w takim samym kolorze sandały. Bez szpilek, przez które byłaby wyższa, wyglądała na niską. Pierścień Morgensternów wisiał na jej łańcuszku, a jego srebro lśniło. Uścisnęła go i szepnęła mu na ucho. - Myślę, że Alec i Magnus się pokłócili.

- Na to wygląda. - mruknął. - Gdzie twój chłopak?

Kiedy to powiedział, dziewczyna odsunęła się od niego, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Jest w Instytucie. - powiedziała, odwracając się. - Cześć, Kyle.

Chłopak uśmiechnął się lekko. - Jordan, właściwie.

- Tak słyszałam. - odpowiedziała, i wskazała na stół. - Może lepiej usiądźmy. Myślę, że niedługo będzie toast. A później, mam nadzieję, jedzenie.

Usiedli i zapadła długa, niezręczna cisza.

- Więc... - powiedział wreszcie Magnus, który wziął kieliszek i po którym krawędzi jeździł palcem. - Jordan. Słyszałem, że jesteś w Praetor Lupus. Widziałem twój medalion, co on tak właściwie oznacza?

Jordan skinął głową. Był lekko czerwony, jego orzechowe oczy dziwnie błyszczały, jego uwaga najwyraźniej skupiała się wcześniej na obserwowaniu innych. Spoglądał na Maię, która krążyła po pomieszczeniu. Jego dłonie nerwowo zaciskały się i napinały, kiedy bawił się obrusem. Simon stwierdził, że chyba nawet nie był tego świadomy.

- Beati Bellicosi: błogosławieni bądźcie wojownicy. - powiedział.

- Dobra organizacja. - odpowiedział Magnus. - Znam mężczyznę, który ją założył w 1800 roku, Woolset Scott. Pochodził z szanowanej, starej rodziny wilkołaków.

- Z nim też spałeś? - z gardła Aleca wydobył się dziwny dźwięk.

Oczy Magnusa zrobiły się wielkie. - Alexander!

- Więc, nie wiem nic o twojej przeszłości, wiesz? - mruknął Alec. - Nic mi nie mówisz, powtarzasz tylko, że to bez znaczenia.

Twarz Magnusa nic nie wyrażała, a w jego głosie było słychać nutę gniewu. - To znaczy, że za każdym razem, gdy wspomnę kogoś znajomego, będziesz mnie pytał czy miałem z nim romans?

Alec wyglądał na upartego, ale Simon mimo to posiadał do niego nutę sympatii. W jego niebieskich oczach można było dostrzec ból. - Może.

- Spotkałem raz Napoleona. - powiedział Magnus. - Nie mieliśmy żadnego romansu. Był szokująco pruderyjny dla Francuzów.

- Spotkałeś Napoleona?

Jordan, choć wyglądał na zagubionego w rozmowie, kiedy to usłyszał, był pod wrażeniem.

- Czyli to jest prawdą co mówią o czarownikach.

Alec obdarował go nieprzyjemnym spojrzeniem – Niby co?

- Alexandrze - powiedział chłodno Magnus. Simon i Clary spojrzeli się na siebie nad stołem. Jej oczy były szeroko otwarte, zielone, i zwiastowały kłopoty. - Nie musisz być niemiły dla wszystkich z którymi rozmawiam.

Alec zamachnął lekceważąco dłońmi. - Dlaczego nie? Kopiuję twój styl, czyż nie? A może miałeś nadzieję poflirtować z wilkołakiem tutaj? Jest całkiem przystojny, jeśli lubisz nieład na głowie, szerokie bary, dobrze wyrzeźbioną posturę.

- Ej, już. - powiedział łagodnie Jordan.

Magnus ukrył twarz w dłoniach.

- Jest tutaj też mnóstwo pięknych dziewczyn, przecież twój gust działa w obie strony. Czy jest coś, w czym się nie specjalizujesz?

- Syreny. - powiedział Magnus w jego palce. - One zawsze pachniały jak wodorosty.

- To nie jest śmieszne. - powiedział ostro Alec. Kopnął tył jego krzeselka, wstał ze stołu i odszedł mieszając się z tłumem.

Magnus nadal trzymał głowę w dłoniach, jego sklezione włosy wyglądały na czarne kolce, które wystawały pomiędzy palcami. - Nie rozumiem. - powiedział sam do siebie. - dlaczego przeszłość ma takie znaczenie.

Simon był zaskoczony odpowiedzią Jordana. - Przeszłość zawsze ma znaczenie. - powiedział.
- Tak oni mówią kiedy dołączasz się do Praetor. Nie możesz zapomnieć o rzeczach, które zrobiłeś w przeszłości, albo nigdy nie dostaniesz nauczki.

Magnus spojrzał do góry, jego złoto zielono oczy lśniły pomiędzy jego placami. - Ile masz lat? - spytał surowo. - Szesnaście?

- Osiemnaście. - powiedział Jordan, patrząc z lekkim przestachem.

Wiek Aleca' pomyślał z zaskoczeniem Simon. Nie uważał kłótni Aleca i Magnusa za śmieszną, ale było ciężko nie odczuć gorzkiego zadowolenia Jordana. Wilkołak był dwa razy większy od Magnusa- mimo bycia wysokim, Magnus był smukły, chodź bardziej chudy- ale Jordan naprawdę się go bał. Simon odwrócił się by zerknąć na Clary, ale ona wpatrywała się na frontowe drzwi, jej twarz nagle zbladła. Jej serwetka spadła ze stołu, a ona mruknęła. - Przepraszam. – Wstała i praktycznie schowała się pod stołem.

Magnus podniósł ręce do góry. - A więc, jeśli wszyscy mają masowo wyjść... - powiedział, i wstał wdzięcznie, zarzucając swój szal wokół szyi. Zniknął w tłumie, prawdopodobnie szukając Aleca.

Simon spojrzał na Jordana, który ponownie spoglądał na Maię. Była odwrócona do nich tyłem i rozmawiała z Luke i Jocelyn, śmiejąc się, a tym samym zarzucając swoje kręcone włosy do tyłu. - Nawet o tym nie myśl. - powiedział Simon wstając. Wskazał na Jordana. - Zostajesz tutaj.

- I co mam robić? - powiedział wymagająco Jordan.

- Cokolwiek w takiej chwili robią członkowie Praetor Lupus. Medytować. Zbierać swoje siły Jedi. Cokolwiek. Wróć za pięć minut, a ty tu lepiej siedź.

Jordan skrzyżował ręce na piersiach, wyrażając swój bunt, ale Simon nie zwracał na to uwagi. Odwrócił się i ruszył w stronę tłumy, podążając za Clary. Jej ciało było plamką złota i czerwieni, wyróżniającą się jasnym kłębkim loków.

Złapał ją, gdy była koło jednego z filarów, i położył swoją dłoń na jej ramieniu. Odwróciła się przestraszona w jego stronę, jej oczy były szeroko otwarte. Jej ręka była podniesiona, jakby chciała zdjąć jego rękę. Kiedy zobaczyła, że to on uśmiechnęła się.

- Przestraszyłeś mnie!

- Oczywiście... - odpowiedział. - Co się dzieje? Czemu jesteś taka spięta?

- Ja... - dziewczyna obniżyła swoją dłoń, i wzruszyła ramionami. Pomimo tego, że wyglądała na rozluźnioną, była też zamyślona. Jej serce biło tam głośno, jak młot. - Myślałam, że widziałam Jace'a.

- Tak myślałem. - odpowiedział Simon. - Ale...

- Ale?

- Wyglądasz naprawdę na przestraszoną.

Nie był właściwie pewny dlaczego to powiedział, i chciałby to cofnąć. Jej wargę lekko drgnęła, zawsze tak się działo, gdy była zdenerwowana. Spojrzała gdzieś daleko, jakby szukała kogoś znajomego. Jedną z rzeczy, dzięki której zawsze ją kochał, była jej wyobraźnia. Tak łatwo mogła wyobrazić sobie inną rzeczywistość, popaść w świat mangi i przeznaczenia. Kiedyś mógł zrobić to samo, być w stanie żyć wyimaginowanym światem, ekscytującym, bezpiecznym - fikcyjnym. Teraz, w rzeczywistości, mógł sobie tylko wyobrazić to, zastanawiać się czy ona, jak on, tęskniła za przeszłością, normalnością. Wyobrażał sobie czasami normalność, ale nie była taka jak kiedyś, już nigdy taka nie będzie.

- Przeżywa ciężkie chwile. - powiedziała powoli. - Boje się o niego.

- Wiem. - odpowiedział Simon. - Wiesz, nie chcę się wtrącać, ale czy on wie co się złego z nim dzieje? Lub ktokolwiek?

- On... - Clary przerwała. - Wszystko z nim w porządku. Ma po prostu ciężkie chwile i problemy ze sprawami związanymi z Valentine'em. No wiesz.

Simon wiedział. Widział, że kłamie. Clary, która prawie nigdy przed nim niczego nie ukrywała. Spojrzał na nią uważnie.

- Ma koszmary. - powiedziała. - Jest zmartwiony tym, że może mieć w tym udział demon.

- Udział demona? - powtórzył z niedowierzaniem Simon. Wiedział o tym, że Jace ma koszmary, ale nigdy nie wspominał o demonach.

- Najwidoczniej są rodzaje demonów, które starają się dotrzeć do siebie za pomocą twoich snów. - powiedziała Clary, głosem brzmiącym jakby czegoś żałowała. - ale, jestem pewna, że to nic. Każdy ma czasami koszmary, prawda? - Położyła dłoń na ramieniu Simona. - Idę zobaczyć co z nim. Wrócę niedługo.

Jej wzrok przypominał mu to, jak patrzyła na niego w przeszłości. Poszła w kierunku drzwi, które prowadziły na taras. Simon skinął głową i pozwolił jej odejść, patrząc jak odchodzi od tłumu.

Wyglądała na taką kruchą, małą, taką jaka była w pierwszej klasie. Przychodził po nią do domu i patrzył jak schodzi po schodach, mała i zdeterminowała, trzymając w ręce swoje pudełko z lunchem, które obijało jej się o kolano. Czuł swoje serce, które już nie biło, i zaczął się zastanawiać, czy jest cokolwiek na świecie bardziej bolesne niż nie móc chronić ludzi których się kocha.

- Wyglądasz na chorego. - usłyszał głos za sobą. - Myślisz o tym, jak straszną osobą jesteś?

Simon odwrócił się i zobaczył Maię, opierającą się o filar za nim. Na jej szyi tańczyły plamki światła, jej twarz była czerwona, od gorąca panującego w pomieszczeniu, którego nie czuł, a w ręce trzymała szampana.

- Albo powinnam powiedzieć, - ciągnęła. - jakim okropnym wampirem jesteś. Z wyjątkiem tego, że brzmi to jakbyś był okropny w byciu wampirem.

- Jestem zły w byciu wampirem. - odpowiedział Simon. - Ale to nie znaczy, że nie jestem zły w byciu chłopakiem.

Maia uśmiechnęła się krzywo. - Bat powiedział, że nie powinnam być dla ciebie taka ostra. - powiedziała. - Powiedział, że faceci robią głupie rzeczy kiedy dziewczyny są nim zainteresowane. Szczególnie ci, którzy nie mają zbyt dużo szczęścia do kobiet.

- Jakby widział moją duszę i co czuję.

Maia potrząsnęła głową. - Trudno jest obrazić się na ciebie. - powiedziała. - Ale pracuje nad tym. - dodała, odwracając się.

- Maia. - powiedział Simon. Zaczęła boleć go głowa, i czuł się nieco zakręcony. Jeśli teraz do niej nie zagada, możliwe, że już nigdy tego nie zrobi. - Poczekaj, proszę.

Odwróciła się i spojrzała na niego pytająco.

- Przepraszam za to, co zrobiłem. - powiedział. - Wiem, że powinienem to powiedzieć wcześniej, ale naprawdę żałuję.

Maia wzruszyła ramionami, a z jej twarzy nie dało się wyczytać żadnych emocji.

- Może Bat ma rację. - powiedział. - Ale myślę, że jest coś więcej niż tylko to. Chcę być z tobą ponieważ, może zabrzmiało to samolubnie, ale powodujesz, że czuję się jak człowiek. Tak, jak kiedyś się czułem.

- Jestem wilkołakiem, Simon. Nie jestem normalna.

- Ale ty, ty jesteś... - powiedział, gubiąc się w słowach. - Jesteś prawdziwa, realna, jesteś jedną z najbliższych mi osób jakich znam. Chcesz grać ze mną w Halo. Chcesz rozmawiać o komiksach, chodzić na koncerty, tańczyć, robić normalne rzeczy. Powodujesz, że czuję się normalny. Nigdy nie nazwałaś mnie Chodzącym za dnia albo „Wampir”, tylko Simon.

- To wszystko robią przyjaciele. - powiedziała Maia, znów opierając się o filar. Jej oczy lśniły lekko gdy mówiła. - Nie dziewczyny.

Simon spojrzał na nią. Jego ból głowy pulsował jak bicie serca.

- A później przychodzisz... - dodała. - wraz z Jordanem. Co ty sobie myślałeś?

- To nie sprawiedliwe. - zaprotestował Simon. - Nie wiedziałem, że to twój ex...

- Wiem, Isabelle mi powiedziała. - przerwała mu Maia. - Czuję się jakbym dawała ci jakąś karę.

- O tak? - Simon spojrzał na Jordana, który siedział sam przy stole, jak ktoś kto został wystawiony na randce. Simon poczuł się zmęczony, zmęczony martwieniem się o wszystkich, zmęczony tym, że czuł się winny przez to co zrobił, i prawdopodobnie zrobi w przyszłości. - Więc, czy Izzy powiedziała ci, że Jordan przypisał się do mnie, żeby mógł być blisko ciebie? Powinnaś usłyszeć jak pyta o ciebie. To jak nawet wypowiada twoje imię. I to człowiek, który zaczął na mnie krzyczeć kiedy się dowiedział, że cię zdradzam...

- Nie zdradziłeś mnie. My się nie umawialiśmy. Zdrada to co innego...

Simon uśmiechnął się do Mai, ale gdy zobaczył jej minę zarumienił się. - Myślę, że dobrze jest, że go nie lubisz aż tak bardzo, że weźmiesz moją stronę przeciw jego, mimo wszystko. - powiedział.

- Minęły lata. - powiedziała. - On nigdy nie próbował utrzymywać ze mną kontaktu.

- Próbował. - powiedział Simon. - Czy wiedziałaś, że w noc, w którą cię ugryzł, była to jego pierwsza przemiana?

Potrząsała głową, odrzuciła swoje włosy do tyłu, jej szeroko otwarte bursztynowe oczy były bardzo poważne. - Nie, myślałam, że on wie...

- To, że jest wilkołakiem? Nie. On wiedział, że traci kontrolę w pewien sposób, ale kto zgadłby w którym momencie zmieniliby się w wilkołaka. Dzień kiedy ciebie ugryzł, poszedł cię odnaleźć, ale Praetor zatrzymał go. Trzymali go z daleka od ciebie. Nawet wtedy nie przestał szukać. Nie myślę, że aby po dwóch latach odkąd odszedł nie przestał ciebie szukać.

- Dlaczego go bronisz? - szepnęła.

- Ponieważ powinnaś wiedzieć. - powiedział Simon. - Zawałem w byciu chłopakiem i jestem ci coś winien. Powinnaś wiedzieć, że on nie chciał ciebie zostawić. Przygarnął mnie ponieważ twoje imię było wspomniane w moich notatkach.

Potrząsnęła głową, lśniąca światła jej nadgarstków migotały jak gwiazdy. - Po prostu nie wiem co powinnam z tym zrobić, Simon. Co powinnam zrobić?

- Nie wiem. - powiedział Simon. Czuł jakby w jego głowie ktoś wbijał paznokcie. - Ale mogę powiedzieć ci jedną rzecz. Jestem ostatnim facetem na świecie, któremu powinnaś zadawać pytania o związki. - Nacisnął ręką na swoje czoło. - Idę zaczerpnąć powietrza. Jordan jest przy stole jeśli chcesz z nim porozmawiać.

Wskazał w kierunku stołów i odwrócił się, odchodząc z dala od jej pytających oczu, jak i innych. Dźwięk rosnących głosów i śmiechów spowodował, że wyszedł szybko na zewnątrz.

Clary pchnęła drzwi, wychodząc na taras i powitał ją powiew zimnego powietrza. Zadrżała, marząc o swoim płaszczu, ale nie chciało jej się wracać do stołu, by go wziąć. Stała na zewnątrz, zamykając wcześniej drzwi.

Taras był wyłożony płytami chodnikowymi i otoczony przez barierki. Pochodnie płonęły w wielkich cynowych stojakach, które dawały poczucie lekkiego ciepła, co prawdopodobnie wyjaśniało dlaczego nikt nie był na zewnątrz prócz Jace'a. Stał oparty o barierkę, spoglądając wzdłuż rzeki.

Chciała do niego podbiec, ale wahała się. Był ubrany w czarny garnitur, miał rozpiętą marynarkę, pod którą miał białą koszulę. Jego głowa była zwrócona w przeciwną stronę od miejsca w którym stała. Nigdy nie widziała go tak ubranego, a strój sprawił, że wyglądał na starszego. Wiatr z nad rzeki mierzwił jego włosy, i zobaczyła małą bliznę na jego szyi, gdzie ugryzł go Simon. Przypomniała sobie, jak Jace pozwolił ugryźć się Simonowi, ryzykując swoje życie dla niej.

- Jace. - powiedziała.

Odwrócił się i spojrzał na nią z uśmiechem. Ten uśmiech był znajomy i powodował, że coś się w niej odblokowało, uwalniając ją do biegu do niego, i rzuceniu mu się w ramiona. Podniósł ją do góry i trzymał nad ziemią przez dłuższy czas, jego twarz zanurzyła się w jej szyi.

- Wszystko z tobą w porządku. - powiedziała w końcu, kiedy uwolnił ją z uścisku. Starła się powstrzymać łzy zbierające się w jej oczach. – To znaczy, Cisi Bracia i tak nie chcieliby cię wypuścić jeśli nie czułyś się dobrze, ale chyba mówili, że rytuał miał trwać dłuższy czas. Nawet kilka dni.

- Nie trwał.

Położył swoje ręce na obydwóch stronach jej twarzy i uśmiechnął się do niej. Pod łukiem mostu Queensboro płynęła rzeka. - Znasz Cichych Braci. Lubią robić wielką sprawę ze wszystkiego. Ale tak naprawdę to jest całkiem prosta ceremonia. - uśmiechnął się. - Czułem się głupio. To ceremonia dla małych dzieci, ale wciąż myślałem o tym, by zrobić to jak najszybciej. Chciałem zobaczyć ciebie w twojej seksownej wyjściowej sukience. To pozwoliło mi przetrwać. - jego oczy prześledziły ją z góry na dół. - I mogę powiedzieć, że się nie zawiodłem. Wyglądasz wspaniale.

- Ty też nieźle wyglądasz. - zaśmiała się poprzez łzy. - Nie myślałam nawet, że masz garnitur.

- Nie miałem. Musiałem kupić. - przesunął swoimi kciukami po jej kościach policzkowych, wycierając jej łzy. - Clary...

- Dlaczego wyszedłeś? - spytała. - Jest zimno. nie chcesz wrócić do środka?

Potrząsnął głową. - Chciałem porozmawiać z tobą na osobności.

- Więc mów. - powiedziała w półszepcie. Wzięła jego dłonie ze swojej głowy i położyła na swej tali. Jej potrzeba bycia utrzymaną przez niego jeszcze raz była przytłaczająca. - Czy wszystko w porządku? Czy wszystko będzie ok? Proszę, nie ukrywaj nic przed mną. Po tym wszystkim co się stało powinienś wiedzieć, że mogę udźwignąć złe wiadomości.

Wiedziała, że jej zęby drżą przez nerwy, ale nie mogła temu zapobiec. Jej serce biło tysiąc razy na minutę.

- Chce tylko, żeby było z tobą wszystko w porządku. - powiedziała spokojnie jak tylko mogła. Jego złote oczy pociemniały. - Cały czas przeglądam to pudełko, to które należało do mojego ojca. Nic wobec niego nie odczuwam. Listy, zdjęcia. Nie wiem, kim są ci ludzie. Nie są dla mnie prawdziwi. Valentine był prawdziwy.

Clary zamrugła. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. - Pamiętaj, mówiła, że to zajmie to trochę czasu.

Wyglądał, jakby jej nie słuchał. - Kiedy będę Jace'em Morgensternem, będziesz nadal mnie kochać? Jeśli będę Sebastianem, będziesz mnie kochać?

Zacisnęła jego dłonie. - Nigdy nie mógłbyś taki być.

- Jeśli Valentine zrobiłby to samo mi co Sebastianowi, dalej byś mnie kochała?

Clary nie wiedziała o co mu chodziło. - Ale wtedy nie byłbyś sobą.

Jego oddech był ciężki, prawie jakby skrzywdziła go odpowiedzią, ale jak to mogło się stać? To była prawda. On nie był taki jak Sebastian. Był sobą. - Nie wiem kim jestem. - powiedział.

- Patrząc na siebie w lustrze i widzę Stephena Herondale, ale czuję się jak Lightwood, i mówię tak jak mój ojciec, jak Valentine. Więc widzę kim jestem w twoich oczach i staram się taki być, ponieważ wierzysz w tą osobę. Myślę, że wiara może być wystarczająca, by sprawić, żebym był takim, jakim chcesz bym był.

- Jesteś już taki, jakim cię chce. Zawsze byłeś. - powiedziała Clary, ale nie mogła przestać czuć jakby rozmawiała w pustym pokoju. Czuła jakby Jace jej nie słuchał, nie ważne jak wiele razy powiedziała mu, że go kocha. - Wiem, że czujesz się jakbyś nie wiedział kim jesteś, ale ja wiem. I kiedyś sam się dowiesz. I w międzyczasie nie musisz się przejmować tym, że mnie stracisz, ponieważ to nigdy nie nastanie.

- Jest sposób.... - Jace spojrzał jej w oczy. - Daj mi swoją dłoń.

Zaskoczona Clary podała mu swoją dłoń, pamiętając pierwszy raz kiedy wziął jej rękę w ten sposób. Szukał wtedy runu- otwartego oka na wierzchu jej dłoni, który teraz tam miała. Jej pierwszy Znak. Odwrócił jej dłoń, zatrzymując się na jej nadgarstku, na wrażliwym miejscu jej przedramienia.

Zadrżała. Wiatr znad rzeki sprawił, że poczuła go w kościach. - Jace, co robisz?

- Pamiętasz co powiedziałas o ślubach Nocnych Łowców? Że zamiast obrączek rysujemy sobie runy miłości i zobowiązania?

Spojrzał na nią, jego szeroko otwarte oczy, w których malowała się wrażliwość, były otoczone gęstymi, złotymi rzęsami.

- Chce naznaczyć cię w sposób jaki złączy nas, Clary. To tylko mały znak, ale trwały. Czy chcesz tego?

Clary zawahała się. Trwały run, kiedy oni są tacy młodzi, jej matka nigdy by tego nie poparła. Tyle że nic nie przekonywało go, że ona go kocha. Może to sprawi. Wyciągnęła stelę i dała mu ją. Wziął ją, dotykając stelą jej palców. Zadrżała mocniej, było jej zimno wszędzie prócz tam, gdzie ją dotykał. Przytulił ją do swojego ramienia i obniżył stelę, dotykając delikatnie jej skórę, poruszając nią z góry na dół delikatnie. Kiedy nie zaprotestowała, robił to z większym naciskiem. Tak jak zimno jej było, tak ogień ze steli był dla niej miły. Patrzała jak ciemne linie łączyły się kształtując wzór o kanciastych liniach.

Jej nerwy dawały o sobie znać. Wzór nie mówił o miłości i zobowiązaniu do niej. Było to coś innego, coś mrocznego, coś co mówiło o oddaniu i kontroli, o zagubieniu i ciemności. Czy narysował złą runę? Ale to był Jace, wiedział lepiej od niej. I wtedy poczuła początek rozprzestrzeniania się drętwienia jej ramienia, które pochodziło od miejsca, gdzie dotykała ją stela. Bolesne mrowienie, jakby jej nerwy obudziły się. Poczuła zawroty głowy, tak jakby taras, na którym stała, zaczął się ruszać.

- Jace. - powiedziała podniesionym głosem, z nutką niepokoju. - Jace, myślę, że to nie tak powinno być.

Chłopak puścił jej rękę. Trzymał w ręce stelę z taką gracją, z jaką trzymał też broń.

- Przepraszam Cię, Clary. - odpowiedział. - Chce być z tobą związany. Wiesz przecież, że nigdy bym nie skłamał w takiej sprawie.

Otworzyła usta, by go spytać o czym do licha mówi, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa. Zaczęła ogarniać ją ciemność, a ostatnią rzeczą jaką poczuła, gdy upadała, były ramiona Jace, które ją złapały.

Zdawało mu się, że całą wieczność krąży po wyjątkowo, jak na jego gust, nudnym przyjęciu, aż w końcu znalazł Aleca. Siedział on samotnie w kącie, za dużą wiązaną sztucznych białych róż. Na stole stało dużo kieliszków do szampana wypełnionych do połowy, jakby zostawili je tu goście. Alec sam wyglądał na porzuconego. Opierał broń na rękach i smętnie wpatrywał się w przestrzeń. Nie podniósł wzroku, nawet wtedy, gdy Magnus usiadł naprzeciwko niego.

- Chcesz wracać do Wiednia? - spytał.

Alec nie odpowiedział, tylko nadal patrzył przed siebie.

- Albo moglibyśmy pojechać w inne miejsce. - ciągnął Magnus. - Gdzie tylko chcesz. Do Tajlandii, Południowej Karoliny, Brazylii, Peru... Nie, zaczekaj, wypędzono mnie z Peru. Całkiem o tym zapomniałem. To długa historia, ale zabawna, jeśli chcesz posłuchać.

Sądząc po jego minie, Alec nie chciał słuchać żadnych jego opowieści. Odwrócił głowę, jakby niesamowicie zafascynował go kwartet smyczkowy.

W tej sytuacji Magnus postanowił coś zrobić, więc zaczął zmieniać kolory szampana w kieliszkach stojących na pobliskim stole. Robiły się niebieskie, różowej, a gdy następne zaczęły się robić zielone, Alec sięgnął przez stół i chwycił go za nadgarstek.

- Przestań! - syknął. - Ludzie patrzą.

Magnus spojrzał na swoje palce, z których strzelały niebieskie iskry. Rzeczywiście, trochę przesadził. Zaciśnął pięści.

- Musze coś zrobić, bo umrę z nudów. Nie rozmawiasz ze mną.

- Nie. - powiedział Alec. - To znaczy, nie nie-rozmawiam z tobą.

- Tak? Właśnie cię spytałem, czy chcesz jechać do Wiednia, do Tajlandii, na Księżyc, i nie przypominam sobie, bym usłyszał jakąś odpowiedź.

- Nie wiem, czego chcę.

Alec z pochyloną głową, bawił się porzuconym plastikowym widelcem. Niebieski kolor jego oczu, był tak intensywny, że przebijały cienkie i białe opuszczone powieki.

Magnus zawsze uważał, że ludzie są piękniejsi niż inne istoty żyjące na ziemi, i często zastanawiał się dlaczego tak jest. Jeszcze tylko kilka lat i zacznie się rozkład, powiedziała do niego niegdyś Camille. Ale to właśnie śmiertelność czyniła ich takimi. Byli jak płomienie, które migoczą i płoną jasno. Śmierć jest matką piękna, jak to kiedyś ujął poeta. Magnus zastanawiał się czy Anioł chciał kiedykolwiek zrobić z Nefilim- swoich sług- nieśmiertelnych. Mimo swoich sił, Nocni Łowcy padali w bitwach, jak ludzie przez całe wieki w historii świata.

- Znowu masz taką minę. - mruknął rozdrażniony Alec. - Jakbyś patrzył na coś, czego ja nie wiem. Myślisz o Camille?

- Niezupełnie. - odpowiedział Magnus. - Ile z naszej rozmowy podsłuchałeś?

- Większość. - Alec dźgnął obrus widelcem. - Stałem pod drzwiami, więc dość dużo usłyszałem.

- Wcale nie. - Magnus spowodował, że widelec wyslizgnął się Alecowi z ręki. - Przestań się wygłupiać. Co z naszej rozmowy tak bardzo ciebie poruszyło?

Alec uniósł wzrok.

- Kto to jest Will?

Magnus parsknął.

- Will. Dobry Boże! To było tak dawno temu. Will był Nocnym Łowcą, tak jak ty. Był podobny do ciebie, ale i tak go nie przypominasz. Jace jest do niego o wiele bardziej podobny, jeżeli chodzi o osobowość. Mój związek z Willem jest zupełnie inny niż z tobą. Czy to cię dręczy?

- Nie podoba mi się, że jesteś ze mną, bo wyglądam jak martwy facet, którego kiedyś lubieś.

- Nigdy nic takiego nie mówiłem. Camille to zasugerowała. Jest mistrzynią manipulowania, zawsze nią była.

- Nie powiedziałeś jej, że się myli.

- Jeśli na to pozwolisz, Camille zaatakuje cię na każdym froncie. Zacznesz bronić jednego, uderzy w drugiego. Jedyne sposoby, żeby sobie dać z nią radę, to udawać, że się nie wie o co jej chodzi.

- Powiedziała, że ładni chłopcy są twoją słabością. - mruknął Alec. - Co brzmi tak, jakby był tylko jedną z twoich licznych zabawek. Jeśli umierają, znajdujesz sobie nowego. Jestem dla ciebie nikim.

- Alexandrze...

- Co uważam za niesprawiedliwe, bo ty wcale nie jesteś dla mnie nikim. - ciągnął Alec, wpatrując się w stół. - Zmieniłem całe swoje życie dla ciebie. Ale w twoim nic się nie zmienia? To chyba właśnie życie wieczne. Nic tak naprawdę się nie liczy.

- Mówię ci, że ty się dla mnie liczysz...

- Biała Księga. Dlaczego tak bardzo ją chciałeś?

Magnus był zdziwiony.

- Przecież wiesz, że to potężna księga czarów.

- Ale chciałeś jej dla konkretnego celu. Z powodu czaru, który się w niej znajduje, prawda? - Alec zaczerpnął tchu. - Nie musisz nic mówić. Widzę to po twojej twarzy. Chodziło o czar... który sprawiłby, że byłbym nieśmiertelny?

Magnus wyglądał na wstrząśniętego.

- Alec, nie... - szepnął. - Ja... nie zrobiłbym tego.

Chłopak utkwiał w nim przeszywające spojrzenie swoich niebieskich oczu.

- Dlaczego? Dlaczego przez tyle lat związków i romansów nikogo nie chciałeś nigdy uczynić nieśmiertelnym? Mógłbyś zostać ze mną na wieki, nie chcesz tego?

- Oczywiście, że bym chciał! - Magnus uświadomił sobie, że prawie krzyczy i z trudem ściszył głos. - Ale ty nie rozumiesz. Nie dostaje się czegoś za nic. Ceną za wieczne życie jest...

- Magnusie. - w ich stronę szybkim krokiem i telefonem w ręce podeszła Isabelle. - Muszę z tobą porozmawiać.

- Isabelle. - Bane lubił siostrę Aleca, ale nie w tej chwili. - Urocza, cudowna Isabelle. Czy mogłabyś nas zostawić? To nie jest dobry moment.

Izzy spojrzała na czarownika, na brata i z powrotem na Magnusa.

- Więc nie chcesz usłyszeć o tym, że Camille właśnie uciekła z Sanktuarium, a moja matka żąda, żebyś natychmiast wrócił do Instytutu i pomógł ją znaleźć?

- Nie. - powiedział Magnus. - Nie chcę tego słyszeć.

- Szkoda, bo to prawda. - mruknęła Isabelle. - To znaczy, nie musisz iść, ale...

Resztę zdania sam dopowiedział sobie Magnus. Gdyby nie poszedł, Calve podejrzewałoby go, że pomógł w ucieczce Camille, co było ostatnie, co by zrobił. Maryse byłaby wściekła, co jeszcze bardziej skomplikowałoby związek z Alekiem. I jeszcze...

- Uciekła? - zdziwił się Alec. - Nikt jeszcze nie uciekł z Sanktuarium.

- Ktoś jednak to zrobił. - ucieła Isabelle.

Alec zsunął się niżej na krześle i powiedział.

- Idź, to wyjątkowa sytuacja. Możemy porozmawiać później.

- Magnusie... - Ton Isabelle był na pół przepraszający, ale brzmiało w nim również ponaglenie.

- Dobrze. - Bane wstał. Kiedy odchodził, nachylił się do ucha Aleca i szepnął. - Nie jesteś dla mnie nikim.

Alec się zarumienił.

- Skoro tak mówisz.

- Tak mówię. - odpowiedział twardo Magnus i ruszył za Isabelle w stronę drzwi frontowych.

Wyszedł na opustoszałą ulicę. Simon oparł się o mur Ironwork porośnięty bluszczem i spojrzał w niebo. Światła mostu przyćmiewały gwiazdy, że było widać tylko aksamitną czerń.

Ogarnął go żal, że nie może odetchnąć zimnym powietrzem, poczuć go. Miał na sobie tylko cienką koszulę, ale nie czuł zimna. Nie mógł drzeć i nawet wspomnienie tego, że kiedyś drżał, zaczęło blaknąć, jakby pochodziło z innego życia.

- Simon?

Znieruchomiał. Ten głos, cichy, znajomy. „Uśmiech”, to było ostatnie słowo jakie do niego powiedziała. Ale to nie możliwe, ona nie żyła.

- Nie spojrzysz na mnie, Simonie? - jej głos był tak cichy, jak tchnienie. - Jestem tutaj.

Dreszcz strachu przebiegł mu po kręgosłupie. Otworzył oczy i odwrócił powoli głowę.

Maureen stała na rogu Vernon Boulevard, w kręgu światła ulicznej lampy. Miała na sobie długą, białą suknię, a na nogach białe sandały. Złote, rozpuszczone na ramiona włosy lśniły w

blasku latarni, chociaż było tam jeszcze kilka grudek ziemi. Jej twarz była trupio biała, z różem na kościach policzkowych, usta było ciemnoróżowe, jakby pomalowane markerem.

Pod Simon ugięły się kolana. Osunął się po ścianie, o którą się opierał i osiadł na ziemi. Miał wrażenie, że zaraz głowa mu eksploduje.

Maureen zachichotała i wyszła z blasku lampy. Podeszła do niego i spojrzała na niego z góry. Wyglądała na rozbawioną.

- Wiedziałam, że będziesz zaskoczony. - powiedziała.

- Jesteś wampirem. - wykrztusił Simon. - Ale... jak? Ja tego nie zrobiłem. Wiem, że nie.

Maureen pokręciła głową.

- Nie, ale przyczyniłeś się do tego. Myśleli że jestem twoją dziewczyną. Zabrali mnie w nocy z mojej sypialni i trzymali w klatce przez cały dzień. Powiedzieli mi, żebym się nie martwiła, bo po mnie przyjdiesz, ale tego nie zrobiłeś.

- Nie wiedziałem. - głos Simona się załamał. - Przyszedłbym, gdybym wiedział.

Maureen odrzuciła do tyłu blond włosy gestem, który przypomniał Simonowi gest Camille.

- To nie ma znaczenia. - powiedziała. - Kiedy słońce zaszło, że mogę umrzeć, ale wybrać życie wampira.

- I wybrałaś to.

- Nie chciałam umrzeć. - szepnęła Maureen. - A teraz zawsze będę młoda i ładna. Mogę nie spać, nie muszę wracać do domu, ona się mną opiekuje.

- O kim mówisz? - spytał Simon. - Jaka ona? Masz na myśli Camille? Maureen, ona jest szalona, nie powinnaś jej słuchać. - wampir zaczął wstawać powoli. - Mogę ci pomóc, znaleźć miejsce do mieszkania. Nauczyć, jak być wampirem...

- Simon... - Maureen się uśmiechnęła, pokazując idealnie równe i białe zęby. - Nie sądzę, byś sam wiedział jak to jest być wampirem. Nie chciałeś mnie ugryźć, ale to zrobiłeś. Pamiętam jak twoje oczy zrobiły się czarne i ugryzłeś mnie.

- Tak mi przykro. Gdybyś pozwoliła sobie pomóc...

- Mógłbyś ze mną pójść. - powiedziała. - To by mi pomogło.

- Dokąd?

Maureen rozejrzała się dookoła. W cienkiej białej sukni wyglądała jak duch. Powiał wiatr, ale ona nie zdawała się odczuwać zimna.

- Zostałeś wybrany. Jesteś Chodzącym Za Dnia. Ci, którzy ci to zrobili, chcą ciebie. Ale wiedzą, że nosisz Znak. Nie mogą cię dostać, dopóki sam nie zdecydujesz do nich iść. Więc przysłali mnie po ciebie. Może ja nic dla ciebie nie znaczę, ale następnym razem może to być ktoś inny. Oni wciąż będą przychodzić do ludzi, których kochasz. Nie zostanie nikt, więc równie dobrze możesz pójść ze mną i zobaczyć czego chcą.

- A ty wiesz? - spytał Simon. - Wiesz, czego chcą ode mnie?

Maureen pokręciła głową. Była tak blada, że wyglądała jak przezroczysta. Simon mógłby niemal ją przeoczyć. Jak to robił do tej pory.

- A czy to ma znaczenie? - zapytała Maureen, wyciągając do niego rękę.

- Nie. - odpowiedział Simon. - Chyba nie ma. - dodał, ujmując jej dłoń.

Tłumaczenie: *JimmyK*

Korekta: *firefly.*

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nowojorskie anioły

- Jesteśmy - powiedziała Maureen do Simona.

Trzymała się na środku chodnika i patrzyła na masywny budynek z kamienia i szkła, który wyrósł przed nimi. Najwyraźniej został zaprojektowany tak, żeby wyglądać jak jeden z luksusowych apartamentowców na manhattańskiej Upper East Side, wznoszonych przed drugą wojną światową, ale jego współczesne pochodzenie zdradzały nowoczesne elementy: wysokie okna, miedziany dach nietknięty przez śnieg, reklamy M fasadzie obiecujące „ekskluzywne mieszkania za 750 000 dolarów”. Nabycie jednego z nich uprawniało do korzystania ogrodu na dachu, siłowni, podgrzewanego basenu i całonocnej recepcji, poczynając od grudnia. W tej chwili budowanie trwało, na rusztowaniach umieszczono tablice: „Teren prywatny, zakaz wstępu”.

Simon spojrzał na Maureen. Wyglądało na to, że szybko przyzwyczaiła się do bycia wampirem. Przebiegli przez Most Queensboro i Drugą Aleję, tak że jej białe kapcie były w strzępach, ona nie zwolniła ani na chwilę i nie dziwiła się, że w ogóle nie czuje zmęczenia. Patrzyła teraz na gmach z zachwytem i oczekiwaniem malującymi się na drobnej twarzy.

- Ten budynek jest zamknięty - stwierdził Simon oczywistą rzecz. - Maureen...

- Cii.

Dziewczynka szarpnęła gipsowo-kartonową płytę, przymocowaną do rogu rusztowania, a ta ustąpiła z odgłosem darcia i wyrwania gwoździ. Niektóre z brzękiem upadły na ziemię u stóp Simona. Maureen odrzuciła płytę na bok i uśmiechnęła się szeroko na widok dziury, którą zrobiła.

Stary mężczyzna, który akurat tamtędy przechodził z psem na smyczy, małym pudłem w sweterku, zatrzymał się i wytrzeszczył oczy.

- Powinieneś włożyć siostrzyczce płaszcz - powiedział do Simona. - Takie chude stworzenie zamrznie przy tej pogodzie.

Zanim Simon zdążył odpowiedzieć, Maureen odwróciła do staruszka i w drapieżnym uśmiechu obnażyła zęby z kłami ostrymi jak igły.

- Nie jestem jego siostrą - wyszczała.

Mężczyzna zbladł i oddalił się pośpiesznie, ciągnąc psa.

Simon pokręcił głową.

- Nie musiałś tego robić.

Kły przebiły dolną wargę Maureen, co często zdarzało się Simonowi, zanim się do nich przyzwyczaił. Po jej brodzie pociekły małe strużki krwi.

- Nie mów mi, co mam robić - rzuciła ze złością, ale schowała kły. Dziecięcym gestem wytarła brodę wierzchem dłoni, rozmazując krew. Potem odwróciła się do otworu w rusztowaniu. - Chodź.

Zanurkowała do środka, a Simon podążył za nią. Znaleźli się miejscu, gdzie ekipa budowlana najwyraźniej zostawiała zużyty sprzęt. Na ziemi walały się połamane narzędzia, rozbite

worki plastikowe i puszki po coli. Maureen uniosła suknię i ręcznie ruszyła przez śmietnisko z wyrazem niesmaku na twarzy Przeskoczyła wąski wykop i weszła na popękane kamienne schody. Simon szedł za nią.

Schody prowadziły do szklanych drzwi. Za nimi znajdował imponujący marmurowy hol. Z sufitu zwisał masywny żyrandol, choć nie było światła, które odbijałoby się od kryształowych wisiorów. W tym ciemnym pomieszczeniu człowiek nie dojrzałby żadnych szczegółów: marmurowego biurka portiera, zielonego szezlongu pod lustrem w złożonych ramach, rzędów ni I po obu stronach holu. Maureen wcisnęła przycisk na ścianie, a ten, ku zaskoczeniu Simona, się rozjarzył.

- Dokąd jedziemy? - zapytał. Rozległ się dzwonek, Maureen wsiadła do windy, Simon za nią.. Winda była wyłożona złoto-czerwoną boazerią i lustrami.

- Na górę. - Dziewczynka wcisnęła najwyższy guzik i zachichotała. - Do nieba. - Drzwi się zamknęły.

- Nie mogę znaleźć Simona.

Isabelle, która stała oparta o kolumnę i usiłowała się nie zamartwiać, podniosła wzrok i zobaczyła Jordana. Jest naprawdę wysoki, pomyślała. Musiał mieć ze sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Kiedy pierwszy raz go zobaczyła, uznała, że jest bardzo atrakcyjny z tymi swoimi potarganymi ciemnymi włosami i zielonkawymi oczami, ale teraz, wiedząc, że jest byłym Mai, przesunęła go do mentalnej przestrzeni zarezerwowanej dla chłopców zakazanych.

- Nie widziałam go - odparła. - Myślałam, że jesteś jego strażnikiem.

- Powiedział mi, że zaraz wraca. To było czterdzieści temu. Sądziłem, że poszedł do łazienki.

- Co z ciebie za strażnik? - zapytała Isabelle. - Nie powinieneś iść do łazienki razem z nim?

Jordan zrobił przerażoną minę.

- Faceci nie chodzą z innymi facetami do łazienki – oświadczył.

Isabelle westchnęła.

- Ukryte skłonności homoseksualne potrafią człowieka wykończyć - rzuciła mentorskim tonem. - Chodź. Poszukajmy go.

Okружиł salę, lawirując między gośćmi. Alec siedział przy stole, ponury jak chmura gradowa, i bawił się pustym kieliszkiem od szampana.

- Nie, nie widziałem go - odpowiedział na ich pytanie, Choć przyznaję, że nie patrzyłem.

- Możesz poszukać go razem z nami - podsunęła Isabelle. - Przynajmniej będziesz miał coś do roboty, zamiast tu siedzieć z grobową miną.

Brat wzruszył ramionami i wstał z krzesła. Postanowili rozdzielić i dokładnie przeszukać całe Ironworks. Alec ruszył na górę, żeby sprawdzić pomosty i drugie piętro. Jordan wyszedł na zewnątrz, żeby rozejrzeć się wokół wejścia i na tarasach. Isabelle wzięła na siebie salę. Właśnie się zastanawiała, czy zagłębienie pod stoły nie będzie śmieszne, kiedy za nią wyrosła Maia.

- Wszystko w porządku? - zapytała. Spojrzała w górę na Aleca, a później w kierunku, gdzie zniknął Jordan. - Umiem rozpoznać ekipę poszukiwawczą, kiedy ją widzę. Czego szukacie? Jakież łopoty?

Isabelle pokrótce zapoznała ją z sytuacją.

- Rozmawiałam z nim półgodziny temu - powiedziała Maia. - Jordan też, ale teraz Simon zniknął. A ponieważ ostatnio próbowali go zabić różni ludzie.- Maia odstawiała kieliszek na stół. - Pomogę wam szukać.

- Nie musisz. Wiem, że nie przepadasz teraz za Simonem...

- To nie oznacza, że nie chcę mu pomóc, jeśli ma kłopoty - oświadczyła Maia, jakby Isabelle mówiła od rzeczy. - Czy Jordan nie miał go pilnować??

Izzy wyrzuciła ręce w górę.

- Tak, ale podobno faceci nie idą z innymi facetami do łazienki czy coś w tym rodzaju. Po prostu bredził.

- Jak to zwykle faceci - skwitowała Maia i ruszyła za nią.

Razem zaczęły krążyć w tłumie gości, choć Isabelle już była właściwie pewna, że tu nie znajdą Simona. Gula w jej żołądku robiła się coraz większa i zimniejsza. Kiedy wszyscy zebrali się z powrotem przy stole, poczuła się tak, jakby jednym haustem połknęła szklankę lodowatej wody.

-Nie ma go tutaj - stwierdziła.

Jordan zaklął i skruszony popatrzył na Maię.

-Przepraszam.

Maia wzruszyła ramionami.

-Słyszałam gorsze rzeczy. Co dalej robimy? Ktoś próbował do niego zadzwonić?

- Odzywa się poczta głosowa - powiedział Jordan.

- Jakies pomysły, dokąd mógł pójść? - zapytał Alec.

- Najlepszy scenariusz to taki, że wrócił do mieszkania. - podsunął Jordan. - A najgorszy, że ludzie, którzy go ścigali, w końcu go dopadli.

- Ludzie, którzy co? - Alec wyglądał na zdeorientowanego.

Isabelle opowiedziała Mai historię Simona, ale jeszcze nie zdążyła powtórzyć jej bratu.

- Wracam do domu — oznajmił Jordan. - Jeśli Simon tam będzie, świetnie. Jeśli nie, będę dalej szukał. Ci ludzie wiedzą gdzie on mieszka. Przysyłali nam wiadomości. Może będzie jakaś nowa. - Nie miał zbyt wielkiej nadziei w głosie.

Isabelle podjęła decyzję w ułamku sekundy.

- Idę z tobą.

- Nie musisz...

- Owszem, muszę. Powiedziałam Simonowi, że powinien lit dzisiaj być. Czuję się odpowiedzialna. Poza tym, i tak choin« się nudzę na tym przyjęciu.

- Ja też — poparł ją Alec z wyraźną ulgą, że ma okazja uciec. — Może wszyscy powinniśmy iść? Powiedzieć Clary?

Isabelle potrząsnęła głową.

- To byłoby nie fair wyciągać ją z przyjęcia jej mamy. Zobaczymy, co zdiagłamy we trójkę.

-We trójkę? - powtórzyła Maia z nutą irytacji w głosie.

-Chcesz iść z nami? - spytał Jordan.

Isabelle zamarła. Nie była pewna, jak Maia zareaguje na tak bezpośrednie pytanie byłego chłopaka. Dziewczyna zacisnęła usta i przez chwilę patrzyła na Jordana... nie z nienawiścią, tylko z zamysłem.

- Chodzi o Simona - powiedziała w końcu, jakby to przesądzało sprawę. - Pójdę po płaszc.

Gdy drzwi windy się otworzyły, Maureen znowu zachichotała piskliwie i tanecznym krokiem wyszła w ciemność i chłód. Simon podążył za nią z westchnieniem.

Znaleźli się w dużym marmurowym pomieszczeniu bez okien, bez oświetlenia, ale z wysokimi podwójnymi drzwiami ze szkła i po lewej ścianie od windy. Za nimi Simon widział płaską powierzchnię dachu, a w górze czarne nocne niebo naszpikowane słabo świecącymi gwiazdami.

Wiał porywisty wiatr. Kiedy wyszli przez drzwi, suknia zatrzepotała wokół Maureen jak ćma bijąca skrzydłami. Ogród na dachu rzeczywiście okazał się tak elegancki, jak obiecywały tablice reklamowe. Był wyłożony gładkimi, ośmiokątnymi płytami z kamienia, pod szkłem kwitły kwiaty, żywopłoty starannie przyszytych w kształt potworów i zwierząt. Po obu stronach chodnika, którym szli, ciągnęły się dwa rzędy małych lampek. Wokół wznosiły się wysokie budynki mieszkalne ze szkła i stali, z rozjarzonymi oknami.

Ścieżka kończyła się ślepo przy wyłożonych płytkami stopniach, prowadzących na duże kwadratowe podwyższenie, otoczonym z trzech stron wysokim murem. Najwyraźniej przewidziano tu miejsce spotkań mieszkańców domu. Pośrodku placu wyrastał duży betonowy blok, na którym pewnego dnia prawdopodobnie miał stanąć grill. Dokoła rosły starannie przycięte krzewy róż, zakwitające w czerwcu, a nagie kratownice zdobiące mur kiedyś miały zniknąć pod listowiem. W ten sposób niebawem powstać atrakcyjny zakątek w luksusowym ogrodzie na dachu na Upper East Side, gdzie można się relaksować się leżaku z widokiem na East River w blasku zachodzącego słońca i miasto rozciągające się w dole niczym mozaika migotliwych światełek.

Tyle że na razie posadzka była zbryzgana jakimś czarnym, kleistym płynem, którego użyto do namalowania nierównego kręgu wewnątrz większego. W wolne miejsce między dwiema liniami wpisano runy. Choć Simon nie był Nocnym Łowcą, widział dość Znaków Nefilim, żeby rozpoznać symbole pochodzą ze Szarej Księgi. Te z niej nie pochodziły. Wyglądały groźnie i obco, jak klątwa skreślona w nieznanym języku.

Sam środek mniejszego kręgu zajmował betonowy blok. Na nim stał niski, prostokątny obiekt, nakryty ciemnym płótnem, Kształtem przywołał na myśl trumnę. Wokół podstawy bloku widniały kolejne runy. Gdyby krew Simona płynęła, teraz zamieniłaby się w lód.

Maureen klasnęła w dłonie.

- Och, jakie to ładne! - wykrzyknęła głosem elfa.

- Ładne? - Simon zerknął na beton. - Maureen, do diabła...

- A więc go przyprowadziłaś - przemówił kobiecie głos, kulturalny, silny i... znajomy. Simon się odwrócił. Na ścieżce stała wysoka kobieta o krótkich, ciemnych włosach. Była bardzo smukła, w długim ciemnym płaszczu z paskiem, niczym femme fatale z filmu szpiegowskiego z lat czterdziestych. - Dziękuję, Maureen. - Miała surową, piękną twarz o ostrych rysach, wydatnych kościach policzkowych i dużych ciemnych oczach. - Dobrze się spisałaś. Możesz już iść. - Skierowała wzrok na Simona. - Simon Lewis. Dziękuję, że przyszedłeś.

Rozpoznał ją w chwili, kiedy wypowiedziała jego nazwisko. Ostatnim razem widział ją w ulewnym deszczu przed barem Alto.

- To pani. Pamiętam panią. Dała mi pani swoją wizytówkę. Promotor muzyczny. O rany! Naprawdę musiał się pani spodobać mój zespół. Nawet nie sądziłem, że jesteśmy tacy dobrzy.

- Nie bądź sarkastyczny - skarciła go kobieta. - To bez sensu. - Zerknęła w bok. — Maureen, możesz odejść. - Tym razem jej ton był twardy.

Dziewczynka, która stała wyczekująco z boku jak mały duch, wydała cichy pisk i pobiegła w stronę, z której niedawno przyszli. Gdy zniknęła za szklanymi drzwiami prowadzącymi do wind, Simon niemal poczuł żal. Maureen nie była dla niego towarzystwem, ale bez niej poczuł się nagle bardzo samotny. Ta dziwna, nieznajoma kobieta roztaczała wokół siebie wyraźną aurę mrocznej mocy, której przy pierwszym spotkaniu nie zauważył, oszołomiony krwią.

-Przysporzyłeś mi kłopotów, Simonie.

Teraz głos dochodził z innej strony i z większej odległości. Simon odwrócił się i zobaczył kobietę przy betonowym bloku, w środku kręgu. Chmury szybko pędziły po niebie, zasłaniając Księżyc i rzucając dziwne cienie na jej twarz. Ponieważ Simon stał u stóp schodów, musiał odchylić głowę do tyłu, żeby na nią spojrzeć.

-Myślałam, że łatwo będzie cię dopaść. Rozprawić się z jednym wampirem. W dodatku całkiem świeżym. Nawet Chodzący za Dnia nie jest dla mnie nowością, choć nie widziałam żadnego od stu lat. - Tak - dodała z uśmiechem, widząc jego minę. - Jestem starsza, niż wyglądam.

-Wygląda pani dość staro.

Kobieta zignorowała zniewagę.

-Wysłałam za tobą moich najlepszych ludzi i tylko jeden wrócił, z jakąś bełkotliwą opowieścią o świętym ogniu i gniewie Bożym. Okazał się potem całkiem dla mnie bezużyteczny, musiałam się go pozbyć. To było bardzo irytujące. Dlatego dochodzę do wniosku, że muszę sama się tobą zająć. Poszłam na to muzyczne widowisko, a kiedy później zbliżyłam się do ciebie, zobaczyłam twój Znak. Znałam Kaina osobiście, więc do pamiętam ten kształt.

-Znała pani Kaina osobiście? - Simon pokręcił głową. Chyba pani nie oczekuje, że w to uwierzę?

-Wierz albo nie - powiedziała kobieta. - Dla mnie to bez różnicy. Jestem starsza niż sny twojego gatunku, chłopczyku. Chodziłam ścieżkami Edenu. Znałam Adama, zanim poznała go Ewa. Zostałam jego pierwszą żoną, ale nie byłam mu posłuszna, więc Bóg mnie przepędził i stworzył Adamowi żonę z jego własnego ciała, żeby zawsze mu ulegała. - Uśmiechnęła się słabo. - Mam wiele imion. Ale możesz nazywać mnie Lilith, pierwszą ze wszystkich demonów.

W tym momencie Simon, który od miesięcy nie czuł zimna zadrżał. Słyszał już wcześniej imię Lilith. Nie pamiętał, gdzie dokładnie, ale wiedział, że kojarzy się ono z ciemnością, złem i strasznymi rzeczami.

-Twój Znak to dla mnie kłopot - wyznała Lilith. - Potrzebuję cię, Chodzący za Dnia. Twojej siły życiowej, twojej krwi. Ale nie mogę cię do niczego zmusić ani zrobić ci krzywdy. Mówiła takim tonem, jakby fakt, że potrzebuje jego krwi, był najzwyklejszą rzeczą na świecie.

-Pani... pije krew? - zapytał Simon. Czuł się oszołomiony, jakby utknął w dziwnym śnie. Z pewnością to wszystko nie mogło dziać się naprawdę.

Kobieta Lilith się roześmiała.

- Krew nie jest pokarmem demonów, głuptasie. Chcę jej nie dla siebie. - Wyciągnęła swą smukłą dłoń. - Podejdź bliżej,

Simon. potrząsnął głową. Nie wejdę do tego kręgu, Lilith wzruszyła ramionami.

- Dobrze. Chciałam jedynie zapewnić ci lepszy widok.

Wykonała lekki, prawie niedostrzegalny ruch palcami, jakby odsuwała kurtynę. Czarne płótno przykrywające obiekt i kształcie trumny zniknęło. Simon wytrzeszczył oczy. Nie mylił się co do kształtu. Zobaczył duże, szklane pudło, dostatecznie długie i szerokie, żeby zmieścił się w nim człowiek. Jak Królowna Śnieżka, pomyślał Simon. Ale to nie była bajka. Trumnę wypełniał mętny płyn, to w nim pływał nagi od pasa w górę, z jasnymi włosami dryfującymi wokół jego głowy jak wodorosty... Sebastian.

W drzwiach mieszkania Jordana nie było żadnych liścików, nic nie leżało na wycieraczce ani pod nią. Podczas gdy Alec stał na dole na czatach, Maia i Jordan przeszukali plecak Simona pozostawiony w salonie, a Isabelle poszła do jego sypialni. Stojąc w drzwiach, przyjrzała się w milczeniu pokojowi, w którym sypiał przez kilka ostatnich dni: cztery puste ściany, naga podłoga, żadnych ozdób, fotel i biały koc w rogu materaca. Pojedyncze okno wychodziło na Aleję B.

Słyszała miasto, którego hałasy otaczały ją od zawsze. Spokój Idrisu wydał się jej straszliwie obcy: żadnych klaksonów, ludzkich krzyków, zawodzenia karetek, muzyki, która w Nowym Jorku nigdy nie milkła, nawet w środku nocy. Ale teraz, stoi w małym pokoju, pomyślała, że te odgłosy wydają się bardzo dalekie. Przyszło jej do głowy, że Simon musiał czuć się w bardzo samotny, kiedy tak tutaj leżał i patrzył w sufit.

Z drugiej strony, nigdy nie widziała sypialni w jego rodzinnym. Prawdopodobnie pełnej plakatów zespołów, trofeów sportowych, ulubionych gier, instrumentów muzycznych książek, wszystkich tych rupieci nieodłącznych od normalnego życia. Nigdy nie pytała, czy może do niego przyjść, i nigdy tego nie zaproponował. Obawiała się spotkania z jego matką. Nie chciała zrobić albo powiedzieć czegoś, co świadczyłoby o zaangażowaniu, na które nie była gotowa. Ale teraz, patrząc na tę pustą klitkę, słysząc wokół siebie gwar dużego miasta, poczuła strach o Simona... zmieszany w równym stopniu z żalem.

Odwróciła się w progu, ale znieruchomiała, gdy do jej dotarł szmer rozmowy toczącej się w salonie. Rozpoznała głos Mai. Nie było w nim gniewu, co zaskoczyło Isabelle, zważywszy na to, jak bardzo ta dziewczyna nienawidziła Jordana.

-Nic - mówiła. - Parę kluczy, plik kartek z wynikami gier.

Isabelle wychyliła głowę za drzwi. Zobaczyła Maię stojącą po jednej stronie kuchennego kontuaru, z ręką w kieszeni plecaki Simona. Jordan obserwował ją z drugiej strony blatu. Patrzył nie na to, co robiła, tylko pożerał ją wzrokiem jak facet zafascynowany każdym ruchem dziewczyny, która mu się podoba.

-Sprawdzę portfel - powiedziała Maia.

Jordan, który zdążył przebrać się z garnituru w dżinsy i skózaną kurtkę, zmarszczył brwi.

-Dziwne, że go zostawił. Mogę zobaczyć? — Sięgnął nad kontuarem.

Maia odskoczyła do tyłu tak gwałtownie, że upuściła portfel.

- Ja nie... - Jordan szybko cofnął rękę. - Przepraszam, dziewczyna wzięła głęboki wdech.

- Posłuchaj, rozmawiałam z Simonem - zaczęła - Wiem, że nie chciałeś mnie ugryźć. Nie wiedziałeś, co się z tobą dzieje. Pamiętam jak było. Pamiętam, że mnie przerażałeś,

Jordan opuścił wolno opuścił ręce i ostrożnie położył je na kontuarze. Dziwnie to wygląda, pomyślała Isabelle, kiedy ktoś tak wysoki n się sprawiać wrażenie małego i niegroźnego.

Powinienem być przy tobie.

- Praetor by ci nie pozwolili - stwierdziła Maia. — I spójrzmy prawdzie w oczy, nie wiedziałeś nic o wilkołakach. Bylibyśmy pin jak dwoje ślepców, którzy się nawzajem prowadzą. Może lepiej, że zniknąłeś. Dzięki temu uciekłam tam, gdzie mogłam dostać pomoc. Do stada. Z początku miałem nadzieję, że Praetor Lupus cię przy- powiedział cicho Jordan. - Żebyś mógł cię znowu widy- . Potem zrozumiałem, że jestem samolubny i że powinienem raczej martwić, czy nie przekazałem ci choroby. Wiedziałem, szanse są pół na pół. Miałem nadzieję, że będziesz należeć do szczęściarzy.

- Cóż, okazało się, że jest inaczej - skwitowała krótko Maia. - ja przez lata stworzyłam sobie w głowie twój obraz jako potwora. Myślałam, że wiedziałeś, co robisz. Myślałam, że to była zemsta za to, że pocałowałam tamtego chłopca. Więc cię znenawidziłam. I ta nienawiść wszystko mi ułatwiała. To, że miałam kogo obwiniać.

-I słusznie, bo to moja wina - stwierdził Jordan.

Maia przesunęła palcami po blacie, unikając jego wzroku.

-I obwiniam, ale... nie tak jak wcześniej.

Jordan chwycił się za włosy i mocno je szarpnął.

-Nie ma dnia, żebym nie myślał o tym, co ci zrobiłem, zmieniłem cię. Zmieniłem w wilkołaka. Uczyniłem cię tym, czym jesteś. Skrzywdziłem. Jedyną osobę, którą kochałem bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Oczy Mai zalśniły od łez.

-Nie mów tak. To nie pomaga. Myślisz, że pomaga?

Isabelle odchrząknęła głośno i weszła do salonu.

-Znaleźliście coś?

Maia szybko zamrugnęła powiekami. Jordan opuścił ręce i powiedział:

-Nie. Właśnie mieliśmy przeszukać jego portfel. - Podniósł go z ziemi i rzucił Isabelle. — Masz.

Izzy go złapała i otworzyła. W środku była szkolna przepustka, dowód wystawiony przez stan Nowy Jork, kostka do gitary wetknięta w miejsce przeznaczone na karty kredytowe, banknot dziesięciodolarowy i jakiś paragon. Ale jej uwagę przyciągnęło coś jeszcze: wizytówka wsunięta niedbale za zdjęcie Simona i Clary z rodzaju tych, jakie się robi w budce samoobsługowej w tanim markecie. Oboje się uśmiechali.

Isabelle wzięła do ręki wizytówkę. Był na niej wytłoczony zawiły, niemal abstrakcyjny wzór w postaci gitary szybującej w chmurach. Pod nią widniało nazwisko.

Satrina Kendall. Promotor zespołów. A pod spodem numer telefonu i adres na Upper East Side. Isabelle zmarszczyła brwi. Przez jej głowę przemknęło jakieś niewyraźne wspomnienie. Pokazała wizytówkę Mai i Jordanowi, którzy starannie unikali patrzenia na siebie.

-Co o tym myślicie?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, drzwi mieszkania się otworzyły i do środka wszedł Alec z bardzo ponurą miną.

- Znaleźliście coś? Sterczę na dole od trzydziestu minut i nie pojawił się nawet cień zagrożenia. Chyba że uznać za groźnego druta NYU, który zwymiotował na frontowych schodach.

- Spójrz na to - powiedziała Isabelle, podając mu wizytówkę - Czy coś nie wydaje ci się tu dziwne? Poza tym, że żaden promotor zespołów nie mógłby być Inicresowany beznadziejnym zespołem Lewisa? - Brat wziął wizytówkę w dwa palce. Między jego brwiami pojawiła się zmarszczka. - Satrina? I Czy to imię coś ci mówi? - zapytała Maia. Oczy nadal miała zaczerwienione, ale głos spokojny.

- Satrina to jedno z siedemnastu imion Lilith, matki wszystkich demonów. To dlatego czarownicy są nazywani dziećmi Lilith. - wyjaśnił Alec. - Bo stworzyła demony, a z nich z kolei powstała rasa czarowników.

- A pamiętasz wszystkie siedemnaście imion? - W głosie Jordana brzmiało powątpiewanie. Alec posłał mu chłodne spojrzenie.

-A kim ty właściwie jesteś?

-Och, zamknij się, Alec - warknęła Isabelle tonem, którym zwracała się tylko do brata. - Posłuchaj, nie wszyscy z nas mają głowę do nudnych faktów. Nie sędzę, żebyś pamiętał pozostałe Imiona Lilith.

-Satrina. Lilith, Ita, Kali, Batna, Talto... - zaczął recytować Alec z miną pełną wyższości.

-Talto! - wykrzyknęła Isabelle. - To jest to. Wiedziała, że coś pamiętam. Wiedziała, że musi istnieć jakiś związek!

Szybko opowiedziała im o kościele Talto, o odkryciu Clary i jego powiązaniu z martwym pół demonicznym dzieckiem . Beth Israel.

-Szkoda, że nie wspomniałaś nam o tym wcześniej. - zbeształ ją Alec. - Owszem, Talto to kolejne imię Lilith, a ją samą kojarzono z dziećmi. Była pierwszą żoną Adama, wygnano ją z Edenu, bo nie chciała słuchać męża ani Boga. Bóg ją za nieposłuszeństwo. Zapowiedział, że każde urodzone przez nią dziecko umrze. Podobno Lilith wciąż próbowała, ale kiedy jej dzieci rodziły się martwe. W końcu przysięgła, że zemści się na Bogu, mordując ludzkie niemowlęta. Można powiedzieć, że jest demoniczną boginią martwych dzieci.

-Ale mówiłaś, że jest matką demonów - przypomniała

-Mogła tworzyć demony, spryskując kroplami swojej krwi ziemię w miejscu zwanym Edmem - wyjaśnił Alec. - I ponieważ narodziły się z jej nienawiści do Boga i ludzkości, z demonami. - Czując na sobie wzrok całej trójki, wzrusz mionami. - To tylko bajka.

-We wszystkich bajkach jest ziarno prawdy - stwierdziła Isabelle. Wierzyła w to, podobnie jak wszyscy Nocni Łowcy. Dla nich nie istniała jedna religia ani jedna prawda, żaden mu był pozbawiony sensu. - Dobrze o tym wiesz, Alec.

-Wiem coś jeszcze - dorzucił brat, oddając jej wizytówkę. - Że ten numer telefonu i adres to kit. Wykluczone, żeby prawdziwe.

-Może - zgodziła się Isabelle, chowając wizytówkę do kieszeni. - Ale nie mamy innego adresu, więc zacznijmy szukać właśnie tam.

Simon mógł jedynie patrzeć. Ciało unoszące się w trumnie nie wyglądało na żywe. W każdym razie Sebastian nie oddychał.

Ale najwyraźniej nie był też martwy. Minęły dwa miesiące od jego śmierci. Gdyby nie żył, na pewno wyglądałby znacznie gorzej. Skórę miał białą jak marmur, zamiast jednej ręki obandażowany kikut, ale poza tym nie rzucały się w oczy inne obrażenia. Wyglądał, jakby

spać: oczy miał zamknięte, ręce leżały po bokach. Tylko fakt, że jego pierś nie unosiła się i nie opadała świadczył o tym, że coś jest bardzo nie w porządku.

- Ale przecież on nie żyje - wykrztusił Simon, choć wiedział, że słowa brzmią niedorzecznie. - Jace go zabił.

Lilith położyła bladą dłoń na szklanej powierzchni trumny.

-Jonathan - powiedziała, bo w rzeczywistości Sebastian tak miał na imię, przypomniał sobie Simon. Jej głos miał dziwne miękkie tony, jakby gaworzyła do małego dziecka.

- Jest piękny, prawda?

- Uhm - mruknął Simon, patrząc z nienawiścią na potwora spoczywającego w trumnie, potwora, który zamordował dziewięcioletniego Maksa Lightwooda, potwora, który zabił Hodge'a i próbował zabić ich wszystkich. — Ale nie w moim guście.

- Jonathan jest wyjątkowy - oświadczyła Lilith. - To jedyny znany mi Nocny Łowca, który jest w części Wielkim Demonem, co czyni go bardzo potężnym.

- Jest martwy - zauważył Simon. Czuł, że powinien z uporem to powtarzać, bo Lilith najwyraźniej tego nie pojmowała. I patrząc w dół na Sebastiana, zmarszczyła brwi.

- To prawda. Jace Lightwood zakradł się do niego od tyłu i wbił mu nóż w plecy, prosto w serce.

- Skąd pani...

- Byłam w Idrisie. Kiedy Valentine otworzył drzwi do świata demonów, przeszłam przez nie, ale nie po to, żeby walczyć w tej głupiej bitwie. Bardziej z ciekawości, czy Valentine rzeczywiście ma w sobie tyle nieposkromionej pychy... - Wzruszyli mionami. - Oczywiście, niebiosy go za nią ukarały. Widziałam jaką złożył ofiarę. Widziałam, jak Anioł powstaje i zwraca się przeciwko niemu. Widziałam wskreszenie. Jestem najstarszym z demonów. Znam stare prawa. Życie za życie. Pobiegłam do Jonathana. Omal się nie spóźniłam. To, co było w nim ludzkie umarło natychmiast, serce przestało bić, płuca przestały pompować. Stare prawa nie wystarczyły. Próbowałam przywrócić tylko życie. Ale odszedł za daleko. Mogłam zrobić tylko to. Czekałam długo na tę chwilę.

Simon zastanowił się, co by się stało, gdyby teraz rzucił się ucieczki, przemknął obok starej demonicy i skoczył z dachu budynku. Ze względu na Znak żadna żywa istota nie mogła zrobić mu krzywdy, ale Simon wątpił, czy jego moc działałaby u w razie upadku z wysokości czterdziestu pięter. Z drugiej strony był przecież wampirem. Gdyby runął na ziemię i roztrzaskał wszystkie kości, czy jakoś doszedłby do siebie? Przełknął ślinę i zobaczył, że Lilith patrzy na niego z rozbawieniem.

-Nie chcesz wiedzieć, jaką chwilę mam na myśli? - kusi chłodnym, uwodzicielskim głosem. - Zanim Simon zdążył coś powiedzieć, pochyliła się i oparła łokciami o trumnę. - Znasz historię powstania Nefilim? Że Anioł Razjel zmieszał swoją krew z krwią ludzi, dał ją człowiekowi do wypicia i ten człowiek został pierwszym Nefilim?

- Słyszałem.

- W rezultacie Anioł stworzył nową rasę istot. A teraz, wraz z Jonathanem narodziła się kolejna. Podobnie jak Jonathan Nocny Łowca prowadził pierwszych Nefilim, tak ten Jonathan pokieruje nową rasą, którą zamierzam stworzyć.

- Jaką rasą... — Simon uniósł ręce. - Jeśli rzeczywiście chcesz stworzyć nową rasę, poczynając od tego martwego gościa, to proszę bardzo, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

- teraz jest martwy, ale nie musi taki pozostać - rzekła Lilith nie pozbawionym emocji. - Oczywiście istnieje pewien rodzaj podziemnych, których krew stwarza możliwość, powiedzmy zmartwychwstania.

- Wampiry - domyślił się Simon. - Chce pani, żebym zmienił Sebastiana w wampira?

- On ma na imię Jonathan - poprawiła go ostrym tonem. - W pewnym sensie tak, chcę, żebyś go ugryzł, wypił jego krew a dał mu swoją krew w zamian...

- Nie zrobię tego.

- Jesteś pewien?

- Świat bez Sebastiana... — Simon celowo użył tego imienia, jest lepszy niż z nim. Nie zrobię tego. — Szybka fala narastał w nim gniew. - Zresztą nie mógłbym, nawet gdybym chciał. On nie żyje. Wampiry nie potrafią wskrzeszać zmarłych. Powinna to pani wiedzieć. Kiedy dusza opuszcza ciało, nic nie może jej sprowadzić z powrotem. Na szczęście. Lilith wpatrywała się w niego.

- Naprawdę nie wiesz, tak? Clary ci nie powiedziała. Simon miał już dość zgadywanek.

- Czego mi nie powiedziała? Lilith zachichotała.

- Oko za oko, ząb za ząb, życie za życie. Żeby nie było chaosu, musi istnieć porządek. Jeśli Światu zostaje oddane jedno życie, drugie należy się również Mrokowi.

- Naprawdę nie mam pojęcia, o czym pani mówi - oświadczył Simon. - I nie obchodzi mnie to. Zaczynacie mnie nudzić wy, dranie, i wasze odrażające programy eugeniczne. Więc sobie pójdę. Może pani spróbować mnie zatrzymać robiąc krzywdę. Proszę bardzo.

Lilith znowu zachichotała, mierzając go wzrokiem.

- „I rzucił się Kain na brata swego...”. Ty jesteś trochę inny do tego, którego Znak nosisz. Był uparty, tak jak ty. I lekkomyślny.

- On wystąpił przeciwko... - Simon zadławił się słowem „Bóg”. - Ja mam do czynienia tylko z panią. - Odwrócił się, pięcie.

- Na twoim miejscu nie odwracałabym się do mnie plecami Chodzący za Dnia - ostrzegła Lilith takim tonem, że Simon obejrzał. - Myślisz, że nie można zrobić ci krzywdy. - Uśmiechnęła się szyderczo. - Rzeczywiście nie mogę podnieść na ciebie ręki. Nie jestem głupia. Widziałam święty boski ogień. Nie chce żeby zwrócił się przeciwko mnie. Nie jestem Valentine'em, by igrać z tym, czego nie potrafię zrozumieć. Jestem demonem, bardzo starym. Znam ludzkość lepiej, niż przypuszczasz. Znam jej słabości: dumę, żądzę władzy, pożądliwość ciała, chciwość, próżność i miłość.

- Miłość nie jest słabością.

- Doprawdy? — Lilith przeniosła wzrok, lodowaty jak sople, gdzieś poza niego.

Simon obejrzał się mimo woli.

Na ceglanej ścieżce stał Jace. Miał na sobie ciemny garnitur i białą koszulę. Przed sobą, obejmując ją jednym ramieniem, trzymał Clary, nadal w ładnej złotej sukni, którą miała na przejściu w Ironworks. Jej długie, falujące rude włosy wymknęły się z koka i opadały teraz na ramiona. Wyglądaliby razem całkiem im Mitycznie, gdyby nie to, że Jace przyciskał do szyi Clary czubek długiego, lśniącego noża z kościaną rękojeścią. Simon wytrzeszczył oczy, kompletnie osłupiały. Na twarzy Jace'a nie było żadnych emocji, żadnego blasku w oczach. Wydawał się całkowicie obojętny.

- Przyprowadziłem ją, pani Lilith - powiedział. - Tak jak pani prosiła.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

I Kain powstał

Clary jeszcze nigdy nie było tak zimno. Nawet wtedy, gdy kaszląc i plując wydostała się z Jeziora Lyna na brzeg. Nawet, gdy myślała, że Jace nie żyje, nie czuła tego lodowatego paraliżu w sercu. Wtedy płonęła w niej furia. Furia skierowana przeciwko ojcu. Teraz czuła lód aż po czubki palców u stóp.

Odzyskała przytomność w granitowym lobby dziwnego budynku, w cieniu nieoświetlonego żyrandola. Jace niósł ją, jedną rękę trzymając w zgięciu kolan, a drugą podtrzymując głowę. Wciąż była oszołomiona i odurzona. Przytuliła twarz do jego szyi starając się przypomnieć sobie, gdzie jest.

- Co się stało? – wyszeptała.

Dotarli do windy. Jace nacisnął przycisk i Clary usłyszała zgrzyt, oznaczający, że maszyna zjeżdża do nich w dół.

- Byłaś nieprzytomna – powiedział.

- Ale jak... - przypomniała sobie i zamilkła. Jego dłonie na jej ciele, dotyk steli na skórze, ogarniająca ją fala ciemności. Z runą, którą jej narysował było coś nie tak. Przez chwilę leżała nieruchomo w jego ramionach. – Puść mnie.

Postawił ją na ziemi. Popatrzyli na siebie. Między nimi był tylko kawałek wolnej przestrzeni. Mogła wyciągnąć rękę i dotknąć go, ale po raz pierwszy odkąd się poznali nie chciała tego zrobić. Miała okropne wrażenie, że patrzy na obcego człowieka. Wyglądał jak Jace, miał jego głos, był taki sam w dotyku. Ale jego oczy były obce i chłodne, tak jak niewielki uśmieszek na jego ustach. Za jego plecami otworzyły się drzwi windy. Pamiętała jak mówiła Kocham Cię, do zamkniętych drzwi windy w Instytucie. Teraz za nim ziała dziura tak ciemna, jak wejście do jaskini. Pomacała kieszeń w poszukiwaniu steli. Nie było jej.

- Pozbawiłeś mnie przytomności – stwierdziła. – Za pomocą runy. Przyniosłeś mnie tutaj. Dlaczego?

Jego piękna twarz była bez wyrazu – Musiałem to zrobić. Nie miałem wyboru.

Odwróciła się i pobiegła w stronę drzwi, ale on był szybszy. Jak zawsze.

Zatrzymał się przed nią blokując przejście. Wyciągnął ku niej rękę. – Clary nie uciekaj. – powiedział. – Proszę. Dla mnie.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Jego głos był ten sam – brzmiał jak Jace, ale nie do końca – bardziej jak nagranie. Wszystkie tony i dźwięki się zgadzały, ale brakowało w nich życia. Jakim cudem nie zauważyła tego wcześniej? Myślała, że brzmi sztucznie przez ból i stres, ale to nie było to. On odszedł. Żołądek ścisnął jej się ze strachu. Ponownie próbowała dostać się do drzwi tylko po to, żeby ją złapał w tali i przyciągnął do siebie. Przyciśnięta, chwyciła za koszulę i rozchyliła ją. Zamarła. Na jego piersi, tuż nad sercem była runa. Nie była taka, jak te, które widziała wcześniej.

Była ciemnoczerwona, a nie czarna jak runy Nocnych Łowców. Brakowało jej delikatności run z Szarej Księgi. Była nagryzmołona, brzydka, ostra i okrutna a nie łagodna i zakrzywiona.

Jace tego nie zauważał. Wpatrywał się w swoją pierś, jakby zastanawiając się na co patrzy, po czym podniósł na nią zdezorientowane spojrzenie. – W porządku. Nic mi nie zrobiłaś.

- Ta runa... - Clary przerwała w pół zdania. Może nawet nie wiedział, że ją ma. – Pozwól mi odejść, Jace – powiedziała i odsunęła się od niego. – Nie musisz tego robić.

- Mylisz się – odparł i ponownie ją chwycił.

Tym razem nie walczyła. Co by się stało, gdyby udało jej się uciec? Nie mogła go tak po prostu tam zostawić. Jace wciąż gdzieś tam jest, pomyślała. Uwięziony gdzieś, za tymi martwymi oczami woła o pomoc. Musiała z nim zostać. Musiała odkryć, co cię dzieje. Pozwoliła mu się podnieść i zanieść do windy. – Cisi bracia zauważą, że cię nie ma – odezwała się, gdy numery pięter zapalały się, w miarę jak winda jechała w górę. – Zaalarmują Clave, będą cię szukać...

- Nie muszę się ich obawiać. Nie byłem więźniem. Nie spodziewają się tego, że mógłbym wyjść. Nie zorientują się, że chciałem wyjść, aż do rana, kiedy się obudzą.

- A jeśli wstaną wcześniej?

- Oh – w jego głosie słychać było chłodną pewność. – Nie wstaną. Jest bardziej prawdopodobne, że imprezowicze w Ironworks zauważą, że cię nie ma. Ale co oni mogą z tym zrobić? Nie wiedzą, gdzie jesteś, a ślady prowadzące do tego budynku zostały zatarte – odgarnął jej włosy z twarzy. – Po prostu musisz mi zaufać. Nikt po ciebie nie przyjdzie.

Gdy wyszli z windy wyjął nóż i powiedział – Nigdy bym cię nie skrzywdził. Wiesz o tym, prawda? – odsunął jej włosy końcem ostrza i przysunął jego brzeg do gardła.

Lodowate powietrze objęło jej nagie ramiona, gdy tylko wyszli na dach. Dłonie Jace'a były ciepłe. Przez cienką sukienkę czuła bijący od niego żar, ale nie ogrzał jej. Nie w środku. W środku była pełna kryształków lodu. Zrobiło jej się jeszcze zimniej, gdy ujrzała wielkie, ciemne oczy Simona, patrzące wprost na nią. Jego twarz zbladła pod wpływem szoku. Był biały jak papier. Patrzyła na nią i stojącego z tyłu Jace'a jakby byli czymś totalnie nierzeczywistym. Ludźmi z twarzami wywróconymi na drugą stronę, mapą świata z samymi oceanami.

Prawie nie patrzyła na stojącą obok niego kobietę o czarnych włosach i szczupłej, okrutnej twarzy. Jej wzrok przykuła przezroczysta trumna, stojąca na kamiennym podwyższeniu. Wydawała się jaśnieć od wewnątrz, jakby oświetlona mlecznobiałym światłem. Woda, w której unosił się Jonathan, prawdopodobnie wcale nie była wodą, tylko jakimś innym, mniej naturalnym płynem. Normalnie, na widok unoszącego się bezwładnie, nieruchomego, jakby martwego brata, leżącego w trumnie Królowy Śnieżki, Clary zaczęłaby krzyczeć, ale teraz po prostu się w niego wpatrywała. Usta czerwone jak krew, skóra biała jak śnieg, włosy czarne jak heban. Coś z tego było prawdą.

Kiedy spotkała Sebastiana jego włosy były czarne. Teraz wokół niego, niczym wodorosty unosiły się białe kosmyki. Takie same jak jego ojca. Ich ojca. Jego skóra była tak blada, jakby ktoś obsypał ją świecącymi kryształkami. Jego usta i rzęsy również pozbawione były koloru.

- Dziękuję, Jace – powiedziała kobieta, którą nazwał „Panią Lilith”. - Dobra i błyskawiczna robota. Początkowo myślałam, że będziesz sprawiać problemy, ale jak widać moje obawy były nieuzasadnione.

Clary zamrugała. Nigdy nie widziała tej kobiety, ale jej głos wydał się znajomy. Już gdzieś go słyszała. Ale gdzie? Chciała wyrwać się z objęć Jace'a, ale on tylko wzmocnił uchwyt. Ostrze

noża dotknęło jej gardła. To był wypadek, powiedziała sobie. Jace, nawet ten Jace, nigdy by jej nie skrzywdził.

– Ty – warknęła do Lilith przez zaciśnięte zęby – Co mu zrobiłaś?

- Przemówiła córka Valentine’a – uśmiechnęła się ciemnowłosa. – Odpowiesz na jej pytanie, Simonie?

Wampir wyglądał, jakby miał za chwilę zwymiotować. – Nie mam pojęcia – wykrztusił. – Uwierz, wy dwoje jesteście ostatnimi ludźmi, których się spodziewałem.

- Cisi Bracia powiedzieli, że za tym, co działo się z Jacem stoi demon – powiedziała Clary.

Simon wyglądał na jeszcze bardziej zdumionego. Natomiast kobieta przyglądała się jej oczami

czarnymi, jak obsydian.

- Tym demonem jesteś ty, nieprawdaż? Ale dlaczego Jace? Czego od nas chcesz?

- Nas? – parsknęła Lilith. – Tak jakbyś się w tym liczyła, dziewczynko. Dlaczego ty? Bo dzięki tobie doprowadzę tą sprawę do końca. Bo potrzebuje obu tych chłopców i obaj cię kochają. Bo Jace Herondale jest osobą, której ufasz najbardziej na świecie. A Ty jesteś osobą, którą Daylighter kocha wystarczająco mocno, by poświęcić życie. Może i nie można cię zranić – zwróciła się do Simona – ale ją tak. Czy jesteś na tyle uparty, by patrzeć jak Jace podrzyna jej gardło, zamiast oddać swoją krew?

Wampir, wyglądający teraz jak sama śmierć powoli pokręcił głową, ale zanim zdążył się odezwać, Clary krzyknęła – Simon nie! Nie rób tego, cokolwiek to jest. Jace mnie nie skrzywdzi.

Niezwykłe oczy kobiety zwróciły się w kierunku Jace’a. – Zrań ją – uśmiechnęła się. – Tylko trochę.

Clary poczuła, jak jego ramiona napinają się, jak wtedy, gdy uczył ją walczyć w parku. Poczuła coś na gardle. Było jak użądlenie i pocałunek. Gorące i zimne jednocześnie. Poczuła, jak ciepła strużka płynu kapie jej na kołnierzyk.

Simon wytrzeszczył oczy. Zranił ją. Właśnie to zrobił. Pomyślała, jak kulił się na podłodze sypialni w Instytucie. Jak bardzo wtedy cierpiał. Śniłem, że przychodzisz do mojego pokoju. Wtedy cię krzywdzę. Tnę duszę albo dżgam nożem. A ty umierasz, patrząc na mnie tymi zielonymi oczami, kiedy umyka z ciebie życie. Nie wierzyła mu. Nie naprawdę. To był Jace. Nigdy by jej nie skrzywdził. Spuściła wzrok i zauważyła, że krew zaplamiła kawałek jej sukienki. Wyglądał, jakby był pomalowany na czerwono.

- Teraz widzisz – odezwała się Lilith. – Robi to, co mu każę. Nie wiń go za to. Jest całkowicie w mojej mocy. Tygodniami zakradałam się do jego głowy. Widziałam jego sny. Dowadywałam się czego się boi, czego pragnie, za co się obwinia i czego pożąda. We śnie przyjął mój Znak, który przez skórę dotarł do jego duszy. Teraz jest ona w moich rękach. Kształtuję i kieruję nią tak, jak to uważam to za stosowne. Zrobi wszystko, co powiem.

Clary przypomniała sobie słowa Cichych Braci. Kiedy rodzi się Nocny Łowca odprowadzany jest rytuał. Cisi Bracia i Żelazne Siostry nakładają na dziecko ochronne zaklęcia. Kiedy Jace umarł, a potem został wskrzeszony, narodził się ponownie, bez zaklęć i rytuałów. Sprawilo to, że był jak zamek z otwartą bramą – bezbronny wobec demonicznych wpływów i wrogości.

To moja wina, pomyślała. Sprowadziłam go z powrotem i chciałam to utrzymać w tajemnicy. Gdybyśmy powiedzieli komukolwiek o tym, co się stało, to rytuał zostałby odprowadzony na czas i Lilith nie dostałaby się do jego głowy. Poczuła się chora przez własną głupotę.

Za nią Jace wciąż był nieruchomy, niczym posąg. Trzymał ją mocno z nożem przytkniętym do gardła. Czuła jego dotyk na swojej skórze, gdy brała głęboki oddech by przemówić. Z wysiłkiem utrzymywała spokojny głos. – Rozumiem, że kontrolujesz go, ale dlaczego? Są łatwiejsze sposoby, by mnie zastraszyć.

Lilith westchnęła, jakby cała ta sprawa zaczynała ją nużyć. – Potrzebuje cię, – powiedziała z przesadną cierpliwością - żeby Simon dał mi to, czego pragnę, czyli swoją krew. I potrzebuję Jace'a nie tylko po to, aby cię tu sprowadził, ale jako przeciwwagę. Wszystko we wszechświecie musi się równoważyć Clarisso. – Wskazała na nierówny, czarny okrąg narysowany na kafelkach a potem na Jace'a. – On był pierwszy. Pierwszy, który wrócił, pierwsza dusza przywrócona światu i imię Światła. Dlatego musi tu być, aby skutecznie przywrócić drugiego w imię Ciemności. Rozumiesz teraz, głupia dziewczyno? Wszyscy jesteśmy tu potrzebni. Simon by umrzeć. Jace by żyć. Jonathan by powrócić. A ty, córko Valentine'a, by to zapoczątkować.

Głos kobiety demona przeszedł w szept. Z zaskoczeniem Clary odkryła gdzie słyszała go wcześniej. Zobaczyła ojca stojącego wewnątrz pentagramu, czarnowłosą kobietę z mackami zamiast oczu klęczącą u jego stóp. Kobieta przemówiła. Dziecko zrodzone z tej krwi będzie przewyższać mocą Wielkie Demony z przepaści między światami. Ale też krew zniszczy jego człowieczeństwo, tak jak trucizna niszczy życie.

- Wiem – powiedziała sztywnymi ustami Clary. – Wiem kim jesteś. Widziałam, jak nacinasz sobie nadgarstki i wlewasz swoją krew do kielicha mojego ojca. Anioł Ithuriel pokazał mi to w wizji.

Simon przeskakiwał wzrokiem od Clary do kobiety, której ciemne oczy zdradzały oznaki zaskoczenia. Clary podejrzewała, że nie łatwo ją było zaskoczyć. – Widziałam, jak mój ojciec cię wezwał. Wiem, jak cię nazwał. Moja Pani Edomu. Jesteś Najwyższym Demonem. Dałaś swoją krew, by uczynić z mojego bata tego, kim jest. Zmieniłaś go w... potworną istotę. Gdy to nie było dla ciebie...

- Tak. To prawda. Dałam swoją krew Valentineowi Morgensternowi, on dał ją swojemu synkowi a oto rezultat. – Lilith położyła delikatnie, prawie pieszczotliwie dłoń na szklanej powierzchni trumny Sebastiana. Na jej twarzy wykwitł szalony uśmiech. – Prawie powiedziałas, że w pewnym sensie jestem matką Jonathana.

- Mówiłem, że tutaj nic nie ma – triumfował Alec.

Isabelle go zignorowała. W chwili, w której przekroczyli próg budynku, jej rubinowy wisior zaczął pulsować jak bijące serce. Oznaka aktywności demonicznej. W innych okolicznościach oczekiwałyby, że jej brat wyczuje dziwną aurę tego miejsca tak, jak ona, ale widocznie był zbyt pogrążony w ponurych myślach na temat Magnusa. By się skoncentrować. – Wyciągnij Czarodziejskie Światło – odezwała się do brata. – Zostawiłam swoje w domu. Posłał jej zirytowane spojrzenie. W lobby było wystarczająco ciemno, by człowiek nie mógł niczego dostrzec. Maja i Jordan byli obdarzeni wilkołaczą zdolnością widzenia w nocy. Stali po przeciwnych stronach pokoju. Jordan badał marmurowe biurko, a Maja opierała się o ścianę i kontemplowała swoje pierścionki.

- Powinnaś wszędzie je ze sobą nosić - odparł Alec.

- Tak? A masz ze sobą sensor? – parsknęła. - Tak myślałam. Ja przynajmniej mam ze sobą to
- stuknęła palcem w wisiorek. - Tu coś jest. Coś demonicznego.

Jordan rozejrzał się wokoło. - Demony tu są?

- Nie wiem, może jeden. On pulsuje i gaśnie - przyznała Izzy. - Jednak to byłby zbyt duży zbieg okoliczności, jak na zły adres. Musimy to sprawdzić.

Dokoła niej rozlało się niewyraźne światło. Rozejrzała się i zobaczyła Aleca trzymającego czarodziejskie światło. Spośród jego palców wyzierał blask, który rzucał na jego twarz dziwne cienie, sprawiające, że wyglądał na starszego, niż w rzeczywistości, a jego oczy przybrały ciemniejszy odcień. - Więc chodźmy - zdecydował. - Będziemy sprawdzać po jednym piętrze.

Ruszyli w stronę windy. Najpierw Alec, potem Izzy, na końcu Jordan i Maja. Nocna Łowczyni miała wryte na podeszwach runy bezgłośności, ale Maja idąc stuknęła obcasami butów po marmurowej podłodze. Zmarszczyła brwi i zatrzymała się by je zrzucić. Resztę drogi przebyła boso. Gdy weszła do windy, Isabelle zauważyła, że na dużym palcu lewej stopy ma pierścionek z turkusowym kamieniem.

- Pamiętam ten pierścionek. Kupiłem go... - zaczął przyglądający się jej stopom Kyle.

- Zamknij się - przerwała mu mulatka, naciskając guzik zamykający drzwi windy.

Zasunęły się, a wilkołak popadł w milczenie. Zatrzymywali się na każdym piętrze. Większość nadal była w trakcie budowy - nie było tam światła, a przewody zwisały z sufitu, jak pędy winorośli. Okna zabite były sklejkami. W słabych podmuchach wiatru porzucone ubrania wirowały jak duchy.

Młodsza z dzieci Lightwoodów wciąż ścisnęła w dłoni wisiorek, ale nic się nie działo, aż dotarli do 10 piętra. We wnętrzu zaciśniętej dłoni poczuła trzepot, tak jakby trzymała machającego skrzydłami ptaszka.

- Coś tu jest - wyszeptała.

Alec tylko przytaknął. Jordan otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Maja mocno uderzyła go łokciem. Isabelle prześlizgnęła się obok brata i wyszła na korytarz. Rubin pulsował i wibrował jak umierający owad.

- Sądalphon - wyszeptał Alec. Ostrze rozbłysło oświetlając korytarz.

W odróżnieniu od poprzednich, to piętro wyglądało na częściowo ukończone. Dokoła nich unosiły się nagie, granitowe ściany. Podłoga wyłożona była gładkimi, czarnymi kafelkami. Korytarz rozwidlał się. Jedna odnoga prowadziła do sterty sprzętu budowlanego i płataniny kabli. Drugi kończył się łukiem. Za nim kuśla ciemna przestrzeń. Isabelle odwróciła się, by popatrzeć na towarzyszy.

Alec schował czarodziejskie światło i trzymał jaśniejące serafickie ostrze, oświetlając wnętrze windy. Drugi chłopak znalazł długi, groźnie wyglądający nóż i chwycił go prawą dłonią. Maja wyglądała, jakby była w trakcie poprawiania fryzury. Kiedy opuściła rękę, trzymała długą, ostro zakończoną szpilkę. Zamiast paznokci miała teraz szpony, a jej oczy miały niebezpieczny, zielonkawy blask.

- Za mną - rozkazała Isabelle. - Tylko cicho.

Kiedy szła korytarzem, rubin obijał się o jej szyję. Nie widziała swoich towarzyszy, ale dzięki długim cieniom rzucanym na ciemne, granitowe ściany, wiedziała, że są tuż za nią. Gardło miała ściśnięte, a nerwy napięte jak przed bitwą. Tego najbardziej nie lubiła. Oczekiwania na

przemoc. Podczas walki nic innego, oprócz niej się nie liczyło. Teraz starała się skupić na najbliższym zadaniu.

Nad nimi pojawił się łuk. Został wyrzeźbiony w marmurze. Wyglądał dziwnie w tak nowoczesnym budynku. Po bokach był ozdobiony płaskorzeźbami. Z góry uśmiechała się do Izzy wyryta w kamieniu twarz gargulca. Skrzywiła się i odwróciła, by zbadać pokój, do którego weszła.

Był olbrzymi, z wysokim sufitem, z pewnością przeznaczony na apartament na poddaszu. Zamiast ścian były tam ogromne okna z widokiem rozciągającym się na East River i Queens. Widziała odbijający się w wodzie krwistoczerwone-granatowe napisy Coca-Coli. Światła otaczających budynków błyszczały na tle nocnego nieba jak lampki na choince.

Pokój sam w sobie był ciemny. Pelen dziwnych garbatych, leżących przy ziemi, w równych odstępach cieni. Zaskoczona Isabelle zmrużyła oczy. Nie poruszały się. Wydawać by się mogło, że to fragmenty jakichś kanciastych mebli, ale co...

- Alec - zawołała cicho.

Jej łańcuszek wił się, jakby był żywą istotą. Jego rubinowe serce boleśnie parzyło jej skóre. W jednej chwili brat był obok niej. Unosząc ostrze oświetlił pomieszczenie. Dziewczyna zakryła usta dłońmi.

- Doby Boże - wyszeptała. - Na Anioła, tylko nie to.

- Nie jesteś jego matka - powiedział łamiącym się głosem Simon.

Lilith nawet nie odwróciła się, by na niego spojrzeć. Dłonie wciąż opierała o szklana trumnę. Sebastian spoczywał w niej cichy i nieprzytomny. Jak zauważył Simon, był bosy.

- On ma matkę. Tą samą, co Clary. Clary jest jego siostrą. Sebastian, to znaczy Jonathan, nie byłby zachwycony, gdybyś ją skrzywdziła.

Lilith zaśmiała się. - Odważna próba Daylighterze - odezwała się w końcu. - Ale ja wiem lepiej. Obserwowałam, jak mój syn dorasta. Często odwiedzałam go w postaci sowy. Widziałam, jak bardzo nienawidzi go kobieta, która go urodziła. Nie kocha jej. Nawet nie powinien. Tak samo, jak nie troszczy się o siostrę. Bardziej przypomina mnie, niż Jocelyn Morgenstern - przeniosła wzrok z Simona na Jace'a i Clary.

Nie poruszyli się. Clary wciąż stała otoczona ramionami Jace'a, z nożem na gardle. Trzymał go lekko, nieostrożnie, jakby ledwo zwracał na to uwagę. Ale wampir wiedział, jak szybko ten Nocny Łowca przechodzi z obojętności do ataku.

- Jace - rozkazała Lilith - wejdź do kręgu. Weź ze sobą dziewczynę.

Posłusznie ruszył na przód popychając przed sobą Clary. Gdy przekroczyli barierę wyznaczoną przez czarną linię, runy wewnątrz niej nagle rozbłysły. Tak, jak coś jeszcze. Runa na piersi Jace'a, narysowana tuż nad sercem, zapłonęła taką jasnością, że Simon zamknął oczy. Nawet przez zaciśnięte powieki widział runę. Wściekle wirowanie złotych linii wyrzyło się w jego podświadomości.

- Otwórz oczy, Daylighterze - warknęła kobieta. - Nadszedł czas. Oddasz mi swoją krew, czy odmówisz? Znasz cenę.

Lewis spojrzał na spoczywającego w trumnie Morgensterna. Jego runa, bliźniaczo podobna do tej, na piersi Jace'a również stała się widoczna, ale szybko zaczęła blaknąć. Za chwilę już jej nie było, a Sebastian był blady i spokojny. Nie ruszał się. Nie oddychał. Nie żył.

- Nie mogę ci go zwrócić - oświadczył. - Jest martwy. Oddam moją krew, ale on nie będzie mógł jej połknąć.

Lilith prychnęła z rozdrażnieniem. Przez chwilę w jej oczach tlił się ostry, jasny płomień. - Najpierw musisz go ugryźć. Jesteś Daylighterem. Krew Anioła krąży w twoim ciele, w twojej krwi, łzach, płynie w twoich kłach. Twoja krew wskrzesi go wystarczająco, by mógł ją przełknąć i wypić. Ugryź go, daj mu swoją krew i przywróć mi go.

Simon popatrzył na nią dziko. - To, co mówisz... Twierdzisz, że mam zdolność wskrzeszania zmarłych?

- Masz ją, odkąd stałeś się Daylighterem - wyjaśniła. - Ale nie masz prawa, by jej używać.

- Prawa?

Uśmiechnęła się, wiodąc długim, czerwonym paznokciem po brzegu trumny. - Mówią, że historię piszą zwycięzcy. Między Ciemnością, a Światłem nie ma aż tak wielkiej różnicy, jak myślisz. Ostatecznie gdyby nie było Ciemności, Światłość nie miałaby czego rozpraszać.

Simon popatrzył na nią pustym wzrokiem.

- Równowaga - sprezyzowała. - Są prawa starsze, niż możesz to sobie wyobrazić. A jedno z nich mówi, że nie można wskrzeszać umarłych. Kiedy dusza opuści ciało, należy do śmierci. I nie może być zabrana bez zapłaty.

- A ty masz zamiar zapłacić? Za niego? - Simon wskazał na Sebastiana.

- On jest zapłatą - odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się. Brzmiało to prawie jak ludzki śmiech. - Jeśli Światłość przywraca jedną duszę, to Ciemność może również wskrzesić jedną. To moje prawo. A może powinieneś zapytać swoją małą przyjaciółkę Clary, o czym mówię.

Wampir spojrzał na dziewczynę. Wyglądała, jakby miała zemdleć.

- Raziel - powiedziała słabo. - Kiedy Jace umarł...

- Jace umarł? - głos Simona skoczył o oktawę.

Herondale mimo, że był tematem dyskusji, wyglądał na spokojnego i obojętnego. Trzymał nóż w gotowości.

- Valentine dźgnął go - powiedziała cicho Clary. - A potem Anioł go zabił i powiedział, że mogę mieć wszystko, czego zechcę. A ja chciałam, żeby Jace wrócił. Chciałam go z powrotem i Anioł go wskrzesił... dla mnie. Był martwy tylko przez parę minut... prawie wcale...

- To wystarczyło - wydyszała Lilith. - Byłam w pobliżu mojego syna podczas jego potyczki z Jace'm. Widziałam, jak pada i umiera. Podążyłam za Jace'm do jeziora. Widziałam, jak Valentine go uśmierca, a potem jak Raziel przywraca go do życia. Widziałam, że to moja szansa. Wróciłam nad rzekę i zabrałam ciało syna... Przygotowywałam je na tą chwilę. - Spojrzała z dumą na trumnę. - Równowaga musi być zachowana. Oko za oko. Ząb za ząb. Życie za życie. Jace jest moim gwarantem. Jeśli on żyje, to Jonathan też powinien.

Simon nie mógł odwrócić wzroku od Clary. - Czy to, co mówi o Aniele, jest prawdą? - zapytał. - A ty nigdy nikomu nie powiedziałaś?

Ku jego zaskoczeniu odpowiedział Jace. - To był nasz sekret - odezwał się, ocierając policzek o jej włosy. Zielone oczy Clary rozbłysły, ale się nie poruszyła.

- Więc widzisz, Daylighterze - powiedziała Lilith. - Biorę tylko to, co zgodnie z prawem mi się należy. Prawo mówi, że ten, który wrócił pierwszy, musi być w kręgu, kiedy drugi jest przywracany. Kiwnęła pogardliwie palcem na Jace'a. - On tu jest. Ty tu jesteś. Wszystko przygotowane.

- W takim razie nie potrzebujesz Clary - zauważył Simon. - To jej nie dotyczy. Pozwól jej odejść.

- Oczywiście, że jej potrzebuje. Aby cię zmotywować. Nie mogę cię zranić, grozić ci, ani zabić bo nosisz Znak. Ale mogę wyrwać ci serce, pozbawiając ją życia. I zrobię to.

Popatrzyła na Clary, a Simon podążył za nią wzrokiem.

Clary. Była tak blada, że aż sina, chociaż to mogło być spowodowane chłodem. Jej zielone oczy były ogromne. Krople zasychającej krwi kapały z jej obojczyka na kołnierzyk sukienki, teraz ubrudzonym na czerwono. Jej ręce, luźno zwieszone po bokach, wciąż się trzęsły.

Simon widział ją taką, jaką była teraz, ale także jako siedmiolatkę: chude ramiona, piegi i tamte niebieskie, plastikowe spinki, które nosiła we włosach do 11 roku życia. Pomyślał o chwili, w której zauważył, że pod workowatym T-shirtem i jeansami, które zawsze nosiła, skrywa dziewczęce kształty i jak nie był pewien czy patrzeć, czy odwrócić wzrok.

Wyobraził sobie jej śmiech, sposób, w jaki jej ołówek szybko poruszał się po kartce, kreśląc obrazy: wieże zamków, galopujące konie, pokolorowane na jasno postacie, które powstały w jej głowie. Możesz chodzić do szkoły sama - zapowiedziała jej mama, - ale tylko jeżeli będzie z tobą Simon.

Przywołał dotyk jej dłoni na swojej kiedy przechodzili przez ulicę i własne poczucie bezpieczeństwa było mniej ważne od jej bezpieczeństwa. Kiedyś był w niej zakochany i może jakaś jego część zawsze będzie, bo była jego pierwszą miłością. Ale to nie miało znaczenia. Clary była jego częścią. Zawsze była i zawsze będzie.

Kiedy tak na nią patrzył, bardzo nieznacznie pokręciła głową. Wiedział, co starała się mu powiedzieć. Nie rób tego. Nie dawaj jej tego, czego chce. Będzie ze mną, co ma być.

Wszedł do kręgu. Kiedy jego stopa przekroczyła linię, poczuł biegnący po ciele, niczym elektryczny impuls, dreszcz.

- W porządku - powiedział - zrobię to.

- Nie - krzyknęła dziewczyna, ale Simon nawet na nią nie spojrzał.

Patrzył na uśmiechającą się chłodnie i triumfująco Lilith. Kobieta uniosła dłoń i przesunęła nią po gładkiej powierzchni trumny. Jej wieko uniosło się, przywodząc Simonowi na myśl otwierającą się puszkę sardynek.

Kiedy górna warstwa szkła została odsunięta, stopiła się i spłynęła po bokach granitowego piedestału, krystalizując się w maleńkie kawałki czegoś płynnego. Trumna była teraz otwarta. Ciało Sebastiana pływało w środku i wampir był pewien, że ponownie widział runę na jego piersi, gdy Lilith sięgnęła do środka. Chwyciła bezwładne ramiona chłopaka i skrzyżowała je na piersi w makabrycznie czułym geście tak, aby zabandażowane ramię znalazło się pod tym zdrowym. Odsunęła mu kosmyk włosów z bladego czoła i odsunęła się, strzepując mlecznobiałą ciecz z rąk.

- Do roboty, Daylighterze - rozkazała.

Simon zbliżył się do trumny. Twarz Sebastiana była martwa, oczy nieruchome. Nie miał pulsu. Simon pamiętał, jak bardzo pożałował krwi Maureen. Jak pragnął wbić kły w jej skórę i

poczuć słony smak jej krwi. Ale to - to było pożywanie się trupem. Sama myśl sprawiła, że zebrało mu się na wymioty.

Chociaż jej nie widział, był świadom tego, że przyjaciółka na niego patrzy. Mógł poczuć jej oddech, gdy pochylał się nad Sebastianem.

Włożył ręce do trumny i zacisnął je na śliskich i zimnych ramionach chłopaka. Powstrzymując mdłości, zatopił kły w gardle Morgensterna. Czarna krew demona wlała się do jego ust. Była gorzka jak trucizna.

Isabelle poruszała się cicho wzdłuż kamiennych piedestałów. Alec był za nią. Sandalphon w jego dłoni wysyłał światło rozjaśniające pokój.

Skulona w kącie Maja wymiotowała. Jordan pochylał się nad nią i chyba miał ochotę poklepać ją po plecach, ale bał się, że go odtrąci. Izzy nie winiła Mai za to, co się stało. Gdyby nie miała za sobą lat treningu, sama by zwymiotowała.

Nigdy nie widziała czegoś podobnego to tego, na co patrzyła w tej chwili. Były tam dziesiątki, może pięćdziesiąt kamiennych piedestałów, a na szczycie każdego z nich leżał koszyk, przypominający dziecięce łóżeczko. W koszykach leżały dzieci. Wszystkie były martwe.

Na początku miała nadzieję, że znajdzie choć jedno żywe, ale one były martwe już od jakiegoś czasu. Ich skóra była szara, małe twarzyczki pomarszczone i pozbawione koloru. Były zawinięte w cienkie kocyki. Isabelle pomyślała, że temperatura w pomieszczeniu nie była dość niska, by zamrzły na śmierć.

Nie była pewna, jak umarli. Nie wytrzymałaby dokładnego śledztwa w tej sprawie. To było zadanie dla Clave.

Stojącemu za nią Alecowi, łzy płynęły po twarzy. Przeklinał cicho, gdy szli do ostatniego podwyższenia.

Maia wyprostowała się i oparła o okno. Kyle dał jej coś, może chusteczkę do nosa, aby otarła twarz. Zimne światła miasta płonęły za jej plecami.

- Izz - odezwał się Alec. - Kto mógł zrobić coś takiego? Dlaczego ktoś, nawet demon... - przerwał.

Jego siostra wiedziała o czym myślał.

Kiedy Max się urodził ona miała 7 lat, a Alec 9. Pochylali się nad swoim leżącym w łóżeczku braciszkiem, rozbawieni i oczarowani tą fascynującą, nową istotą. Bawili się jego paluszkami i śmiali z dziwnych min, które robił, gdy go łaskotali. Jej serce ścisnęło się.

Max.

Kiedy szła wzdłuż łóżeczek, które teraz zamieniły się w małe trumny, zaczęło ją obezwładniać poczucie przytłaczającego strachu. Nie mogła zignorować faktu, że jej naszyjnik świecił ostrym, równomiernym blaskiem. Blaskiem, którego mogła oczekiwać przy spotkaniu z Wyższymi Demonami.

Pomyślała o tym, co Clary widziała w kostnicy Beth Israel. Wyglądał jak normalne dziecko. Ale jego ręce były powykręcane w szpony... Delikatnie sięgnęła do jednego z łóżeczek. Uważając, by nie dotknąć dziecka, odsunęła cienki koc, w który owinięte było jego ciało. To, co zobaczyła zaparło jej dech w piersiach.

Zwykle, pulchne ramiona niemowlęcia, okrągłe nadgarstki, miękkie dłonie. Ale zamiast palców miało czarne, jak spalona kość szpony, zakończone ostrymi pazurami. Dziewczyna cofnęła się mimowolnie.

- Co jest? - podeszła do nich Maja. Wciąż wyglądała na niezdrową, ale jej głos był spokojny. Za nią podążał drugi wilkołak, trzymając ręce w kieszeni. - Co znalazłaś? - zapytała.

- Na Anioła - stojący obok siostry Alec zajął do łóżeczka. - Czy ono... wygląda jak to dziecko, o którym opowiadała ci Clary? To z Beth Israel?

Izzy powoli pokiwała głową. - Wydaje mi się, że to nie było jedyne dziecko - zasugerowała. - Ktoś chciał stworzyć ich więcej. Więcej... Sebastianów.

- Dlaczego ktoś miałby chcieć więcej takich, jak on? - głos Aleca drżał z wściekłości.

- Był szybki i silny - powiedziała Izzy. Ciężko było jej mówić cokolwiek dobrego o chłopaku, który zabił jej brata i prawie zabił ją. - Zdaje się, że chcą wyhodować rasę super wojowników.

- Nie zadziałało - oczy Mai były ciemne od smutku.

Dźwięk tak delikatny, że prawie niesłyszalny zabrzmiał gdzieś na granicy słuchu Isabelle. Szarpnęła głową. Jej dłoń powędrowała do paska, gdzie przypięty był bat. Coś w gęstym cieniu, zalegającym na obrzeżach pokoju obok drzwi, poruszyło się.

To było zaledwie nieznaczne drgnięcie, ale Isabelle już odłączyła się od reszty i biegła w stronę drzwi. Wypadła na korytarz, obok wind. Coś tu było - cień, który oddzielił się od większej ciemności i pełził wzdłuż ściany.

Nocna Łowczyni zwiększyła prędkość i rzuciła się do przodu przygważdżając cień do podłogi. To nie był duch. Isabelle zaskoczyło bardzo ludzkie chrząknięcie widmowej postaci. Upadli i potoczyli się po ziemi. Postać z całą pewnością była człowiekiem - drobnym i niższym od Isabelle. Nosila szary, ocieplany dres i trampki.

Postać uniosła łokieć i wbiła go w obojczyk Iz. Kolanem kopnęła ją w klatkę piersiową. Dziewczyna sapnęła i przetoczyła się na bok, sięgając po bat. Kiedy go odczepiła, postać stała już na nogach. Wojownicza przewróciła się na brzuch i smagnęła batem.

Jego koniec owinał się wokół kostki obcego i zacisnął mocno. Izzy pociągnęła za bat, zwalając postać z nóg. Kucnęła i wolną ręką sięgnęła po stelę, ukrytą pod sukienką. Szybkim ruchem dokończyła znajdujący się na przedramieniu znak Nyx. Jej wzrok momentalnie się poprawił.

Pokój zdawał się być wypełniony światłem, gdy runa widzenia w ciemności zaczęła działać. Mogła teraz doskonale widzieć swojego napastnika - chudą postać w szarym dresie i trampkach tego samego koloru, pełznącą tyłem do ściany. Istota oparła się o nią plecami. Kaptur zsunął się, odsłaniając twarz. Głowa była ogolona, ale rysy twarzy z wydatnymi kośćmi policzkowymi i dużymi, ciemnymi oczami, były z całą pewnością kobiece.

- Przestań - rozkazała Isabelle i mocniej pociągnęła bat. Kobieta krzyknęła z bólu. - Nie próbuj się wymykać.

Dresiara obnażyła zęby - Robak - prychnęła. - Niejeżąc. Nic ci nie powiem.

Izzy schowała stelę. - Jeśli pociągnę wystarczająco mocno, to odetnę ci nogę. - Zacisnęła bat jeszcze mocniej i podeszła do kobiety. - Te dzieci... Co się z nimi stało?

Jej rozmówczyni parsknęła śmiechem. - Nie były wystarczająco silne. Słaby ród, słaby.

- Zbyt słaby na co? - kiedy dziewczyna nie uzyskała odpowiedzi warknęła - Możesz powiedzieć, albo stracić nogę. Twój wybór. Nie myśl tylko, że pozwolę ci się wykrwawić na śmierć. Dzieciobójcy nie zasługują na litość.

- Jeśli mnie skrzywdzisz, to ona cie zniszczy - syknęła kobieta.

- Kto... - Izzy przerwała przypominawszy sobie słowa Aleca. Talto, to inne imię Lilith. Można powiedzieć, że jest demoniczną patronką martwych dzieci. - Lilith - stwierdziła. - Słyszysz Lilith. Zrobiłaś to wszystko... dla niej?

- Isabelle - to był Alec niosący przed sobą światło Sandalphiona. - Co się dzieje? Maja i Jordan szukają kolejnych... dzieci, ale wygląda na to, że wszystkie były w dużym pokoju. Co się tu wyprawia?

- Ta... osoba, - powiedziała ze wstrętem jego siostra - jest członkiem kultu Kościoła Talto. Najwidoczniej oddają cześć Lilith i wymordowali te wszystkie dzieci dla niej.

- To nie morderstwo - kobieta wyprostowała się. - Nie morderstwo. Ofiara. Zostały poddane próbie i okazały się za słabe. Nie nasza wina.

- Pozwól, że zgadnę - zadrwiła Isabelle. - Próbowaliście wstrzykiwać ciężarnym kobietom krew demona. Ale krew demona to trucizna. Dzieci nie mogły przeżyć. Rodziły się zdeformowane, a potem umierały.

Kobieta zakwiliła. To był cichy dźwięk, ale Izzy zauważyła, że jej brat mruży oczy. Z ich dwójki, on zawsze lepiej sobie radził z odczytywaniem ludzi.

- Jedno z tych dzieci - powiedział ostrożnie - było twoje. Jak mogłaś podać własnemu dziecku krew demona?

Usta kobiety zadrżały. - Nie zrobiłam tego. Byłam jedną z tych, które dostawały zastrzyki. Byłam matką. Byłyśmy silniejsze, szybsze. Nasi mężowie też. Ale zachorowaliśmy. Coraz bardziej i bardziej. Wypadły nam włosy. Nasze paznokcie... - Uniosła dłoń pokazując szerniałe płytki, rozdarte, krwawiące miejsca, z których poodpadały. Jej ramiona upstrzone były ciemnymi, wrzodzącymi ranami. - Wszyscy umrzemy - w jej głosie słychać było cień satysfakcji. - Za kilka dni będziemy martwi.

- Zmusiła cię do wzięcia trucizny, a ty wciąż jej słuchasz? - zdziwił się Alec.

- Nie rozumiesz. - głos kobiety był zachrypnięty, marzycielski. - Nie miałam nic zanim Ona mnie znalazła. Nikt z nas nie miał. Żyłam na ulicy. Sypiałam na stacjach metra, żeby nie zamarznąć. Lilith dała mi miejsce do spania i rodzinę, która się mną opiekowała. Być w Jej pobliżu, to być bezpiecznym. Nigdy wcześniej nie czułam się bezpieczna.

- Widziałas Lilith - Isabelle starała się ukryć niedowierzanie. Demoniczne kulty nie były dla niej niczym nowym. Kiedyś pisała o nich esej dla Hode'a. Dostała za niego wysoką notę. Większość kultów czciła demony które wymyśliła lub stworzyła. Niektóre dawały sobie radę z przywoływaniem pomniejszych, słabych demonów, które albo zabijały wszystkich, kiedy się uwolniły, albo zadowalali się panowaniem na członkami kultu, którzy spełniali ich zachcianki, w zamian za drobne przysługi. Nigdy nie słyszała o kulcie czczącym Wielkiego Demona, którego członkowie autentycznie go widzieli. A już na pewno tak potężnego jak Lilith, matka czarowników. - Byłaś blisko niej?

Kobieta przymknęła oczy. - Tak. Jej krew, płynąca w moich żyłach pozwala mi wyczuć jej obecność. Ona jest blisko.

Izz nic nie mogła na to poradzić. Jej ręka odruchowo powędrowała do wisiorka. Pulsował nieustannie, odkąd weszli do budynku. Wydawało jej się, że to z powodu demonicznej krwi w dzieciach, ale obecność Wielkiego Demona w pobliżu nadawała temu więcej sensu. - Jest tutaj? Gdzie?

Kobieta zdawała się zapadać w sen. - Na górze - powiedziała ogólnikowo. - Z młodym wampirem. Tym, który chodzi za dnia. Wysłała nas, żeby go do niej sprowadzić, ale był chroniony. Nie mogliśmy go tknąć. Ci, którzy poszli go szukać, przepadli. Potem Brat Adam wrócił i powiedział, że chłopaka chroni święty ogień. Pani Lilith była wściekła. Skręciła mu kark. Miał szczęście zginąć z jej ręki, takie szczęście - jej oddech stał się świszczący. - Ona jest taka mądra, Pani Lilith. Znalazła inny sposób, by sprowadzić chłopaka...

Isabelle upuściła bat. - Simon? Przyprowadziła tutaj Simona? Dlaczego?

- Nikt nie zaszedł tak daleko - wydyszała kobieta - przywróci go...

Dziewczyna upadła na kolana. Podniosła bicz. - Przestań - powiedziała drżącym głosem. - Przestań bredzić i powiedz gdzie on jest. Gdzie ona go zabrała? Gdzie jest Simon? Powiedz, bo inaczej...

- Isabelle - przemówił głośno Alec. - Izz, to nic nie da. Jest martwa.

Nocna Łowczyni popatrzyła w zdumieniu na kobietę. Wyglądało na to, że umarła między jednym oddechem a drugim. Jej oczy były otwarte, skóra na twarzy obwisła. Teraz pod chorobą, łysiną i ranami widać było, że prawdopodobnie była młoda. Mogła mieć niewiele ponad 20 lat.

- Niech to szlag.

- Nie rozumiem tego - zastanowił się Alec. - Czego może chcieć od Simona Wielki Demon? Jest wampirem. Sławnym i potężnym, ale...

- Znak Kaina - przerwała mu z roztargnieniem siostra. - To musi mieć związek ze Znakiem. Nie ma innego wyjaśnienia. - Podeszła do windy i walnęła w guzik przywołania. - Jeżeli Lilith naprawdę była pierwszą żoną Adama, a Kain był jego synem, to znaczy, że Kłątwa Kaina jest prawie tak stara, jak ona.

- Dokąd idziesz?

- Powiedziała, że są na górze. Mam zamiar przeszukać każde piętro, aż ich znajdę - oświadczyła.

- Ona nie może go skrzywdzić, Izzy - powiedział Alec rozsądnym tonem, którego nie znosiła.

- Wiem, że się martwisz, ale on nosi Znak Kaina. Jest nietykalny. Nawet Wielki Demon nic mu nie zrobi. Nikt nic mu nie może zrobić.

- Więc, czego ona według ciebie od niego chce? Żeby odebrał jej ciuchy z całodobowej pralni? Doprawdy, Alec...

Rozległ się świst i strzałka nad najdalszą windą rozbłysła. Isabelle zerknęła na zaczynające się otwierać drzwi. Wydobyło się z nich światło... i fala kobiet i mężczyzn. Łysych, wychudzonych i ubranych w szare dresy i trampki. Każdy z nich wymachiwał prymitywną bronią zrobioną z fragmentów konstrukcji: wyszczerbionymi kawałkami szkła, betonowymi blokami. Żadne z nich nic nie mówiło. W kompletnej, niesamowitej ciszy, jak jeden mąż wyskoczyli z windy i ruszyli na Aleca i Isabelle.

Tłumaczenie: [Hope Solo](#)

Korekta: [JimmyK](#)

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Blizny po ogniu

Chmury toczyły się nad rzeką, niosąc ze sobą gęstą mgłę. Nie przesłoniła ona tego, co działo się na dachu, tylko nakryła czymś w rodzaju welonu całą resztę. Budynki otaczające ich ze wszystkich stron wyglądały jak kolumny przyćmionego światła. Księżyc ledwo świecił przez mleczny tuman niczym słaba lampa. Szczątki szklanego wieka trumny rozrzucone po kamiennej posadzce lśniły jak kryształki lodu. Lilith też jaśniała w bladej księżycowej poświacie, obserwując, jak Simon pochyla się nad sztywnym ciałem Sebastiana i pije jego krew.

Clary nie mogła na to patrzeć. Wiedziała, że Simon robi to wyłącznie dla niej. Dla niej i może trochę dla Jace'a. I wiedziała, jaki będzie następny etap rytuału. Simon odda z własnej woli krew Sebastianowi i umrze. Wampiry mogą umrzeć, kiedy stracą krew. Ona na zawsze straci Simona i to będzie wszystko jej wina.

Czuła za sobą Jace'a, jego ramiona opasujące ją ciasno, ciche, regularne uderzenia serca na łopatkach. Pamiętała, jak obejmował ją na schodach Wielkiej Sali Anioła w Idrisie. Pamiętała szum wiatru w liściach, kiedy ją całował, dotyk jego ciepłych rąk na policzkach. I bicie jego serca w rytmie zgodnym z jej własnym.

Jace musiał gdzieś tam być. Uwięziony jak Sebastian w szklanej trumnie. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby do niego dotrzeć.

Lilith wpatrywała się w Simona pochylonego nad Sebastianem. Ciemne oczy miała szeroko otwarte, nieruchome, jakby zapomniała o całym świecie.

- Jace - szepnęła Clary. - Jace, nie chcę tego oglądać.

Przycisnęła się plecami do niego, jakby próbowała wtulić się w jego ramiona, a potem udała, że się krzywi, kiedy nóż musnął bok jej szyi.

- Proszę, Jace - wyszeptwała. - Nie potrzebujesz tego noża. Wiesz, że nic nie mogę ci zrobić.

- Ale dlaczego...

- Po prostu chcę na ciebie spojrzeć. Chcę zobaczyć twoją twarz.

Poczuła, że jego pierś unosi się i opada gwałtownie, jeden raz. Jace'a przeszedł dreszcz, jakby z czymś walczył, coś odpychał. Potem, jak tylko on to potrafił, wykonał ruch szybszy od błyskawicy. Trzymając ją mocno prawym ramieniem, lewą ręką wsunął nóż za pasek.

Serce Clary podskoczyło. Mogłaby uciec, ale on by ją dogonił, a poza tym przegapiła swoją szansę, bo chwilę później znowu objął ją i obrócił twarzą do siebie. Poczuła na plecach jego dłonie.

Teraz już nie widziała Simona ani demonicy, ale nadal czuła ich obecność za plecami i dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Spojrzała na Jace'a. Jego twarz była taka znajoma. Jej rysy, sposób, w jaki włosy opadały mu na czoło, ledwo widoczna blizna na kości policzkowej, kolejna na skroni. Rzęsy miały odcień ciemniejszy niż włosy, oczy kolor jasnozielonej trawy. I na tym polegała różnica między obecnym a dawnym Jacem, że te oczy były czyste i pozbawione wyrazu, jakby zaglądała przez okno do pustego pokoju.

- Boję się - powiedziała.

Pogłaskał ją po ramieniu, przyprowadzając o drżenie. Z uczuciem obrzydzenia Clary uświadomiła sobie, że jej ciało nadal reaguje na jego dotyk.

- Nie pozwolę, żeby coś ci się stało - obiecał.

Popatrzyła na niego uważnie. *Ty naprawdę tak myślisz, co? Nie potrafisz dostrzec oddźwięku między swoimi intencjami a czynami. Ona odebrała ci tę zdolność.*

- Nie zdołasz jej powstrzymać - ostrzegła. - Ona mnie zabije, Jace.

Pokręcił głową.

- Nie. Nie zrobi tego.

Clary miała ochotę krzyknąć, ale postarała się mówić spokojnym, wyważonym głosem.

- Wiem, że tam jesteś, Jace. Ty prawdziwy. - Przytuliła się do niego mocniej. Klamra jego paska wbiła się jej w talię. - Mógłbyś z nią walczyć...

Powiedziała niewłaściwą rzecz. Jace cały stężał, a w jego oczach odmalowała się udręka, spojrzenie zwierzęcia schwytanego w pułapkę. W następnej chwili jego wzrok stał się twardy.

- Nie mogę.

Clary zadrżała. Wyraz jego twarzy był straszny. Gdy Jace zobaczył jej reakcję, jego oczy złągodniały.

- Zimno ci? - spytał i przez chwilę brzmiał jak dawny Jace, zatroskany o jej samopoczucie.

Clary boleśnie ścisnęło się gardło. Skinęła głową, choć fizyczne zimno teraz najmniej ją obchodziło.

- Mogę schować ręce pod twoją marynarkę?

Kiwnął głową. Marynarkę miał rozpiętą. Clary dotknęła jego pleców. Wokół panowała dziwna cisza. Wydawało się, że miasto zamarzło wewnątrz góry lodowej. Nawet światła okolicznych budynków były nieruchome i zimne.

Jace oddychał powoli, równomiernie. Przez rozdarty materiał koszuli Clary widziała Znak na jego piersi, który pulsował przy każdym oddechu. Wyglądał obrzydliwie, jak pijawka wysysająca z niego wszystko co dobre, co było prawdziwym Jacem.

Clay przypomniała sobie, co powiedział jej Luke o niszczeniu runu. „Jeśli go zdeformujesz, możesz zmniejszyć albo całkiem zniszczyć jego moc. Czasami, w bitwie wróg próbuje spalić albo wyciąć skórę Nocnego Łowcy, żeby pozbawić go runicznej ochrony”.

Patrzyła na Jace'a. Zapomnij o tym, co się dzieje, pomyślała. Zapomnij o Simonie, o nożu na gardle. To, co powiesz teraz, ma większe znaczenie niż wszystko, co kiedykolwiek w życiu powiedziałaś.

- Pamiętasz, co mi mówiłeś w parku? - wyszeptała.

Jace spojrział na nią zaskoczony.

- Co?

- Kiedy powiedziałam, że nie znam włoskiego, przetłumaczyłeś mi tamten cytat. Że miłość jest najpotężniejszą siłą na świecie. Potężniejszą niż wszystko inne.

Miedzy jego brwiami pojawiła się zmarszczka.

- Ja nie...

- Tak, pamiętasz. - Uważaj, przykazała sobie, nie zdołała jednak usunąć napięcia ze swojego głosu. - Powiedziałeś mi, że to najpotężniejsza siła. Potężniejsza niż niebo czy piekło. I potężniejsza niż Lilith.

Nic. Patrzył na nią, jakby jej nie słyszał. Zupełnie, jakby krzyczała w głąb czarnego, pustego tunelu. „Jace, Jace, Jace. Wiem, że tam jesteś!”.

- Jest sposób. Mógłbyś mnie bronić i jednocześnie robić to, co ona chce. Czy to nie byłoby najlepsze?

Przytuliła się do niego mocniej, czując, że skręca jej się żołądek. Obejmowała Jace'ego, a jednocześnie miała ochotę go odepchnąć. Radość i przerażenie były w niej wymieszane w równym stopniu. I czuła, że jego ciało na nią reaguje, słyszała bicie jego serca. Nie przestał jej pragnąć, niezależnie od władzy, którą Lilith przejęła nad jego umysłem.

- Szepnę ci to - powiedziała, muskając ustami jego szyję. Wdychała jego zapach, znajomy jak woń jej własnej skóry. - Słuchaj.

Uniosła głowę, on się ku niej nachylił... Clary przesunęła dłoń w dół jego pleców, zacisnęła ją na rękojeści noża wsuniętego za pasek. Wyszarpnęła broń, tak jak jej pokazywał, kiedy razem trenowali, zważyła sztylet w ręce i cięła nim przez lewą stronę jego piersi szerokim, płytkim łukiem. Jace krzyknął, bardziej z zaskoczenia niż z bólu, krew trysnęła z rany, spłynęła po Znak. Jace przytknął dłoń do piersi. Kiedy ją odsunął, była czerwona. Popatrzył na Clary rozszerzonymi oczami, jakby naprawdę nie potrafił uwierzyć w jej zdradę.

Odwróciła się, kiedy Lilith krzyknęła. Simon już nie pochylał się nad ciałem Sebastiana, tylko stał wyprostowany i patrzył na Clary, przyciskając wierzch dłoni do ust. Czarna demoniczna krew kapłała z jego brody na białą koszulę. Oczy miał szeroko otwarte.

- Jace. - Głos Lilith wyrażał szczere zdumienie. - Jace, trzymaj ją... Rozkazuję ci...

Jace nawet nie drgnął. Przenosił wzrok z Clary na Lilith, na swoją zakrwawioną rękę, i z powrotem. Simon zaczął się odsuwać od trumny. Nagle się zatrzymał, zgiął wpół, opadł na kolana. Demonica ruszyła w jego stronę z wykrzywioną twarzą.

- Wstawaj! - wrzasnęła. - Wstawaj! Wypiłeś jego krew. Teraz, on potrzebuje twojej!

Simon z trudem usiadł, ale zaraz osunął się bezwładnie na ziemię i zwymiotował czarną cieczą. W Idrisie mówił, przypomniawszy sobie Clary, że krew Sebastiana smakowała jak trucizna. Lilith wzięła zamach, żeby go kopnąć... i zatoczyła się do tyłu, jakby z całej siły popchnęła ją niewidzialna ręka. Demonica wrzasnęła. Z jej ust nie wydostały się słowa, tylko krzyk podobny do sowiego, wyraz niepohamowanej furii i nienawiści. Nie był to głos, jaki mogłaby wydać z siebie ludzka istota. Clary odniosła wrażenie, że wbijano jej w uszy poszarpane odłamki szkła.

- Zostaw Simona! - krzyknęła. - On jest chory. Nie widzisz, że jest chory?

Natychmiast pożałowała swoich słów. Lilith odwróciła się powoli, przesunęła po Jasie zimnym, władczym wzrokiem.

- Mówiłam ci, Jace Herondale, żebyś nie pozwolił tej dziewczynie opuścić kręgu - powiedziała. - Zabierz jej broń.

Clary prawie zapomniała, że nadal trzyma w ręce nóż. Wściekła na Lilith — na wszystko — i niemal zdrętwiała z zimna, upuściła broń na ziemię. Nóż potoczył się po płytach i zatrzymał u stóp Jace'a. On spojrzał w dół, jakby nigdy wcześniej nie widział broni.

Usta Lilith wyglądały jak cienkie czerwone kreski. Białka zniknęły i teraz jej oczy były całe czarne. Już nie wyglądała jak człowiek.

- Jace - wyszczała. - Jace Herondale, bądź mi posłuszny.

- Podnieś go - powiedziała Clary, patrząc na Jace'a. - Weź nóż i zabij ją albo mnie. Twój wybór.

Jace schylił się powoli i podniósł sztylet.

Alec trzymał w jednej ręce Sandalphona, a w drugiej hachiwarę,⁷² dobrą do odpierania licznych atakujących. U jego stóp leżało, co najmniej sześciu napastników, martwych albo nieprzytomnych.

Walczył już w życiu z paroma demonami, ale w bitwie z wyznawcami kościoła Talto było coś osobliwego. Poruszali się wszyscy razem, nie jak ludzie, ale jak dziwna, czarna fala, tacy byli, cisi, silni i szybcy. Wydawało się również, że nie boją się śmierci. Choć Alec i Isabelle krzyczeli, żeby się wycofali, oni wciąż posuwali się naprzód milczącą, zwartą hordą i atakowali Nocnych Łowców z autodestrukcyjną bezmyślnością i uporem lemingów skaczących z urwiska. Zepchnęli Aleca i Isabelle do dużego, otwartego pomieszczenia pełnego kamiennych piedestałów, kiedy gwar bitwy w końcu ściągnął ich towarzyszy. Jordan był w wilczej postaci, Maia nadal w ludzkiej, ale już miała wysunięte pazury.

Wyznawcy ledwo zauważyli ich obecność. Walczyli dalej, padając jeden po drugim pod ciosami noży, pazurów i mieczy. Bicz Isabelle kreślił w powietrzu migotliwe wzory, ciał napastników, aż w górę tryskały małe fontanny krwi. Zwłaszcza Maia dobrze się spisywała. Wokół niej leżało co najmniej dwunastu przeciwników, a ona kładła kolejnych z wściekłą furją, z rękami czerwonymi aż do nadgarstków.

W pewnym momencie jeden z wrogów skoczył na Aleca z wyciągniętymi rękami. Pod kapturem Alec nie widział jego twarzy, nie mógł również domyślić się płci ani wieku. Wbił Sandalphona w jego klatkę piersiową i usłyszał krzyk: męski, głośny, ochrypły. Mężczyzna runął na ziemię, łapiąc się za piersi. Płomienie już lizały brzeg rozcięcia w jego bluzie. Alec odwrócił się z obrzydzeniem. Nienawidził patrzeć, co się dzieje z ludźmi, kiedy serafickie ostrze przebija ich ciało.

Nagle poczuł piekący ból w plecach, odwrócił się i zobaczył, że drugi napastnik ściska w ręce kawałek pręta zbrojeniowego. Ten mężczyzna był bez kaptura, twarz miał tak chudą, że kość i policzkowe wyglądały, jakby przebijały skórę. Zasyczał i ponownie rzucił się na Nocnego Łowcę, a on uskoczył w bok, tak że broń ze świstem przeszła powietrze obok niego. Alec obrócił się i kopniakiem wytrącił pręt z ręki przeciwnika. Stał z brzękiem upadła na podłogę, napastnik wycofał się i uciekł, omal nie przewracając się o jakieś ciało.

Alec wahał się przez chwilę. Człowiek, który właśnie go zaatakował, już prawie dotarł do drzwi. Nocny Łowca wiedział, że powinien go dogonić - mężczyzna mógł biec, żeby kogoś ostrzec albo sprowadzić posiłki - ale nagle poczuł się bardzo zmęczony, zdegustowany i trochę chory. Ci ludzie mogli być opętani. Może wcale już nie byli ludźmi, ale mimo wszystko Alec czuł, że zabija ludzkie istoty.

Zastanawiał się, co by powiedział Magnus, ale prawdę mówiąc, nie musiał zadawać sobie tego pytania. Już wcześniej walczył z takimi istotami, ze sługami demonów. Prawie wszystko, co było w nich ludzkiego, wyssały z nich demony, tak że została im tylko żądza mordu i cielesna powłoka umierająca w długich cierpieniach. Nie można było im pomóc, nie dało się ich uzdrowić ani odratować. Usłyszał głos Magnusa, jakby czarownik stał niż obok niego. „Zabicie ich to najbardziej litościwa rzecz, jaką możesz dla nich zrobić.”

⁷² Broń używana podczas bitew do parowania ciosów oraz atakowania części zbroi przeciwnika (przyp. bety)

Wsunąwszy hachiwarę z powrotem za pas, Alec rzucił się w pościg za uciekającym napastnikiem. Hol był pusty, najdalsza winda otwarta, w korytarzu rozbrzmiewał wysoki sygnał alarmu. We foyer znajdowało się kilkoro drzwi. Alec wzruszył w duchu ramionami i wybrał jedno na chybił trafił.

Znalazł się w labiryncie małych pokoików, jeszcze nie wykończonych: niepomalowane płyty gipsowe, pęki wielobarwnych przewodów sterczące ze ścian. Blask serafickiego ostrza wydobywał je z mroku, kiedy Alec ostrożnie, z napiętymi nerwami szedł przez kolejne pomieszczenia. Nagle w tym tańczącym świetle coś mu mignęło. Alec drgnął. Kiedy opuścił nóż, zobaczył parę czerwonych oczu i szare, kosmate stworzenie czmychające do dziury w ścianie. Wykrzywił usta. Oto Nowy Jork. Nawet w nowych budynkach takich jak ten pieniły się szczury.

W końcu dotarł do większego pomieszczenia, choć nie tak dużego jak poddasze z kamiennymi postumentami. Tu również jedna ściana była cała ze szkła, gdzieś zaklejonego kartonem.

W kącie pokoju, obok odsłoniętych rur, Alec dostrzegł jakiś skulony, czarny kształt. Ostrożnie ruszył w jego stronę. Czy to gra światła? Nie, wyraźnie była to ludzka postać, pochylona, zgarbiona, w ciemnym ubraniu. Gdy uaktywnił się Znak nocnego widzenia, Alec zmrużył oczy i ruszył dalej. Zobaczył smukłą kobietę, bosą, z rękami przykutymi do rury. Kiedy się zbliżył, uniosła głowę. Przycmione światło wlewające się przez okna padło na jej jasne włosy.

- Alexander? — odezwała się głosem pełnym niedowierzania. - Alexander Lightwood?

To była Camille.

- Jace. - Głos Lilith zabrzmiał jak smagnięciem biczem po nagim ciele. Nawet Clary drgnęła na ten dźwięk. - Rozkazuję ci..

Jace odsunął rękę do tyłu - Clary napięła mięśnie w oczekiwaniu - i cisnął nożem w Lilith. Broń poleciała łukiem, obracając się w powietrzu, i wbiła się w jej pierś. Demonica zatoczyła się do tyłu i straciła równowagę, gdy jej obcasy pośliznęły się na gładkim kamieniu. Wyprostowała się z warknięciem, wyrwała nóż z klatki piersiowej i cisnęła go na ziemię, rycząc coś w języku, którego Clary nie zrozumiała. Po zetknięciu z kamiennymi płytami broń zasyczała. Jej ostrze wyglądało jak do połowy strawione przez silny kwas.

Lilith odwróciła się do Clary.

- Co mu zrobiłaś? Co mu zrobiłaś?

Chwilę wcześniej jej oczy były całe czarne. Teraz napęczniały, zrobiły się wylupiaсте i z oczodołów wypelzły małe czarne węże. Clary cofnęła się z krzykiem i omal nie potknęła się na niskim żywopłocie. To właśnie ją ujrzała w wizji Ithuriela: Lilith z węzowymi oczami i ochryłym, przenikliwym głosem. Demonica ruszyła ku niej...

I nagle między nimi wyrósł Jace, odcinając Lilith drogę. Clary oniemiała. Znowu był sobą. Płonął gniewem, tak jak Razjel tamtej strasznej nocy nad jeziorem Lyn. Wyciągnął zza pasa seraficki nóż. Srebrnobiały blask ostrza odbijał się w jego oczach, po nagiej skórze widocznej pod rozciętą koszulą ściekała krew. *Patrzył na Lilith tak, pomyślała Clary, jak patrzyliby aniołowie, gdyby mogli wstać z piekła.*

- Michael - powiedział.

Clary nie była pewna, czy sprawiła to moc imienia czy wściekłość w głosie, ale broń, którą trzymał w ręce, zapłonęła jaśniej niż inne serafickie noże, jakie widziała w życiu. Osłepiona,

na chwilę odwróciła wzrok i zobaczyła, że Simon leży bezwładnie u bok szklanej trumny Sebastiana.

Jej serce podskoczyło. A jeśli krew Sebastiana go otręła? Nie pomógłby mu Znak Kaina, bo wypić ją dobrowolnie. Dla niej. Simon.

- A, Michael. - Głos Lilith był nabrzmiały śmiechem. - Kapitan zastępu Pana. Znałam go.

Demonica ruszyła na Jace'a. Nocny Łowca uniósł seraficki nóż, a ten zapłonął niczym gwiazda, tak jasno, że Clary zastanawiała się, czy całe miasto może go zobaczyć jako blask reflektora przeczesującego niebo.

- Nie podchodź bliżej - ostrzegł Jace.

Ku zaskoczeniu Clary Lilith się zatrzymała.

- Michael zabił demona Sammaela, którego kochałam - powiedziała. - Jak to jest, mały Nocny Łowco, że wasi aniołowie są tacy zimni i bezlitośni? Dlaczego łamią tych, którzy nie chcą ich słuchać?

- Nie miałem pojęcia, że jesteś taką orędowniczką wolnej woli - rzucił Jace głosem pełnym sarkazmu, co najbardziej upewniło Clary, że znowu jest sobą. - Może w takim razie pozwolisz nam zejść z tego dachu? Mnie, Simonowi i Clary? Co ty na to, demonesso? To już koniec. Już nie masz nade mną władzy. Nie skrzywdzę Clary, a Simon nie będzie cię słuchał. A ten kawałek łąna, który próbowałaś przywrócić do życia... proponują, żebyś się go pozbyła, nim zaczniesz gnici. Bo on nie wróci. Jego termin przydatności dawno minął.

Lilith wykrzywiła twarz i splunęła na Jace'a. Jej ślina była czarnym ogniem, który na posadzce zmienił się w wijącego węża, a ten ruszył na nich z rozdziawioną paszczą. Jace zmiażdżył go butem i skoczył na demonicę z nożem. Ale Lilith zniknęła jak cień, gdy zaświeci na niego światło. Zniknęła i tuż za nim zmieniła postać. Kiedy się odwrócił, niemal leniwie wyciągnęła rękę i uderzyła go otwartą dłonią w pierś.

Michael wypadł z jego ręki i zaczął sunąć po płytach, a Jace pofrunął w powietrzu i uderzył w niski murek, z taką siłą, że w kamieniu pojawiły się rysy. Gdy runął na ziemię, był wyraźnie ogłuszony.

Clary krzyknęła cicho i pobiegła po seraficki nóż, ale do niego nie dotarła, bo Lilith chwyciła ją dwiema chudymi, lodowatymi rękami i z niewiarygodną siłą cisnęła w niski żywopłot. Gałęzie smagnęły ją bezlitośnie, głęboko rozcięły skórę. Clary próbowała się uwolnić, ale jej suknia zaplątała się w listowie. Usłyszała, że jedwab się drze, a kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Lilith stawia Jace'e, ciągnąc go za zakrwawiony przód koszuli.

Demonica uśmiechnęła się do niego szeroko, pokazując czarne zęby, lśniące jak metal.

- Cieszę się, że stoisz na własnych nogach, mały Nefilim - powiedziała. - Chcę widzieć twoją twarz, kiedy będę cię zabijać. Nie wsadzę ci noża w plecy, tak jak ty mojemu synowi.

Jace wytarł twarz rękawem. Krwawił z długiego rozcięcia na policzku. Tkanina zrobiła się czerwona.

- On nie jest twoim synem. Podarowałaś mu trochę swojej krwi. To nie czyni go twoim. Matka czarowników... - Odwrócił głowę w bok i splunął. Krwią. - Nie jesteś niczyją matką.

Wężowe oczy Lilith z wściekłością śmignęły w przód i w tył. Clary, wyplątawszy się z żywopłotu, zobaczyła, że każdy wąż ma parę własnych oczu, błyszczących i czerwonych. Poczowała mdłości, kiedy prześliznęły się spojrzeniami po Jasie od góry do dołu.

- Wyciąłeś mój Znak! - zawyla demonica. - Jakie to prymitywne.

- Ale skuteczne - odparował Jace.

- Nie możesz ze mną wygrać, Jace Herondale - powiedziała Lilith. - Możesz sobie być największym Nocnym Łowcą na tym świecie, ale ja jestem czymś więcej niż Wielkim Demonem.

- Więc walcz ze mną - rzucił Jace. - Dam ci broń. Ja będę miał seraficki nóż. Walczmy jeden na jednego, a zobaczymy, kto wygra.

Patrząc na niego, Lilith wolno pokręciła głową. Ciemne włosy zawirowały wokół niej jak dym.

- Jestem najstarszym z demonów, a nie człowiekiem. Nie mam męskiej dumy, na której mógłbyś grać, i nie interesuje mnie walka jeden na jednego. To jest słabość twojej płci, nie mojej. Jestem kobietą. Użyję każdej broni, żeby dostać to, czego chcę.

Puściła go i odepchnęła z pogardą. Jace zachwiał się, ale szybko odzyskał równowagę i sięgnął po leżący na ziemi seraficki nóż.

Chwycił go w chwili, kiedy Lilith się zaśmiała i uniosła ręce. Z jej otwartych dłoni wyskoczyły na pół przezroczyste cienie. Nawet Jace wyglądał na zaskoczonego, kiedy cienie zmieniły się w dwa czarne demony o jarzących się, czerwonych oczach i spadły na ziemię, warcząc i drapiąc pazurami. To były psy stwierdziła Clary ze zdumieniem, dwa chude, groźne psy, które wyglądem przypominały dobermanów.

- Piekielne ogary - wyszeptał Jace. - Clary...

Jeden z psów skoczył na niego z rozdziawioną paszczą, szeroką jak u rekina, a z jego gardła wydobyło się głośnie, przeciągłe wycie. Chwilę później drugi rzucił się na Clary.

- Camille. - Alecowi kręciło się w głowie. - Co tutaj robisz?

Natychmiast sobie uświadomił, że mówi jak idiota. Z trudem zwalczył odruch, żeby stuknąć się w czoło. Ostatnia rzecz, jakiej chciał, to wyjść na głupca przed byłą dziewczyną Magnusa.

- To Lilith - powiedziała kobieta cichym, drżącym głosem. - Kazała swoim wyznawcom włamać się do Sanktuarium. Nie jest strzeżone przed ludźmi, a oni nimi są... choć ledwo. Przecięli moje pęta i przyprowadzili mnie tutaj. - Uniosła ręce przykute do rury. Łańcuchy zagrzechotały. - Traktowali mnie brutalnie.

Alec ukucnął tak, że ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. Wampiry nie miały siniaków, ich obrażenia goiły się na to zbyt szybko, ale włosy Camille były sklezione krwią po lewej stronie, co świadczyło o tym, że mówiła prawdę.

- Powiedzmy, że ci wierzę. Czego ona chciała od ciebie? Z tego, co wiem o Lilith, nic nie wskazuje na jej szczególne zainteresowanie wampirami.

- Wiesz, dlaczego Clave mnie uwięziło - powiedziała Camille. - Słyszałeś.

- Zabiłaś trzech Nocnych Łowców. Podobno zrobiłaś to, bo ktoś ci rozkazał... - Alec umilkł na chwilę. - Lilith?

Jeśli ci powiem, pomożesz mi? - Dolna warga Camille drżała. Oczy miała wielkie, zielone, błagalne. Była piękna. Alec zastanawiał się, czy kiedyś tak właśnie patrzyła na Magnusa. Ta myśl sprawiła, że nagle zapragnął nią potrząsnąć.

- Może. - Zdumiał go chłód brzmiący w jego własnym głosie. - Nie masz tutaj dużej siły przetargowej. Mógłbym odejść i zostawić cię Lilith. Nie zrobiłoby mi to dużej różnicy.

- Owszem, zrobiłoby - Camille mówiła bardzo cicho. - Magnus cię kocha. Nie kochałby cię, gdybyś należał do osób, które potrafią zostawić bezbronną osobę na pastwę losu.

- Ciebie kochał - zauważył Alec.

Wampirzyca uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Od tamtej pory widać zmądrzał.

Alec lekko zakołysał się na piętach.

- Posłuchaj. Jeśli powiesz mi prawdę, uwolnię cię i zaprowadzę do Clave. Oni potraktują cię lepiej niż Lilith.

Camille spojrzała na swoje nadgarstki.

- Clave mnie uwięziło - przypomniała. - Lilith przykuła do rury. Nie widzę dużej różnicy w tym, jak mnie potraktowali.

- W takim razie wybór należy do ciebie. Zaufaj mi albo nie. - Alec wiedział, że to jest gra.

Czekał przez dłuższą chwilę pełną napięcia, aż w końcu Camille powiedziała:

- Dobrze. Skoro Magnus ci ufa, ja też ci zaufam. - Uniosła głowę, starając się wyglądać godnie mimo podartego ubrania i zakrwawionych włosów. - To Lilith do mnie przyszła, a nie ja do niej. Słyszała, że staram się odzyskać pozycję przywódczyni manhattańskiego klanu od Raphaela Santiago. Zaproponowała, że mi pomoże, jeśli ja jej pomogę.

- Mordując Nocnych Łowców.

- Chciała ich krwi - wyjaśniła Camille. - Dla tamtych dzin i wstrzykiwała ich matkom krew Nocnych Łowców i demonów, próbując powtórzyć to, co Valentine zrobił ze swoim synem. Nie udało się jednak. Dzieci rodziły się zdeformowane, a potem umierały. - Widząc odrazę na twarzy Aleca, dodała: - Z początku nie wiedziałam, do czego ona potrzebuje tej krwi. Może nie masz o mnie dobrego zdania, ale nie gustuję w mordowaniu niewinnych.

- Nie musiałaś tego robić tylko dlatego, że dostałaś propozycję - stwierdził Alec.

Camille uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Jeśli dożyjesz tego wieku co ja, to tylko dzięki temu, że dobrze nauczyłeś się grać w tę grę: zawierać sojusze we właściwym momencie. Sprzymierzać się nie tylko z potężnymi, ale również z tymi, którzy mogą cię uczynić potężnym. Wiedziałam, że jeśli nie zgodzę się pomóc Lilith, ona mnie zabije. Demony nie są z natury ufnie, więc mogła pomyśleć, że pójde do Clave z tym, co wiem o jej planach, nawet jeśli obiecuję jej, że będę milczeć. Uznałam, że Lilith jest dla mnie większym zagrożeniem niż wasz rodzaj.

- I nie miałaś nic przeciwko zabijaniu Nocnych Łowców.

- To byli członkowie Kręgu - odparła Camille. - Zabijali mój rodzaj. I twój.

- A Simon Lewis? Dlaczego się nim zainteresowałaś?

- Wszyscy chcą mieć Chodzącego za Dnia po swojej stronie. - Camille wzruszyła ramionami.

- Poza tym wiedziałam, że Simon ma Znak Kaina. Jeden z podwładnych Raphaela jest nadal lojalny wobec mnie. Przekazał mi tę informację. Niewielu Podziemnych o tym wie. A Znak czyni z Simona nieocenionego sojusznika.

- Czy tego właśnie chce od niego Lilith?

Oczy Camille się rozszerzyły. Jej twarz była bardzo blada. Alec dostrzegł siateczkę ciemnych żył rozchodzącą się po tej bieli jak rysy na porcelanie. Głodne wampiry najpierw stawiały się gwałtowne, a potem traciły przytomność, jeśli za długo obywateli się bez krwi. Im były starsze, tym dłużej mogły głodować, jednak Alec nie mógł się nie zastanawiać, od jak dawna Camille nie jadła.

- Co masz na myśli?

- Podobno wezwała Simona na spotkanie - wyjaśnił Alec. - Są teraz gdzieś w tym budynku.

Camille patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, po czym się roześmiała.

- Prawdziwa ironia. Lilith nigdy mi o nim nie wspomniała, ja jej również, a mimo to obie na niego polowałyśmy dla naszych własnych celów. Jeśli ona chce Simona, to dla jego krwi. Rytuał, który Lilith odprawia, to z pewnością krwawa magia. Mieszana krew Podziemnego i Nocnego Łowcy bardzo by się jej przydała.

Alec poczuł ukłucie niepokoju.

- Ale ona nie może zrobić mu krzywdy. Znak Kaina...

- Znajdzie inny sposób - przerwała mu Camille. - To Lilith, matka czarowników. Żyje bardzo długo, Alexandrze.

Alec się wyprostował.

- Więc lepiej się dowiem, co ona zamierza.

Łańcuchy zagrzechotały, kiedy Camille próbowała dźwignąć się na kolana.

- Zaczekaj... mówiłeś, że mnie uwolnisz.

Nocny Łowca odwrócił się i spojrzał na nią z góry.

- Wcale nie. Powiedziałem, że oddam cię w ręce Clave.

- Ale jeśli mnie tu zostawisz, Lilith znajdzie mnie pierwsza. - Wampirzyca odrzuciła sklezione włosy do tyłu. Na jej twarzy pojawiły się zmarszczki. - Alexandrze, proszę, błagam cię...

- Kto to jest Will? - zapytał Alec. Ku jego przerażeniu, słowa same wypadły mu z ust.

- Will? - Przez chwilę wyraz twarzy Camille był pusty, potem pojawiło się na niej zrozumienie i prawie rozbawienie. - Słysz słyszałeś moją rozmowę z Magnusem.

- Fragment. - Alec odetchnął ostrożnie. - Will nie żyje, prawda? Magnus mówił, że znał go bardzo dawno temu...

- Wiem, co cię dręczy, mały Nocny Łowco. — Głos Camille stał się melodyjny i miękki. - Z początku byłeś szczęśliwy. Myślałeś o obecnej chwili, a nie o przyszłości. Teraz rozumiałeś, że się zestarzejesz i kiedyś umrzesz. A Magnus nie. On nadal będzie żył, Nigdy nie zestarzejecie się razem. Będziecie musieli się rozstać.

Za oknem Alec zobaczył migające światła samolotu lecącego nad miastem. Pomyślał o pasażerach, którzy spoglądają z wysoka na pole diamentów iskrzących się daleko w dole. Sam nigdy nie leciał samolotem. Domyślał się tylko, jakby się wtedy czuł: samotny, oddalony od świata.

- Nie możesz tego wiedzieć. Że się rozstaniemy.

Camille uśmiechnęła się ze współczuciem.

- Teraz jesteś piękny - powiedziała. - Ale jak będziesz wyglądał za dwadzieścia lat? Za czterdzieści? Pięćdziesiąt? Czy on będzie kochał twoje niebieskie oczy, kiedy wyblakną, twoją miękką skórę, kiedy wiek wyrzeźbi na niej bruzdy? Twoje ręce, kiedy się pomarszczą i osłabną, włosy, kiedy posiwieją...

- Zamknij się. - Alec usłyszał drzenie w swoim głosie i poczuł wstyd. - Po prostu się zamknij. Nie chcę tego słuchać.

- Ale wcale nie musi tak być. - Camille pochyliła się, wbijając w niego wzrok. - Gdybym ci powiedziała, że nie musisz się starzeć? Że nie musisz umrzeć?

Aleca zalała fala gniewu.

- Nie interesuje mnie zostanie wampirem. Nawet się nie trudź składaniem mi propozycji. Nawet jeśli alternatywą jest śmierć.

Na mgnienie oka jej twarz się wykrzywiła, ale Camille szybko odzyskała panowanie nad sobą. Grymas zniknął, zastąpiony przez błądy uśmiech.

- Wcale nie zamierzałam ci tego proponować - oświadczyła. - Ale gdybym ci powiedziała, że istnieje inny sposób? Inny sposób, żebyście mogli być razem na wieki?

Alec przełknął ślinę. W ustach mu zaschło.

- Mów.

Camille uniosła ręce. Łańcuchy zagrzechotały.

- Uwolnij mnie.

- Nie. Najpierw mi powiedz.

Wampirzyca pokręciła głową.

- Nie zrobię tego. - Wyraz twarzy miała twardy jak marmur, podobnie głos. - Stwierdziłeś, że nie mam nic do zaoferowania. Ale mam. Jednak tego nie zdradzę.

Alec się zawahał. W głowie usłyszał cichy głos Magnusa. „Ona jest mistrzynią aluzji i manipulacji. Zawsze nią była”.

Ale ty nigdy mi nie powiedziałeś, Magnusie, pomyślał Alec. Nie ostrzegłeś mnie, że tak będzie, że pewnego dnia się obudzę i uświadomię sobie, że zmierzam tam, dokąd ty nie możesz ze mną pójść. Że nie jesteśmy tacy sami. Dla tych, którzy nie umierają, nie ma „Póki śmierć nas nie rozłączy”.

Zrobił krok w stronę Camille, potem następny. Uniósł ręki, z serafickim nożem i zadał nim potężny cios z góry. Ostrze prze cięło metalowe ogniwa. Nadgarstki pozostały zakute w kajdany, ale były wolne. Camille poruszyła rękami z triumfującą miną.

- Alec, co tutaj robisz? - dobiegł głos od drzwi.

Alec odwrócił się i zobaczył Isabelle stojącą w progu z biczem u boku. Bat był zaplamiony krwią, podobnie jak ręce i jedwab na sukni jego siostry.

- Nic. Ja... - Aleca ogarnęły wstyd i przerażenie. Prawie nic myśląc, zrobił krok i ustawił się tak, jakby chciał zasłonić Camille przed wzrokiem siostry.

- Wszyscy nie żyją - posępnym głosem oznajmiła Isabelle. - Wyznawcy. Zabiliśmy wszystkich. A teraz chodź. Musimy zacząć szukać Simona. - Uważniej popatrzyła na brata. - Dobrze się czujesz? Jesteś bardzo blady.

- Uwolniłem ją - wypalił Alec. - Nie powinienem. Ja tylko...

- Kogo uwolniłeś? - Isabelle weszła do pomieszczenia. Światła miasta odbiły się od jej sukni, tak że Nocna Łowczyni zajaśniała jak duch. - Alec, co ty bredzisz?

Na jej twarzy malował się wyraz dezorientacji. Alec odwrócił się, podążając za jej spojrzeniem, i... nic nie zobaczył. Rura nadal była odsłonięta, obok niej leżał łańcuch, kurz na podłodze wyglądał na lekko poruszony. Ale Camille zniknęła.

Clary ledwo zdążyła unieść ręce, kiedy ogar uderzył w nią z impetem jak pocisk z mięśni, kości i gorącego, cuchnącego oddechu. Tracąc równowagę, przypomniała sobie słowa Jace'a, jak najlepiej jest upadać, ale rada uciekła jej z głowy i Clary uderzyła w ziemię łokciami. Przeszył ją ból. Chwilę później pies siedział na niej i łapami ugniatał jej klatkę piersiową, zamiatane ogonem na boki w groteskowej parodii machania. Koniec ogona był najeżony wyrostkami podobnymi do gwoździ, jak w średniowiecznej maczudze, z beczkowatej piersi wydobywało się głucho warczenie, tak głośne i silne, że Clary czuła wibrację w kościach.

- Trzymaj ją! Rozerwij jej gardło, jeśli spróbuje uciec! - Lilith rzucała rozkazy, podczas gdy drugi ogar atakował Jace'a.

Tocząc się razem po podłodze, tworzyli kłęb rąk, nóg, łap, zębów i groźnie smagającego ogona. Clary z trudem odwróciła głowę w bok i zobaczyła, że Lilith kroczy ku szklanej trumnie i Simonowi, który nadal leżał obok niej bez życia. W trumnie pływał Sebastian, nieruchomy jak topielec. Mleczna woda pociemniała, zapewne od krwi.

Ogar przygniatający ją do podłogi warczał tuż przy jej uchu. Ten dźwięk budził w niej strach... ale z tego strachu zrodził się gniew. Gniew na Lilith i na siebie. Była Nocnym Łowcą. Zostać powaloną na ziemię przez Pożeracza, kiedy jeszcze nawet nie słyszała o Nefilim, to jedna sprawa, ale teraz miała za sobą trochę treningów i powinna lepiej sobie poradzić.

„Wszystko może być bronią”, powiedział jej w parku Jace. Ciężar ogara był miazdzący. Clary wydała odgłos dławienia się i sięgnęła do szyi, jakby walczyła o powietrze. Pies warknął, obnażając zęby. Clary zacisnęła palce na łańcuszku, na którym wisiał pierścień Morgensternów. Rozerwała go mocnym szarpnięciem, po czym z całej siły smagnęła nim bestię po oczach. Ogar szarpnął się do tyłu, wyjąc z bólu, a Clary przetoczyła się na bok i dźwignęła na kolana. Zwierzę, z zakrwawionymi oczami, przysiadło na tylnych łapach, gotowe do ataku. Naszyjnik wypadł Clary z ręki, pierścień potoczył się po podłodze. Gdy sięgnęła po łańcuszek, ogar skoczył...

Lśniące ostrze przecięło noc, omijając o kilka cali twarz Clary, i ucięło psu łeb. Bestia zawyla raz i zniknęła, zostawiając po sobie szerniały ślad na podłodze i odór demona w powietrzu.

Jakieś ręce delikatnie podniosły Clary z podłogi. To był Jace. Schował jarzący się seraficki nóż za pas i, nie puszczając jej dłoni, spojrzał na nią szczególnym wzrokiem. Clary nie potrafiłaby opisać ani nawet narysować tego spojrzenia. Mieszały się w nim nadzieja, strach, miłość, tęsknota i gniew. Koszulę miał rozdartą w kilku miejscach, przesiąkniętą krwią. Marynarka zniknęła, jasne włosy były sklezione od potu i krwi. Przez chwilę po prostu na siebie patrzyli, podczas gdy Jace mocno ścisnął jej ręce. Potem oboje odezwali się jednocześnie:

- Czy ty...

- Clary. - Odsunął ją od siebie, wyciągnął z kręgu i lekko popchnął w stronę chodnika prowadzącego do wind. - Idź - powiedział urywanym głosem. - Idź stąd, Clary.

- Jace...

Wziął drżący oddech.

- Proszę.

Puścił jej ręce, wyciągnął seraficki nóż zza pasa i odwrócił się z powrotem do kręgu.

- Wstawaj - warknęła Lilith. - Wstawaj.

Jakaś ręka potrząsnęła ramionami Simona tak mocno, że jego głowę przeszyła fala bólu. Wcześniej dryfował w ciemności, a kiedy teraz otworzył oczy, zobaczył nocne niebo, gwiazdy i majaczącą nad nim białą twarz Lilith. Zamiast oczu miała wijące się, śliskie, czarne węże. Ten widok wystarczył, żeby poderwać Simona na równe nogi.

Kiedy tylko się wyprostował, zwymiotował i omal znowu nie opadł na kolana. Zamknął oczy, walcząc z mdłościami, i usłyszał, że Lilith wywarkuje jego imię, a potem kładzie dłoń na jego ramieniu i popycha go naprzód. Pozwolił jej na to. Usta miał pełne mdłego, gorzkiego smaku. Krew Sebastiana rozpływała się również po jego żyłach, przyprawiając go o nudności, osłabienie i dreszcze. Miał wrażenie, że jego głowa waży tysiąc funtów, zawroty nasilały się i cofały falami.

Nagle Lilith zabrała lodowatą rękę z jego ramienia. Simon otworzył oczy i zobaczył, że znowu stoi nad szklaną trumną. Sebastian pływał w ciemnym, nieprzejrzystym płynie, twarz miał gładką, żadnego pulsu na szyi. Z boku jego gardła widniały dwie ciemne dziurki w miejscu, gdzie ugryzł go Simon.

Daj mu swoją krew. Głos Lilith, niezbyt głośny, rozbrzmiał echem w jego głowie. *Zrób to natychmiast.*

Simon rozejrzał się oszołomiony. Przed oczami miał mgłę. Przez ogarniającą go ciemność próbował dojrzeć Clary i Jace'a.

Użyj kłów, rozkazała Lilith. *Otwórz swoje nadgarstki. Daj Jonathanowi swoją krew. Ulecz go.*

Simon uniósł rękę do ust. *Ulecz go.* Wskrzeszanie kogoś to coś więcej niż uzdrawianie, pomyślał. Może Sebastianowi odrośnie ręka. Może właśnie to Lilith miała na myśli. Czekał, aż wysuną mu się kły, ale nic się nie działo. Był zbyt chory, żeby czuć głód. Zwalczył szalony impuls, żeby się roześmiać.

- Nie mogę - wykrztusił. - Nie mogę...

- Lilith!

Głos Jace'a przeszył noc. Demonica odwróciła się z sykiem niedowierzania. Simon powoli opuścił rękę, próbując skupić wzrok na jasności, która nagle się przed nim pojawiła. Zobaczył płomień serafickiego noża, który Jace trzymał w ręce. Teraz wyraźnie widział Nocnego Łowcę, obraz namalowany na ciemnym tle. Jace nie miał na sobie marynarki, był brudny, koszulę miał podartą i zakrwawioną, ale spojrzenie czyste, spokojne i skupione. Już nie wyglądał jak zombie czy lunatyk śniący straszny sen.

- Gdzie ona jest? - zapytała Lilith, wysuwając węzowe oczy przed siebie. - Gdzie jest dziewczyna?

Clary. Jeszcze trochę zamglonym wzrokiem Simon przeszukał ciemność wokół Jace'a, ale nigdzie jej nie zobaczył. Dostrzegł natomiast krwawe plamy na kamiennych płytach, skrawki podartej satyny zaczepione o ostre gałęzie żywopłotu. Na krwi było widać ślady łap. Simon poczuł ściskanie w piersi. Zerknął na Jace'a. Nocny Łowca wyglądał na rozgniewanego - naprawdę rozgniewanego - ale nie na zdruzgotanego, czego należałoby się spodziewać, gdyby coś złego stało się Clary. Więc gdzie ona się podziała?

- Clary nie ma z tym nic wspólnego - oświadczył Jace. - Twierdzisz, że nie mogę cię zabić, demonesso. A ja mówię, że tak. Przekonajmy się, które z nas ma rację.

Lilith poruszała się tak szybko, że wyglądała jak zamazana plama. W jednej chwili stała obok Simona, w następnej znalazła się na stopniu nad Jacem. Zamachnęła się na niego ręką, a Nocny Łowca zrobił unik, okrążył ją i opuścił serafickie ostrze na jej ramię. Lilith krzyknęła i błyskawicznie okręciła się w jego stronę. Z rany trysnęła krew. Była lśniąca i czarna jak onyks. Lilith gwałtownie złączyła ze sobą ręce, jakby zamierzała chwycić w nie nóż. Jej dłonie zderzyły się z odgłosem pioruna, ale Jace już znajdował się kilka stóp dalej. Światło serafickiego noża tańczyło w powietrzu przed nim niczym drwiące mruganie okiem.

Gdyby to był inny Nocny Łowca, pomyślał Simon, już by nie żył. Przypomniały mu się słowa Camille: „Człowiek nie może walczyć z tym, co boskie”. Mimo anielskiej krwi w żyłach Nocni Łowcy byli ludźmi, a Lilith czymś więcej niż demonem.

Simon poczuł raptem ostre ukłucie. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że jego kły w końcu się wysunęły i przecięły dolną wargę. Ból i smak krwi do reszty go otrzeźwiły. Zaczął się prostować ze wzrokiem utkwionym w Lilith. Ona najwyraźniej nie /wracała na niego uwagi. Patrzyła na Jace'a. Nagle znowu na niego skoczyła z głuchym warknięciem. Simon chwilami odnosił wrażenie, jakby obserwował muchy śmigające tu i tam, kiedy ci dwoje zaczęli ze sobą walczyć, przemieszczając się po całym dachu. Mimo wzroku wampira miał trudności ze śledzeniem ich ruchów, gdy skakali przez żywopłoty, pędzili po ścieżkach. Lilith przyparła Jace'a do niskiego murku, który otaczał zegar słoneczny o cyfrach zrobionych ze złota. Nocny Łowca poruszał się tak szybko, że był prawie cieniem, światło Michaela błyskało wokół Lilith, tak że wyglądała jak otoczona iskrzącą się siecią. Każdy inny przeciwnik zostałby w ciągu paru sekund posiekany na wstążki przez serafickie ostrze, ale demonica przenosiła się z miejsca na miejsce jak ciemna woda, jak dym. Wciąż znikła i się pojawiała, i choć Jace na pozór się nie męczył, Simon wyczuwał jego frustrację.

W końcu się stało. Jace zamachnął się serafickim nożem... a Lilith złapała klingę w powietrzu. Kiedy szarpnęła broń do siebie, z jej ręki pociekła czarna krew. Spadając na ziemię, krople zmieniały się w małe obsydianowe węże, które, wijąc się, uciekały w krzaki.

Lilith ujęła nóż oburącz i uniosła go nad głowę. Krew spływała po jej białych nadgarstkach i przedramionach niczym strugi smoły. Z szerokim uśmiechem i warknięciem złamała ostrze na pół. Jedna połowa zmieniła się w jej rękach w lśniący proszek, druga - rękojęć i poszarpany odłamek klingi - buchnęła czarnym płomieniem, trochę przygaszonym przez popiół.

Lilith uśmiechnęła się i powiedziała:

- Biedny mały Michael. Zawsze był słaby.

Jace dyszał, z rękami zaciśniętymi po bokach i włosami przyklejonymi do czoła przez pot.

- Ty i te twoje przechwałki - rzucił drwiąco. - „Znałam Michaela”. „Znałam Sammaela”. „Archanioł Gabriel czesał mi włosy”. A może: „Gram w jednym zespole z biblijnymi postaciami”?

Oto Jace śmiałek, pomyślał Simon, dzielny i kąśliwy, bo uznał, że Lilith go zabije, i chciał odejść bez strachu, stojąc mocno na nogach. Jak prawdziwy wojownik. Jak Nocny Łowca. To była jego pieśń śmierci: żarty, szyderstwa, udawana arogancja i spojrzenie, które mówiło: „Jestem lepszy od ciebie”. Simon nie zdawał sobie wcześniej z tego sprawy.

- Lilith - imię zabrzmiało w ustach Jace'a jak przekleństwo - uczyłem się o tobie w szkole. Niebiosa przekłęły cię bezpłodnością. Urodziłaś tysiące dzieci i wszystkie umarły. O to chodzi?

Demonica zachowała nieprzeniknioną twarz, trzymając w górze resztkę świecącego ostrza.

- Uważaj, mały Nocny Łowco.

- Bo co? Zabijesz mnie? - Krew ciekła po twarzy Jace'a z rany na policzku, ale on jej nie wycierał. - Śmiało.

Nie. Simon próbował zrobić krok, ale kolana się pod nim ucięły. Uderzył dłońmi o kamienną płytę. Wziął głęboki wdech. Nie potrzebował tlenu, ale jakoś mu to pomogło, uspokoiło. Wyciągnął rękę i chwycił za brzeg kamiennego piedestału. I użył go, żeby dźwignąć się z

ziemi. W głowie mu dudniło. Nie było czasu. Jedyne, co musiała zrobić Lilith, to dźgnąć ułamaną klingą...

Ale tego nie zrobiła. Stała bez ruchu, patrząc na Nocnego I ,owcę. Oczy Jace'a nagle rozbłysły.

- Nie możesz mnie zabić - rzekł donośnym głosem. - Wcześniej powiedziałaś, że jestem... przeciwwagą. Jediną rzeczą, która trzyma go na tym świecie. - Wskazał ręką na szklaną trumnę Sebastiana. - Jeśli ja umrę, on też umrze, prawda? - Zrobił krok w tył. - Mógłbym teraz skoczyć z dachu. Zabić się. I zakończyć to wszystko.

Po raz pierwszy Lilith wyglądała na prawdziwie poruszoną. Zaczęła kręcić głową, jej węzowe oczy drżały, jakby przeczesywały okolicę.

- Gdzie ona jest? Gdzie dziewczyna?

Jace wytarł krew i pot z twarzy, uśmiechnął się szeroko. Wargę miał rozciętą, krew płynęła mu po brodzie.

- Zapomnij. Posłałem ją na dół, kiedy nie zwracałaś na nią uwagi. Uciekła, jest bezpieczna.

- Kłamiesz! - warknęła Lilith.

Nocny Łowca zrobił kolejny krok do tyłu. Jeszcze kilka i znalazłby się przy niskim murku okalającym brzegu dachu. Simon pomyślał, że Jace potrafi dużo przeżyć, ale raczej nie upadek z czterdziestego piętra.

- Sam zapomnij - rzuciła demonica. - Ja tam byłem, Nocny Łowco. Widziałam, jak padasz i giniesz. Widziałam, jak Valentine szłocha nad twoim ciałem. A potem widziałam, jak Anioł pytał Clarissę, czego chce, czego pragnie najbardziej na świecie, a ona powiedziała, że ciebie. Łudziła się, że będziecie jedynymi ludźmi na świecie, którzy odzyskali martwego kochanka i nie po nieśli za to żadnych konsekwencji. Tak myśleliście oboje, prawda? Głupcy. - Lilith prychnęła. - Kochacie się, każdy to widzi, patrząc na was, kochacie się taką miłością, która potrafi spalić świat albo przynieść mu chwałę. Nie, ta dziewczyna nigdy by cię nie opuściła. Zwłaszcza w niebezpieczeństwie. - Jej ręka wystrzeliła w przód, palce zgięły się w szpony. - Tam.

Rozległ się krzyk. Jeden z krzewów się rozchylił, odsłaniając Clary, która za nim przykucnęła. Choć się zapierała, kopali i próbowała czegoś uchwycić, została wyciągnięta z kryjówek. Jej ręce zostawiały krwawe ślady na płytach.

- Nie! - Jace skoczył do przodu, ale zatrzymał się w miejscu, kiedy Clary została uniesiona w powietrze i zawisła przed Lilith.

Była bosa, satynowa suknia - teraz tak podarta i brudna, że wyglądała raczej na czerwono-czarną niż złotą - wirowała wokół niej na jednym ramiączku. Włosy całkiem wysunęły się z błyszczących grzebieni i spłynęły na plecy. Zielone oczy wpatrywały się z nienawiścią w Lilith.

- Suka! - wysyczała Clary.

Twarz Jace'a zastygła w maskę przerażenia. *On naprawdę wierzył, że Clary uciekła, uświadomił sobie Simon. Myślał, że jest bezpieczna.* Ale Lilith miała rację. I teraz triumfowała, a jej węzowe oczy tańczyły, kiedy poruszała rękami jak lalkarz, a Clary obracała się w powietrzu. Gdy Lilith pstryknęła palcami, suknię Clary i skórę pod nią przecięło coś w rodzaju srebrnego bicia. Dziewczyna krzyknęła i chwyciła się za ranę. Krew spryskała kamienne płyty jak szkarłatny deszcz.

- Clary! - Jace odwrócił się do Lilith i powiedział: - W porządku. - Był blady, cała jego zuchowatość zniknęła bez śladu. Ręce miał zaciśnięte w pięści i zbielewały na kostkach. - Dobrze. Puść ją, a zrobię, co chcesz. Simon też. Pozwolimy ci...

- Pozwolicie? - Rysy Lilith się zmieniły. Węże wiły się w oczodołach, biała skóra zrobiła się lśniąca i zbyt mocno naciągnięta, usta za duże. Nos prawie zniknął. - Nie macie wyboru. A ściślej mówiąc, rozgniewaliście mnie. Wszyscy. Może gdybyście zrobili to, co wam kazałam, wypuściłabym was. Ale teraz już nigdy się tego nie dowiedziecie, prawda?

Simon puścił kamienny piedestał, zachwiał się i odzyskał równowagę. Potem ruszył. Stawiając stopy jedna za drugą, czuł się jakby dźwigał na plecach wielkie worki z mokrym piaskiem i schodził po urwisku. Za każdym razem, kiedy jego noga dotykała ziemi, ból przeszywał mu ciało, ale cały skupił się na tym, żeby podążać naprzód, krok za krokiem.

- Nawet jeśli nie mogę cię zabić, mogę ją torturować, aż tego nie wytrzyma i oszaleje, a ty będziesz na to patrzył - powiedziała Lilith do Jace'a. - Są gorsze rzeczy niż śmierć, Nocny Łowco.

Znowu poruszyła palcami i srebrny bat opadł tym razem na ramię Clary, tnąc je głęboko. Clary drgnęła, ale nie krzyknęła, tylko przyłożyła ręce do ust i skuliła się, jakby chciała ochronić się przed demonicą.

Jace zrobił ruch, jakby zamierzał skoczyć na Lilith... i zobaczył Simona. Ich spojrzenia się spotkały. Na chwilę świat jakby zamarł w oczekiwaniu. Lilith całą uwagę skupiła na Clary, rękę miała odchyloną do tyłu, gotową do następnego, jeszcze silniejszego ciosu. Twarz Jace'a była biała z udręki, oczy mu pociemniały i wpatrywał się w Simona. Nagle pojawiło się w nich zrozumienie.

Jace cofnął się o krok.

Kiedy Simon rzucił się do przodu, uświadomił sobie dwu rzeczy. Po pierwsze, że nie uda mu się w porę dopaść Lilith. Jej ręka już wystrzeliła do przodu, w powietrzu przed nią pojawił się srebrny wir. A po drugie, że wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jak szybko potrafi poruszać się wampir. Miał wrażenie, że mięśnie jego nóg, pleców się rozrywają, kości stóp i kostek pękają...

I zanim demonica opuściła rękę, wśliznął się między Lilith i Clary. Długi, srebrny drut z ostrymi kolcami ciał go przez twarz i pierś - przeszywając straszliwym bólem - a potem powietrze wybuchło wokół niego jak lśniąca konfetti i Simon usłyszał krzyk Clary, czysty głos pełen zaskoczenia i szoku.

- Simon!

Lilith zamarła. Popatrzyła na Simona, potem na Clary, nadal wiszącą w powietrzu, i wreszcie na swoją rękę, teraz pustą. Zaczerpnęła długi, urywany oddech.

- Siedmiokrotna pomsta - wyszeptała.

I umilkła, kiedy oślepiający żar rozjaśnił noc. Kiedy wielki ognisty promień spadł z nieba i przeszył Lilith, oszołomiony Simon pomyślał o wiązce światła skupionej przez szkło powiększające. Przez dłuższą chwilę demonica płonęła bielą na tle ciemności, uwięziona w słupie ognia, z ustami otwartym w niemym krzyku, czarnymi jak tunel. Jej włosy się uniosły - masa palących się włókien - ona sama zmieniła się w białe złoto i wreszcie w sól, tysiące krystalicznych granulek, które opadły deszczem na stopy Simona, piękne i zarazem straszne.

A potem Lilith zniknęła.

EPILOG

Piekło jest usatysfakcjonowane

Pod powiekami ujrzała niewyobrażalny blask, gdy powoli wynurzała się z mroku. Coś twardego i zimnego uwierało ją w plecy. Bolało ją całe ciało. Nad sobą usłyszała mamroczące głosy, które przyprawiały ją o ból głowy. Ktoś delikatnie dotknął jej gardła. Dłoń się cofnęła. Wzięła głęboki oddech. Całe jej ciało pulsowało. Uchyliła lekko powieki i rozejrzała się dookoła, starając się nie ruszać zbyt dużo. Leżała na twardej posadce na dachu ogrodu. Jeden z kamieni wbijał jej się w plecy. Upadła na ziemię, kiedy Lilith zniknęła. Była pokryta ranami i zadrapaniami. Nie miała butów, jej kolana krwawiły, a sukienka była pocięta w miejscu, w które trafiła Lilith zaczarowanym ostrzem. Krew płynęła przez dziury w jedwabnej sukience. Simon klęczał obok niej z zatroskaną miną. Znak Kaina wciąż błyszczał białą na jego czole.

- Jej puls jest w porządku - powiedział. - Ale podejdź. Masz w zanadrzu te wszystkie leczące runy. Musi być coś, co możesz dla niej zrobić.

- Nie bez steli. Lilith kazała mi wyrzucić tą, która należała do Clary, żeby nie mogła mi jej zabrać, kiedy się obudzi. Ten niski, napięty i pełen cierpienia głos należał do Jace'a. Uklęknął na przeciwko Simona, u jej drugiego boku. Jego twarz skrywała się w cieniu. - Dasz radę znieść ją na dół? Jeżeli nie dostarczymy jej do Instytutu...

- Chcesz, abym to ja ją niósł? - Simon wyglądał na zaskoczonego. Clary nie mogła go za to winić.

- Wątpię, czy chciałaby, abym ją dotykał - wstał pośpiesznie, jakby nie mógł usiedzieć w jednym miejscu. - Gdybyś mógł... Jego głos się załamał. Odwrócił się i popatrzył na miejsce, w którym jeszcze parę chwil temu stała Lilith. Pusty kawałek placu, teraz mieniący się od drobinek soli.

Clary usłyszała westchnięcie Simona, gdy uniósł ją i chwycił za ramiona. Otworzyła oczy i ich spojrzenia się spotkały. Chociaż wiedziała, że on zdaje sobie sprawę, że jest przytomna, żadne z nich nie odezwało się słowem. Trudno było patrzeć na jego znajomą twarz i widzieć jaśniejący na niej, niczym gwiazdę znak, który sama mu nadała. Wiedziała, że dając mu Znak Kaina robi coś, wielkiego, coś przerażającego, coś czego konsekwencje trudno będzie przewidzieć. Zrobiłaby to ponownie, żeby uratować mu życie. Ale jednak, gdy tak stał z płonącym na czole znakiem, a Lilith - Wyższy Demon, prawie tak stary jak sam Znak, zamienił się w sól, pomyślała: Co ja zrobiłam?

- Nic mi nie jest - uniosła się na łokciach. Bolały. Jakoś wylądowała na nich i zdarła całą skórę. - Dam radę iść sama.

Na dźwięk jej głosu Jace odwrócił się. Jego widok wstrząsnął nią. Był cały zakrwawiony i podrapany. Jedna z ran biegła przez cały jego policzek, spuchła mu dolna warga a na ubraniu były widoczne źródła krwawienia. Nigdy nie widziała go w tak złym stanie, ale skoro nie miał steli, którą mógłby ją wyleczyć, to nie mógł wyleczyć też siebie. Jego twarz była bez wyrazu. Nawet Clary, która czytała go, jak otwartą księgę, tym razem nie znalazła nic. Jego spojrzenie spoczęło na jej gardle, gdzie wciąż czuła kujący ból. Krew zaschła, tam gdzie jej

skórę przeciął nóż. Pustka na jego twarzy zniknęła, ale odwrócił się zanim zdążyła zauważyć jej nowy wyraz.

Zignorowawszy propozycję pomocy od Simona, spróbowała się podnieść. Ostry ból przeszył jej kostkę. Jęknęła, po czym przygryzła wargę. Nocni Łowcy nie krzyczą z bólu, przypomniała sobie. Przyjmują go ze stoickim spokojem. Żadnego skamlenia.

- To moja kostka - wyjaśniła. - Jest skrecona albo złamana.

- Zanieś ją - przemówił Jace. - Tak, jak powiedziałem.

Tym razem Simon nie czekał na reakcję Clary. Jedną rękę wsunął pod kolana, drugą podtrzymał plecy i uniósł ją. Dziewczyna otoczyła jego szyję ramionami i mocno ścisnęła. Jace ruszył w stronę drzwi prowadzących do kopuły. Simon podążył za nim, niosąc Clary tak delikatnie, jakby była zrobiona z porcelany.

Prawie zapomniała jak silny był teraz, gdy był wampirem. Już nie pachnie tak, jak dawniej, mydłem, tanim płynem do golenia (którego wcale nie potrzebował) i swoją ulubioną, cynamonową gumą do żucia, pomyślała tęsknie. Jego włosy wciąż pachniały szamponem, ale sam wydawał się już nie mieć zapachu, a jego skóra była zimna w dotyku. Zaciśnęła ramiona jego szyi, żałując, że nie może jej ogrzać. Koniuszki jej palców zrobiły się sine, a całe ciało zdrętwiało.

Idący przed nimi Jace pchnął ramieniem podwójne, szklane drzwi. Weszli do środka, gdzie na szczęście było trochę cieplej. Clary pomyślała że to dziwne, być niesioną przez kogoś, kogo klatka piersiowa nie unosi się i nie opada. Wydawało jej się że, do Simona przylgnęła jakaś dziwna elektryczność. Pamiątka po ostrym świetle, które zalało dach, kiedy została zniszczona Lilith. Zapytałaby się go, jak się czuje, ale milczenie Jace'a było tak niszczycielskie, że bała się odezwać.

Chłopak już miał nacisnąć guzik wzywający windę, gdy drzwi same się otworzyły. Wypadająca z windy Isabelle, prawie się z nimi zderzyła. Jej srebrno złoty bicz powiewał za nią, niczym ogon komety. Za nią szedł Alec. Widząc Jace, Clary i Simona gwałtownie przystanęła, tak, że brat prawie wpadł na jej plecy. W innych okolicznościach, to byłoby prawie zabawne.

- Ale... - sapnęła Isabelle. Była cała pocięta i zakrwawiona. Jej piękna, czerwona sukienka była podarta w okolicy kolan. Jej czarne włosy wymknęły się z upięcia. Były pokryte krwią. Alec wyglądał tylko trochę lepiej. Jeden z rękawów jego kurtki został odcięty, ale nie wyglądało, na to, żeby ramie było uszkodzone. - Co wy tu robicie? Cała trójka gapiła się na nią, zbyt zszokowana, by odpowiedzieć.

- Moglibyśmy zadać wam to samo pytanie - rzucił w końcu sucho Jace.

- Ja nie... Myśleliśmy, że z Clary ciągle jesteście na przyjęciu - wyjaśniła Izzy. Clary po raz pierwszy widziała, jak Lightwoodówna nie jest panią sytuacji. - Szukaliśmy Simona.

Pierś wampira uniosła się w ludzkim westchnięciu pełnym zaskoczenia.

- Naprawdę?

Isabelle zarumieniła się.

- Ja...

- Jace? - ton Aleca był rozkazujący. Rzucił pozostałej dwójce zdziwione spojrzenie, po czym jak zawsze całą uwagę skierował na Jace'a. Może i nie był już w nim zakochany, o ile kiedykolwiek był, ale Jace wciąż był jego parabatai i to o niego troszczył się w każdej bitwie.

- Co tutaj robisz? I co ci się stało, na Anioła?!

Jace popatrzył na Aleca, jakby w ogóle go nie znał. Był jak ktoś, komu śni się koszmar, badający teren, nie dlatego, że jest zaskakujący czy dramatyczny, ale w poszukiwaniu okropieństw, które może ujawnić.

- Stela - powiedział łamiącym się głosem. - Czy masz swoją stelę?

Zdziwiony Alec sięgnął do paska.

- Oczywiście - Wyciągnął ją w stronę Jace'a. - Jeśli potrzebujesz iratze...

- Nie dla mnie - głos Jace'a wciąż był dziwny i szorstki. - Dla niej - wskazał na Clary. - Ona potrzebuje tego bardziej, niż ja. - Jego oczy napotkały wzrok przyjaciela. Złoto i błękit.

- Proszę, Alecu - szorstkość w jego głosie zniknęła tak nagle, jak się pojawiła. - Zrób to dla mnie.

Odwrócił się i odszedł na drugi koniec pokoju, gdzie znajdowały się szklane drzwi. Przystanął i Clary nie była pewna, czy wpatruje się w ogród, czy we własne odbicie.

Alec przez chwilę patrzył w ślad za Jace'm, po czym ze stelą w ręku podszedł do Simona i Clary. Kazał wampirowi położyć dziewczynę na podłodze, co zrobił bardzo delikatnie tak, aby plecami mogła się oprzeć o ścianę. Odsunął się, kiedy Alec uklęknął obok niej. Widziała zdezorientowanie na twarzy Lightwooda i jego wyraz zaskoczenia, kiedy zobaczył, jak poważne rany ma na ramionach i brzuchu.

- Kto ci to zrobił?

- Ja... - Clary posłała bezradne spojrzenie w kierunku Jace'a, który wciąż był odwrócony do nich plecami. Widziała jego odbicie w szklanych drzwiach. Jego twarz była białą smugą miejscami naznaczoną ciemnymi rysami obrażeń. Przód jego koszuli był ciemny od krwi. - Ciężko to wyjaśnić.

- Dlaczego nas nie zawiadomiłeś - złościła się Isabelle, głosem drżącym z gniewu. - Dlaczego nie powiedziałeś, że tu idziesz? Trzeba było wysłać wiadomość albo coś! Wiesz, że przybylibyśmy, gdybyś nas potrzebował.

- Nie było na to czasu - bronił się Simon. - Poza tym, nie wiedziałem, że Jace i Clary tu będą. Myślałem, że jestem sam. Nie chciałem zamartwiać cię moimi problemami.

- Zamartwiać mnie swoimi problemami? - prychnęła Isabelle. - Ty... - zaczęła i ku zaskoczeniu wszystkich, w tym samej siebie rzuciła się Simonowi na szyję. Chłopak cofnął się, nieprzygotowany na ten wybuch, ale szybko się pozbierał. Objął ją ramionami i mocno uściśnął. Oparł podbródek o jej ciemną głowę. Clary, nie była tego całkiem pewna, ale wydawało jej się, że Izzy cicho wyklina Simona.

Alec uniósł brwi, ale nie skomentował. Opadł obok Clary zasłaniając jej widok. Dotknął jej skóry stelą. Wzdrygnęła się pod ukłuciem.

- Wiem, że boli - mruknął Alec. - Chyba uderzyłaś się w głowę. Magnus powinien cię obejrzeć. Co z Jacem? Jak ciężko jest ranny?

- Nie wiem - Clary potrząsnęła głową. - Nie dopuszcza mnie do siebie. Alec wziął ją za podbródek, pokręcił jej głową na boki i narysował drugi iratze, tuż pod linią szczęki. - Co zrobił, że myśli, że jest takim potworem?

- Skąd wiesz, że cokolwiek zrobił - spojrzała na czarnowłosego chłopaka. Alec puścił ją.

- Bo go znam. W ten sposób się każe. Nie pozwalając ci się do siebie zbliżyć chce ukarać siebie, nie ciebie.

- On nie chce mnie widzieć - Clary usłyszała buntowniczość we własnym głosie i znienawidziła się za bycie małostkową.

- Jesteś wszystkim, czego kiedykolwiek pragnął - powiedział Alec zaskakująco łagodnym tonem, przysiadając na piętach i odgarniając z oczu długie, czarne włosy. Clary pomyślała, że ostatnio był jakiś inny. Miał pewność siebie, której brakowało mu kiedy spotkała go po raz pierwszy. Był wielkoduszny wobec innych, tak jak kiedyś był surowy dla siebie.

- Jak wy dwoje tu w ogóle trafiliście? Nie widzieliśmy, żebyście wyszli razem z Simonem...

- Bo nie wyszli - wyjaśnił Simon. On i Isabelle odkleili się od siebie, ale wciąż stali ramie w ramie. - Przyszedłem tutaj sam. No, może nie całkiem sam. Zostałem... przyprowadzony.

- To prawda - przytaknęła Clary. - Nie wyszliśmy razem. Kiedy Jace mnie tu przyniósł, nie miałam pojęcia, że Simon też tu jest.

- Jace cię tu przyniósł? - zdziwiła się Izzy. - Jace, skoro wiedziałeś coś o Lilith i Kościele Talto, to powinienś być nam o tym powiedzieć.

Jace wciąż wyglądał na zewnątrz.

- Musiało mi to wylecieć z głowy - powiedział bezbarwnym głosem.

Clary pokręciła głową, kiedy Lightwoodowie spoglądali to na nią, to na swojego przybranego brata, szukając powodu jego zachowania.

- To nie całkiem był Jace - wyjaśniła. - Był... kontrolowany. Przez Lilith.

- Opętanie? - Izzy otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Jej dłoń błyskawicznie zacisnęła się na rączce bata.

Jace odwrócił się do nich, uniósł ręce i rozchylił kurtkę, tak aby mogli zobaczyć paskudną runę opętania i biegnącą przez nią krwawą szramę.

- To - powiedział tym samym, beznamiętnym tonem - jest znak Lilith. Za jego pomocą mnie kontrolowała.

Alec potrząsnął głową. Wyglądał na głęboko wstrząśniętego.

- Jace, zazwyczaj aby przerwać ten rodzaj demonicznego połączenia, należy zabić kontrolującego demona. Lilith jest jednym z najpotężniejszych demonów jaki kiedykolwiek...

- Nie żyje - oschle poinformowała go rudowłosa. - Simon ją zabił. A dokładniej zabił ją Znak Kaina.

Wszyscy popatrzyli na Simona.

- A wy dwoje? Jak się tu znaleźliście? - zapytał obronnym tonem.

- Szukaliśmy cię - wyjaśniła Isabelle. - Znaleźliśmy w twojej sypialni wizytówkę, którą musiała dać ci Lilith. Jordan nas wpuścił. Jest z Maią na dole - wzruszyła ramionami. - Nie uwierzycie jakie potworne rzeczy robiła Lilith...

Alec uniósł ręce

- Spokojnie. Najpierw my opowiemy co nas spotkało, a potem wy, Simonie i Clary opowiecie swoją historię.

Wyjaśnienia zabrały mniej czasu, niż Clary się spodziewała łącznie z długą przemową Isabelle zawierającą dużo machania rękami co mogło się skończyć dla któregoś z nich smagnięciem batem w nieosłonięte kończyny. Alec skorzystał z okazji i wymknął się na taras, aby wysłać ognistą wiadomość do Clave z informacją gdzie są i prośbą o wsparcie. Jace bez słowa odsunął się na bok robiąc mu przejście, gdy wchodził i wychodził. Nie odezwał się, gdy Clary i Simon relacjonowali wydarzenia na dachu. Milczał nawet wtedy, gdy doszli do momentu, w którym poruszono kwestię wskrzeszenia Jace'a przez Raziela w Idrisie. Gdy Clary opowiadała o Lilith, uważającej się za „matkę” Sebastiana i o tym jak trzymała go w szklanej trumnie, osobą, która wtrąciła się była Izzy.

- Sebastian? - walnęła biczem w ziemię z siłą wystarczającą do strzaskania marmuru. - Jest tutaj? I nie jest martwy? - spojrzała na obojętnego, opierającego się o szklane drzwi Jace'a. - Widziałam jak umiera. Widziałam jak Jace łamie mu kręgosłup i jak wpada do rzeki. A teraz mówicie mi, że jest tutaj i to żywy?

- Nie - pośpieszył z wyjaśnieniami Simon. - Jest tu jego ciało. Nie jest żywy. Lilith nie dokończyła ceremonii. - Simon położył jej dłoń na ramieniu, ale strząsnęła ją.

- Nie całkiem żywy to jak dla mnie niewystarczająco martwy. Pójdę tam i porąbiam go na tysiące kawałków. - Odwróciła się do drzwi.

- Iz. - Simon przytrzymał ją za ramię. - Izzy. Nie.

- Nie? - spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Daj mi jeden dobry powód, dla którego mam nie porąbać tego skurwiela na pieprzone, kurwa confetti! Simon rozejrzał się dookoła. Zatrzymał na chwilę wzrok przy Jasie, spodziewając się, że jej zawtóruje, albo rzuci komentarz. Ale on nie zrobił nic. Nawet się nie poruszył.

- Rozumiesz istotę rytuału, prawda? - powiedział w końcu Simon. Jace wrócił z martwych i to dało Lilith moc do przywrócenia Sebastiana. Żeby to uczynić potrzebowała tam żywego Jace'a w charakterze, jak ona to nazwała?

- Przeciwwagi - wtrąciła Clary.

- Taką runę, jak ta, którą ma Jace na piersi - znak Lilith, - Simon nieświadomie dotknął własnej piersi, tuż nad sercem - ma Sebastian. Widziałam jak obie rozbłysły, gdy Jace znalazł się w Kręgu.

- I? - zapytała niecierpliwie Isabelle przygryzając dolną wargę. Bat wił się niespokojnie u jej boku.

- Wydaje mi się, że utworzyła między nimi jakiś rodzaj połączenia - powiedział Simon. - Jeśli Jace by umarł, to Sebastian nie mógł by żyć. Więc jeśli potniesz Sebastiana na kawałki...

- To skrzywdzisz Jace - Clary wypowiedziała na głos to, z czego właśnie zdała sobie sprawę.

- O mój Boże. Nie możesz tego zrobić, Izzy.

- Więc macie zamiar pozwolić mu żyć? - zdumiała się Izzy.

- Potnij go na kawałki, jeśli chcesz. Masz moje pozwolenie - powiedział Jace.

- Zamknij się - syknął Alec. - Przestań zachowywać się jakby twoje życie nic nie znaczyło. Nie słuchałaś Iz? Sebastian nie jest żywy.

- Nie jest też wystarczająco martwy.

- Potrzebujemy Clave - upierał się Alec. - Musimy go oddać Cichym Braciom. Oni mogą zerwać jego połączenie z Jace'm a wtedy dostaniesz tyle krwi, ile zechcesz, Iz. Jest synem Valentine'a i jest mordercą. Każdy kogoś stracił w bitwie o Alicante, albo przynajmniej zna kogoś takiego. Myślisz, że będą dla niego mili? Będą go powoli, żywcem rozrywać na strzępy.

Isabelle popatrzyła na brata. W oczach zalśniły jej łzy, które bardzo powoli zaczęły płynąć po jej policzkach, rozmazując krew i brud.

- Nienawidzę tego - powiedziała. - Nienawidzę, kiedy masz rację.

Alec przyciągnął do siebie siostrę i pocałował ją w czubek głowy.

- Wiem o tym.

Ścisnęła delikatnie dłoń brata, po czym odsunęła się.

- W porządku. Nie dotknę Sebastiana. Ale nie chcę być w jego pobliżu. - Rzuciła okiem w kierunku szklanych drzwi, gdzie wciąż stał Jace. - Chodźmy na dół. Możemy poczekać na

Clave w lobby. No i musimy znaleźć Jordana i Maię. Pewnie zastanawiają się, gdzie się podziałiliśmy.

Simon odchrząknął.

- Ktoś powinien zostać tutaj i mieć oko na... wszystko. Ja to zrobię.

-Nie. - To był Jace. - Ja zostanę. To wszystko moja wina. Powinienem upewnić się, że Sebastian nie żyje, kiedy miałem do tego okazję. A jeśli chodzi o resztę...

Clary przypomniała sobie, jak dotykał jej twarzy w ciemnym holu Instytutu i szeptał: „Mea culpa, mea maxima culpa” - Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina.

Odwróciła się i spojrzała na pozostałych. Isabelle już wcisnęła guzik przy windzie i marszcząc brwi, powiedziała do brata.

- Alec, może powinieneś zostać tu z Jace'em.

- Nie potrzebuję pomocy — oświadczył Jace. - Nic ma tu się czym zajmować. Poradzę sobie. Isabelle wyrzuciła ręce w górę, kiedy winda się zatrzymała w holu rozbrzmiało „dzyń”.

-Dobrze. Wygrałeś. Stój tu sam i się dąsaj, skoro chcesz.

Wsiadła do windy, Simon i Alec poszli za nią. Clary była ostatnia. Obejrzała się jeszcze na Jace'a, ale on już wrócił wpatrywania się w szklane drzwi i zobaczyła tylko jego Usta miał ściągnięte w bezkrwistą kreskę, oczy ciemne.

Jace, pomyślała, kiedy drzwi windy zaczęły się zamykać. Nakazała mu się odwrócić, spojrzeć na nią. Nie zrobił tego, ale poczuła silne dłonie na ramionach, popychające ją do przodu.

Usłyszała, jak Isabelle mówi:

-Alec, co ty, do diabła...

Wypadła na korytarz, złapała równowagę i odwróciła się do windy. Drzwi już się zasuwały, ale w szparze dostrzegła Aleca, posłał jej smutny półuśmiech i wzruszył ramionami, jakby mówił „A co innego miałem zrobić?”. Clary zrobiła krok do przodu, było już za późno. Drzwi się zamknęły. Została sama z Jace'em.

Pokój był zasłany martwymi ciałami, ludzie w szarych dresach z kapturami leżeli nieruchomo na podłodze albo pod ścianami.

Maia stała przy oknie, oddychając ciężko i z niedowierza- i patrząc na scenę, którą miała przed oczami. Brała udział bitwie w Brocelind, w Idrisie i myślała wtedy, że to najgorsza , jaką w życiu widziała. Ale to okazało się gorsze. Krew, która wypłynęła z martwych wyznawców Lilith, nie była demoniczną posoką, tylko ludzką krwią. A dzieci, ciche i martwe w swoich kołyskach, ich rączki zakończone małymi szponami I położone jedna na drugą, jak lalki...

Spojrzała na swoje dłonie. Pazury miała wysunięte, splamione krwią. Gdy je schowała, krew spłynęła na nadgarstki. Jej stopy nagie i też czerwone, na nagim ramieniu widniało długie zadrapanie, które nadal się sączyło, choć już zaczynało się goić. Maia wiedziała, że mimo szybkiego zdrowienia, które zapewnia jej krew likantropia, obudzi się rano cała w siniakach. Ale kiedy jest się wilkołakiem, siniaki rzadko utrzymują się dłużej niż jeden dzień. Pamiętała, jak była człowiekiem, a jej brat Daniel nauczył szczypać ją w miejscach, gdzie nie zostają żadne ślady.

- Maia. — Jordan wszedł przez jedne z niewykończonych drzwi, schylając się pod pękiem przewodów. Wyprostował się ruszył do niej między ciałami. - Dobrze się czujesz? Na widok troski na jego twarzy Maia poczuła ściskanie w żołądku

- Gdzie Isabelle i Alec? - spytała, Jordan potrząsnął głową. Odniósł o wiele mniej widoczne obrażenia niż ona. Ochroniła go gruba skórzana kurtka, podobnie jak dżinsy i wysokie buty. Na policzku miał długie skaleczenie, zaschniętą krew w jasno-kasztanowych włosach i na ostrzu noża, który trzymał w ręce.

- Przeszukałem całe piętro. Nigdzie ich nie znalazłem. Tylko parę trupów w innych pokojach. Może...

Noc rozjarzyła się jak seraficki nóż. Okna zrobiły się białe, jasne światło zalało całe pomieszczenie. Przez chwile, Maia myślała, że świat stanął w ogniu, a Jordan, idący ku niej, prawie zniknął w migotliwym srebrnym blasku. Usłyszała swój krzyk i zaczęła cofać się na oślep, aż uderzyła głową w szybę. Uniosła ręce, żeby zasłonić oczy...

I światło zgasło. Pokój wokół niej się kołysał. Maia idąc przed siebie po omacku i natrafiła na Jordana. Objęła go, jak wtedy, kiedy przychodził po nią do domu, porywał ją w objęcia, nawijał kosmyki jej włosów na palce.

Wtedy był szczuplejszy, o wąskich ramionach. Teraz zmienił się w same mięśnie, tak że miała wrażenie, że przytuliła się do solidnej granitowej kolumny pośród szalejącej na pustyni burzy piaskowej. Przywarła do niego i usłyszała bicie jego serca pod uchem, podczas gdy on głaskał ją po włosach, kojąco i ... znajomo.

- Maia... już wszystko w porządku.

Uniosła głowę i przycisnęła usta do jego ust. Zmienił się bardzo, ale pocałunek był taki sam, jego wargi miękkie jak zwykle. Jordan na chwilę zeszywniał z zaskoczenia, ale potem przytulił ją do siebie i zaczął powoli kreślić dłońmi koła na jej na jej plecach. Mai przypomniał się pierwszy raz, kiedy się pocałowali, Podawała mu swoje kolczyki, żeby je włożył do schowka w samochodzie, a jemu tak bardzo drżała ręka, że je upuścił, a pój niej przeproszał i przeproszał, aż w końcu go pocałowała, żeby wreszcie umilkł. Pomyślała wtedy, że jest najmilszym chłopcom, jakiego kiedykolwiek знаła.

A potem został ugryziony i wszystko się zmieniło.

Cofnęła się niemal zamroczona, oddychając ciężko. Puścił ją natychmiast i spojrzał na nią z wyrazem oszołomienia w oczach.

Za oknem, które znajdowało się za nim, zobaczyła miasto, spodziewała się ujrzeć białą pustynię, zrównaną z ziemią, ale wszystko wyglądało tak samo. Nic się nie zmieniło. W budynku po drugiej stronie ulicy mrugały światła. Z dołu dobiegał ich szum samochodów.

- Powinniśmy iść - stwierdziła. - Poszukać tamtych.

- Maia, dlaczego mnie pocałowałaś?

-Nie wiem. Myślisz, że możemy zaryzykować windę?

-Maia...

-Nie wiem, Jordan. Nie wiem, dlaczego cię pocałowałam, ile mam pojęcia, czy zrobię to znowu, ale wiem, że jestem przerażona, martwię się o swoich przyjaciół i chcę się stąd wydostać. W porządku?

Jordan skinął głową. Wyglądał, jakby miał milion rzeczy do powiedzenia, ale postanowił ich nie mówić, za co była mu wdzięczna. Przeczesał ręką potargane włosy, obsypane tynkiem, i powiedział krótko:

- Dobrze.

Cisza. Jace nadal opierał się o szklane drzwi, tylko że teraz przyciskał do nich czoło. Oczy miał zamknięte. Clary zastanawiała się, czy on w ogóle zdaje sobie sprawę z jej obecności,

zrobiła krok do przodu, ale zanim zdążyła się odezwać, Jace otworzył drzwi i wyszedł do ogrodu.

Clary przez chwilę stała bez ruchu i za nim patrzyła. Mogła oczywiście przywołać winę, zjechać na dół i w holu zaczekać ze wszystkimi na Clave. Skoro Jace nie chciał z nią rozmawiać, to trudno. Nie była w stanie go do tego zmusić. Jeśli Alec miał rację i Jace karał samego siebie, musiała jedynie czekać, aż się ze wszystkim upora.

Ruszyła w stronę wind i... zatrzymała się w pół kroku. Zapłonął w niej mały płomyk gniewu, od którego aż zapiekły ją oczy. Nie, pomyślała. Nie pozwoli mu tak się zachowywać. Wobec innych, proszę bardzo, ale nie wobec niej. Był jej winny więcej. Nawzajem byli sobie winni coś więcej.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Kostka nadal ją bolała, ale iratze, które narysował na niej Alec, już zaczęły działać. Ból przeszedł w tępe pulsowanie. Wyszła na taras i skrzywiła się kiedy jej nagie stopy zetknęły się z zimnym kamieniem.

Od razu zobaczyła Jace'a. Klęczał przy stopniach, na płytkach splamionych krwią i posoką, lśniących od soli. Wstał, kiedy się zbliżyła, i odwrócił. W palcach trzymał coś błyszczącego.

Łańcuszek z pierścieniem Morgensternów.

Zerwał się wiatr i zdmuchnął mu na twarz ciemnozłote włosy. Jace odgarnął je niecierpliwym gestem i powiedział:

-Przypomniałem sobie, że go tutaj zostawiliśmy.

Jego głos brzmiał zadziwiająco normalnie.

-To dlatego chciałeś zostać? - spytała Clary. - Żeby go zabrać?

Jace obrócił pierścień w palcach, po czym zamknął go w dłoni

-Jestem do niego przywiązany. To głupie, wiem.

-Mogłeś mi powiedzieć albo Alec mógł zostać...

-Nie należę do was - wyrzucił z siebie gwałtownie. - Po tym, co zrobiłem, nie zasługuję na iratze, na leczenie, na uściski, pocieszenie i czego tam jeszcze potrzebuję według moich przyjaciół. Wolę zostać tutaj z nim. - Wskazał brodą na nieruchome ciało Sebastiana leżące w otwartej trumnie na kamiennym piedestale. - I z całą pewnością nie zasługuję na ciebie.

Clary zaplotła ręce na piersi.

-Czy kiedykolwiek pomyślałeś o tym, na co ja zasługuję? Na na szansę porozmawiania z tobą o tym, co się stało?

Jace zmierzył ją wzrokiem. Dzielilo ich zaledwie kilka kroków, ale wydawało się, że między nimi leży niewyobrażalna przepaść.

- Nie wiem, dlaczego miałabyś w ogóle chcieć na mnie patrzeć, nie mówiąc o rozmowie.

-Jace. Te rzeczy, które zrobiłeś... to nie byłeś ty.

Zawahał się. Niebo było czarne, okna pobliskich wieżowców były tak jasno oświetlone, że wydawało się, że stoją w samym środku sieci zrobionej z iskrzących się klejnotów.

- Skoro to nie byłem ja, to dlaczego pamiętam wszystko, co zrobiłem? - zapytał Jace. - Kiedy ludzie są opętani, potem zdrowieją, nie pamiętają, co robili, kiedy demon w nich mieszkał. Ale ja pamiętam wszystko.

Odwrócił się i ruszył w stronę ogrodowego muru. Clary poszła za nim, czując ulgę, że powiększa się dystans między nimi i ciałem Sebastiana, teraz zasłoniętym przez rząd krzewów.

-Jace! - zawołała, a on stanął plecami do muru i oparł się o niego. Za nim światła miasta rozjaśniały noc jak demoniczne wieże Alicante. - Pamiętasz, bo ona chciała, żebyś pamiętał. - Clary dogoniła go, lekko zdyszana. - Zrobiła to, żeby cię dręczyć i w ten sposób zmusić Simona do wykonania jej rozkazu. Chciała, żebyś musiał patrzeć, jak ranisz ludzi, których kochasz.

-I patrzyłem - powiedział cicho Jace. - To było tak, jakby część mnie obserwowała wszystko z daleka i krzyczała, żebym przestał. Ale reszta mnie czuła się spokojna, jakbym robił same właściwe rzeczy. Jakbym nie mógł robić nic innego. Zastanawiam się, czy Valentine też był całkowicie przekonany, że postępuje słusznie. - Uciekł od niej wzrokiem. - Nie powinni być tutaj ze mną. Powinnaś po prostu odejść.

Zamiast odejść, Clary stanęła obok niego przy murze i objęła się rękoma, drżąc z zimna. W końcu, niechętnie, Jace odwrócił głowę i znowu na nią spojrzał.

-Clary...

-Nie ty będziesz decydował, kiedy i gdzie mam iść - oświadczyła

-Wiem. Zawsze wiedziałem. - Głos mu się rwał. - Dlaczego musiałem zakochać się w kimś, kto jest jeszcze bardziej uparty niż ja?

Clary milczała przez chwilę. Jej serce ścisnęło się na samo słowo: „zakochać”.

-Wszystkie te rzeczy, które mówiłeś na tarasie w Ironworks,, mówiłeś serio? - zapytała półszepem.

Jego złote oczy pociemniały.

-Jakie rzeczy?

„Że mnie kochasz”, omal nie wypaliła, ale kiedy wróciła pamięcią do tamtej chwili, nabrała wątpliwości. Właściwie nie powiedział tego wprost. Nie chodziło o same słowa, tylko o ich sens i o niezbitą prawdę, że się kochają, czego była całkowicie pewna, tak jak swojego imienia.

-Wciąż mnie pytałeś, czy kochałabym cię, gdybyś był taki jak Sebastian, jak Valentine.

-A ty odpowiedziałaś, że wtedy to nie byłbym ja. I spójrz, co się okazało. - W głosie Jace'a brzmiała gorycz. - To, co dzisiaj zrobiłem...

Clary zbliżyła się do niego, a on zeszytniał, ale się nie odsunął. Ona chwyciła za przód jego koszuli, przysunęła się i powie działa, wyraźnie wymawiając każde słowo:

-To nie byłeś ty.

-Powtórz to swojej matce - rzucił Jace. - Powtórz Luke'owi, kiedy zapytają, skąd to masz. - Delikatnie dotknął jej obojczyka. Rana już się zagoiła, ale jej skóra i jedwab sukni nadal były splamione krwią.

-Powiem im. I wyjaśnię, że to była moja wina.

Jace spojrzał na nią z niedowierzaniem.

-Nie możesz ich okłamywać.

-Nie okłamię. Wskrzesiłam cię. Byłeś martwy, a ja cię wskrzesiłam. To ja naruszyłam równowagę, a nie ty. Otworzyłam drzwi Lilith i jej głupiemu rytuałowi. Mogłam poprosić o wszystko, i poprosiłam o ciebie. - Mocniej ścisnęła jego koszulę, aż zbieleły jej palce. - i zrobiłabym to znowu. Kocham cię, Jace'ie Wayland. Herondale. Lightwood, jakkolwiek chcesz się nazywać. Nie obchodzi mnie to. Kocham cię i zawsze będę kochać, a udawanie, że może być inaczej, jest zwykłą stratą czasu.

Po jego twarzy przemknął wyraz takiego bólu, że Clary ścisnęło się serce. Potem Jace wyciągnął ręce i ujął jej twarz. Jego dłonie były ciepłe na jej policzkach.

-Pamiętasz, jak ci mówiłem, że nie wiem, czy Bóg istnieje czy nie, ale i tak jesteśmy całkowicie zdani na siebie? - Mówił cichym głosem. - Nadal nie znam odpowiedzi. Wiedziałem tylko, że istnieje taka rzecz jak wiara i że ja na nią nie zasłużyłem. I potem zjawiałaś się ty. Zmieniałaś wszystko, w co wierzyłem. Pamiętasz ten werset z Dantego, który cytowałem ci w parku? L'amor che muove il sole e laltre stelle?

Usta Clary lekko wykrzywiły się w kącikach.

-Nie mówię po włosku.

-To fragment ostatniego wiersza z Raju Dantego. „A już wtórzyła pragnieniu i woli jak koło, które w parze z kołem krąży, miłość, co wprawia w ruch słońce i gwiazdy”. Dante próbował wyjaśnić wiarę, tak sędzę, jako wszechpotężną miłości i może to bluźniercze stwierdzenie, ale ja właśnie tak cię kocham. Wkroczyłaś do mojego życia i nagle mam jedną prawdę, w kim którą mogę wierzyć: że ja cię kocham i ty mnie kochasz. - Choć na nią patrzył, jego spojrzenie było dalekie i nieobecne. - Potem zacząłem mieć te sny. I pomyślałem, że może się myliłem. Że nie zasłużyłem na ciebie. Że nie zasłużyłem, żeby być doskonale szczęśliwym... ale właściwie, kto na to zasługuje? A po dzisiejszej nocy...

-Przestań. - Clary puściła koszulę Jace'a i położyła płasko dłonie nie na jego piersi. Jego serce galopowało pod jej palcami, i w|| miał zarumienioną, nie tylko z zimna. - Po wszystkim, to wydarzyło się dzisiejszej nocy, wiem jedno. Że nie ty mnie skrzywdziłeś. Nie ty robiłeś te wszystkie rzeczy. Mam całkowite i niepodważalne przekonanie, że jesteś dobry. I to nigdy się nie zmieni.

Jace wziął głęboki, drżący wdech.

-Nawet nie wiem, jak próbować sobie na to zasłużyć.

-Nie musisz - zapewniła go Clary. - Ja mam dość wiary w ciebie za nas oboje.

Jace wsunął dłonie w jej włosy. Mgła ich oddechów utworzyła między nimi białą chmurę.

-Tak bardzo za tobą tęskniłem.

Pocałował ją delikatnie. Nie rozpaczliwie i zachłannie tak jak ostatnio, tylko znajomo, czule, miękko.

Clary zamknęła oczy, kiedy świat zawirował wokół niej jak karuzeli. Przesunęła dłonie w górę jego piersi, stanęła na palcach i objęła jego szyję. Dotknęła wargami jego ust. On zaczął wodzić dłońmi po jej ciele, po skórze i jedwabiu sukni. Clary zadrżała i przywarła do niego mocniej. Była pewna, że oboje smakują krwią, popiołem i solą, ale to nie miało znaczenia. Miasto, jego światło, życie i cały świat skurczyły się do niej i Jace'a, do gorącego serca zamrożonego kosmosu.

Jace odsunął się pierwszy, niechętnie. Chwilę później Clary zrozumiała, dlaczego to zrobił. Z dołu wyraźnie dotarły na górę klaksony samochodów i pisk opon.

-Clave - powiedział z rezygnacją Jace. Musiał najpierw odchrząknąć, żeby wydobyć z siebie głos, z zadowoleniem stwierdziła Clary. Na policzkach miał rumieńce, tak jak zapewne i ona.

-Już tu są.

Trzymając go za rękę, Clary wychyliła się poza brzeg muru otaczającego dach i zobaczyła, że pod rusztowaniem zatrzymała się spora liczba długich czarnych samochodów. Wyskakiwali z nich ludzie. Trudno było ich rozpoznać z tej wysokości, ale wydawało się jej, że widzi Maryse i parę innych znajomych osób w rynsztunku bojowym. Chwilę później do chodnika

podjechała z rykiem furgonetka Luke'a i wysiadła z niej Jocelyn. Clary poznałaby matkę z jeszcze większej odległości, choćby po sposobie poruszania się.

Odwróciła się do Jace'a i powiedziała:

-Przyjechała moja mama. Lepiej zejść na dół. Nie chcę, żeby weszła na górę i zobaczyła... jego. - Wskazała brodą na trumnę Sebastiana.

Jace odgarnął jej włosy z twarzy.

-Nie chcę tracić cię z oczu.

-Więc chodź ze mną.

-Nie. Ktoś powinien tu zostać. - Wziął jej dłoń, obrócił ją i upuścił na nią pierścień Morgensternów. Łańcuszek zwinął się w srebrną spiralę. Kiedy Clary zrywała go z szyi w czasie walki, wygięła się klamerka, ale Jace'owi udało się ją naprawić. - Proszę, weź go.

Opuściła wzrok, a potem niepewnie spojrzała mu prosto w oczy.

-Chciałabym zrozumieć, co on dla ciebie znaczy.

Jace lekko wzruszył ramionami.

-Nosilem go przez dziesięć lat. Została w nim część mnie. To znaczy, że powierzam ci moją przeszłość i wszystkie sekrety, które ta przeszłość skrywa. A poza tym... - lekko dotknął jedną z gwiazd wygrawerowanych wokół brzegu - „miłość, co wprawia w ruch...”. Udawaj, że właśnie to oznaczają te gwiazdy, a nie ród Morgensternów.

W odpowiedzi Clary przełożyła łańcuszek przez głowę i poczuła, że pierścień układa się jak zwykle w zagłębieniu szyi. Było tak, jakby kawałek puzzli trafił na swoje miejsce. Na chwilę spojrzenia się spotkały w niemym porozumieniu, pod pewny względami bardziej intensywnym niż fizyczny kontakt. Clary, zachowała w umyśle obraz Jace'a z tej chwili: splątane złote włosy, cienie rzucane przez rzęsy, pierścienie ciemniejszego złota wokół jasnego bursztynu tęczy.

-Niedługo wrócę - zapowiedziała, ściskając jego dłoń. - I pięć minut.

-Idź - rzucił szorstko Jace, puszczając jej rękę.

Clary ruszyła ścieżką. Gdy tylko oddaliła się od niego, zrobiło się jej chłodno i zanim dotarła do drzwi, trzęsła się z zimna. Przystanęła w progu i obejrzała się na Jace'a, ale zobaczyła tylko jego sylwetkę na tle nowojorskiej poświaty. Miłość, co wprawia w ruch słońce i gwiazdy, pomyślała i usłyszała słowa Lilith, jakby odpowiedziało jej zniekształcone echo: „Kochacie się taką miłością, która potrafi spalić świat albo przynieść mu chwałę”. Przeszedł ją dreszcz, nie tylko z chłodu. Poszukała wzrokiem Jace'a, ale on już zniknął w mroku. Odwróciła się i weszła budynku. Drzwi zasunęły się za nią.

Alec pojechał na górę, żeby poszukać Jordana i Mai, a Simon i Kibelle zostali sami w holu. Siedzieli obok siebie na zielonym dywanie, Izzy z magicznym kamieniem Aleca w ręce, który zalał pomieszczenie niemal widmową poświatą. Od wielkiego żyrandola odbijały się tańczące isierki ognia.

Isabelle niewiele mówiła. Głowę miała pochyloną, ciemne włosy opadały jej na twarz, wpatrywała się we własne dłonie. Były to delikatne ręce, o długich palcach, ale pełne odcisków jak u jej brata. Na prawej miała srebrną obrączkę z wygrawerowanymi płomieniami

i dużym L pośrodku. Simon wcześniej jej nie zauważył, ale przypomniała mu sygnet z gwiazdami, który (lary nosiła na szyi.

-To pierścień rodziny Lightwoodów - wyjaśniła Isabelle, dostrzegłszy jego wzrok. - Każdy ród ma swój emblemat. Naszym jest ogień.

Pasuje do ciebie, pomyślał Simon. Bo Izzy była jak ogień w swojej szkarłatnej sukni, z nastrojami zmiennymi jak płomienie. Na dachu omal go nie udusiła, gdy oplótła mu szyję rękami i nazywając wszelkimi imionami pod słońcem, zaczęła ścisnąć go tak, jakby nigdy nie zamierzała wypuścić z objąć. Teraz wpatrywała się w dal, nietykalna jak gwiazda. Było to bardzo deprymujące.

„Kochasz ich, tych swoich przyjaciół, Nocnych łowców”, powiedziała Camille. „Podobnie jak sokół kocha pana, który go pęta trzyma w ciemności”.

-Mówiłaś... na dachu - zaczął Simon z lekkim wahaniem patrząc, jak Isabelle nawija kosmyk włosów na palec wskazujący- że nie wiedziałaś, że Clary i Jace'a tu nie ma, a przyszedł szukać mnie... Czy to prawda?

Izzy podniosła wzrok, zatknęła włosy za ucho.

-Oczywiście, że to prawda — odparła z oburzeniem. Kiedy zobaczyłam, że wyszedłeś z przyjęcia... a od wielu dni groziło ci niebezpieczeństwo, i jeszcze ta ucieczka Camille. Jordan za ciebie odpowiadał. Szalał z niepokoju.

-Więc to był jego pomysł, żeby mnie szukać?

Isabelle przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Jej oczy były czarne i niezgłębione.

-To ja zauważyłam, że cię nie ma. Ja chciałam cię znaleźć.

Simon odchrząknął. Kręciło mu się w głowie.

-Ale dlaczego? Myślałem, że teraz mnie nienawidzisz

Powiedział coś niewłaściwego. Isabelle potrząsnęła głową, powiewając ciemnymi włosami, i trochę się od niego odsuwając na kanapie.

-Och, Simon. Nie bądź tępy.

-Iz. - Z wahaniem dotknął jej nadgarstka. Isabelle nie zabrała ręki, tylko na niego patrzyła. - Camille powiedziała mi w Sanktuarium, że Nocni Łowcy nie kochają Podziemnych, tylko ich wykorzystują. Powiedziała, że Nefilim nigdy nie zrobiliby dla mnie tego, co ja dla nich zrobiłem. Ale ty Przyszedł po mnie. Przyszedł mnie szukać.

-Oczywiście, że tak. - Izzy mówiła stłumionym głosem Kiedy pomyślałam, że coś mogło ci się stać...

Nachylił się do niej, tak że ich twarze znalazły się w odległości kilku cali od siebie. Simon widział w jej czarnych oczach iskry odbite od żyrandola, widział rozchylone usta, czuł żar oddechu, pierwszy, odkąd stał się wampirem, rejestrował ciepło u coś w rodzaju wyładowania elektrycznego przebiegającego między nimi.

- Isabelle. - Nie Iz, nie Izzy, tylko Isabelle. - Mogę...

W tym momencie zadzwieczał dzwonek, drzwi windy się rozsunęły i wysypali się z niej Alec, Maia i Jordan. Alec łypnął podejrzliwie na Simona i Isabelle, którzy błyskawicznie odsunęli się od siebie, jednak zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, otworzyły się szeroko podwójne frontowe drzwi budynku i do sali wpadli Nocni Łowcy z Kadirem i Maryse na czele. Pani Lightwood od razu podbiegła do córki i chwyciła ją za ramiona, pytając co się stało.

Simon wstał z kanapy i stanął z boku. Po chwili omal nie tul stratowany przez Magnusa, który chyba w ogóle go nie ważył, pędząc do Aleca. „Za sto, dwieście lat będziemy tylko Ty i ja.

Tylko my zostaniemy", powiedział mu czarownik Sanktuarium. Wśród kłębiącego się tłumu Nocnych Łowców mu nagle poczuł się nieswojo i bardzo samotnie. Przycisnął się plecami do ściany w złudnej nadziei, że nikt nie zwróci na niego uwagi.

Alec podniósł wzrok w chwili, kiedy Magnus do niego dotarł. Czarownik chwycił go w objęcia i przyciągnął do siebie. Zaczął wodzić palcami po jego twarzy, jakby badał siniaki i skaleczenia, i szeptać:

-Jak mogłeś tak odejść i nic mi nie powiedzieć. Przecież bym wam pomógł...

-Przestań. - Alec odsunął się buntowniczo.

Magnus się opanował.

-Przepraszam. Nie powinienem był wychodzić z przyjęcia, tylko zostać z tobą. Camille i tak zniknęła. Nikt nie miał pojęcia, gdzie się podziała, a ponieważ ty nie potrafisz tropić wampirów... - Wzruszył ramionami.

Alec odepchnął od siebie obraz Camille przykutej do rury i patrzącej na niego roziskrzonymi zielonymi oczami.

-Mniejsza o to - powiedział. - Ona nie ma znaczenia. Wiem, że ty jedynie próbowałeś pomóc. I nie jestem na ciebie zły, że opuściłeś przyjęcie.

-Ale byłeś - stwierdził Magnus. - Widziałem, że jesteś. Dla tego tak się martwiłem. Uciekłeś i naraziłeś się na niebezpieczeństwo tylko dlatego, że byłeś na mnie zły...

-Jestem Nocnym Łowcą - przypomniał mu Alec. - Prowadzę niebezpieczne życie, Magnusie. Nie chodzi o ciebie. Następnym razem zakochaj się w agencji ubezpieczeniowej albo...

-Alexandrze, nie będzie następnego razu. — Bane oparł czoło o jego czoło, złotozielone oczy wpatrzyły się w błękitne.

Serce Aleca przyspieszyło.

-Dlaczego? - zapytał. — Przecież ty żyjesz wiecznie, a inni nie.

-Wiem, że tak powiedziałem - przyznał Magnus. - Ale posłuchaj, Alexandrze...

-Nie nazywaj mnie w ten sposób. Tak mówią do mnie rodzice. Przypuszczam, że jak na ciebie to duży postęp, że z takim fatalizmem pogodziłeś się z moją śmiertelnością - wszystko umiera, ple, ple, ple - ale jak myślisz, jak ja się z tym czuję? Zwykle pary mogą mieć nadzieję. Nadzieję, że razem się zestarzeją, że będą żyć długo i razem umrą, ale my nie możemy jej mieć. Nawet nie wiem, czy chciałbym.

Alec sam nie był pewien, jakiej reakcji oczekiwał - gniewu, wykrętów czy nawet żartów — ale Magnus odparł ścisłym, łamiącym się głosem:

-Alex... Alec, jeśli odniosłeś wrażenie, że pogodziłem się z myślą o twojej śmierci, mogę cię tylko przeprosić. Próbowałem, myślałem, że mi się udało... ale wciąż wyobrażałem sobie ciebie za pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat. Sądziłem, że może będę gotowy pozwolić ci odejść. Ale teraz wiem, że kiedyś nie będę bardziej gotowy cię stracić niż teraz. - Delikatnie ujął w dłoń jego twarz. — Czyli wcale.

-Więc co zrobimy? - zapytał szeptem Alec.

Magnus wzruszył ramionami i nagle się uśmiechnął. Ze sterczącymi czarnymi włosami i błyskiem w złotozielonych oczach wyglądał jak psotny nastolatek.

—To, co wszyscy — odparł. — Jak powiedziałeś, zostaje nam nadzieja.

Gdy Alec i Magnus zaczęli się całować w kącie, Simon nie wiedział, w którą stronę patrzeć. Nie chciał, by pomyśleli, że gapi się na nich w tak intymnej sytuacji, ale gdziekolwiek spojrzał, napotykał gniewne oczy Nocnych Łowców. Choć walczył z Camille u ich boku, żaden z nich nie spoglądał na niego przyjaźnie. Isabelle akceptowała go i lubiła, ale reszta Nocnych Łowców to była zupełnie inna historia. Wiedział, co sobie myślą: „Wampir, Podziemny, wróg”. Te słowa były wypisane na ich twarzach. Poczuł ulgę, kiedy drzwi znowu się otworzyły i do holu wpadła matka Clary, nadal w niebieskiej sukni z z przyjęcia. Lukę wszedł tuż za nią.

-Simon! - krzyknęła Jocelyn, podbiegła i ku jego zaskoczeniu uściskała go mocno. - Gdzie jest Clary? Czy ona...

Simon otworzył usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Jak mógł akurat Jocelyn wyjaśnić, co się wydarzyło tej nocy, byłaby przerażona, gdyby wiedziała, że tyle zła wyrządzonego przez Lilith, dzieci, które zamordowała, krew, którą przelali, wszystko to służyło stworzeniu istot takich jak jej zmarły syn, którego ciało leżało teraz w trumnie na dachu?

Nie mogę jej tego wszystkiego powiedzieć. Nie mogę. Spojrzał na stojącego za nią Luke'a, który patrzył na niego wyczekująco. Trochę dalej Nocni Łowcy otaczali kręgiem Isabelle, prawdopodobnie relacjonując im wydarzenia nocy.

-Ja... - zaczął bezradnie, ale w tym momencie drzwi windy się rozsunęły i wyszła przez nie Clary.

Była bez butów, piękna satynowa suknia wisiała na niej w strzępach, siniaki już bladły na jej nagich ramionach i no gach. Ale się uśmiechała... całkiem promiennie. Takiej szczęśliwej Simon nie widział jej od tygodni.

-Mamo! — wykrzyknęła.

Jocelyn podbiegła do córki i uściskała ją. Clary uśmiechnęła się do Simona nad ramieniem matki. Simon rozejrzał się po holu. Alec i Magnus nadali kleili się do siebie w kącie, Maia i Jordan zniknęli. Isabelle wciąż otaczali Nocni Łowcy, a opowiadaną przez nią historię towarzyszyły ich okrzyki przerażenia i zdumienia. Simon podejrzewał, że nawet bawi ją ta sytuacja. Isabelle uwielbiała być w centrum uwagi, niezależnie od przyczyny.

Poczuł dłoń na ramieniu. To był Luke.

-Dobrze się czujesz, Simon?

Lukę wyglądał jak zawsze: solidny, profesorski, godny zaufania. Nic w jego postawie nie zdradzało, że jego przyjęcie zaręczynowe zostało przerwane przez nagłe dramatyczne wypadki.

Ojciec Simona umarł tak dawno temu, że on ledwo go pamiętał. Rebecca przypominała sobie jakieś szczegóły - że miał brodę i pomagał jej budować wymyślne wieże z klocków - ale Simon nie. To była jedna z rzeczy które łączyły go z Clary: oboje nie mieli ojców, oboje wychowywały silne samotne kobiety.

Cóż, w każdym razie jedna z tych kobiet pozostała samotna, pomyślał Simon. Choć jego matka chodziła na randki, nigdy nie czuł stałej męskiej obecności w swoim życiu, nie licząc Luke'a. W pewnym sensie dzielili się nim razem z Clary. Stado wilków również zwracało się do niego po rady i przewodnictwo. Jak na bezdzietnego kawalera Lukę miał strasznie dużo dzieciaków pod opieką.

-Nie wiem. - Simon odpowiedział szczerze jak własnemu ojcu. - Nie sędzę.

Lukę odwrócił go do siebie.

-Jesteś cały usmarowany krwią - stwierdził. - Domyślam się, że to nie twoja, bo... - Wskazał Znak na jego czole. - Ale nawet zakrwawiony, ze Znakiem Kaina na czole, nadal jesteś Simonem. - Mówił łagodnym tonem. - Chcesz mi opowiedzieć, co się wydarzyło?

-To nie moja krew, masz rację - odparł Simon zachrypniętym głosem. - Ale to długa historia. - Odchylił głowę do tyłu i spojrzał na Lukę'a. Zawsze się zastanawiał, czy gdyby któregoś dnia urósł nagle jeszcze parę cali, mógłby spojrzeć mu prosto w oczy... nie mówiąc o Jasie. W każdym razie na pewno nie teraz. - Myślisz, że można zrobić coś złego, nawet jeśli się tego nie chce, i już nie móc tego cofnąć? Niewybaczalną rzecz?

Lukę patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

-Pomyśl o kimś, kogo kochasz. Naprawdę kochasz. Czy jest coś, co ten ktoś mógłby zrobić, żebyś przestał go kochać?

Obrazy przemknęły przez głowę Simona jak ilustracje iu ml wracanych stronach książki: Clary uśmiecha się do niego przez tu ramię, siostra go łaskocze, kiedy bawią się, będą małymi dziećmi, matka śpi na kanapie, przykryta kapą. Izzy...

Odpędził pośpiesznie te myśli. Clary nie zrobiła tak strasznej rzeczy, żeby nie potrafił jej wybaczyć. Żadna z osób, które przyszły mu do głowy, nic takiego nie zrobiła. Pomyślał o Clary, która przebaczyła matce, że ta ukradła jej wspomnienia. Pomyślał o Jasie, o tym, co zrobił na dachu i jak potem wyglądał. Jace nie działał z własnej woli, ale Simon wątpił, czy będzie potrafił siebie rozgrzeszyć. I wreszcie pomyślał o Jordanie, który nie mógł darować sobie krzywdy, którą wyrządził Mai, ale żył dalej, wstąpił do Praetor Lupus, znalazł cel w życiu, pomagał innym.

- Ugryzłem kogoś - wyznał w końcu. Słowa same wypłynęły z jego ust, a Simon od razu pożałował, że nie może ich cofnąć. Przygotował się na przerażoną minę i gwałtowną reakcję, ale Lukę tylko zapytał rzeczowym tonem:

-Przeżyła? Ta osoba, którą ugryzłeś? Przeżyła?

-Ja... - Jak wyjaśnić, co się stało z Maureen? Lilith kazała jej odejść, ale Simon był przekonany, że jeszcze kiedyś ją zobaczy. - Nie zabiłem jej.

Lukę kiwnął głową.

-Wiesz, w jaki sposób wilkołaki zostają przywódcami stada. Muszą zabić starego przywódcę. Ja zrobiłem to dwa razy. Na dowód mam blizny. - Odsunął kołnierz koszuli, pokazując brzeg grubej, nierównej blizny, jakby ktoś rozorał mu pierś pazurami. - Za drugim razem to było zabójstwo z zimną krwią. Chciałem zostać przywódcą i osiągnąłem cel. - Wzruszył ramionami. - Ty jesteś wampirem. W twojej naturze leży pragnienie krwi. I tak długo bez niej wytrzymałeś. Wiem, że możesz chodzić w słońcu i starasz się żyć jak normalny chłopiec, ale jesteś, kim jesteś. Podobnie jak ja. Im bardziej starasz się stłumić swoją prawdziwą naturę, tym większą ma ona nad tobą władzę. Bądź sobą. Nikt, kto naprawdę kocha, nie przestanie cię kochać.

-Moja mama... - zaczął Simon ochryple.

-Clary powiedziała mi o twojej matce i o tym, że zamieszkałeś u Jordana Kyle'a - przerwał mu Luke. - Posłuchaj, twoja mama pogodzi się z sytuacją. Tak jak kiedyś moja siostra Amatis. Nadal jesteś jej synem. Porozmawiam z nią, jeśli chcesz.

Simon potrząsnął głową. Jego matka zawsze lubiła Luke'a. Gdyby jeszcze musiała zmierzyć się z faktem, że Luke jest wilkołakiem, mogłoby to tylko pogorszyć sprawę.

Luke skinął głową, jakby zrozumiał.

-Jeśli nie chcesz wracać do Jordana, możesz dzisiaj spać na mojej kanapie. Clary na pewno się ucieszy. A jutro się zastanowimy, co zrobić w związku z twoją matką.

Simon wyprostował plecy. Spojrzał przez hol na Isabelle, na jej lśniący bat, wisiołek na szyi, gestykulację, kiedy mówiła. Isabelle, która nie bała się niczego. Pomyślał o swojej matce, o tym, jak cofała się przed nim ze strachem i łzami w oczach. Uciekał przed tym wspomnieniem. Ale teraz uznał, że pora przestać uciekać.

-Nie - postanowił. — Dzięki za propozycję, ale dzisiaj nie potrzebuję noclegu. Chyba... pójdę do domu.

Jace stał sam na dachu i patrzył na miasto, na East River srebrzysto-czarny wąż wijący się między Brooklynem i Manhattanem. Ręce i usta miał jeszcze ciepłe od dotyku Clary, ale wiatr od rzeki był lodowaty i ciepło szybko z niego uciekło, a powietrze przeszywało cienki materiał koszuli jak ostrze noża

Wziął głęboki wdech, wciągając w płuca chłodne powietrze, i wypuścił je wolno ustami. Wszystkie mięśnie napięta Czekał na dźwięk windy, na syk rozsuwanych drzwi, na kroki Nocnych Łowców wchodzących do ogrodu. Z początku będą współczujący i zatroskani. Potem, kiedy zrozumieją, co się stało, zaczną się odsuwać, wymiana znaczących spojrzeń, kiedy będą sądzili, że on nie widzi. Był opętany - nie przez zwykłego demona, ale przez Wielkiego Demona - działał przeciw Clave, zagroził innemu Nocnemu Łowcy.

Pomyślał o tym, jak na niego spojrzy Jocelyn, kiedy usłyszy co zrobił Clary. Luke może zrozumie, wybaczy. Ale Jocelyn. Nigdy nie potrafił zdobyć się na to, żeby porozmawiać z nią szczerze, znaleźć słowa, które mogłyby ją uspokoić. „Kocham pani córkę bardziej, niż sądziłem, że to możliwe. Nigdy bym jej nit skrzywdził”.

A ona tylko na niego spojrzy tymi zielonymi oczami jak u Clary. Będzie oczekiwała czegoś więcej. Będzie chciała usłyszeć, jak on mówi to, czego sam nie był pewien.

Nie jestem taki jak Valentine.

Naprawdę? Zimne powietrze przyniosło szept przeznaczony tylko dla jego uszu. Nigdy nie znalazł swojej matki. Nigdy nie znalazł ojca. Oddał serce Valentine'owi, kiedy był dzieckiem. Stał się jego częścią. Nie możesz teraz wyciąć tego z siebie jednym czystym cięciem noża.

Poczuł chłód w lewej dłoni. Spojrzał w dół i ku swojemu przerażeniu zobaczył, że trzyma w niej nóż, rzeźbiony srebrny nóż swojego prawdziwego ojca. Ostrze strawione przez krew Lilith znowu było całe i lśniło jak obietnica. Po piersi Jace'a zaczęło się rozchodzić zimno, które nie miało nic wspólnego z pogodą Ile razy budził się spocony, dyszący, ze sztyletem w ręce? I Clary, zawsze widział Clary martwą u swoich stóp.

Ale Lilith nie żyła. Wszystko skończone. Próbował wsunąć nóż, za pas, ale ręka nie słuchała rozkazów umysłu. Jace poczuł piekący ból na piersi. Opuścił wzrok i zobaczył, że krwawa rana, która przecinała znak Lilith na pół, zadana przez Clary, już się zasklepiała. Run lśnił teraz świeżą czerwienią.

Jace znieruchomiał. Jego kostki zbieleły, kiedy mocniej ścisnął rękojeść i wykręcił nadgarstek w rozpaczliwej próbie skierowania broni przeciwko sobie. Jego serce dudniło. Nie przyjął

żadnych iratze. Jakim cudem cięcie wygoiło się tak szybko? Gdyby znowu zniszczył Znak, choćby na chwilę...

Ale ręka nie chciała go słuchać. Ramię zwisało sztywno u jego boku, a on sam ruszył, wbrew swojej woli, ku piedestałowi, na którym leżało ciało Sebastiana.

Trumna zaczęła się jarzyć zielonkawą poświatą, niemal maciczną, lecz w tym przyćmionym blasku było coś przykrego, raniącego wzrok. Jace próbował się cofnąć, ale jego nogi nawet nie drgnęły. Lodowaty pot spłynął mu po plecach. Jakiś głos szepnął w głębi umysłu:

Chodź tutaj.

To był głos Sebastiana.

Myślałeś, że jesteś wolny, bo Lilith odeszła? Obudziło mnie ugryzienie wampira. Teraz wzywa cię jej krew płynąca w moich żyłach.

Podejdź tutaj.

Jace próbował stawić opór wezwaniu, ale ciało go zdradziło i znowu ruszyło do przodu. Choć usiłował zawrócić, nogi niosły go ścieżką ku trumnie. Namalowany krąg zapłonął zielenią, kiedy do niego wszedł, a trumna odpowiedziała rozbłyskiem takiego samego szmaragdowego światła. Po chwili Jace stał nad nią i popatrzył w dół.

Przygryzł dolną wargę w nadziei, że ból wyrwie go z zamroczenia, w jakim się znajdował. Nie udało się. Poczuł smak własnej krwi, kiedy patrzył na Sebastiana unoszącego się w wodzie jak topielec. Zamiast oczu perły dwie. Włosy przypominały bezbarwne wodorosty, zamknięte powieki były sine, usta zimne i zaciśnięte jak u jego ojca. Jakby Jace patrzył na młodego Valentine'a.

Wbrew woli, całkowicie wbrew jego woli, ręka Jace'a zaczęła się unosić. Lewa dłoń przyłożyła ostrze sztyletu do wnętrza prawej dłoni, gdzie przecinały się linie życia i miłości.

Z jego ust popłynęły słowa. Usłyszał je, jakby dochodziły z bardzo daleka. Były w języku, którego nie znał, ale wiedział, że to rytualna pieśń. Umysł nakazywał krzykiem ciału przestać, ale ono nie reagowało. Lewa ręka ściskająca nóż opadła w dół i zrobiła czyste, pewne, płytkie cięcie na prawej dłoni. Niemal natychmiast rana zaczęła krwawić. Jace próbował cofnąć rękę, ale była jak zatopiona w cemencie. Gdy on patrzył na to z przerażeniem, pierwsze krople krwi spadły na twarz trupa.

Oczy Sebastiana się otworzyły. Były czarne, czarniejsze niż Valentine'a, czarne jak u demona, który nazywał siebie jego matką. Niczym w wielkich, ciemnych lustrach odbijała się w nich twarz Jace'a, zniekształcona i nierozpoznawalna, usta, z których ik strumień czarnej wody wylewał się bezsensowny bełkot, słowa rytuału.

Krew płynęła teraz swobodnie, zmieniając barwę mlecznego płynu w trumnie na czerwoną. Sebastian się poruszył. Krwista woda zafalowała, kiedy usiadł, ze wzrokiem utkwionym w Jasie.

Druga część rytuału prawie dopełniona, rozbrzmiał głos w głowie Jace'a.

Woda spływała po ożywionym trupie jak łzy. Jasne włosy przyklejone do czoła wydawały się zupełnie odbarwione. Sebastian uniósł jedną rękę i wyciągnął ją do Jace'a, a on, mimo krzyku we własnym umyśle, podał mu sztylet ostrzem do przodu. Sebastian przesunął dłonią wzdłuż zimnej, ostrej klingi. Z nacięcia biegnącego przez wnętrze jego dłoni pociekła krew. Stwór odrzucił nóż i ujął dłoń Jace'a.

Tego Jace się nie spodziewał. Nie mógł się poruszyć. Poczuł zimne palce niczym kleszcze na swojej dłoni i obie rany się zetknęły. I nagle jego żyłami popłynął lód. Przeszedł go dreszcz,

potem kolejny. Drżenie było tak silne i bolesne, jakby całe jego ciało się przeniecowało. Próbował krzyknąć...

I krzyk zamarł mu w gardle. Jace spojrzał w dół na ich splecione ręce. Krew płynęła po palcach i nadgarstkach, lśniła w zimnych elektrycznych światłach miasta, poruszała się nie jak płyn, tylko jak stalowa linka. Wiązała ich dłonie szkarłatnymi pętami.

Jace'a ogarnęło dziwne uczucie spokoju. Stał na szczycie góry, a pod nim rozpościerał się świat, cały dla niego. Światła miasta już nie były elektryczne, tylko jarzyły się jak tysiące diamentowych gwiazd. Oblewały go łagodną poświatą, która mówiła: „To jest dobre. To jest słuszne. Właśnie tego zawsze chciał twój ojciec”.

Zobaczył Clary, jej bladą twarz, rozpuszczone rudo winty usta wymawiające słowa: „Zaraz wracam. Za pięć minut”.

A potem jej głos ucichł, zagłuszony przez inny. Jej obraz i rozmył się, zmałał i zniknął w ciemności, tak jak zniknęła Eurydykę kiedy Orfeusz się obejrzał, żeby na nią spojrzeć po raz ostatni. Ujrzał wyciągnięte do niego jej białe ręce, a potem otoczyły cienie i w końcu całkiem ją pochłonęły.

Teraz w głowie Jace'a odezwał się nowy głos, kiedyś znienawidzony, teraz dziwnie miły. Głos Sebastiana. Wydawało się, że płynie wraz z krwią, która łączyła ze sobą ich dłonie niczym ognistoczerwony łańcuch.

Teraz jesteśmy jednym, braciszku, ty i ja, powiedział Sebastian. Jesteśmy jednym.

Korekta: [lsztar](#)

PS: My jeszcze tu wrócimy. Nie waz się o nas zapominać. Zemsta Nocnych Łowców może być słodka... Oczyszczenie tylko dla nas. ;)